

261.158.789

CZESŁAW STRASZEWICZ

151

TURYŚCI  
Z  
BOCIANICH GNIAZD

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1953

861.158.789

X

**TURYŚCI Z BOCIANICH GNIAZD**



**BIBLIOTEKA „KULTURY”**

**Tom VI**

IMPRIME EN FRANCE

---

**Wydawca : Edition et Librairie « LIBELLA »,  
12, rue Saint-Louis-en-l'Île, Paris (4<sup>e</sup>).**

CZESŁAW STRASZEWICZ

TURYŚCI  
Z  
BOCIANICH GNIAZD

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1953

Amerykańskim zwyczajem autor oświadcza, że wszystkie występujące w „Katedrze” osoby są imaginowane, jakiegokolwiek podobieństwa zdarzyć się mogące, są koincydencjonalne tak co do osób, co do miejsc i co do zdarzeń — i za jakiegokolwiek koincydencje autor odpowiedzialności nie bierze. Pełną odpowiedzialność autor bierze jedynie za PRZEPISY, figurujące w tekście.

## KATEDRA SANDWICZÓW

### I.

Z luki statku na pokład, a stamtąd na ląd (z Książką pod pachą) zgrabnie się wyślizgnąwszy — poszedł Kostek z obowiązku szukać szwedzkiego konsula. Nie z wiary w powodzenie, ale z obowiązku, żeby nic sobie nie mieć do wyrzucenia. Chodził po obcym mieście dość niedługo, bo smykałką swoją obieżyświacką prędko co trzeba znalazł. Więc wszedł. Szwedzką, norweską, angielską mieszaniną naprzód paniencę wyjaśnił o co chodzi, potem panu, potem ktoś trzeci przyszedł i słuchał. Więc Kostek z gestami opowiadał, jak to w Bije, udawszy się po kuchenne zakupy, zgubił ss. „Gotland”, jak ten Gotland bez niego odszedł złośliwie, co przez to wycierpiał moralnie i fizycznie, ile się najadł złego — i że teraz właśnie do tego portu przyjechał na blinda — i prosi pana konsula o należny mu z Gotlandu overtime, 320 koron i paszport.

Kłamstwo to było ma się rozumieć wredne, bo wcale nie zgubił Gotlandu, ale go puścił kantem, jak puszczał tyle już przedtem okrętów, gdy kapitan mu zbrzydł, konserwowe kucharowanie nadojadło, a na lądzie zapachniało żarcie, picie i dziewczynki.

— Ale — szwedzka jego mać! — obowiązkiem konsula jest uwierzyć, zapisać i zapłacić! — Kostek Napierski, mały wzrostem, z szeroko rozstawionymi uszkami — z Książką pod pachą — balansował z nogi na nogę sympatycznie, poręcz konsularnego krzesła niby z nieśmiałości

---

„La Catedral de los Sandwiches”, ul. Termópilas, 502, Punta Chata.

głaskał i tym swoim szwedzkim, norweskim, angielskim wokabulerem gadał a gadał...

Uwierzyć, może i uwierzyli, zapisać zapisali, ale forsy, jak przewidywał, nie dali. Natomiast sumienie miał Kostek czyste, że się nie polecił, sprawy nie zlekceważył i wszystko co w ludzkiej mocy uczynił dla swego szczęścia.

Lekki na duchu, opuścił konsulat i nad sytuacją zastanowił się poważnie.

Sytuacja jest taka : Forsy w kieszeni zero. Dwa banany, zabrane z łajby, będą na obiad. O tej porze wszystkie morskie Polusy, jacy mogą się znaleźć w porcie, odspiają swoje z dziewczynkami. O własnej żonie też dopiero wieczorem będzie można pomyśleć. Na ryby w międzyczasie wartałoby pójść ! No to pójść ! W malowaną pogodę ryby łowić idea prima, gastronomiczna. Wędki nie ma! Poszukać nie szkodzi. Zatem — punkt pierwszy programu : Mysz, hajda po wędkę!

Mysz, czyli Kostek, tak od siebie prywatnie a przez innych publicznie był nazywany dla puszystości skóry i dla uszu jak u myszy co lata. Z 50 walk i bójek i rżniętek za tę „Mysz” odbył po barach i pięści sobie przy tym nazbijał i krwi sporo stracił — albowiem myszą nie był, ojciec Napierski, a matka Marianna Kurek.

Kostka życiowy kunszt ujawnił się w całej pełni, gdy prowadził starania o wędkę. Języka nie znał, nikogo nie znał, zatokę portową widział za mgłą — jednak od razu znalazł molo wpuszczone w morze, kamieniami podmurowane, a na tych kamieniach po obu stronach wielkie zgromadzenie rybaków i rybaczek w kucki siedzących i zadowolonych. Kostek szedł sobie po molo, z Książką pod pachą, zygzakiem, od krawędzi do krawędzi, zrobił 10 kroków, zrobił 20, nigdzie się nie zatrzymał, krótkim spojrzeniem każdego rybaka taksował i szedł dalej. Szedł i szedł, bo molo miało kilometr długości, na końcu była mała latarnia morska. Aż stanął. Kucnięty rybak-murzyn palcami w przynęcie przebierał.

Skąd Kostek wiedział, że to jego murzyn ? Musiał wiedzieć, bo stanął, i stał nad nim, nie nad innymi, może minutę, może dwie, nachylił się z mola ku kamieniom i pisnął kunsztownie : pii !

Właśnie mewa przelatywała i skrzydłem skroiwszy wodę, pisnęła podobnie.



Murzyn, w prążkowanym łaszku na grzbiecie, podniósł kościsty łeb, łypnął na mewę, ale nie złapał, bo już była po drugiej stronie — więc w Kostka wlepił oczy i na nim trzymał. Jednocześnie przynęte rwał w palcach na dzwonka dość powoli. Minutę to znowu trwało, albo dwie. Nagle zaśmiał się szczęśliwie : pii!

Kostek oczywiście natychmiast z mola zeskoczył na kamień. I do murzyna : Okej ? Ty pi i ja pi! Okej ? — Głową kiwał. Murzyn głową kiwnął. Na co Kostek : — Błat ?!

I zaraz najbezcelniej w świetle chwycił za wędkę. Na dwie wędki murzyn łowił ryby swoje, trzecia leżała na kamieniu w zapasie, i tę trzecią Kostek miał na oku, mówiąc : blat!

— Błat! — powtórzył murzyn, dzwono krewetki nadziewając na kostkową wędkę. — Ty blat, a ja — wskazał na siebie — *Julio César...*

Kostka na razie przestała obchodzić dalsza amicycja. Przeskoczył trzy kamienie, znalazł płaski kamień i z tego kamienia świsnął linką w morze. I kucnął. Książkę położył przy sobie. Między nim a murzynem nastąpiła święta, rybacka cisza.

W tej ciszy słońce smało w oczy, mewy to skrzydłem to dziobem krajały wodę, Julio César łowił, inni łowili, Kostek też ryby swoje na wędkę pogodnie łowił.

I — bracie Polaku — z morskiego przyzwyczajenia samemu sobie podgadywał — a rusz-że mózgiem, bracie Polaku i zgadnij : jakie łowić się będą rybki tutejsze, południowo-amerykańskie ? Czy pierzaste będą, jak japońskie, czy w kolorze bzu jak na Madagaskarze, czy jeszcze będą inakże ? Czy do smażenia lepsze, czy do gotowania w jarzynie, a może która z rodzynkami ujdzie w smaku za karpia ? Ryby w każdym kraju są inne, i żony w każdym kraju są inne... E...

...e, bracie Polaku, a rusz-że wędką — a pociągnij !... pociąg ! — cyk ! jest rybka ! Cyk, cyk, malutka ! Srebrniusia, jak paperek od czekoladki, smuklutka — co się tak trzepoczesz, jak nasza płotka ? No pokaż się maleńka, nie wstydź się, nie fyrgaj — tuś mi mała, z prążkiem czarnym na grzbiatku, ślicznym bardzo. Dla urody twojej, dla cudności twojej zrobić cię najlepiej na patelence z masłem rumianym, a na grzbiecik dać trochę siekanej pietruszki !

W trakcie tego doskoczył Julio César, palcem na rybę wskazał i nauczył : — *Pejerey!*

Kostek zrozumiał, że jego cudo nazywa się peherej, powtórzył kilka razy dla pamięci : peherej, i wędkę obłądziwszy, dalej łowił.

— I — bracie Polaku, słoneczko cię tu grzeje, banany masz w kieszeni, dobrze ci — lepiej niż w Krywoj Dierewni, gdzie nie wiedziałeś co to jest słońce i banan. Skąd mogłeś wiedzieć? jeśli słońce tam w uszy cię tylko szczypało zdradliwie i w nos!

I — po śmierci matki, w tej Dierewni, Józefka, siostrzyczka lat pięć, na jego piersi szukała ciepła. Nakradł dla tej Józefki mąki i kaszy nie mało, a raz ukradł dla niej buty z cholewami i raz chustkę szaro-buro-malinową, ciepłą bardzo. Nigdy mu się tak sprawnie nie kradło, ani później, ani teraz, jak wtedy, gdy miał lat 14, w drodze wielomiesięcznej, kolejowej i pieszej z Dierewni, z Józefką w butach wypchanych szmatami, w kierunku Polski... E...

— Cyk! I cyk! Jest rybka! Jak pędzelkiem malowana! I większa niż pierwsza, piersista, z noskiem szerokim. Kogut, nie rybka, bażant cały!...

Juliusza Cezara ciekawość wzięła i doskoczył. — *Bagrey!* — Łypnął okiem : — Błat?

— Bagrej — powtórzył Kostek dla pamięci — w sosie cytrynowym pycha będzie, — i dalej łowił... Czemu właściwie Józefka przy końcu wędrówki umarła, trudno wiedzieć, miała zawsze czaj ciepły i jabłka jesienne i brukiew z pola wygrzebaną, oskrobaną i ugotowaną, z cebulą — mleko dla niej nie raz wyzebrał i kukurydzę słodką ukradł — a ona, z siwymi oczkami, nic nie mówiąc, nocy jednej pod gołym niebem wzięła Józefka i umarła. Niósł ją długi na rękach, myśląc, że śpi. Zaś tam! Budził ją w rowie i budził, trawką ją muskał po policzkach, nie chciała się obudzić za nic w świecie. Potem nożyk, który na stacji kiedyś ukradł, ostrzył na kamieniu drogowym i ojca i matkę Mariannę w śniegach zagrzebanych wspominał, na Józefki twarzyczkę zamyśloną i serio — patrząc. Potem wziął ją na ręce i szedł w pole dzikie, gdzie rosty wilgotne krzewy i gdzie drzewa były do wierzb podobne. Tam w dolince, w jamce, na kretowiskach — dotek wygrzebał rękami i nożykiem. W chustkę szaro-buro-malinową, siostrzyczkę lat 5, której do Polski nie doniósł, owinał i tak ją otuloną,

w butach z cholewami, włożył w wilgoć. Dzień jeszcze przetwał, nim przy zachodzącym słońcu ośmielił się zsunąć na nią trochę mokrej ziemi...

— E! Cyk! Raz, dwa, trzy, jest rybka! Aj, jaka tłusciutka, z brzuszkiem wydętym, z centkami na skrzelach... *prelest'* nie rybka...

Ma się rozumieć Julio César 3 kamienie przeskoczył i nauczył : *Palomiya!*

— Palomiża — z centkami — na zupełną rybą — albo na majonez! Palomiża! — powtarzał Kostek dla pamięci i dalej łowił... — Na Józefkę w ten czas rzucił ziemie mokrą, a potem się przeraził i odgrzebał. Albowiem matka przed śmiercią prosiła, żeby jej ręce złożyć na krzyż. Zatem Józefce rączki, co pod chustką tak i siak sobie leżały, też wypadało złożyć na krzyż... — A czemu, do jasnej cholery, łowią amerykańskie ryby, na mewy rybojady z ukosa patrząc — na Józefkę dawno umarłą wysila pamięć?! Cholera jasna! Czemu? Bo taka dobra była dzieciąta i do piersi jego się tuląc, tak mówiła : Tu ciepło, Kostku, tu dobrze, i chciałabym, żeby tak było zawsze. Więc kiedy ją zostawił w krecich norach, to mu było żal. Z tego żalu wyskrobał nożem z kory wierzbowej deszczułkę a na niej napis : Józefa Napierska, polka, ur. w r. 1940 w Krywoj Dierewni. Zmarła tu w drodze do Polski. Brat. Korę wbił w ziemię i nocą odszedł.

Cyk! I znowu cyk; Julio César coraz częściej skakał przez kamienie i nauczał : *pejerey, bagrey, boriquta* i — blat! — *anchoa!*

Tak dzień sływał. Przyszła pora obiadowa, zrobiło się goręcej i puściej. Z portu odchodził Grek, dymiąc silnie. Murzyn dał znak, że musi odejść, ale że wróci i zostawił Kostkowi wszystkie wędkę. Kostek zjadł banany i dalej łowił. W porcie był jeszcze jeden Grek, dwa Angliki, Czilińczyk „Arica”, nō i ten jego blindowy Mac-Cormack. Jakim okrętem i w jaką podróż do jakiej części świata wypadnie znowu Kostkowi wrywać z Punta Chata? Wrócił murzyn. Dalej łowili. Różowo, różowością morskich muszli, zaczęło się robić w Punta Chata.

Rybacy wędkę na dobre zwijali korbką. Mewy przed snem wydawały leniwsze piski. Kostek policzył złowione ryby : jedenaście ich było na kamieniu, jak byki. — Ej, bracie Polaku, blat!

— Błat !

Julio César uczynił rzecz zdumiewającą : rozejrzał się i sprawdził, czy nikt nie widzi — i spod prążkowanego poncza wyciągnął 3 pary najlonowych, damskich pończoch.

— Błat ?

— Okej ! błat ! Dlaczego nie ? ! Duponty 56 !\*).

## II.

Umówiwszy się z Juliuszem Cezarem językiem portowym i na migi co do czasu, miejsca spotkania, oraz ceny — z rybami w gazecie, z pończochami w kieszeni i z Książką pod pachą — Kostek o zmroku trafił direct do baru Tango w poszukiwaniu Polusów i żony. Jakoże centa nie miał przy duszy, zamówił piwo. Żony dokoła chodziły, chodziły...

— Ty ! Taka twoja i siaka Mysz !

Kogo Bozia dała ? Dała Grubego, czyli Lizusa. Chłopak był rosty, pyzaty, Romcio Jarząbek, ongiś Zalewski, jeszcze przedtem bodajże nazwiskiem Kuśnierz, z którym w Palestynie razem we dwóch kapitana „Waterloo” za nędzę swoją skąpali w zatoce haifeńskiej, za burtę go wyrzucili, a potem, otrzeźwiawszy, sami do wody buchnęli i wplaw się ratowali na ląd. Z tym Lizusem, w gajach pomarańczowych — pamiętasz Lizus ? — tośmy dwa tygodnie się kryli i przez dwa tygodnie żarliśmy pomarańcze, aż śmierdziało od nas pomarańczami. — A — pamiętasz Mysz ? — sądziła nas sędzia-kobieta, która ukończyła Uniwersytet Warszawski i do nas bardzo ślicznie mówiła po polsku ? — Siedzieli razem w więzieniu pod Tel Avivem, które było najlepsze ze wszystkich znanych im (a wiele ich

---

\*) Trzeba wyjaśnić rzecz taką : Świat, w którym się Kostki kręcą i żyją, jest światem ludzi z najlonowej, alkoholowej, albo zegarkowej konspiracji, zorganizowanej, jak ruch podziemny w czasie wojny. Wielki to świat i skomplikowany, złożony z Kostków, Juliuszów Cezarów, z celników, szoferów, kapitanów, inspektorów i ministrów, podskórnym nurtem płynący i rący bardzo. W którym — jak dwa psy — obwąchują się wzajemnie biały Kostek i czarny Cezar — aby w rezultacie, z konspiracyjnego zaufania — szybko z kieszeni przerzucić 3 pary Dupontów 56.



znali) więzień na świecie; na obiad dawali ryby w oliwie i na spacer ich prowadzali między pomarańcze.

— Więc serwus, Gruby Lizusiński, więc serwus! Jaką tratwę zajechałeś do Czaty? Piwo, zaznaczam, idzie na twój rachunek, te i drugie, Lizus, zanotuj w pamięci!

Grubemu jasne włoski lepiły się na czole, policzki błyszczwały, jak po manikurze. W pierwszym rzędzie udzielił Kostkowi najpilniejszych wyjaśnień:

— Większej zołzy w życiu nie znajdziesz, niż ten port. Pół roku będziesz łaził po biczu i nie zamustrujesz. Panamskie pełne. Greckie swołocze na naszą swołocz patrzeć nie chcą. W Sailor House Armia Zbawienia żąda za noc peza. Dziewczynki lepsze, niż w Biję. Można doić.

— Można?

— Można. Z naszych tylko ja, i może znałeś takiego, co go nazywali Strup, smarował jeszcze przed wojną na Sobieskim, jest tutaj. Są jeszcze pętaki pętające się w porcie, co to — powiadają — pod Arnhem pływali, więc teraz też mają prawo pływać; które nas tylko podkopują, raka na nich! Jutro ma przyjść do Czata „Dzierżyński” z cementem i kryształami. Żaden dla nas interes, zgodzisz się ze mną, Mysz? Ty, popatrz na Amerykanów przy kokakoli — jak to im nogi pokazują wszystkie dziewczynki! Ja ma się rozumieć jestem ożeniony od dwóch miesięcy, Ybelyce ma na imię: jak ja w Tango, ona w Arizonie, jak ja w Arizonie, ona w Tango...

Kostek krzyknął do kelnera: — Bir!

— Nie *beer*, tylko *cerveza*, i nie *weiter*, ale *mozo!* Pęta się żłób po świecie, a jeszcze nie wie, kiedy bir, a kiedy serwesa!

Bar Tango miał z jednej strony czerwone, z drugiej zielone światła; kolorowe z papieru łańcuszki wisiły od neonu do neonu tuż nad głowami, a na kremowych ścianach malowane były panny młode całe w bieli, tańczące w objęciach wąsatych gauczów. Napisy na ścianach mówiły: *Good time for you* i *Diviertese bien* — baw się dobrze! Jak we wszystkich barach Tango we wszystkich portach świata, pachniało piwem, pudrem i wychodkiem. W rogu, pod wąskim oknem, był Kiosk. Z papierosami i czekoladą.

— Lizus, zreć mi się chce. Zrób!

Zrobili mu dwa franfruty na wiedeńskim chlebie. Je-



dząc, dowiedział się bez zdziwienia, że Lizus też ma tyle przy sobie centów, że nie starczy. Zamówili dwie grapy.

Wypili dwie grapy. Też i zwierzenia poszły łatwiej, tym bardziej, że na akordeonie zaczął grać patron, a mulatka Norma śpiewała o amorze.

— Kiedyśmy ostatni raz wódki razem zażywali, Mysz? W Ottawie. Gdzie się ożeniłeś na fest, co było niedobre, bo żenić się masz obowiązek w każdym przydługim porcie, ale rozumiesz — nie tak! Nie tak! — Więc dwie grapy jeszcze wypili i przyszła między nimi szybsza wymiana zdań: — Że — Kostek mówił — właśnie od Ruth kanadyjskiej miał jak należy dać nogę, gdy jej brata łapserdaka z całą ichniejszą ferajną diabli przynieśli, a łajba się spóźniła z odjazdem, więc go obsiedli i pijanego w dechę do dżadza, razem z Ruth, jak w kinie, w Chevrolecie powieźli. A że — tłumaczył się Kostek — jak to zwykle w takich wypadkach papierki już przedtem były olrajt i pieczętki na swoim miejscu, więc w try miga... — Ale — przerwał mu Lizus, na szklaneczki pokazując i „otra vuelta” do kelnera wołając — żłób jesteś!... — Ale — przerwał Kostek w poczuciu winy — jak Boga szanuję, powiadam tobie, że choć Rus, żona ta, na piętorku nad składnikiem sypialnię nie wąską wyfroterowała i muśliny rozwiesiła i chętna dla mnie w tych muślinach była nadzwyczajnie — i choć jej, jak Boga szanuję, pierożki polskie w cieście ze słoninką smażoną lepiej niż mit-paj smakowały — i choć... co tu gadać, tobie Lizus się zwierzę, że jak tylko okręt przyuważyłem, takem dmuchnął i dotąd dmucham. Więc czego do mnie z pyskiem, Lizus ścierwo?! Polakiem może nie jestem, co?

Na akordeonie zegrali jeszcze raz, a z kolei stary Włoch ślicznie zaśpiewał „O sole mio!”

Kostek zmienił temat.

— Żony będę szukał! — rzekł, krzywiąc się, bo grapa dla smaku polskiego jest jak woda kolońska.

Zaczęła się realizacja trzeciego i ostatniego punktu kostkowego programu na dziś. Co tu dużo mówić: jeśli na molo, pośród rybaków trzystu, bez omyłki wpadł na swego typu — nie mógł się chyba omylić wśród dziewcząt kilkunastu, które wchodziły, wychodziły i starały się, żeby je było widać. W swetrach angora, w spódnicach czarnych, w sukienkach balowych, z kokardami we włosach, z kol-

czykami weneckimi i z perłami trzęsącymi się w uszach — ćwierkające jak kanarki, lub nadęte jak sowy, były te panny w barze Tango, młode i dojrzałe, słabe i silne, białe i czarne, z zębami zakrwawionymi szminką. W lot je wszystkie obejrzał, przejrzał i psychologiczny każdej postawił horoskop. Ta !

Która szklanekę z płynem miedzianym trzymała w obu rękach, która głowę odchyliła na poręcz krzesła, której w kąciuku skośnego oka błyszczało coś jakby łza...

Podszedł do niej, potknąwszy się — i wziął ją delikatnie za ramię : — Kom, *darling* !

— *Querida*, nie *darling* ! — wrzasnął napity Lizus. — Chichita się nazywa ! Łzami i kanią zalewa się po Rumunie, który ją puścił w trąbę ! — Chichita, *querida*, como te va ?

Kostek posadził ją elegancko przy sobie i naczynie z miedzianym płynem z powrotem jej włożył w ręce : — Cziczita, keryda, komo te wa ?

Zaczęła się miłosna magia wszystkich na świecie barów Tango ; gdzie żarłoczne chłopaki, wygłodzone pływaniem i życia szorstkością — miłość za wszystko co mają chcą kupić, całe kino krótkiej miłości. Gdzie z kinowych iluzji odarte dziewczyny bronią się instynktem skrzętnej gospodyni, aby się nie dać wyssać wędrującym kochankom za słowo, za gest, za przemijające, jak wiatr — tylko z każdego z nich zrobić : przeszło pomostu dla solidniejszej przyszłości. Magii języka, wokabulera swego i sympatycznego dotknięcia rąk, i cudów innych — próbował Kostek na Chichicie pijanej, której ze skośnych oczu, z żalu po nikczemnym Rumunie, łzy ciekły...

Aż gruby Lizus Jarząbek znudził się i przestał patrzeć na to zawracanie głowy, a znudziwszy się, palec włożył pod klapę marynarki w nitkę obrębiony rozporek — i z palcem w tej pozycji zrobił na cały bar obrót.

Co w swym zakochaniu dostrzegł jednak Kostek Napierski i wrzasnął :

— Jak Boga kocham, mordę ci zbiję na ciasto ! — Co później wykonał.

Gdy tak wrzeszczał — Chichita w płaczu swoim, nie wiadomo dlaczego, pocałowała go w rękę.

Norma, z piersią szeroką, śpiewała drugą pieśń o amozie.

Z dwóch zer wychodzili i wchodzili klienci, trzaskając drzwiami, patron zaś potrząsał srebrnym pucharem, przygotowując coctail. — Jak jest naręczona po hiszpańsku? — zadreślał się Kostek.

— *Novia.*

— *Novia mia!* — najczulej do Chichity wyszeptał zakochany. A do Lizusa : — Weź najlony, 3 pary, i tej utlezionej brunetce, co z Brazylianami siedzi — weź i sprzedaj! 5 pezów każda para! Pruj!

Dobrze się Kostek zorientował, komu należy sprzedać, pończochy zostały sprzedane i honor w barze uratowany. Gdy — światła obojga kolorów, na znak późnej godziny — zbladły, a pary, jakie się miały poczynić już się poczyniły — Kostek do młodej żony rzekł : Idziemy!

— Idźcie — pożegnał ich Lizus. — Ja przed odejściem muszę Pani w Kiosku zasunąć w oknie żelazną kurtynę...

### III.

Dnia następnego, jak zapowiedziano, przybił do Punta Chata ss. „Feliks Dzierżyński” z cementem i kryształami. Stanął przy hangarze Nr 6, gdzie zazwyczaj gęściej jeżdżą na bicykletach policjanci. Załogę wypuszczono na ląd dopiero w 24 godziny później i spodziewano się, że będą nieprzyjemności.

W barze Tango, jak w każdym innym barze, w dzień biały wszystko ciągnie się, jak mleko skondensowane. Lepkie i mdłe. Rzeczy, trunki i ludzie. Za to przy pannach na ścianach, śpiących w objęciach wąsatych gauczów, można spokojnie gadać. Toteż w ciągu dnia odbywały się tam narady.

Brali w nich udział : w charakterze przewodniczącego Korybut Duszny, czyli Strup, przedwojenny marynarz z Sobieskiego; asesorowie : Ambrosio Lipiński, syn ogniomistrza z 2-go PAL’u, właściciela jatki w Punta Chata, i postrzelenic, Wiesio Bączek, też z Punta Chata; w charakterze zainteresowanych, na zmianę, po dwóch, po trzech, po czterech — marynarze z ss. Feliks Dzierżyński. Lizus Jarząbek w tych naradach nie brał udziału, bo nie miał interesu; Kostek Napierski też nie uczestniczył, jako że był w tygodniu poślubnym.

Na tych naradach rzecz kręciła się dokoła czterech kwestii : Czy nie zamkną ? Z czego żyć ? Jaka pomoc ? Skąd dokumenty ? — I znowu od początku : z czego żyć, gdzie zamustrować i skąd dokumenty ?

Wiesio Bączek, ów postrzelony, parsknął z emocji i do czynu podniecał ; Ambrosio, syn ogniomistrza, czarną stroną życia reprezentował ; wszystkie kwestie starał się zebrać do kupy Strup Duszny milczeniem wymownym. Wielekroć szli wszyscy do okienka Kiosku wewnątrz baru, gdzie następowała krótka prezentacja, częstowanie papierosami, i Pani, w uśmiechach cała, wypowiadała w zawziętej materii zdanie.

Pod wieczór zaczęła się sytuacja klarować. W Punta Chata musieli koniecznie zostać : szef Bolesławski senior, marynarz Trościa junior, i Bobuś Sandalski z chorobą Św. Wita, znaczy ci, którzy byli autorami figla z portretem na ss. Feliks Dzierżyński. Reszta zainteresowanych — ze względu na ubogość polskiego życia w Punta Chata — miała próbować szczęścia gdzie indziej, w Hamburgu lub w Amsterdamie. Na tym stanęło.

Chryja wybuchła w piątek, w noc przed odjazdem Dzierżyńskiego, przy hangarze szóstym, gdzie policjanci troskliwie patrolowali na bacykietach. A było tak :

Narwany Wiesio Bączek chwycił tłumoczki, spuszcza na lince po czarnej burcie obok szpigatu, z którego tryskała woda.

Tłumoczki spuszczał z dolnego pokładu wśród nocnej ciszy, najciszej jak mógł, Bobuś Sandalski, gdy tymczasem koledzy jego, senior i junior, w niepokoju czekali na mienie i na kolegę w barze.

Spuścił już Bobuś dwa tłumoczki i spuszczał trzeci, i ten trzeci był właśnie w połowie drogi — gdy zrobił się ruch na pokładzie górnym, potem na dolnym, i rejdach.

Ktoś (Radio-oficer Pieniążek) wrzasnął na górze : szczeniaku !

Zrobiło się na okręcie dudnienie (trzeci tłumok wpadł w międzyczasie w ręce Wiesia), rozległy się krzyki po grecku, potem po polsku : padlec i twoja matka zapłaci ! — po czym tupot nóg i gwałtowne zbieganie po trapie.

Po trapie zbiegł Bobuś Sandalski (a nie Radio-Pieniążek) i dyszący Bobuś wpadł w ramiona Wiesia, który się rozstawił, jak posąg wolności. Wszystkie trzy tłumoczki



porwał Ambrosio, czatujący w rezerwie. Z pokładu oświecono ich elektryczną latarką. Przy szóstym hangarze na przeciw policjanci na brykietach patrolowali najgorliwiej...

Ocalone bogactwo zaniecono do baru Tango, i tam Bobuś brzdąc padł jak nieżywy. Zwalił się z nóg, jakby kto pięścią grzmotnął w zastraszone oczy bobusiowe. Wił się w chorobie dziwnej minut kilka ku zdumieniu obecnych, po czym go przeniesiono do Kiosku, gdzie Pani wodą trysnęła, że wkrótce wydobrzeła.

Zebrał się wówczas w Kiosku i przy okienkach kioskowych cały sztab główny : znaczy Pani, sprzedająca papierosy, strupowaty Korybut Duszny, Ambrosio pesymista, Wiesio szaleniec, i ma się rozumieć szef Bolesławski i marynarz Trościa i tenże mikrus Bobuś Sandalski już przytomny, ale zielony i ciężko dyszący. Oprócz nich, w rachubę dotąd nie brani : marynarz Fornalski i marynarz Adam Gwóźdź, którzy, bez rady niczyjej ani kłopotu, wzięli z Dzierżyńskiego i zesli.

Scisk był w środku i przy obu okienkach taki, że nawet na blaszankach od cukierków nie było sposobu przysiąść. Bolesławski, wzrostu 2 metry, szef do wdzięczności w imieniu wszystkich się poczuwający, nieśmiało, jakoż pierwsze raz, myśl swoją sztabowi poddał : — Jeśli mnie kto 5 dolarów zmieni, zaproponuję butelkę !

Za Kioskiem w barze, zaciekawione bobusiowym wypadkiem, panienki chodziły, chodziły...

Norma z piersią szeroką, śpiewała wieczorną pieśń o amorze.

W porcie raz po raz syreną grubą grzmiał przed odjazdem do Polski „Feliks Dzierżyński”, a jak Trościa powiedział, grzmiał ze złości.

W ten to sposób powiększyła się kolonia polska w Punta Chata. Co wkrótce stało się przyczyną kataklizmów i burz — takich właśnie, jakie się zdarzają w osłoniętych od wiatrów lagunach portowych.

#### IV.

Kostek Napierski sterczał przy prymusie w pensjonie familijnym i gotował potrawę, która — zajął do Książki — nazywała się „Bitki à la Radziwiłł”.



Wedle Książki : *Mięso dobrze usiekać, lub skrócić, dać jedną bułkę namoczoną i wycisniętą z wody, z całej jajka, tartą cebulę, sól, pieprz i szczyptę gałki muszkatołowej. Formować małe, okrągłe bitki, jak pączki, które obsypać mąką i obrumienić na maśle. Potem bitki ułożyć w rondelku, wsypać trochę kaparów i skórki cytrynowej, podać śmietaną i dusić aż do miękkości''.*

Co czytał, tak robił. Największa trudność polegała na objaśnieniu Chichicie co to są kapary, śmietana i gałka muszkatołowa. Każdy produkt opisywał jej mimiką bardzo wyraźnie i wokabulerem, do którego w ostatnich dniach dołączył garść słów po hiszpańsku. Chichita robiła wszystko, żeby zrozumieć, skośne oczy indianki latały jej w prawo i w lewo z wysilenia i z uczynności. Co tylko zrozumiała, zaraz biegła z ochoczym : *enseguida, enseguida!* — z pensjonu familijnego na merkado i do almacenu. Ale — głupia! — *enseguida, enseguida!* — zamiast gałki muszkatołowej przyniosła mu wina moskatel, zamiast kaparów karczochów kilo, zamiast śmietany — Boże jej odpuść! — krem do rąk Pondsa. Kostek się na nią pogniwał, więc zamieniać latała, *enseguida, enseguida*, zmieszana bardzo. Tak 3 razy latała piersiami robiąc w pośpiechu, aż się jej zielony sweter marszczył — zanim to i owo, co Książka życzyła, przyniosła, a i tak — choć wścieknij się! — kaparów nie mogła dostać! Więc bez kaparów dusił Kostek na prymusie „Bitki à la Radziwiłł”...

...w pensjonie familijnym, gdzie w pokoju bez okna, z drzwiami na patio, na trzciniowych fotelach dwóch, na tapczanie tureckim, przy lustrze i przy prymusie — Chichita spędzała wolne chwile i gdzie teraz na zabój kochała się w Kostku...

...w zapachu hasminów, kwiatów egzotycznych, których tuzin przyniosła z wyprawy po kapary, a każdy hasmin pachniał, jak 10 flakonów perfum!

Zaś Kostek zmienił się nie do poznania, gdy skończył z bitkami, gdy purée z kartofli uwiercił na parze i przyrządził sałatę po polsku. Usłużył Chichicie, jak księżnej Radziwiłłowej; bitki 3 jej, sosem polawwszy, na talerzu położył, obok kartofle rozbite na pulchno, sałatę dał oddzielnie z jajkiem przekrojonym na pół, ugotowanym na twardo. Elegancko to uczynił i widać było, że jest w stanie

emocji i życzliwość całą, oraz miłość, razem z nożem i widelcem składa przy talerzu Chichity.

Sam nie jadł. Za to patrzył. Z takim zdenerwowaniem i niepokojem, że ta — z trudem podniosła do ust pierwszy kęs bitek à la Radziwiłł.

Kostek zaraz do niej :

— Smakuje, *te gusta?* — *te gusta* uczciwie, keryda mia ?

*Querida*, zjadłszy bitek, błysnęła obfitymi zębami i zalotnie wypowiedziała słowa, jedyne, jakich do tej pory nauczyła się po polsku :

— Głu-pia — jes-teś !

Kostek przyjął to jako hołd bitkom należny i zerwał się, żeby jej natychmiast zadośćuczynić — ale usiadł z powrotem, zważywszy, że jej w pozostałych bitkach może przeszkodzić. W słowach się za to nie krępował, nie dbając, czy ona rozumie :

— Oto widzimy na talerzu (na talerz teraz spokojnie bitek sobie radziwiłłowskich, purée i sałaty nie skąpo nałożył) mięso ! Ale nie mięso — bo to mięso zmienione jest, w śmietanie, chociaż bez kaparów ! Dlaczego ? Ponieważ mięso to zostało zaprawione kulturą, tylko z kultury wiekowej mogą się narodzić takie bitki ! Smakują nam one, ma się rozumieć, lepiej, niż wasze czuraski, niż wasze kichy pieczone na węglach, lepiej nawet niż puczero, które złe nie jest, ale prymitywne i kulturą nie zaprawione. Tu, na talerzu (zajadał się Kostek bitkami) mamy, keryda, przed sobą wiekową kulturę polską, o której wy, w tej części świata, żrąc czuraski, nie macie zielonego pojęcia ! Zrozumiałaś teraz, keryda, na czym polega sztuka kulturalnego jedzenia ? *Si?*

Ona, ciężko pracowała jedząc i pracując ciężko, jadła — a dla świętej miłości zjadłszy — rzekła :

— Głu-pia — jes-teś ! — tak !

Co tym razem w pensjonie familijnym było hejnałem do szczęśliwej w Punta Chata i w ogóle na świecie jest — ona, nie zatrzymywana, poszła do portu w trosce o zlekceważone *puchero* dla obojga na jutro — on, po jej odejściu, zajrzawszy do Książki, potrawę polską ustalił na dzień czwartkowy o nazwie „Pyzy” ; i ustaliwszy — z lekkim sercem udał się na moło rybne, taki sobie powtarzając przez

Józefkę w dawnych czasach mówiony wierszyk : — Maa-mo, pyza ma oocy — ja pyzę na łyżę — a pyza mnie ugryzie i skoocy !...

## V.

Zgoła inne polskie menu smażyło się w tym czasie w Punta Chata.

Marynarz szef Bolesławski, w żyłach i kościach wzrostu 2 metry, zaczął pracować u Hiszpana na budowie za 5 pezów dziennie, odrzuciwszy ofertę pana Misiaka na 3.50.

Bolesławskiego, Troście, Bobusia Sandalskiego, oraz pozostałych dwóch, wzięli do siebie na przeżycie serdeczni państwo Lipińscy, którzy mieli jatkę, dobrze prosperującą od lat bodaj dwudziestu i pięciu.

Z tych i innych względów wynikły małe wśród Polaków nieporozumienia. Wmieszani w nie byli : z jednej strony : zbiegów piątka, Wiesio wściekły, Ambrosio, syn tych właśnie państwa Lipińskich, i Pani z Kiosku — z drugiej strony, nie od dziś w Punta Chata żyjąca, co nie jedno widziała, polska kolonia w przedstawicielach swoich prezesach byłych i terażniejszych, i takich, którzy prezesami, jeśli zechcą, zostaną w roku przyszłym. Stronę neutralną reprezentował Strup Duszny (o nim potem), oraz Kostek Napierski i Gruby Lizus Jarząbek, ci dwaj dlatego, że pojęcia nie mieli o sporze.

Najwięcej ma się rozumieć ciskał się Wiesio Bączek postrzelony, chłopak jak szóstka, ten który tłumoczek z Dzierżyńskiego na lince pomagał ściągać. Do oczu skakał : — Ci — mówił, zbiegów mając na myśli — rodaków tutaj poszukali, bo kogo mieli poszukać i aproweczować, jeśli nie nas? A taki miedowaty Misiak panu Bolesławskiemu temu, który był leśnym chłopcem i trzech gestapowców zabił i któremu zęby wybili i który portret utopił — taki Misiak, posiadający dwie kamienice, 3.50 za hornal ofiarował, a byle gażęga dał 5!!! *Verguenza* to jest dla Polaków w Punta Chata i wstyd — i — *que vayan, cholera, a la mierda!*

Wymieniona deklaracja odbiła się nieprzyjemnym echem w kolonii. Pan prezes Juan Gacki wyraził się w Towarzystwie : — Młody Bączek mądruje się i ujada panu

Misiakowi, *pero* każdy wie, że za to molestowanie nawet centa nie skobruje, niech lepiej ten młodszy Bączek tatuś swego patrzy, który, *seguro*, wszyscy wiedzą, kto jest! *Pero* zaznaczyć muszę, że ta kolonia, co się oparła, i przy ojczyźnie i kościele w wierności wytrwała, za co Pan Prezydent z Londynu przysłał na Nowy Rok powinszowanie — i — *pero* — z tej kolonii garstka nas tutaj została, a dlaczego tylko garstka, to pan Rożek i pan Bolączka także wie, cośmy tutaj w roku 23-cim razem przyjechali, kiedy Polska wzwyż rosła, cośmy jak głupie do Czata przyjechali, a byli takie co myśleli, że do Afryki przyjechali, bo nie wiedzieli gdzie jechali — *si!* To gdysmy przyjechali, to nikt nam ręki nie podał, a jak podał, to okradł, i, *claro* — że nas garstka tylko została, bo reszta przepadła bez tej ręki, jak wiatr. Bączek młodszy ujada panu Misiakowi, *pero*, my wiemy, że pan Misiak basurę czyli śmiecie i nieczystości z Veralindy do samej Zi woził, zanim panem Misiakiem został. *Seguro*, Bączka młodszego to nie obchodzi, bo jego tatuś wiadomo co w dziurach wacha, *pero* — dlaczego pan Misiak w pocie krwawym dorobiwszy się na pedregużu bez pomocy polskiej władzy i światowego związku — temu właśnie panu Bolesławskiemu, co dopiero tydzień tutaj jest, a może i szpieg jest — ma dać pezów 5, a nie 3.50?

Hę, dlaczego? W przychylnych komentarzach do exposé Prezesa Gackiego, takie jeszcze odezwały się głosy kolonijne :

— Pan Misiak, trzeba wiedzieć, na witraże w Kościele Polskim dał, na godzinę polską trzy razy dał, na nowy Dom Polski pezów uczciwych 500 dał, złęgo słowa, nie mówiąc o pani Misiakowej z piekła rodem, nie można powiedzieć o panu Misiaku — a tu szczeniak taki, jęzor na pana Misiaka strzępi, z drugim takim nie wiadomo jakim i nie wiadomo skąd wypłoszem!

Sam pan Misiak znalazł się taktownie i wśród przyjaciół na zabawie tak zdeklarował, co szeroko poszło po kolonii : — Gażega rąk potrzebuje, to daje 5. Ja rąk nie potrzebuję, ale swojemu dam 3.50. Kiedy gażega rąk nie będzie potrzebował — nie da nic. Ja swemu dam zawsze 3.50. *Si, senior!*

Ambrosio, syn dobrodziejstwa Lipińskich, o których jednych śpiewała hymny pochwalne cała z Dzierżyńskiego



piątka — Wiesiowi narwanemu, zreferowawszy echa kolonijne, wyraził taką opinię :

— Oni — jak się popłaczą — dadzą. Jak się nie popłaczą — nie dadzą. Jak wypiją — wszystko dadzą. Jak nie wypiją — nie dadzą nawet 3.50. *No, señor!*

Czego ani rusz nie mogła zrozumieć obrażona strona : Bolesławski, Trościa, Bobuś i reszta piątki; ani Strup, ani Wiesio Wariat, ani Pani z Kiosku...

Mimo to, byłyby się może jakoś złe wapory w upale rozeszły, tym bardziej, że na budowę do Hiszpana wstąpił także Bobuś z marynarzem Adamem Gwoździem, i cała piątka żyła jakoś — gdyby nie rzecz polityczna.

Wieczorem — właśnie tego dnia, kiedy Kostek dusił swoje bitki — znaleźli się w barze Tango wśród spacerujących panien wszyscy pokrzywdzeni, i — Bolesławski szef, przy butelce, z racji starszeństwa i wzrostu — od razu rzecz na właściwej platformie postawił :

— Nam się, uważacie, nie rozchodzi o tych tutaj Polaków, co Polakami może są, a może nie powiem nie są — ale ogłędnie mówiąc — kudy im do tych, co za okupacji w ogień jeden za drugiego solidarnie skakali! Inaczej powiem : za to cośmy zrobili, żony nasze i rodziny w Gdyni na poniewierkę, albo nie daj Boże na katorgę z domów wyrzuca, i może ja nigdy już więcej żony mojej nie zobaczę, ani córeczki, co żałosne jest dla mnie, że wyrazić nie mogę — a przecież, jak nas tutaj pięciu, kopnęliśmy tego Dzierżyńskiego, bo trudno nam było na to co się dzieje patrzeć z założonymi rękami i cierpiącej Ojczyźnie z pomocą nie śpieszyć! Nam się nie rozchodzi, powiadam, proszę kolegów, o tych tutaj Polaków, ale pytam ja was : co my mamy robić? Siedzieć? U Hiszpana za 5 pezów cegły nosić? Nie ma tak dobrze! Nam się, proszę panów, to nie podoba. Ci tutejsi Polacy, jak ich widzę, to są faraony, a w tej Punta Czata dla naszych oczu jest fatalnie, na co oni znowuż nic! Fatalnie jest, wiem co mówię, afisze o pokojowych kongresach wiszą niczym w Warszawie, na tym ich Torro sam widziałem sierp i młot, jakby w Warszawie, czerwona robota odchodzi na cały regulator, to ja się was pytam, co jest? A oni siedzą i nic. Gdzie my jesteśmy, ja się was pytam? I jeszcze wam powiem : wątrobą mnie zgniła, gdy zobaczyłem : ruska jego mać konsul ludowy, ten co w Antwerpii na Dzierżyńskiego z ciastka-



mi jak ten Judasz do nas przychodził — mieszka w tym mieście, w willi, która na ironię losu nazywa się Belvedere. Sam widziałem : konsul w ogródku przed Belwederem w białej koszuli w hamaku się huśta i mrożone w szklance w upał sobie popija ! Spytałem o niego pana Gackiego ; powiedział : to spokojny człowiek, do polityki się nie miesza. Ha ! A komu raporty składał Radio-Pieniążek, jeśli nie temu antwerpskiemu konsulowi na Kowalskiego, na Zajlicha i na tego tutaj obecnego Trościę, co dla niektórych kolosalne miało następstwa ? ! Spokojny człowiek ! To ja się was pytam : gdzie my jesteśmy ? To ja się was pytam : co my mamy robić ? Cegły nosić ?

Bobuś Sandalski, cały w płomieniach, bo blond panna, Marija Anhelica, suchotnica, zrobiła do niego oko — rzekł zmieszany : — Nie może tak być !

— Ba — rzekł któryś z Dzierżyńskiego, Fornalski czy Gwóźdź — powiesić drania !

Natychmiast Wiesio się rozplómiął, Bobuś już był rozplómienny, pozostałych rozplómięto piwo i kania.

Sklonili głowy (z wyjątkiem Strupa) ku sobie i ku szklankom, obrabiając to, co Szef powiedział. Wiesio, ma się rozumieć, najszersze snuł projekty i nawet o fabrykowaniu bomb, czyli filipinek, jak w czasie Powstania, przypominał obecnym. Najrzadziej się odzywał Ambrosio, bo mu po polsku nie szło. Biedny Bobuś, z powodu choroby, głowę miał słabą, zalał się więc szybko drugim kieliszkiem i tym, że Maria Angelica jasnowłosa i blada aż dreszcz brał, spojrzawszy na niego ukosem, z czarnym bosmanem nagle wyszła — wpadł w straszną rozpacz :

Zapłakał rzewnymi łzami : — To ja... to my... a Boże mój miły !... mnie nie dobrze... na świecie... mnie jest źle... i na statku i na budowie i teraz... i nie wiem już co... ojej ! Ja chcę do domu, do domu, mamusiu !

Jak usłyszeli to „mamusiu”, zaraz go wzięli i odprawdzili do Kiosku, gdzie Pani bardzo łagodnie się z nim obeszła, rozmawiając o życiu ludzkim i o mamusi.

Szef Bolesławski czuł się w obowiązku młodszego kolegę przed resztą zebranych wytłumaczyć :

— Dzieciński on jest i głowę ma do niczego, z powodu tej padaczki, której pędrakiem się nabawił, w piwnicy, gdzie żeńską jego rodzinę po oswobodzeniu paskudnie przy nim potraktowali oswobodziciele. Mniejsza z tym.

Mniejsza z tym, naturalnie, ważniejsze rzeczy aktualne działały się w barze Tango. Ledwie nad szklankami zdążyli ponownie pochylić głowy konspiratorzy, gdy naprzeciw nich stanął w rozkroku typ wstawiony, pызaty i blondyn.

— Czołem, koledzy! Z tego co dosłyszałem, ze świeżymi kolegami mam przyjemność. Jarząbek jestem, jeszcze Polska nie zginęła! Że Jarząbek jestem, mogę na cedułi zademonstrować. Interesu żadnego, od razu powiadam, nie mam, ale lubię Polusów pijących, bo mnie na ten widok z otuchy serce rośnie. Rośnie! — Uczepił się Ambrosia, palcem go wytypował i palec na nim trzymał, powtarzając: — na ten widok rośnie!

Ambrosio się przestraszył, nie zwyczajny marynarskich awantur, chciał odejść, ale zahamował go Szeф tymi spokojnymi słowami:

— Panie Grubszy, zabierz pan z przyjaciela mojego palec. I nie koleguj nam, panie Grubszy, bośmy razem świń nie paśli. — Wstał, pokazał żyły swoje i wzrost z metry. — Popatrz na mnie, obywatelu, odszczekaj coś szczeknął i zdejm ten palec!

Lizus palec z Ambrosia jak z gorącego żelazka zdjął i poszczekując w różnych językach o nieprzyzwoitej zemście nad całą z Dzierżyńskiego w wolności zamiowaną piątką, odszedł, wobec czego Ambrosio został.

W czasie tego zdarzenia kręcił się po barze Tango między czerwonym światłem a zielonym Kostek Napierski z dziesięciu parami najlonowych pończoch, które dostał w komis od Julio Césara, spotkawszy się z nim przedtem na molo; spotkawszy się, za pierwszą partię zapłacił uczciwie pezami pożyczonymi od kerydy z pensjonu, w nim, jak przedtem w Rumunie, w stanie małżeńskim i w hasminach na zabój rozkochanej.

Po sprzedaniu czterech par, rzekł do Lizusa:

— Te! Mordę ci posiekam na kotlet! — Co później wykonał.

Usiadł bez pytania przy stoliku, gdzie odchodziła konspiracja.

— Przepraszam — rzekł. — Tamten jest kantowaty, pedał i cham! Całe życie, gdzie tylko tego chama spotkam, mam go w pogardzie. Jeśli przy tym trochę słabości mam do niego, z tej jest przyczyny, żeśmy we dwóch jednemu czerwonemu w rejsie do Neapolu kołek, młot-

kiem stukając, wbili, i właśnie ten cham, stukając wbił, za co on i ja cierpieliśmy potem wielką biedę. Odkładając sprawę tego chama na boku, jeśli zaszczytne rodaków zgromadzenie pozwoli — na przeprosimy za tego chama — postawię jedną kolejkę!

Bolesławski szef nie był tak straszny, jak wyglądał i zaraz się udobruchał: — Postawić każdemu wolno!

Wiesio Bączek, mimo ważności narad, młodzieńczo się zainteresował: — Co to: wbił kołek? \*)

Marynarz Trościa, nagłym żalem zdjęty, dorwał się do głosu na siłę:

— Gdy my Sobieskiego odprowadzali na wieki, z Genui znaczy się do Odessy, bandera była na kołku, czyli na flagsztoku, a kapitan w samej Odessie, także nie wesół, na mnie właśnie trafił. Pójdź, bracie, tak mnie powiedział, i jeśli możesz, zdejm co nasze, bo jutro tamuj wisieć będzie co innego. Poszedłem i zdjąłem z kołkiem razem, siekierką od spodu poderżnąwszy. Kolory nasze włożyłem pod koszulę, a na rufie kij od miotły ze szmatą z prywatnej inicjatywy zatknąłem. Kapitan nic nie powiedział. Ściągnęli nas zaraz z Sobieskiego po bankiecie, na którym dania gorące nosiłem, tłukąc ma się rozumieć każdy jeden albo co drugi z żarciem półmisek...

— Co natłukł to natłukł — potwierdził Adam Gwóźdź, świadek.

Wiesio się zainteresował: — Gdzie ta bandera?

Kostek przy swojej kolejce czuł się mocno w siodle, więc nie dał się łatwo wybić z głosu. — Czy wiesz, bracie, co po polsku jest frajer? Frajer z rajerem i rajer z frajerem? Nie wiesz? Angliki na takie gadanie mówią go tu he! Słuchajcie, co ja wam powiem: Najlonów albo też zegarków mogę dać każdemu na sprzedaż par albo sztuk kilka. Zarobek będzie fifty-fifty. Pochodzi sobie każdy jeden, tu sprzeda, tam sprzeda i nie umrze. I jeszcze wam powiem: Znam takiego, co wszystko wie, a jak będzie wiedział, zaraz powie, gdzie można zamustrować. Na panamczyka, na holendra, a jeśli szczęśliwy traf zrządzi — na Del Mar! Mnie jeszcze nie pilno, ale może któremu z was zdarzy się potrzeba? Ja wam poddaję życiowe kroki

\*) Nagabywany Kostek przyznał się później w Kiosku, że tę historię z kołkiem wymyślił na poczekaniu, jako że lubił czasami na pręde zrobiony sandwicz.

z tą myślą, że ze wspominków, bander, z serc w galarecie nie wyżyjesz bracie ani na tej półkuli, ani na tamtej. Ale musicie wiedzieć, że dlatego do kompanii się zbliżyłem, iż uczciwy chrzest polski otrzymałem na Syberii. Mam więc prawo? Mam! Jeśli mam prawo — zatem was wszystkich w sobotę do siebie do pensjonu familijnego na Rinkonie uprzejmie zapraszam na flaki. Radzę nie pogardzić, bo na rosół będą i z majrankiem. Z pulpetami!

Haustem jednym wypiłszy kawę, wstał Strup Duszny i poszedł do Kiosku. Ale i bez niego — od najlonów i zegarków, poprzez Del Mar, na flakach skończywszy — Kostek osiągnął rzetelny sukces. Choć nowy akordeon, przez patrona sprowadzony z Italii, trele głośniejszy, niż dawny ciągnął, a Norma, mulatka, o piersiach szerokich, wyjątkowo była przy głosie, zaś drzwi od dwóch zer męskich i damskich trzaskały dzisiaj żywiołowo — wszyscy w tym zgietku pojęli o co chodzi: ten że o północzochy, ten że o zegarki, ten że o zamustrowanie, a wszyscy, że chodzi o flaki.

Z wyjątkiem Ambrosia Lipińskiego, który się zdobył na pytanie: co to są flaki? — i z wyjątkiem Wiesia szalonego, niezadowolonego, że z szubienicy, bomb, kołka i bandery, rozmowa utknęła na flakach.

W sam czas zadyrygował szef Bolesławski, dbały o szefostwo, w sposób ten:

— Proszę młodszych kolegów tutaj przytomnych. Lipińskiemu, w Czacie urodzonemu, najpierw odpowiem, że flaki są bardzo cenioną potrawą polską; Wiesiowi odpowiem, że w tej materii co on wie i ja wiem i co niektórzy także wiedzą, musimy mieć osobne porozumienie, najlepiej jutro w tym samym barze o 9-tej. Na zaproszenie flakowe nie ma powodu się obrażać. Ostatni raz jadłem flaki w roku 1945 w majątku Mątwie, gdzieśmy wdepnęli z lasu po tomigany i amunicję. Zdaje się, że pan Gwóźdź zainteresował się północzochami. Proszę się nie krępować i umówić. Na amerykański Del Mar, jakby było można, proszę kolegi dać znać. — Ja — nie licząc tego co było — zaofiaruję jeszcze jedną kolejkę. Siup!

— Sto lat, sto lat! — zaintonował w polskich towarzystwach edukowany Ambrosio Lipiński.

Z Kiosku wyszedł Strup Duszny z pocieszonym Bobusiem brzdącem. W przejściu natknęli się na Grubego Lizusa Jarzábka, który z oczami wlepionymi w drzwi, cze-



kał na Ybelyce z Arizony. Widoczną troską Grubego wzruszony, Bobuś zahaczył : — Jeśli ma pan życzenie, niech pan napije się z nami czarnej kawy...

— Nie mogę ! — zrozpaczonym głosem rzekł Lizus. — Mam was gdzieś ! Przed odejściem muszę jeszcze zasunąć w Kiosku żelazną kurtynę !...

## VI.

Po długich i burzliwych naradach, na wniosek Prezesa Gackiego, zgodzono się, aby marynarz z Dzierżyńskiego Adam Gwóźdź, wodzirej z Gzowa, z własnej chęci nauczył w Towarzystwie tańczyć krakowiaka cztery polskie pary za Panie Boże zapłać.

Szkut Bobuś Sandalski nieśmiało sondował o wojnie. Sondował, czy wojna wybuchnie w tym miesiącu, czy dopiero w przyszłym i kiedy będzie można wrócić do Pucka. Okazywał serdeczną niechęć do ludzi, którzy z odpowiedzią zwlekali i w terminach nie byli akuradni; oczy miał Bobuś mgłą, czy też katarem, czy też czym innym powleczone.

Bolesławski, 2 metry — skrupulant jeśli chodzi o papierki — troszczył się w tych dniach o legalność pobytu i o dokumenty. Przyjaciel Wiesio Bączek skierował go do kapitana Wupe, o którym mówiono, że zapuścił głęboko korzenie w grunt. Z wizyty tej nic nie wyszło, bo : — „Pan wie, dlaczego? Jeśli by tak od razu wprost — pan rozumie? Innych dróg szukać — źle! Pan wie? Wszak tak? Zatem pan rozumie? Pan wie dlaczego?” — Bolesławski nie wiedział, więc się poskarżył tu i ówdzie, co w przeciwieństwie do 3.50 znalazło przyjaźniejsze zrozumienie w kolonii. Dokumenty i książeczki żeglarskie piątka wyrobiła sobie później w inny sposób, na co wpłynęła bodaj drobniotka Pani z Kiosku.

Idea czynu dojrzewała na wzór zamachu na Kuczerę, o czym na zebraniach sztabu czytał z „Orła” Wiesio wiatr, rozplómienny epizodem i wściekły, że analogia w Punta Chata nie szła galopem.

Ambrosio robił znaczne postępy w języku polskim. Lizus Jarząbek, w myśl zapowiedzi, z neutralnego stał się otwartym wrogiem. Kostek Napierski, szturmem dostawszy się



do sztabu — kontent był, że zwyciężyła jego linia rozumowania co do flaków. Pani częstowała wszystkich papierosami i uśmiechem, do wysłuchiwania wszelkich trosk okazując godną podziwu skłonność. Stosunki piątki z państwem Lipińskimi były wciąż dobre; stosunki w samej piątce też były dobre, z wyjątkiem, że odstawał coraz bardziej marynarz Fornalski.

Jeden jedyny Korybut Duszny martwił w tym czasie nielicznych swoich przyjaciół. Twarz miał zawsze dziobami nabitą ze śladami liszajów dawnych ale teraz coś nowego, czerwonego, zaczęło się dziać na tej twarzy: bryzgi, wybryzgi czerwone wyprysły z łebkami białymi, swędzące, drażniące na twarzy i pewno na całym ciele, bo drapał się Duszny po bokach łapą całą. Również sposepniał bardzo. Dla zrozumienia, trzeba kilka słów o nim powiedzieć w nawiasie:

(Strup Duszny pętał się w Punta Chata chyba z rok. Do zamustrowania się nie palił, pracy żadnej nie szukał, raz był kelnerem przez tydzień i zaraz się zwolnił — nie zebrał a żył — żył w porcie jak mewa z tego co woda z okrętów albo z głębin na powierzchnię dla stworzeń swoich wyniesie. Był w starszym wieku, miał lat 32, ale nie siwy, tylko mu świeże strupy zakrwawiały blond włosy. Wiadomo było, że wojnę przeżył na północy, na statku, który zaopatrywał bazy alianckie. Wiadomo też było — niektórym — że na północy miał grube nieprzyjemności, które na głowę mu padły i w życiu przeszkadzały. W wolnych, a więc w Punta Chata częstych, chwilach — rysował na kartonikach okręty dziwne sinym ołówkiem, w pianie i w kłębach pod górę płynące — dnem do góry — i sieci do połowu potworów morskich służące i same potwory morskie, też bardzo dziwne, z ludzkimi oczami, prążkowane skośnie sinym ołówkiem. Te kartoniki swoje Pani tylko, gdy nikogo nie było, kładł w okienku kioskowym na ladzie na jeden moment, i, pochwał nie znosząc, brał je szybko z powrotem. Pani, artystę rozumiejąc, mało patrząc — dawała mu 24 centy na obiad w komedorze, Strup brał i po obiedzie przynosił wzamian niezjedzone jabłko deserowe i kładł w prezencie na ladzie. Tak żył. W przeciwieństwie do innych, mało mówił o sobie, więcej o dobrych rzeczach niż o nienawistnych, zdawało się, że chce czegoś, czegoś szuka i że nie ma nic przeciwko śmierci. Zapalił się na moment

przygodą Dzierżyńskiego, potem zgaśł. Gdy marynarz Trościa opowiadał o banderze na Sobieskim — Duszny Strup, czego nikt nie zauważył, był w niebie. Ściągnął go stamtąd, też nie wiedząc, Kostek Napierski logiką swoją, skutkiem czego Strup odszedł. Taki był ten Korybut Duszny bez pretensji, podrapany do krwi polski obiekt portowy — któremu bez chęci i woli — wypadło grać rolę w czateńskiej historii).

Ale (nawias zamknąwszy) we wszystkich częściach świata prawdziwe zdarzenia formuje pogoda; nie bez racji, wiek po wieku, od pogody się zaczynają i na pogodzie się kończą z Anglikami rozmowy. Z okienka Kiosku widać było, że wkrótce nadejdzie Boże Narodzenie i Nowy Rok, albowiem rozgrzały się asfalty i migały blaskiem bardziej żywym — i — co z Kiosku było widać: asfaltowy upał zaczął ludzi dusić! O godzinie 12 na głos syren wychodziła z hangarów masa portowa w portkach niebieskich i w szelkach skrzyżowanych na plecach, upałem rozsierdzona i zła! Naprzeciw Kiosku portowy staruszek ustawiał lokomotywkę drewnianą, na wózku, dymiącą, na której opiekał orzeszki mani i sprzedawał łaknącym do wina. W samym Kiosku, w tajemnicy przed patronem, furczał maleńki wentylator. Gromadki oswojonych dzieci przybiegały do okienka i prosiły o roztopione cukierki. Pani dawała świeże, mało zarabiając, choć słodczyce łały się z ośmiu butli, zawieszonych nad oknem. Wyrzuty jej za to czynił Ambrosio Lipiński. Owszem, zbliżało się Boże Narodzenie w Punta Chata. Upalny okres zawsze robi złą krew — szczególnie wśród Polaków na tym odcinku świata i w tym wydrążeniu historii.

Skutkiem tego — Strup Duszny, sinym ołówkiem na kartoniku obrazek dziwniejszy niż wszystkie dotąd wyrzował i na mgnienie oka pokazał go w Kiosku. Przez mgnienie oka można było zobaczyć: szpony, dwa słońca, lodowiec, powikłane jakieś części nieprzyzwoite, i cały szereg sinych liter PPPP... Pani spojrzała — zaczerwieniła się — i najszybciej jak mogła położyła na ladzie 24 centy na obiad.

— Panie Duszny, zmituj się pan, jabłka nie przynos, nie może tak być!

## VII.

A jednak nikt się nie zmiłował i było. Miała być uczta flakowa, do której Kostek Napierski przygotowywał się w skupieniu ducha.

W piątek przed sobotą przeczytał w Książce : Flaki po polsku.

*Flaki po polsku. Flaki oczyścić, nalać zimną wodą i zagotować raz, szumując jak rosół. Potem je wyczyścić i jeszcze raz przeczyszczyć i gotować w całości 5 godzin. Ugotowane jeszcze raz wyczyścić i posiekać w paseczki. Osobno ugotować rosół wołowy, dodawszy obfitość jarzyn, marchew i selery posiekać w paseczki, zalać flaki i gotować aż do miękkości. Pół funta masła świeżego zasmażyć z ćwiercią funta mąki nie rumieniąc, rozprowadzić rosółem z flaków i wlać do flaków. Dodać pieprzu, soli, imbiru, majeranku i co kto lubi i gotować, aż się wysadzi.*

Tym razem Kostek wziął na siebie ciężar niełatwych i skomplikowanych zakupów, od Chichity zażądał tylko drugiego prymusa, większego garnka, stolnicy i tarki, które przyrzekła pożyczyć *enseguida, enseguida...*

Są w Punta Chata dwa pryncypalne merkada : jedno w porcie dla ryb, drugie przy Placu Leonidasa dla drobiu i mięsa ; na jednym kotów jest ucieszna obfitość, na drugim muchy ruchliwe martwym stworzeniom nadają pozory życia.

Na obydwóch merkadach najlepiej jest kupować po polsku. Kostek wybrał naprzód flaki, żeby były młode, białe i nie tłuste, zapłacił za nie bez targów, za to przy kościach na rosół ponarzekał, że bez szpiku i drogie i nie zapomniał się spytać : a pan dawno tutaj i z jakiego miasta rodem ? Jarzyny kupił w poleconym przez kupca mięsnego punkcie, po zaprawki do flaków, za radą jarzynowego kupca, udał się na merkado rybne.

Tam przeważały ryby. Trudno się pohamować i nie patrzeć : Były niektóre wielkie, jak cielaki, rozplatanе na pół, w kolorach ognistych, wiszące na pętłach z trawy morskiej nawleczonych na przekłute nożem pyski ; były ryby średnie jedna obok drugiej w rzędach leżące w kolo-

rach i kształtach różnych, z płaskimi oczami, z okrągłym wyrazem rybiej śmierci; były rybki małe na kupy zwalone, łebki szare, brzuszki srebrne, ogonki szare, płetwy i skrzela srebrne ze sobą pomieszane. I były też stwory morskie, mątwy rogate, pulpy fioletowe, jakieś galarety do skrzepłej wody podobne, żeby je nawet kupić, co z nimi zrobić, odgadnąć nie podobna. Małże skałą obrosłe, tanio na kila sprzedawane... Również krewetki czerwone, jak rarytas, tłuczonym lodem posypane... (...które podały myśl, żeby nie na flaki zaprosić gości, ale na polski z krewetkami zamiast raków chłodnik!).

Kostek westchnął: Ryby z Wołgi, ryby z Wisły, ryby z Malty, ryby z mórz chińskich — i te oto teraz ryby z Punta Chata...

Wyrwawszy się z rybich fluidów, kupił majeranek, pieprz tłuczony i tarty parmezan. Kupił też u przyjaznej kupcowej kostkę „Maggi”, która podpadała pod paragraf z Książki: „dołożyć do flaków, co kto lubi”.

Wrócił do pensjonu obławowany, paki, paczki, paczuszki rozłożył przed zdumioną kerydą i zaczęło się piekło. Odwijanie. Pokazywanie. Nazywanie. Podziwianie. Skrobanie. Mycie. Cholerna Chichita noże miała tępe i nic nie pomagało, że latała: *enseguida, enseguida...* Prymus nie chciał zapalić i kopcić. Garnek był za mały. A gdzie drugi garnek? Drugi prymus też kopcił. Szła godzina za godziną, na patio zrobiło się ciemno — gdy — zaczęły się zagotowywać flaki po raz pierwszy.

Przepadły ma się rozumieć cziczinine zarobki, a i spania żadnego nie było tej nocy, ponieważ: Rosół wyszumać! A posolić! A marchewkę i selery pokrajać w paseczki! A flaki już miękkie? A nie miękkie, bo twarde! A jeden prymus zgasł! A nafty nie starczy! A na czym flaki pokrajać w paseczki? Mąkę chyba masz? Mąki nie masz?! I po co ty żyjesz na świecie, *enseguida, enseguida?*... Więc płacz. Więc przeprosiny. Flaki w jednym garnku, rosół w drugim garnku, on przy jednym garnku, ona przy drugim garnku — i tak Kostek i indiańska żona jego, nie śpiąc i nie jedząc, w dwóch garnkach flaki bardzo wyborne gotowali po polsku...

Nad ranem Chichita osunęła się na tapczan i zasnęła. On, wytrzymalszy, Książkę na stronicy 135-tej otworzył i flaki mieszając, żeby się nie przypaliły, czytał:



*Pulpety do flaków. Pół funta łoju nerkowego usiekać na maść... Na maść! Taką samą ilość bułki utartej włożyć do łoju... Do łoju! Dwie łyżki mąki. Trzy całe jajka. Pieprzu trochę. Cebulkę drobniutko usiekaną zasmażyć na maśle... Na maśle!... Wszystko wymieszać dobrze... dobrze... formować okrągłe kuleczki, jak orzechy... jak orzechy... włoskie i wrzucać na wrzącą, wrzącą, wrzącą!... wodę. Na wrzącą wodę! Pulpety jak orzechy! Dobrze!*

Różowy świt wchodził przez szklany dach na patio, a z patia do pokoju — gdy Kostek zgasił obydwa prymusy i położył się na swoim miejscu. — Na pulpety — jutro, jutro będzie czas! Z tym zasypiał. I z tym zasypiał, że wiekowa kultura to cholernie wymagająca rzecz... Ryby, flaki, ryby, flaki, krewetki... Z tym zasnął.

## VIII.

Ale za to, kiedy nazajutrz na prośzone danie przyszli do pensjonu Bolesławski szef (natchnienie konspiratorów), Trościa junior (banderę Sobieskiego kiedyś na piersiach noszący), Bobuś mikrus (mamusin-płaczek), Adam Gwóźdź (cztery polskie pary w krakowiaku ćwiczący), oraz ma się rozumieć Wiesio narwaniec a z Wiesiem Ambrosio Lipiński (polskich rzeczy ciekawy) — pycha była!

(Nie przyszedł: Korybut Duszny, bo mu wrzody nie pozwoliły, nie przyszedł także Lizus Jarząbek, bo nie był zaproszony — i nie przyszedł marynarz Fornalski, bo ostatnio zaczął stronić od piątkowej z Dzierżyńskiego kompanii).

Pychę czuć było w samej woni: flaki z zaprażką i pulpętami gotowały się ostatnią godzinę i rodzinny zapach szedł do gości, kojarząc się z zapachem hasminów, które z inwencji własnej na stole postawiła, piersiami z emocji robiąca Chichita.

Zaproszona przez nią, w tajemnicy przed uwielbionym — słomiana Maria Angelica, suchotnica, wpadła niby po ogień, a jak wpadła tak usiadła i siedziała, nogę założysz na nogę, w oczekiwaniu *fiesty*.

Dalej szło swoim porządkiem: przy Bolesławskiego kontentnym chrząkaniu, stanęła obok hasminów butelka



kanii o nazwie „Aristocrata”, z której nalano w szklanki (Bobusiowi tylko nie nalano), wypili raz i dwa, i zaczęły się szeroko otwierać troskami przybite serca.

Zaczął Kostek gospodarz. — Cholera ! Imienia nie powiem, bo zrozumie. Włosy naoliwiła, liliowo się umalowała i oświadczyła mnie, że w przyszłym miesiącu żenić się ze mną będzie ! W welonie !

— Żenić ? — podskoczył Wiesio mało świadomy i Ambrosio, ciekawy bardzo.

— Wypijcie, zaraz się flaki wysadzą. Żenić ! Taki mój los, że każda jedna w każdym porcie, jak ja tylko z nią dobrze, kroji ze mną na ożenek. Oświadczyła mnie ona, której imienia nie powiem bo zrozumie, za którą na pozór trzech centów nikt nie da, kiedy ja flaki gotowałem — że ma w banku forszę na strój weselny i na mieszkanie z meblami w stylu francuskim i jeszcze trochę forsy zostanie na czarną godzinę, a także ma schowany na wesele stary koniak hiszpański. Nikogo w życiu tak jeszcze nie kochała, powiada, jak mnie. Cyk, panowie !

Wypili, Bobusiowi nie dali, żeby nie zatęsknił do mami — a flaki się już wysadzały. Z niepokojem w uwielbionego, co mówi, wpijała Chichita oczy indiańskie — a Maria Angelica, sukienkę podwinąwszy, pokazywała i pokazywała Bobusiowi szczupłe nieco, ale przystojne nogi.

Hasminy pachniały. Flaki dojrzywały. Sąsiedzi pensjonatowi podsłuchiwali. Wiesio zapytał na ucho Szefa : — Jakie są notisje z Belwederu o tym zdrajcy ?

Wjechał na stół gar potężny. — Obserwujcie — rzekł Kostek — kolor, gęstość i zapach ! Od dam zacznym !

Koleżankom obok siebie na tapczanie ułożonym — na talerze flaków najuprzejmiej na spróbowanie położył ; potem rodakom po kolei kupy wielkie z pulpetami walił i walił. Nawaliwszy — odsapnął — i na reakcję gości czekał z sercem w gardle.

Co tu gadać ! Młaskać nie gadać ! Rozanielił się, młaskając, Trościa, i młaskając Adam Gwóźdź, i dziwnym trafem Ambrosio Lipiński ; rozanielił się także szef Bolesławski, zażądawszy przedtem szklanki kanii i więcej soli. Zawód robił tylko Wiesio zamyślony o czym innym, i Bobuś, któremu w jedzeniu przeszkadzały Marii Angeliki po kolana widoczne nogi. Panienci tutejsze widelcami w talerze z ciekawością dziobały...

— No ! Flaki polskie są, czy nie są ? — zasadnicze pytanie postawił mistrz Kostek Napierski.

Więc nadzwyczajnie chwalić zaczęli i chwalili więcej niż 10 minut, jedząc, dobierając, znowu jedząc i aluzje czyniąc do drugiej butelki Arystokraty. Że miękkie — chwalili — zawiesiste, majrankowe, pieprzne i z pulpeta-  
mi — chwalili — drugie takie znaleźć można chyba tylko w Warszawie !

Wyciągnął się gospodarz w trzcinowym fotelu, nareszcie syt zasnął i chwiał, i teraz sam zaproponował odmianę rozmowy :

— Papieronica, co tu leży (mówiąc to, bez apetytu zaczął pojadać swoje flaki), co tu leży na stoliku, jest z prawdziwej skóry marokańskiej, kto nie wierzy, niech sprawdzi. Mam ją dopiero od czwartku w ofiarunku od tej, której imienia nie wypowiem, bo zrozumie. Te złote litery nie są moje, tylko drugiego mechanika z Verdunu, który to Verdun we czwartek stał na redzie. Ale powiedziała, że litery mnie zmieni. Są Morrisy w tej papieronicy, bierzcie panowie, kto ma życzenie.

Na to wybuchnął Wiesio szalony, prawdy nie ukrywający :

— Pan Napierski jest wulgarny — e ! — pan Napierski jest świnia !

— Flaki są dobre ! — łagodnie nawrócił do dawnego tematu Ambrosio Lipiński.

— Wiesio jest dobry — zaświadczył, zapatrzony w to, co nie trzeba, Bobuś Sandalski.

— Ciicho, dzieci ! — pstryknął palcami Szeff, aż kobiety na tapczanie rżęsami zawachlowały.

Arystokraty popiwszy, Kostek zastanowił się, jak mu wypada postąpić; zastanowiwszy się, posmutniał. Wargę wysunął, nos spuścił, flaki niedojedzone odstawił na stół, gdzie coraz śliczniej pachniały cziczinine hasminy. — Zatem — rzekł — mnie pozwólcie, panowie !

Pozwolili.

— W serce mnie tutaj ten gość Bączek wyrznął sztosą, Bogiem się świadcę, niesprawiedliwego ! Świństwo, goście drogie, jedną szosą, a logika drugą szosą. Logika w moim życiu mnie nauczyła dwóch rzeczy, albo i trzech. Nie skłamię teraz co powiem, bo przy trunku jestem niedolny. Jak tylko ludzie są dobre, zaraz kaźden jeden przy

nich robi się zły i niewdzięczny. U Ruska najłatwiej mnie było kraść dla małej siostrzyczki, co później umarła, kaszę, chleb, buty i chustkę u dobrych ludzi, co się nad nami litowali. Bo niby gdzie miałem kraść, w enkawudowskich komendach? Jak się musi, to się kradnie nie tam gdzie trudno, ale tam gdzie łatwo. Kradzenie też ma swoją logikę oddzielną... (Ale? Flaków komu? Wódki komu? Panu Bolesławskiemu? Cziczita, panu Bolesławskiemu!) Leżałem w Anglii w szpitalu na łożu śmierci przez 6 miesięcy i jedna w szpitalu nersa dobrze była dla mnie usposobiona. Co chciałem pod względem jedzenia i kapryśków natychmiast zadośćuczyniała. I co wy na to powiecie, panowie? Jak ze szpitala wyszedłem, zdałem sobie sprawę, że żadnej nersie tak sadła za skórę nie nalałem, jak tej właśnie! Urazę do niej śmiertelną żywiłem, gdy we wtorki miała wychodne i na salę nie przychodziła. Tej dobrej siostrze za karę, że o innych chorych też dbała — nocnik umyślnie pod łóżkiem rozlewałem, żeby miała więcej nieprzyjemnej roboty. Termometry jej tłukłem i hece różne wyprawiałem, za nic innego, tylko za to, że była dla mnie dobra. Na złość jej robiąc, zniechęciłem w dodatku całą wyspę angielską, i tę nienawiść do tej pory chowam. Każdego Anglika zaraz bym w mordę bił! Co ja wam powiem? Biłbym! Wypijcie!

Sam wypił. — Powiedźcie, panowie, czemu taka świnia w człowieku siedzi? Na logikę weźcie: czemu, jeśli który pieniądze od kogo pożyczczy, a nie odda, albo komu co dobrego zawdzięcza — zaraz tamtego drugiego obświ- ni? Może nie tak? Tak! Logika też powiada, co powiem: jeśli potrzeba ostateczna nie zmusza, brykaj bracie od ludzi dobrych! Żeby, jak zaznaczyłem, świnia z ciebie nie potrzebowała wychodzić. A już od Polaków, co mają wielkie zasługi i od Polek godnych uwielbienia — aj, Jezu miły, ja uciekam, uciekam! Nie, żebym nie chciał, ale do polskości się poczuwając, unikam, żeby przy nich świnia ludzka, co mówiłem, pyskiem nie ryła. Mało to miejsca do rycia? Jarząbek dla mnie w sam raz, bo jak ja jemu, albo on mnie mordę zbije, to sprawiedliwości się nie stanie żadna krzywda. Tu obecna Cziczita dla mnie w sam raz, bo jak ja ją wystawię do wiatru, albo też ona przedtem, jak to gdzie indziej bywało, nóż mnie wsadzi pod żebro, nie będzie niczyja krzywda. Papierosnicę, proszę goś-

ciów, o którą się rozeszło, jeden dał, drugi wziął, jedna wzięła i jedna dała. Gdzie tu nieprzyzwoitość i gdzie tu krzywda i gdzie, proszę wymienić, jest świnia?

Chichita, posłyszawszy swoje imię, popisała się przed gośćmi :

— Glu-pia — jes-teś. Tak, tak, tak!

Śmiesznie się zrobiło w familijnym pensjonie. Bączek nie rozumiał całej kostkowej przemowy, ale poczuł respekt dla logiki z Rosji, z Anglii i Bóg wie skąd do Punta Chata przywiezionej, i w ogólnym rozśmieszeniu, dał spokój mentorstwu.

— Czt, czt, Belvedere! Czt, czt, Bolesławski!

— Tak, tak, tak! — nauczyła się Maria Angelica i uszczęśliwionemu Bobusiowi takowała zalotnie w oczy, że ten ostatkiem siły woli zapytał gospodarza : — Pan wszystko wie, niech pan powie, kiedy będzie wojna?

Chichita myśląc, że już jest powszechna wolność — wskoczyła Kostkowi na kolana z ustami do pocałunku. Zrzucił ją zaraz, karcąc : Głupia jesteś!

Koleżanki przycupnęły na tapczanie, a młodzi rodacy z powodu gorąca zdjęli marynarki i zaczęły z nich parować „ja” różne. — Ja — mówił Trościa — ja nigdybym na Dzierżyńskiego się nie dostał, gdyby nie Pani Doktor z Gdyni, która mi dała świadectwo, a ja... — Widząc, że go nikt nie słucha, do Ambrosia się pochylił i jemu już tylko ciągnął historię o Pani Doktor z Gdyni. W tym samym czasie Adam Gwóźdź mówił : — Ja tego łapacza Radio-Pieniązka dostanę jeszcze kiedyś w swoje ręce i ja takiego syna jak psa zabiję, bo ja mam taką naturę, że jak kto mnie, to ja jemu... — Widząc, że go ogół nie słucha, do Wiesia się pochylił i o naturze swojej szczegółowo wyjaśniał. — Ja — zapanował nad gwałtem szef Bolesławski, partykularnych słuchaczy nie szukając — ja napisałem do Polskiego Kongresu w Ameryce i do prawowitego Rządu w Londynie, że ponieważ teraz ręka czerwonego terro ru nas dosięgnąć nie może, przez to cała zemsta skupi się na naszych rodzinach, po pierwsze wysiedlą ich z wybrzeża do jakiegoś zapadłego kąta w kraju, gdzie nie ma żadnego zarobku, przez co praktycznie są skazani na zagładę, o ile nie dostaną od nas materialnej pomocy. Ja napisałem, że pomoc niezbędną czyli wsparcie dostać mogą tylko od nas, bo inni będą się bali być posądzeni o sprzyjanie



rodziny antykomunistycznej, wobec tego ja prosiłem w liście, żeby nam umożliwiono pływanie na statkach amerykańskich...

Wiesio otrzepnął się z Gwoździa i ostro przypomniał panu Bolesławskiemu :

— Belvedere ! Później statki amerykańskie !

Rozłoszczony przerwaniem jajowego opowiadania, Adam Gwóźdź warknął na Szefa :

— Do Londynu i do Kongresu napisałeś, a do chłopskiej organizacji nie napisałeś ? Nie ? (Ojciec Gwoździa był przed wojną działaczem ludowym w okręgu gzowskim).

Można było przypuszczać, że kłótnia wyniknie, ale nie wynikła, ponieważ Szef trzymał przy ustach napój, który zamierzał wypić, więc odpowiedział krótko : — Do chłopskiej nie. Nam się rozchodzi o skuteczność i o konstytucję, nie o partię ! Skończył i wypił.

Obok marokańskiej papierośnicy i hasminów, leżała Książka Napierskiego, właściciel wziął ją w ręce, podniósł uroczyście do góry i krzyknął, żeby przekrzyczeć :

— Uwaga ! Ja wam zaraz przeczytam odwieczną konstytucję !

— Uwaga ! Odwieczna nasza konstytucja. Paragrafy : Wstęp. Sosy zimne, sosy ciepłe, zupy i zupy postne, dodatki do zup ! Ryby, wołowina, cielęcina, wieprzowina i drób ! Potem są paragrafy : Jarzyny, różne potrawy mączne, jaja i omlety. I są...

Ambrosio Lipiński, polskich rzeczy ciekawy, zaczął się śmiać. Pierwszy raz go zobaczyli w takim stanie. Śmiał się i krztusił i pluł w głupim śmiechu na prawo i lewo, aż się zaczęto od niego odsuwać. Wiesio wyrznął przyjaciela w kark : *Dejate de joder, chancho sucio !*

— Ja widzę — rzekł z powagą szef Bolesławski — że z politycznej rzeczy zaczyna się robić komiczna draka. Panie Napierski ! Panie Lipiński ! — I chciał naprawdę bić.

Sytuację uratował instynkt kobiet matę pijących, które po polsku nie rozumiały, ale z pijanymi wiele mając do czynienia, zaraz zgadły, co trzeba.

Wtrąciły się po swojemu : — Chichita mówi, że wyjdzie 13-ka, a ja mówię, że wyjdzie 48 !

Nierozumiejącym szybko przetłumaczył Wiesio Bączek — że jedna mówi, że 13, a druga że 48. Zaraz myśli obróciły się w inną stronę, bo chodziło o kinielę, ważną w Pun-



ta Chata. O hazard taki, że jeśli kto jeden numer, albo lepiej dwa, trafi przy loterii, za jednego peza robi się bogaty.

Bolesławski od pierwszego dnia wolności grał w Kiosku na 513, więc go 13-ka prorokini niezmiernie zafrapowała. Wiesio też się opowiadał za 13-ką. Trościa wierzył w 67. Adam Gwóźdź w 28. Ambrosio Lipiński od wielu lat stawiał na 99. Mały Bobuś, który na nic dotąd nie stawiał, naliczył w kolczykach Marii Angeliki 8 peret i energicznie obstawał przy zero, zero 8!

W tym stanie rzeczy miejscowi chłopcy dalejże opowiadać, ile kto kiedy i w jakich okolicznościach wygrał na kinieli i zrobił się bogaty!

— Ja muszę pójść za własną potrzebą — stęknął nagle Szeff, w trakcie kalkulacji.

Wyprowadziła go na patio Chichita i prowadziła w mroku po niebieskiej, mozaikowej posadzce między kaktusy, rosnące w wazonach, gdzie był otwór do ubicacji. Ciekawo sąsiedzi drzwi uchylili i podpatrywali, kto wchodzi...

Zanim z potrzeby wrócił, Adam Gwóźdź, nie tylko tanecz, ale i śpiewak, buchnął pełnym głosem : Hej strzelcy wraz!

Po pierwszej zwrotce przerwał mu Wiesio zapalony i pociągnął : Czerwone Maki na Monte Cassino!

Wszyscy zaczęli śpiewać kochaną melodię; wrócił Szeff wzrostu z metry i już we drzwiach dołączył swój bas do chóru : Wróg się tam kryje jak szczur... musicie, musicie, musicie!...

Gdy przyszło do śpiewów, tutejsze panny nie uważały się za gorsze, więc Maria Angelica poderwała się z tapczanu, obciągnęła sweter, żeby Bobuś mógł widzieć lepiej i nabrzmiałym urodą głosem tak zaśpiewała :

*Me gustan todas — me gustan todas — que voy hacer?*

*Que voy hacer!? Si soy asi!*

*Un pica-pica — picaflor?!*

— Co ona wyje? — spytał Bolesławski.

— Picaflor — wyjaśnił Wiesio — jest ptaszek sos z kwiatków pijący. Po polsku picaflor jest koliber.

— Ona śpiewa — szczegółowiej wyjaśnił Ambrosio — że ona gustuje w każdym, w każdym, w każdym...

Bobuś dokończył z nadzieją w głosie : — ...w każdym kwiatku się kocha?...

— Ludzie! — wrzasnął zirytowany Kostek — wy zdaje się wszystkie frajery rajerskie z Rajerowa jesteście! W jakim kwiatku?

Ale nie z przyczyny kolibra i kwiatków stała się nieprzyjemność, tylko z tego powodu, że w czasie występu Marii Angeliki, Chichita przyprowadziła matę dla siebie i koleżanki w bliskości Bolesławskiego, a ten, Arystokratę mając w głowie, zapomniał kim i gdzie jest — i zrobił gest, który musiał do żywego obrazić gospodynię, za męża się w welonie wybierającą.

— Cze! — rozpoczęła Chichita. — Cze, vos!

Rozpoczęła nie bardzo głośno, nawet cicho, ale takim głosem, że umilkła cała Polonia, z Kostkiem włącznie.

Odeszła pod ścianę, ręce spleciała z tyłu na pasku, kiwnęła się z boku na bok — i znowu zaczęła!

I przerywała; ale w taki sposób, że nikt ciszy nie śmiał zakłócić, z Kostkiem włącznie.

Dobitnie podkreślała i powtarzała niektóre wyrazy : Nunka hamas i hamas nunka i słowo bandera. Sprawca katastrofy siedział jak trusia, a za nim inni w zaskoczeniu siedzieli, jak trusie, z Kostkiem włącznie.

— *Nunca jamas! Jamas nunca!* — Z rękami splecionymi na plecach, kiwając się z biodra na biodro — odważnie szukała oczu każdego z obecnych. — *Nunca jamas! Jamas nunca!*

Zdawało się, że kończy, ale nie : *Nunca jamas! jamas nunca!* Nikt jej nie przerywał, ani przerw nie zakłócał, z wyjątkiem myszkujących sąsiadów. Zdawało się, że skończyła, ale nie : Nunka hamas, hamas nunka!

Późno obecni w pensjonie spostrzegli, że w tym czasie słomiana Maria Angelica wyciągnęła się na tureckim tapczanie pupinką do góry i drgała w ciszy, co okazało się śmiechem historycznym. Zakończonym kaszlem suchym, jak pieprz.

Po tym śmiechu, szef Bolesławski pochylił się do Wiesia i spytał nieśmiało :

— Co ona chciała, ta wściklica?

Nim Wiesio zdążył odpowiedzieć, Bobuś podbiegł do kaszlącej i odwróciwszy ją brzuszkiem do góry, zaczął uspakać i po słomianych włosach głaskać, aż uspokoił.

Kostek, cicho stąpając, zbliżył się do Chichity i objął jej po raz pierwszy sztywną i oporną kibić. Niezręcznie i z poczuciem nieokreślonej winy rzekł jej miękko : — Keryda, głupia jesteś !

Ona, jakby ze snu się budząc, rzekła po raz ostatni *Nunca jamas ! Jamas nunca !* i dała się odprowadzić do tapczanu.

Wiesio, z wielkimi oczami, dość tajemniczo przetłumaczył Polakom słowa tej indiańskiej wścieklicy. — *Se trata*, znaczy się, mówiła ona, że pan Bolesławski ją molestował, a ona — mówiła — jest w swoim własnym kraju, pod swoją celestyńską banderą, i może o niej każdy mówić co chce, ale ona jest pod celestyńską banderą i nigdy, przenigdy — *nunca jamas !* — nie pozwoli, aby pan Bolesławski, czy ktokolwiek inny, traktował ją w jej domu, jak ostatnią pe ! Na to się ona nigdy — *jamas nunca !* — nie zgodzi, bo jest pod swoją własną banderą, we własnym kraju i w swoim własnym pokoju, i tylko od niej a nie od pana Bolesławskiego zależy, kiedy się jej podoba być seniorą, kiedy senioritą, a kiedy pe !

Tak Wiesio po cichutku, z przejęciem, logikę gospodyni Chichity rodakom wyjaśnił — po czym niesmacznie im było dłużej zostać, tym bardziej, że gospodarz Kostek, zaniepokojony w stanie posiadania, tylko się koło swej posiadłości przy tapczanie kręcił. Więc — po skończonych do czysta flakach i flachach arystokratowych — zdecydowali się wszyscy razem wyjść. Szef Bolesławski dał początek, giętkim krokiem podszedł do tapczanu — i rękę Chichity z nabożeństwem do ust podniósł na pożegnanie.

Za jego przykładem Trościa, Adam Gwóźdź i Bobuś brzdąc, tak samo jej rękę z szacunkiem, nisko się chyląc, na pożegnanie i podziękowanie całowali.

Oczy Chichity ze skośnych zrobiły się okrągłe, zaś Maria Angelica zaczęła po raz wtóry niepokojąco drzeć. Na szczęście miejscowi : Wiesio wściekły i Ambrosio ciekawcy, machnęli przy drzwiach dwoma palcami, zachowując się jak należy : *Chau, vieja !* Bądź zdrowa, stara, Czau !

Wyszli w kupie na patio, na które przez szklany dach księżyc rzucał światło srebrne i srebrzył kaktusy i uszy podsłuchujących sąsiadów. Ze 20 maleńkich kociaków z nagła i nie wiadomo skąd wyległych, zaczęło się pętać pod nogami i piszczec jak niemowlęta, ogonki postawiw-

szy na sztorc. Obijając się o kocięta, wyszli w kupie na ulicę Rincón, całą w srebrze i nie wiedzieli, co mają ze sobą robić? Co mają robić ze sobą ociężali po flakach Polacy, w noc późną, w noc księżycową, sami jedni, na ulicy Rincón? Poszli sobie i szli, szli po Rinkonie i pomrukiwali kochaną piosenkę: Przejdą lata i wieki przeminą...

Dopiero w kilka minut po nich — wyszedł wstydlowie z pensjonu — dotąd w mroku na patio, w księżycu i w kaktusach gdzieś przyczajony — brzdąc Bobuś Sandalski, ze słomianą Marią Angeliką, uwieszoną na jego ramieniu. Prowadził ją, oglądając się, czy nikt nie widzi, tam dokąd chciała, do baru Tango. Wiotka Maria Angelica tuliła się do niego, jak małe dziecko, a Bobuś tulił się do niej niemniej serdecznie. W marszu, przy księżycu, czuł na piersi jej rączkę, melodię Czerwonych Maków paluszkami wystukującą. Księżyc srebryny, Rincón srebrny, Marija w księżycu słodycz z kwiatów, jak koliber, pijąca! Pica — pica — pica, Marija anielska! Tak doszli do baru Tango. Gdzie właśnie przed chwilą zapuścił w Kiosku żelazną kurtynę Lizus Jarząbek, a Pani już sobie poszła!

Ojej! Czemu poszła? Słomiana panna, uwieszona u bobusiowego ramienia, stanąwszy przed barem, nagle się oderwała i rzekła: *Chau!*

— *Chau wiejo!* Bądź zdrów, stary!

— *Chau!* — rzekła — i srebrno się mignąwszy, znikła w drzwiach baru Tango.

Bobuś został sam. Sam jeden do tego baru nie umiał wejść. Więc zrobiło mu się przykro, i zatęsknił do Pucka. O wojnie, kiedy będzie, pomyślał i o państwie Lipińskich, że nie lubią takich, co do domu wracają późno. Która też może być godzina, żeby nie zrobić przykrości państwu Lipińskim? Zegarka w kieszonce, gdzie powinien być nie ma. Tu się pomacał, tam się pomacał, nie znalazł. W poszukiwaniu zegarka zauważył, że ceratowego portfeliку z pięciu pezami od gażegi i z ostatnim listem od mamusi też nie ma. Nie ma! Szuka na piersi i nie ma! Ojej!

Jak nie ma, to nie ma. Bobuś marynarz z Dzierżyńskiego, brzdąc, odważnie zaczął maszerować na róg Rambli, gdzie był przystanek autobusu do państwa Lipińskich. Ale nie doszedł. Padł nagle w chorobie dziwnej w noc srebrną o sto kroków od baru Tango, skąd na nieszczęście Pani już sobie poszła. Rąbnął głową o krawędź chodnika

i leżał we krwi, w drgawkach i w pianie, która ze zjedzonych flaków z kątów ust mu ciekła. Napatoczył się jeden pijak tutejszy, drugi pijak zagraniczny, trzeci pijak Grek, w końcu zagwizdał nad Bobusiem miejscowy policjant. Po godzinie zabrano go do szpitala „Mendes”, gdzie następnego dnia po południu dano mu zastrzyk — i jakożże żadnych dokumentów przy sobie nie miał i po tutejszemu nie mówił — przeznaczono go na pierwszy raz w tym kraju eksperymentowaną operację.

Tak więc, po uczcie flakowej, Bobuś brzdąc w szpitalu „Mendes”, nie wiedząc o tym, czekał na cudowny eksperyment, mający go uwolnić od cierpień jego małego żywota.

## IX.

Tego samego flakowego wieczoru, bocznymi ulicami Punta Chata pomykał człowiek, którego trudno było poznać, bo miał chustkę na twarzy. Chustka zakrywała twarz od nosa po szyję, a z tyłu spięta była agrafką. Pomykał szybko, widać się wstydział.

Tak doszedł do barrio, gdzie nie było widać żywego ducha, oprócz zwierząt nocne dziwy świata i siebie obwąchujących. Znalazł domek pod zapisanym numerem, przy domku ogródek z palmą, a w domku garaż. Nad garażem wisiała deska z napisem :

*Estanislao Maslo*  
*Zapatero*  
*Reparaciones y arreglos.*

Gość w chustce, miejscowym zwyczajem, zaklaskał i wszedł do garażu.

Pośrodku paliła się nisko żarówka, zawieszona na długim drucie. Wnętrze było w ciemności, tylko pod żarówką było jasno, znaczy był stół na krótkich nogach, na stole szydła i nici w dużym wyborze, obstawione koślawymi butami różnej płci i wymiarów — i była głowa ludzka, łysa całkiem, owalna, z parą błyszczących okularów, która to głowa — pod żarówką — zdawało się — niby strusie jajo na stole sobie spoczywa.



Gość chustkę ściągnął z twarzy i rzekł tragicznie : —  
Panie Masło, ja jestem !

Szewc podniósł rękę z igłą do okularów, zsunął je, popatrzył, że on, na powrót okulary naciągnął — i miejsce igłą na skórze punktował. I szył.

Poza kręgiem żarówki widać już teraz : dużo butelek, puste garnki, puszki od konserw, zgniecione opakowania od papierosów Extra, nać od rzodkiewki, kaczi-waczi, czyli rupiecie różne — między którymi tytlały się pokraczne nie od pary buty i buty...

Widać już teraz : szewc Masło był mały, ulepiony na okrągło i miał twarz liliputa, znaczny starego dziecka.

Igłę wbił, nitkę wyciągnął, okulary przesunął — i poczekawszy trochę spytał nie głośno :

— Gacie son ?

— Są. Panie Masło, ja zaraz panu wszystko opowiem. Tylko, że mnie nie łatwo jest mówić, bo nie umiem. Zaraz opowiem. Panie Masło ! Ja przepraszam, że jak mnie wtenczas do pana zaprowadzili, więcej nie przyszedłem. Bo... dlatego, że jeszcze jednego sławnego doktora Vasqueza chciałem spróbować, którego poradzili. Maście, zastrzyki, penicylina — i widzi pan, nie pomogło, bo taki jestem ! Z twarzy mi się leje, niech pan patrzy, w uszach strupy wiszą, a na całym ciele mam takie swędzenie, że już nie wiem gdzie ręce wetknąć ! Niech pan patrzy ? ! Panie Masło ! Wszyscy gadają, że pan ludzi ratuje ! Ja nie umiem ładnie mówić, ale ja pana proszę... Panie Masło ! Co pan wtedy kazał — przyniosłem...

— Noszone ?

— Tak.

— Sadaj, człowieku.

Powiedzieć łatwo, usiąść trudniej. Estanislao Masło zmiótł naprzód z taburetu kaczi-baczi czyli rupiecie różne, taburetem stuknął, żeby paprochy zmieść — i dopiero zaproszony pacjent mógł usiąść.

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego ! Przeżegnaj se !

— W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego...

— Daj !

Nieszczęśliwy człowiek wyciągnął z kieszeni paczkę owiniętą w gazetę i dał.

Mądry człowiek rzucił ją obojętnie na stos butów.

— Jak było?

— Co?

— On nie wie! Ta choroba, jak było?

— Ja nie wiem...

— Z kobiety li z dietiaczka, z powietrza li z wody? Ze słońca li, czy z nocy? Z mleka li, czy z arrozu? Jak było? — Zsunął okulary, popatrzył uważniej na śliską twarz pacjenta i sam odpowiedział: — Oj z wody, oj z wody i z nocy jak dziegieć! Jak było?

Pacjent zakreślił się na stołku.

— Mnie ciężko jest mówić, panie Masło... To chyba było... było... zaraz powiem... Na małej wysepce, co się nazywa Papej — koło Islandii... Gdzie wieloryby przychodzą, żeby zdychać... Tam mnie pierwsze pryszczki wyskoczyły, maluśkie jak łebki od szpilek, naprzód na brodzie, potem na jagodach. Przyłożyłem masę ichtiolową, co była na Bugu...

— Na Bugu?

— Tak się nazywał okręt, który zaopatrzenie woził lotnikom. Ta masę ichtiolowa naprzód pomogła, ale później mnie znowu...

— A ten Bug co był?

— Amunicję i konserwy woził pod kapitanem Abramowskim. Jeden artylerzysta na Bugu mnie przestraszył, że to może być trąd, bo na Islandii dużo się znajdowało trędowatych z powodu flądry surowej, którą żarli. Których później, jak słyszałem, benzyną obleli i spalili... Więc udałem się do szpitala Św. Józefa, gdzie były dwie polskie siostry, i one zaraz powiedziały, że to nie trąd. Dały mi masę żółtą, z sulfamidą...

— A te wieloryby, jakie to ryby?

Pacjent męczył się na stołku; raziło go światło wprost w oczy, dokuczał przymus mówienia i złośliwa choroba. Czochrał się po głowie pełną dłonią, drugą drapał się zjadle pod kolanami.

— Tam są lody takie, panie Masło, lodowce, skąd — nie wiem jak — ale woda gorąca bucha, czyli gejzery. Wieloryby z całego świata upodobali sobie to miejsce do zdychania. Na skałach kości wielorybich tyle, co na rozkopanym cmentarzu. Więc, jak mnie siostry dały tę żółtą masę, podziękowałem, i...

— To, to, to ! Woda gorąca z lodu ! Jak było ?

— O Jezu, panie Masło ! Okropnie mnie swędzi, nie mogę wytrzymać ! Zaraz... Lodowce to są takie góry z lodu, sine, a jak jest słońce, to się mieniają we wszystkich kolorach i nie jedno słońce świeci, ale dwa i trudno zgadnąć, które prawdziwe. Natomiast przy zorzy polarnej widziałem nasz Bug na niebie, tylko przewrócony do góry nogami, masztami w dół. Bardzo sobie zapamiętałem ten widok panie Masło. Wiatry tam na przedmuchiach strasznie wyły. Po dziś dzień muszę to czasami na papierze wyrysować, tak mnie ściga...

— To, to, to ! Jak było ?

— Jeden Niemiec bombardował nas we fiordzie z samolotu, a skończywszy, zamroczył się widać w tych słońcach i w okręcie do góry nogami, potracił o lodowiec i przepadł. Znaleźliśmy go dzień później w stanie żywym z połamanymi członkami, a tamtejsze ptactwo wyszczypało mu oczy. Bez oczu umarł u sióstr, i też mnie ściga. W ogóle, panie Masło, nie wiem po co mnie pan za język ciągnie, nie wiem dlaczego ? Choroba mnie ściga — widzimiśia mnie ścigają — daję panu uczciwe słowo, że skonaniu nie jestem przeciwny ! Nie męcz mnie pan !

Wykręcił się plecami do światła, tyłem do pana Masły.

Psy z baria zebrały się pod garażem i powarkowały.

Rozległ się miarowy stuk młotka, pan Masło obcas nabijał.

— Już chyba pójdę... O Jezu !...

Psy warczały, młotek stukał.

— Harбаты zaraz pogotujem, albo masz człowieku życie chleba z miodem ? Chleba z miodem ?

— Już sobie pójdę...

— Kiedy białe noszone przyniósł, to nie pójdzie ! Niech siedzi ! Ja miodu dam i opowiem tobie, co będzie.

Nie wstając od warsztatu, Estanislao Masło sięgnął po chleb, po nóż i po butelkę z miodem. Ukroił chleb na brzuchu, odkorkował butelkę i chleb miodem polał. — Na !

— Teraz ja tobie opowiem co będzie... Uważaj człowieku !

Litewskim głosem opowiedział :

— Od Turków se zacznie; ale Turki nie będą winowate, tylko ten będzie winowaty, kto ciebie przygnał w te

progi. U mnie jest wszystko zapisane, jak te ameny w pacierzach, a co jest zapisane, musi se sprawdzić od Ojczy nasz aż po żywot wieczny, amen ! Tak jest zapisane :

Pan Masło z pamięci sylabizował :

— Od Turków — se — zacznie. Ale — Turki głupie — nie będą winowate — tylko sierpy i młoty — będą winowate — a od Turków — przeskoczy przez rzekę Żłoty Róg — a od rzeki Róg do Judei — albo Palestyny — i w Palestynie zakręci se — ta wojna — u Żydów — która wojna — okolice nam zbawi — od sierpa i młota — i od złego ściutkiego amen ! A zakręci se ta wojna — kiedy — miesiąc se odmieni — i kiedy będzie napisane — na ceglach miasta Jeryho — osiemdziesiąt i osiem ! A kiedy miesiąc — se odmieni — i kiedy będzie postawione — 80 i 8 — jest zapisane — na — poczesnym miejscu ! a wszystko — co jest zapisane na poczesnym miejscu — musi se sprawdzić — jak se sprawdziło co było napisane — o japoncu i o swastyku — co se już sprawdziło — i co dalej se będzie sprawdzać, jak amen w pacierzu — amen !

Obrócony plecami pacjent, z pajdą chleba z miodem w rękę, drugą ręką wściekle drapał się po zadach.

— Jak amen w pacierzu — amen ! — Lekarz, nie sylabizując więcej, płynniej doradzał :

— Myśli kryjesz człowieku, że co na poczesnym miejscu napisane, dolorów twoich nie tokuje. Ale jesteś w omyłce, człowieku ! Dolorom tokuje ! Choroba twoja z wielorybów, skałów, trądu i ze ślepi przez kruki zjedzonych — jest — z lodu i z noży jest, człowieku ! I z wody. W nocy, te białe noszone coś dał, na eukaliptowych drzazgach spalę i dym albo na prawe albo na lewe rękę za zdrowie twoje wygoniem. Haj ! Ja wiem, co tobie potrzeba, człowieku !

— Co ?

— Wody... cielskiej, tobie potrzeba, człowieku !

— Ja już dłużej nie mogę ! O Chryste Panie ! Już idę !...

— ...potrzeba tobie, człowieku ! Do brzucha, do twarzy, do nóg, potrzeba tobie wody... cielskiej, studziennej, żurawiem ciągniętej, żeby brzoza blisko rosta i kwiat, co się nazywa kacze ziele. A woda żeby była z rzęsą, co jest jak gwiazdочки zielone ! Takiej tobie wody potrzeba, człowieku ! Turki i żydowskie miasto Jeryho dolołu twego to-



kują, bo po nich poznasz, kiedy wody takiej dla brzucha, dla twarzy i dla nóg, z łaski Pana Boga Pocieszyciela, na polepszenie swoje, popijesz. Kiedy? Aa, kiedy? A w maju, a w maju, człowieku!

A w maju!

Gnębiony człowiek wykręcił się gwałtownie do światła i twarz jego z mokrym obrzękiem znalazła się tuż przy twarzy starego dziecka. Oczy łukiem napięte spotkały się z prostymi oczami w drucianej oprawie okularów.

— Niech pana jasna cholera ściśnie!

— W maju, Nie ładnie, jak cholerujesz, człowieku! Prawda od Boga początek bierze, jak rebionek od ojca. Nie choleruj, człowieku! Ja choroby nie wezmę, ani nikt jej teraz nie weźmie, bo ona jest okoliczna, i tylko woda z rzęsą, z liściem brzoźowym jedno na nią lekarstwo. Ale nie choleruj w bólach, człowieku! Zanim maja doczekasz, choroba uśnie, przycupnie, będzie ona w tobie siedzieć jak kocurek maluśki i pazurkiem nie zacarpnie — i tak, na wodę okoliczną, studzienną, w miesiącu maju, będziesz sobie w cierpliwości czekał — a będziesz czekał, i będziesz czekał, człowieku!

Lekarz wstał i potoczył się w ciemne wnętrze garażu; zabieliły się prześcieradła, widać w barłogu czegoś szukał. Wrócił do światła:

— Na!

Trzymał w rękę blaszanego niedźwiadka, stojącego na dwóch łapach, wielkości szpilki do włosów.

— Na tobie!

— Na tobie i trzymaj! Z miasta Lidy on jest, wierny i niedokuczliwy, i będzie tobie służył w potrzebie. Na Pohulance, spod Nowych Święcian, gdzie pułk piechoty Sim-Sim każde lato na manióbry przychodził, tego miedźwiedzia żołdatiszki Piłsudskiego nosili na epagonach, co był jeszcze z Murmańska. Weź sobie! I znowuż posłuchaj, co masz robić, człowieku!

— Kupisz lód w bryle! Rozdziejesz se ze wszystkiego, co masz! Lód włożysz do miski! Poszukasz strony, gdzie leży okolica. Staniesz na lodzie w misce o wschodzie słońca — o wschodzie słońca! — i tak będziesz stał minut siedem, przestępując z nogi na nogę, co drugi dzień, przez dni siedem. Nie dłużej. Masz patrzeć w stronę okolicy. Miedźwiedzia będziesz trzymać tak, żeby patrzył za tobą

w stronę okolicy. Jak z lodu zleziesz — wodę, co się roztopiła, zlej do garnka. Tę wodę pij. Jak masz pragnienie, jak masz życzenie, pij, myj se i chlustaj sobie z tego garnka. Módl se i pracuj, człowieku !

— O Jezu !

— Ja zrobię... z białym, noszonym, na ogniu z eukaliptów... Zaleczysz se. Lód chorych wielorybów nogami roztopisz, miedźwiedź chorość rozdmucha — a w maju — przy studni z rzęsą — prędko zdrow będziesz. W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego, amen !...

— W imię Ojca i Syna...

Pan Masło z twarzą starego dziecka — podniósł but, na znak, że nie ma nic więcej do poradzenia.

Psy się bawiły, kukaracze szumiały, palma przed garażem liściem o liść tarła.

— Co ze mną będzie, co ze mną będzie ? O Jezu !

Już nie otrzymał odpowiedzi.

— Dobrze, więc idę. Ja, panie Masło, spróbuję, co pan mówił, bo ja nie mam nic do stracenia. Z gęby mi się leje; gdzie się podrapię, tam krew idzie. Spróbuję, panie Masło... Już idę. Ile ja jestem panu winien, panie Masło ? Pieniędzy przy sobie nie mam, ale ja panu...

Twarz starego dziecka rozszerzył przyjazny uśmiech :

— Aj, kiń to, człowieku, nie gadaj o tym, człowieku; jak pomoże to pomoże i niech będzie chwała gdzie trzeba ! Weź ten miod w butelce i niech tobie będzie na zdrowie. Czekaj ! Jeśli chcesz se przysłużyć, to gdzie nie bądź w porcie rozdaj z okazji te karteluski :

Pogrzebał w kupie butów płci różnej i znalazł bilety wizytowe :

*Estanislao Maslo  
Zapatero  
Reparaciones y arreglos  
Precios moderados.*

— Idź z Bogiem ! Módl se i pracuj, człowieku !

Człowiek naciągnął chustkę na twarz i spał z tyłu agrafką. Z miodem i z niedźwiedziem wyszedł przed garaż, gdzie księżyc świecił i zwierzęta cudów na świecie szukały.

— Pracuj i módl się, człowieku !

## X.

Zniknięcie Bobusia Sandalskiego z horyzontu i z budowy u Hiszpana, oraz od kilku dni trwająca nieobecność Korybuta Dusznego Strupa — wprawiły w zdenerwowanie sztab główny w Kiosku.

Rzeczowy Ambrosio Lipiński widział tylko taką alternatywę : albo Bobuś zrobił „lio”, czyli grandę, i jest w Sekcji czyli na policji — albo spotkał Bobusia „akcydent”, w takim razie powinno się go szukać po szpitalach; innych alternatyw Ambrosio nie znał w Punta Chata.

Wiesio imaginator podejrzewał trzecią możliwość : że Bobusia dosięgła ręka czerwonego terroru i jego trup leży w morzu; szef Bolesławski jednak, pamiętając o bobusiowej chorobie, skłaniał się ku szpitalowi, który to niepokój podzielała Pani z Kiosku.

Wobec tego Wiesio i Ambrosio, jak dwa gończe oblatane w terenie — zaczęli po szpitalach ganiać i węszyć.

Ambrosio starał się wyjątkowo, żeby jego w znalezieniu Bobusia była zasługa, ponieważ spotkała go niebyłajaka przykrość i wstyd. Tak się miało :

Po uczcie flakowej, o późnej godzinie i na mięciutkich nogach, dobrnęli do jatki ojców Lipińskich syn Ambrosio, szef Bolesławski, Trościa i Adam Gwóźdź (Bobusia, jak wiadomo, nie było), a cięty ojciec Lipiński, wyprostowany jak drut, czekał na nich.

Rzekł : (A gdy ogniomistrz mówił, trzeba słuchać, pijanym będąc, czy nie !).

Rzekł : — Pijków mam pełno w boliczu ! Pijków nie trzeba mnie w domu ! ani maruderów, co mając uczciwą robotę, do roboty nie idą, tylko się do południa wylegują ! Za serce : serce ! za gie : gie ! Jak rano z pacierzem skończę, ani jednego marudera nie chcę widzieć w tym domu !

Pani Lipińska, dusza łomżyńska, podsłuchując, chlipnęła, ale wiedziała, że z ciętym nie ma rady ani sposobu...

Ku jej nazajutrz rozpaczy — syn Ambrosio wziął do serca życzenie ojca i także następnego dnia — razem z obywatelami gdzieś na Churro się wyniósł.

Pan Lipiński ogniomistrz, jatki prosperującej właściciel, udał się w niedzielę do Towarzystwa, żeby wyłuszczyć

słuszne powody swego postępowania. Wyłuszczone, tak wyglądały :

— Przyjąłem tych maruderów, jak ojciec. Dałem im pokój frontowy, w domu największy, świeżo odmalowany, sam z żoną przeniosłem się do mniejszego. Powiedziałem im : nic nie potrzebujecie płacić, zjeść też u mnie jest co, bądźcie jak u ojca i u matki. Jak zaczniecie zarabiać, możecie mi płacić 40 pezów, kiedy wiadomo, że za taki pokój każdy jeden z zamkniętymi oczami da 60 ! Stara nie wiedziała gdzie ich posadzić : a to mleczka, a to kawusi, a to befsztyczka z *lomo*, a że naleśniki lubili, smażyła im co dzień, jak głupia ! Mówię kiedyś temu dryblasowi, co jest u nich za szefa : masz pan chwilkę czasu, narąb pan drzewa. Powiedział : owszem ! i sobie poszedł. Przyszedł następnego dnia rano. Sam drzewo porąbałem. Mówię kiedyś drugiemu, temu Adamowi : skocz pan po papierosy do almacenu, bo ja mięso pijuję i ręce mam pomazane. Skoczył — i wrócił w nocy ! Chwalili się robotą u gążegi za 5 pezów, a ja patrzę : popracowali dwa dni, trzy dni, a już piątego dnia, patrzę, dwóch z nich o ósmej godzinie rano w betach leży i śpi ! Młody Bączek mnie starego podchodził : Panie Lipiński, mnie mówił, oni wiele przecierpieli i karwawo walczyli, trzeba mieć dla nich wyrozumienie ! *Caracoles* ! Popatrzcie się na mnie : tę szramę na głowie mnie kto zrobił — pijana kochanka butelką ? Nie ! Kozak Budiennego pod Rajgrodem szablą chlasnął, do tego byłem jeszcze ranny cztery razy, dwa Krzyże Walecznych nie chwalilem się nigdy, a mam ! Wyrozumienie ! Przecierpieli ! Popatrzałem się, zastanowiłem się, zasmuciłem się i powiedziałem : won !

Lipiński ojciec uzyskał w kolonii amnestię, ale Lipiński syn wziął na ambit i wyprowadziwszy się na Churro, w odnalezieniu Bobusia szukał rodzinnej rehabilitacji, i ganiał po szpitalach a ganiał.

Tymczasem miało miejsce inne nieprzyjemne zdarzenie.

W porcie stał amerykański ms. Del Santos, a także samo odbywał się mecz bokserski — więc jednego wieczoru było tłoczniej niż zwykle w barze Tango. W Kiosku siedzieli wieczorni rezydenci, Szef, Gwóźdź i Trościa, którym Pani naprzód przetłumaczyła z gazety wszystkie wiadomości o wojnie, następnie pomartwili się wspólnie o Bobusia, a potem goście siedli na puszkach od cukierków i, na inne



rozkosze pieniędzy nie mając, grali sobie w zechcyka. Wewnątrz baru, przy stoliku, siedzieli zamożniejsi : Kostek Napierski Mysz i Gruby Lizus Jarząbek, winem podrajcowani, przy załatwianiu handlowych tranzakcji. Do Kiosku dochodziły urywki ich kupieckich rozmów, dotyczących Parkerów, Omegi i brazylijskich perfum, w których powtarzały się wyrazy o złych matkach i niefortunnych synach, czego Pani udawała, że nie słyszy.

W momencie, kiedy szef Bolesławski spytał, czy wolno zatrzymać wentylator, bo karty fruwają — zrobiło się w barze jeszcze głośniej.

Awantura odbyła się w takiej kolejności : Norma mulatka skończyła wieczorną pieśń o amorze, za co poklepała ją po tyłku marynarz amerykański, kierując się do polskiego stolika. Dopchawszy się — a chłop był pokąźny, nie wiele mniejszy od szefa — rozrzewnionym głosem wybulgotał spicz po angielsku.

Tej treści : — *Polish?* Z daleka poznałem, że *Polish!* Miałem Polów kamaradów na Michiganie *first class, first class boyów*. Przyszedłem wam tutaj dać *shake hand, shake hand!* Biedna ta *Poland* wasza ! Czytałem w Lifie, że jest *tragic, tragic!* 200 lat pod *Turkish occupation*, 100 lat *Swedish occupation*, 10 lat *Napoleon's occupation* i później *German occupation*. *Tragic, tragic!* Teraz *bolshevik occupation!* Ale będzie *liberation!* *Shake!*

— Jezus Maria, Lizus, lej go w mordę !

Mówiąc „lej”, Kostek sam przywalił. W brzuch strzelił z obu pięści, raz, dwa ! Podskoczywszy : pod brodę, raz dwa ! I w nos ! Strzelał z obu pięści, jak sprzężony karabin maszynowy z dwóch luf.

Przyjaźnie usposobiony marynarz cofnął się rakiem pod barowy kontuar, tam rozkrzyżował się i utkwiał.

(Trzeba wiedzieć, że mały Napierski Mysz w meczach barowych był straszny ; sława jego szybkich pięści sięgała ponoć do Hong-Kongu ; lubił bić i umiał bić i w barze zawsze mierzył siły na zamiary, a nie zamiar według sił).

Nie wiedzieli o tym dwaj towarzysze sponiewieranego, którzy opuścili panięską kompanię i doskoczyli, żeby pomścić. Kostek uderzył na nich piorunem wręcz ; tuż za nim Lizus Jarząbek, nabrzmiały winną czerwienią, przymierzał się uderzyć bykiem, którą to sztukę posiadał w służbie wartowniczej w Niemczech.

Walka może toczyłaby się tym razem dłużej, jako że trzech na dwóch, gdyby nie ruszyli do boju obecni, a tutaj rodzeni, „krijoże”, którzy o dziwo! nie poczuli się do wspólnoty pan-amerykańskiej i opowiedzieli się przeciw Amerykanom. Zakotłowało się, zaszamotało się — i popatrzwszy się — już nie było ani jednego „zanki” w barze!

W międzyczasie Pani błagała w Kiosku :

— Nie idźcie tam! Wy nie macie prawa pobytu! Wam nie wolno się bić! Idźcie na Ramblę szybko, szybko!

Oni oczywiście rwali się swoich ratować, ale nim się wyrwali, już był w barze spokój: patron grał na akordeonie, a Norma śpiewała.

Pani poleciła zawołać do okienka obydwóch winowajców. Przyszli, oparli się o ladę i Kostek spytał: — Abo co?

Lizus triumfował: — Pani widziała? Nasza klasa sakramencka?

Dostał od Pani strony szef Bolesławski, nie gołony od czasu jak się przeniósł na Churro, i nagiął się do okienka:

— Z naszymi aliantami tak postępujecie? W których cała nadzieja i od których pod czerwonym terrorem czekają wybawienia?! Tak z nimi wyrabiacie?!

Lizus, w nienawiści mając Bolesławskiego, odrzekł lekko: — Mam ich gdzieś!

Odsunął go łokciem Kostek Napierski i wetknął myszatą twarz w okienko Kiosku:

— Ja, proszę Pani, z polityką nic nie mam, ale mnie się akurat przypomniał ichniejszy ich prezydent, którego widziałem w kinie, jak siedział sobie zadowolony razem z żoną. Akurat mnie się to kino przypomniało, a jak mnie się co przypomni, taką mam wredną naturę, że zaraz lu!

Pani rzekła nie zbyt surowo: — Wstyd robicie temu polskiemu kioskowi...

Że to — interesy nie cierpiały zwłoki i wino w szklankach czekało, winowajcy pobłażliwie Panią potraktowali i wrócili, skąd przyszli.

Z powodu, że nie wzięli udziału w walce, i z powodu, że nie obronili jak należy amerykańskiej w zbawienie nadziei — trzej rezydenci zgarnęli karty, pocałowali Panią

w rękę, pożyczyci pieniądze na drogę i poszli na przystanek autobusu, który woził na Churro.

Dobrze się stało, że poszli, za co im później Pani każała dziękować Bogu. Bo wkrótce potem, zdarzyło się w barze Tango (bez związku z tym, co się tam działo przed chwilą) „ažanamiento”, trafunek taki, kiedy policja wpada do pierwszego lepszego baru, blokuje drzwi i szuka noży. Nie chodzi o kontrabandę, ani o dokumenty, nie chodzi skąd i dlaczego ktoś w tym barze, w tym kraju i w tej części świata a nie w innej się znajduje — istotne jest, czy ma nóż, czy też noża przy sobie nie ma. Ręce do góry! Sam sub-komisario z czarnym wąsikiem przejechał się wprawnymi rękami po Kostku i nóż mu wyciągnął z kieszeni. — *Epa!*

Nożyk był nie wielki, krótki, ten sam, który ukradł kiedyś na stacji i którym pomagał sobie ciąć z wierzbowej kory siostrzany wspominek.

Jak nóż znaleźli i centymetrem go zmierzili — przestępcę musieli wziąć. Wzięli go też zaraz wraz z kilku innymi, którzy także mieli przy sobie noże. Pani to widziała przez okienko, a z dobrej rodziny będąc, wpadła w melancholię. Ale niepotrzebnie, bo patron już grał na akordeonie, a Norma śpiewała. Lizus Jarząbek, który noża przy sobie nie miał, rzekł do Pani :

— Było nie było, nie ma się czego mazgać! Proszę na bok! Spuszczam żelazną kurtynę!

## XI.

Następnego dnia od rana zaczęły się dziać cuda najrozmaitsze.

Więc naprzód wpadł do Kiosku Ambrosio Lipiński i zakomunikował z satysfakcją :

— Buskałem i znalazłem! Jest w Mendes. Ogotlili go na *cero-pelo*. Mają mu dzisiaj rznąć brzuch!

Pani naturalnie się przełękła i dalej pytać Ambrosia, co Bobusiowi jest? — ale Ambrosio nic więcej nie wiedział, bo co się dowiedział to powiedział i w te pędy przybiegł do Kiosku.

O rannej porze rzadko kto kiedy ze sztabu zaglądał,

więc Pani sama podskoczyła do telefonu. Właśnie nakręcała numer, gdy nie żaden klient przeszkodził, ale Chichita.

Ona — od koleżanki dostała wiadomość, iż — jej *novio*, narzeczony — Kostito — tej samej narodowości co *Senora del Kiosco* — w tym barze wpadł w ręce policji — ale koleżanka nie wiedziała z Pierwszej Sekcji czy z Centrali była policja, i czy Kostito dał komuś nożem, czy dostał nożem — więc przyszła pytać o detale.

Nieumalowana wyglądała żółto, sztywne włosy spadały jej na twarz grzywą, oczy miała uprzejme, lecz złe.

Pani ze swej strony zaraz jej współczuła i biednej *novii* dała wszystkie informacje, oraz nadzieję, że w sprawie Kostita i niejakiego Bobusia jest w trakcie telefonowania do kapitana Wupe, który ma korzenie głęboko wpuszczone w grunt.

Stojąc w okienku od ulicy, Chichita naprzód śledziła palec, nakręcający numer, potem chłonęła dźwięki rozmowy, starając się zrozumieć, co może znaczyć przez Senioreę powtarzane : *no tak, no tak!*

Odłożywszy słuchawkę, Pani pocieszyła : — Kapitan obiecał, że rozejrzy się, zastanowi i wszystko co będzie można, jutro zrobi. To jest bardzo wpływowy i porządny człowiek. Ale na wszelki wypadek zadzwonię jeszcze do Pana Ministra.

Roztropny Ambrosio mruknął po hiszpańsku :

— *Hoy* — dzisiaj — przed południem — a nie jutro — będą mu rznąć brzuch !

Na to Pani z Kiosku, i *novia* przy kioskowym okienku, obydwie naraz dostały skrzydeł. Chichita rzuciła w przelocie : *adios!* i już leciała do Pierwszej Sekcji, a Pani zawołała do Ambrosia : Ambrosio, leć do szpitala, zamykaj kiosk !

I — o tej samej porze, w dwóch różnych miejscach, za pośrednictwem dwóch różnych z dziedzictwa i z upodobań dam — zdarzyły się w Punta Chata dwa podobne cudy.

O pierwszym cudzie Bobuś brzdąc tego samego jeszcze dnia, wzięty na spytki, sam osobiście zeznał :

— Nic mnie nie było, co mnie miało być? Z wyjątkiem szramy nad okiem, zdrów byłem, jak koń. Chciałem zaraz wiać, ale nie mogłem, bo ubranie zabrali, została na mnie tylko jedna bielizna.



— Co robili ?

— Położyli mnie na sali moczowej, gdzie był smród. W nocy szczury wyprawiali dzikie harce. Chciałem koniecznie wiać, ale nie dało rady.

— Dlaczego, Bobusiu, chciałeś wiać ?

— Bo oni mnie w kręgosłup wbili igłę i wzięli sok. Później mnie zaczęli walić zastrzyki grubą igłą, więc na sali zemdlałem. A przedwczoraj...

— Co było przedwczoraj, Bobusiu ?

— Przedwczoraj naradzała się nade mną komisja i coś widać uradziła, ale nie wiedziałem co. Wkrótce przyszedł do mnie fryzjer i... tego... pod spodem mnie ogolił. Chciałem się z nim rozmówić na migi, na czym to wszystko polega, ale on z tych migów śmiał się...

— I ?

— I wczoraj wieczorem, przepraszam że się wyrażę, dali mnie lewatywę, a dzisiaj rano drugą lewatywę. Jeść nic nie dali. Pocięsałem się trochę, że może mnie wyleczą, ale nie miałem zaufania. Leżałem na łóżku i myślałem, że nikt o mnie nic nie wie i ja o nikim nic nie wiem...

— I co jeszcze myślałeś, Bobusiu ?

— Że może wojna już wybuchła, a ja nic nie wiem. Sąsiad pożyczył mi gazetę, ale ja ani be, ani me. Tak sobie leżę i leżę, i tak sobie niewesoło myślę, że może moja ostatnia godzina wybiła...

— No, no, Bobusiu !

— ...że ostatnia godzina wybiła, aż tu patrzę i oczom nie daję wiary ! Tak się ucieszyłem, proszę Pani, że trudno wyrazić ! Z daleka poznałem, jak tylko Pani weszła na salę uśmiechnięta, jakaś taka różowa, upudrowana, i przystojna, jak nigdy nie widziałem w Kiosku. Chyba cud, pomyślałem. A jak za Panią przybiegł infermer i jeszcze jeden w fartuchu i jak oni koło Pani skakali — a jak moje ubranie przynieśli, i jak Pani powiedziała : ubieraj się Bobusiu szybko, szybko ! — to ja z radości ze skóry wyskoczyłem i dotąd chyba skaczę ! Ojej !

Obecny przy indagacji, współtwórca bobusiowego szczęścia — Ambrosio — rzekł na podstawie doświadczenia :

— Jak ogolili, to będzie klucz ! *Pajarito !*

Starsi koleddy Bobusia, na spytkach obecni, nuż Bobusia sztorcować : — Czego się szwendasz, smyku, czemu sam łazisz, kiedy wiesz, że cię może chwycić w każdej

chwili?! Szkoda, że ci nie obcięli tego i owego! Czemu sam łazisz?

— Czemu? — zastanowił się Bobuś i nieco posmutniał.

Nagle objawił się drugi cud. Wiesio narwany, dla którego zabrakło miejsca w Kiosku, stał na ulicy i stamtąd krzyknął: — *Mira!* Patrzcie, kto idzie?!

Przed Kioskiem defilowała grzywiasta Chichita, a przy niej, pod ramię, jakby na smyczy — aresztant-nożowiec — drobny Chichity *novio* — Kostito!

Ona spojrzała triumfalnie w głąb Kiosku; on spojrzął osowiale w głąb Kiosku — i przeszli mimo.

Zaraz poczęto rozprawiać o cudownym zbiegu okoliczności, jedno przez drugie, jako to zwykle w Kiosku. Nim się do syta nagadali, ktoś zasłonił okienko od strony baru.

Znowu nie żaden klient, tylko pan Grzegorz Łuna, po tutejszemu Gregorio Luna, sekretarz związku O. O. — który — pieniądze z dobrego serca na Kiosk pożyczwszy, miał chyba prawo się dowiedzieć: — Jak się macie, jak się macie, jak wam leci?

Pani odpowiedziała ze smutkiem, że marnie. Czemu wcale się nie dziwił pan Łuna i zaraz pocieszył:

— Ja, kiedy na wojnę jechałem, wszystko na przykład sprzedałem za bezcen i wszystkiego się wyzbyłem, niczym Łazarz. Przypuszczalnie dzisiaj przez to żadnego kapitału nie posiadam, ale swoje 11 pezów na dzień wyrobię i przed nikim nie płacę. Tu się na przykład komu pożyczysz, tam popije, co się zarobi, to się i straci. Przypuszczalnie mam rację?

— Racja!

— Ale wstrętne tu ludzie są, z rozmaitych na przykład względów. Gacki mnie nic złego nie zrobił, ani ten Misiak, ale jakim prawem oni śpilecki podtykają, że w tym Kiosku odchodzi jedno wielkie pijaństwo i przypuszczalnie kartograjstwo, że basura z całego świata w tym Kiosku się zbiera i że w takich warunkach kiosk nie ma prawa funkcjonować?! Czy to ich kiosk? Czy oni pieniądze pożyczli? Nie cholery to są?

— Są.

— A ten Gacki i Misiak i na przykład Lipiński (do Ambrosia: nie marszcz się młody!) i na przykład Lipiński, wszystko przypuszczalnie ludzie zamożne, z domami

a niektóre z samochodami — skąd oni bogate? Bo oni w tym czasie się bogacili, gdy my krew przelewali! A może ten Gacki nie był na przykład w wieku poborowym, kiedy my, wyzbywszy się wszystkiego, na wojnę jechali? Przypuszczalnie był poborowy! No, ale ja im dopieki na półrocznym zebraniu: Myśmy krew przelewali, a te takie na nas zółć wylewają?! Jakiem prawem dezerterski Gacki (bo dezerterski on dla nas jest, choćby nie 5 a 10 domów posiadał!) — jakim prawem dezerterski Gacki się na nas wyraził, że my nie krew, tylko zupełną tyżką w Szkocji przelewali, i że z naszej winy na akademii listopadowej było frakaso, kiedy pierwszego lepszego spytać, zaraz powie, że właśnie z powodu pana Gackiego było frakaso, bo zawiadomień na czas nie rozesłał?!

— Istotnie...

— Splunąć nie warto! Pan Generał Rudnicki, kiedy się żegnał z nami po wojnie, zapowiedział nam: Pamiętajcie, że nie przestajecie być żołnierzami! Przypuszczalnie urlopowanym żołnierzom trzeba będzie wziąć coś twardego i takiemu na przykład, co krwi przelanej nie szanuje, w krzyże dać i po krzyku!

— *Mira!* — wrzasnął przy drugim okienku Wiesio wszędobylski: — Patrzcie: Fornalski idzie pod pachę z Jarząbkim!

Rzucili się patrzeć do okienka: istotnie, szedł marynarz Fornalski z Lizusem Jarząbkim i przeszli mimo.

Nikt nie zwrócił uwagi na szefa Bolesławskiego, a szkoda! Gorzko on bowiem przeżuwał niesmaczne przytyki do pijatyk i kartograjstwa, i tylko szukał okazji, żeby się wtrącić.

— Pan łaskawy, w którym roku, jeśli wolno wiedzieć, krew przelewał?

— Jako w którym? Załadowali my się w maju w 41-szym roku, a wrócili my w roku... zaraz... także w maju, w roku...

— Panie łaskawy! Wolnego z tym krwi przelewaniem! Kto, z czym, do kogo i przy kim?! Ja, panie łaskawy, zacząłem krew przelewać od krwawego wrzeźnia, na ziemi rodzonej, nie na obczyźnie, i mnie nikt żołdu w funtach angielskich nie płacił, naprzód na froncie, a później w lasach w oddziale majora Bobra, nie do roku 45-go, ale do roku 47-go, co znaczący przez 8 lat, panie łaskawy, przez

8 lat ! broni nie odkładałem naprzód przeciwko Niemcom, później z drugim naszym śmiertelnym wrogiem, przeciw czerwonemu terrorowi ! Nie dalej jak miesiąc temu portret na Dzierżyńskim z tu obecnym — jak to pan łaskawy zaznaczył : basurem, Trością i Sandalskim, z dużym ryzykiem własnym utopiłem ! Ja was, dalibóg, nie rozumię, łaskawe panowie ! Kto, z czym i do kogo z krwi przelewaniem, ja pana uprzejmie pytam ?

Pan Grzegorz Łuna od razu było widać, że się śmiertelnie obraził. Pani chciała zręcznie odwrócić rozmowę i o świeżo narodzone dzieciątko pana Łuny zaczęła ciekawie dopytywać ; Wiesio przy drugim okienku, nie wiadomo czemu, z uciechy potupywał.

— Co tam dziecko ! — odburknął niekontent pan Łuna. — Weź pani lepiej książeczkę i zapisz mi pani z jakie dwa numery na jutro. 52 na kawesę...

— 52 na głowę — powtórzyła Pani, zapisując.

— ... i ... 25 niech idzie do ośmiu. Zarób pani sobie. Ja nie wróg ! Masz pani te 2 pezy ! A o te pieniądze, co pani wiesz, gwałtu nie ma, nie martw się pani. Tylko nie dobrze, jak napcha się pani do środka gościów kupa, bo klijeny się płoszą. Bądź pani zdrowa ! Trzym się, pani !

Na nikogo więcej nie patrząc, ani nic więcej nie mówiąc, odstąpił od okienka śmiertelnie obrażony sekretarz O. O. pan Łuna, który — bez bujdy — był zasłużonym żołnierzem i szczerzłotym rodakiem, tylko że się na nim nie umieli poznać prezes Gacki, ani szef Bolesławski.

Ten ostatni chciał nawet za nim wybiec, żeby na osobności spytać, co miał na myśli mówiąc : „gościów kupa”, ale Pani powiedziała : Panie Janie ! więc został.

Jedyny komentarz do zajścia dał Ambrosio roztropany, polskich spraw bardzo ciekawy : — *Seguro*, ja nie rozumiem... Ojciec zawsze o tym, *como es...* o Budiennym i o tej ranie na głowie... Gregorio znowu o innym krwi przelewaniu... a pan Bolesławski znowuż... *Seguro*, ja nic nie rozumiem...

Pani go poklepała po ramieniu : — Tu nie ma nic do rozumienia, Ambrosio kochany, wszyscy jesteśmy jak jedna wielka rodzina...

Cudów dnia tego dopełnił cud ostatni ! Jak cień z innego świata pojawił się na miejscu opróżnionym przez pa-



na Łunę — istotnie cień — nie do wiary ! — Strup Duszny !

Pani do niego z radością : — No, nareszcie, a myśmy się właśnie o pana martwili !...

Inni też do Dusznego pośpieszyli z sympatią : — Co pana było, że pana nie było widać, panie Duszny ?

On z przyzwyczajenia ręką osłaniał twarz i jakby w gorączce zagadał do Pani : — Nic, nic... Dobrze wszystko... Później powiem. Proszę mi zapisać : 88 na głowę... a wszystko co da... na 77 ! — Położył na ladzie 50 centów.

— Panie Duszny, czy panu lepiej, czy panu czego nie trzeba ?

On porwał kinielową karteczkę i mamrocąc : później, później — jak cień się zjawiwszy, jak cień zniknął w barze.

— Ofiara wojny, kuku na muniu ! — pstryknąwszy się w czoło, wyjaśnił smutnie szef Bolesławski. I poprosił, żeby mu zapisać 513, a on jutro zapłaci.

— Ja ci przypomnę, żebyś zapłacił ! — dogryzł mu Adam Gwóźdź. — Tylko ciekawe skąd weźmiesz ?

Nagle Bobuś zbladł, myśleli że padnie, ale nie o chorobę chodziło, tylko że w wolnym okienku mignęła słomiana Maria Angelica.

Wiesio zniecierpliwiony, który wciąż czatował przy drugim okienku, kiwnął na Szefa : — Czt, czt, niech pan do mnie wyjdzie, jest coś importnego, panie Bolesławski...

Ambrosio ziewnął. Na dzisiaj — w tym upale — dosyć już chyba wszystkich polskich i krijożowskich cudów !  
*Buenas noches !*

## XII.

W upale — jak się zapowiadało — przyszło Boże Narodzenie. Przed wigilią Kostek Napierski w Książce pobożnie czytał :

(Siedząc na molo rybnym i pomachując nogami) :

*Ryba po żydowsku, sos chrzanowy.*

Miał na molo spotkanie z Juliuszem Cezarem w ważnych sprawach, chodziło o grubszy towar, o transport ze-

garków, nie o żadne sztuki pojedyncze — który transport, jeśli uda się Kostkowi wynieść w czasie Bożego Narodzenia — będzie naprawdę blat !

Na molo rybnym świerszcze gęsto obsiadły cement i po amerykańsku ćwierkały.

*Rybę, szczupaka, ogolić, odkroić łeb, ostrożnie odciąć całą skórę, wszystkie mięso odkroić od ości, posiekać i przekręcić...*

(Głupia jednakowoż jest wigilia w siarczystym słońcu przy wodzie parującej, skąd portowa draga piasek z dna, hucząc, kubłami wyciąga...).

*Cztery bulki namoczyć w mleku, utrzeć na tarce z cebule, pietruszkę i pół marchwi, kawałek selera — i wszystko to zmieszać z mięsem, dodać pieprzu, soli i masła surowego...*

— A swoją drogą — komu to wszystko się nada, komu ta ryba do szczęścia potrzebna, w tym kraju ciemnoty, gdzie nikt nie rozumie, co dobre ? ! Komu mieszać ? Sobie mieszać, siebie samego chwalić, samemu jeść ? Albo może czekać na fałszywe zachwyty fałszywych kobiet, które mają w głowie francuskie meble na raty, a nie wigilijną rybę po żydowsku ? Ot życie ! A tam, wielki pasażer włoski Andrea C., z kominów dymi i do mądrzejszych krajów zaprasza !...

*...wszystko razem jeszcze raz posiekać, a jeżeli za twarde, wlać trochę mleka. Tym farszem nadziać skórę, dobrze ją uformować i włożyć na durszlaku do wanienki...*

*...nadziać skórę, dobrze ją uformować... Ładnie jest powiedziane po polsku... Na początku rybnego mola nie kto inny tylko Julio César szoruje w pasiastym łaszku...*

*...do wanienki włożyć dużo włoszczyzny pokrajanej w zęcznie gwiazdeczki i zalać zimną wodą, aby nie za dużo. Potem nakryć pokrywą i dusić na wolnym ogniu przez godzinę. Rybę podać z sosem chrzanowym (patrz sosy), wybornie smakuje.*

— Blat ?

— Blat, blat ! Ty, czarny (Kostek nauczył się przy

Chichicie miejscowym ludziom rzeczy przystępniej klarować) — ty czarny, ile mi za ten cały biznes wyjdzie? Aby nie za mało?

— I uważaj, blat, żeby mi dzisiaj — na wigilię — wszystko co się zdarzy — było pokrajane w zreczne gwiazdeczki i żeby wszystko wybornie smakowało! Uważaj, blat!

### XIII.

— Nie pójdę do Pani, nie pójdę do Pani, nie pójdę nigdzie — rozkleił się w słońcu przed wigilią Bobuś Sandalski.

— Do Towarzystwa także samo nie pójdę — zapowiedział Adam Gwóźdź.

O tęsknotę chodziło. Stara tęsknota, jak zaschła rana — to jedna rzecz — a świeża tęsknota, jak świeża rana, to inna rzecz. Ani tego słowami wytłumaczyć, ani wyjaśnić, żeby się nikt ze starymi ranami nie obraził i nie miał za złe.

Szef Bolesławski poszedł na Wilię do Pani, ale reszta wolala chodzić po Punta Chata i w sześcioro oczu na obcość się gapić. Było naturalnie o mamie, o narzeczonej cudnej jak śnieg, o choinkach z borów tucholskich i o pierwszej gwiazdce na niebie polskim — nie takim jak tu, co nawet w noc wigilijną upałem bucha i bucha. — Dziwna rzecz — mówił Trościa — przecież tu są także ludzie kochane, a my takie same... — Bo my nie chcemy... — rzekł Gwóźdź. — O, bo my nie możemy! — roztkliwił się Bobuś brzdąc. — Mamusia się mnie w nocy przyśniła, jak żywa...

Więc byli w porcie, obejrzeni okręty, posprzeczali się ile który okręt ma ton, i tak łazili sobie we trzech, do portowych nor bez ciekawości zaglądając — i łazili, łazili, o wojnie, która będzie pogadując, i o gwiazdce, która pierwsza się zjawi, że na tym niebie gorącym obrzydliwą się wyda.

— Patrzcie — rzekł Gwóźdź — jak też przykro wygląda Kiosk, kiedy jest zasunięta żelazna kurtyna... — Przykre to jest — zgodził się Trościa. A Bobuś z innych powodów mazgał się im i kaprysił.

W noc wigilijną Pan Bóg dziwniej jeszcze Bobusiowi nadarzył : morska fala o kamień chlupała, pierwszej gwiazdy na bananowym niebie ledwie nie było widać, i już naprawdę nie wiadomo co dalej mieli ze sobą robić — kiedy — nie z baru Tango, lecz z baru Arizona wyszedł wprost na nich nalany winem Lizus Jarząbek z przyjacielem Fornalskim i z małym kurczęciem u boku, które, jak wiedzieli, nazywało się Ybelyce. Zetknęli się wszyscy razem nos w nos i Jarząbek prosto w Bobusia winem chuchnął : — Te, twojej żółtej pluskwie krew gardłem poszła i zabrało ją stąd przed chwilą Zdrowie Publiczne ! *La cucaracha, la cucaracha, ya no puede caminar...*

— Wesołych Świąt wam życzę — nie patrząc w oczy pozdrowił kolega Fornalski, przechodząc mimo, zaś kurczę Ybelyce, przechodząc, wytrzepotała :

— O moja Marija, o moja Angelica, zabrali cię i powieźli ! — do Dobrego Pasterza !... O, o, o !...

Okazało się teraz, że Bobuś brzdąc, nie jest żaden bek-sa, ale mocny chłop ! Nic się nie mazgał, ani nie grymasił, tylko zaraz kolegów poprosił, żeby się nie dziwili, nie namśmiewali, on sobie pójdzie i zobaczy, co jest u Dobrego Pasterza...

— Co zaś śpiewał ten świński ryj ? — spytał Trościa.

— Śpiewał, że karaluzek czy też pluskwa nie może już spacerować, bo się jej złamała jedna noga — wyjaśnił Gwóźdz, najbieglejszy w języku hiszpańskim.

— Też się wybrał z kolendą, świński ryj ! A my teraz we dwóch, co zrobimy ze sobą, co my dalej zrobimy, nie masz jakiejś idei, Gwóźdz ?

#### XIV.

Okres między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem obfitował w polskim świecie czateńskim w drobne, ale liczne zdarzenia i perypetie.

Na budowie z całej Dzierżyńskiego piątki pracował jeden już tylko Bobuś (a i ten zwalniał się we czwartki popołudniu, ponieważ miał w tym czasie do załatwienia ważne, prywatne sprawy). Szef, rzadko się teraz golący i dość niechlujnie wyglądający, bez krawata, zjawiał się w Kio-



sku już od samego rana, tłumacząc swoją obecność tym, że port każdego marynarza do siebie ciągnie i że tylko w porcie może zaświecić szczęśliwa gwiazda. Później SzeF spotykał się z Trością i razem szli przewąchać, czy gdzie nie istnieje możliwość zamustrowania; później znowu obydwa przychodzili do Kiosku, aby się uzalić nad życiowym niepowodzeniem i ewentualnie pożyczyć te głupie 24 centy na obiad w komedorze. SzeF i Trościa wynieśli się już byli z Churro, ponieważ stamtąd było daleko do portu, i ulokowali się tanio w samym porcie u jednego polskiego Żyda. Natomiast Adam Gwóźdz i Bobuś wyłamali się z sitwy i pozostali razem z Ambrosiem na Churro, skąd jeździli do Towarzystwa, gdzie, jak wiadomo, Adam przygotowywał krakowiaka na bal noworoczny w cztery pary, w skład których wchodził sam Adam Gwóźdz, Ambrosio, młodszy brat Ambrosia : Adolfo, oraz syn jednego komunisty, ale sam broń Boże nie komunista José Zwierz, a z panien : panna Misiakówna, panna Bolączkówna, panna Rożek i najcudniejsza ze wszystkich panien — seniorita Elena Gacka.

Poza uprawianym ćwiczeniem Adam Gwóźdz również przyjeżdżał do portu i szukał dla siebie szczęścia, na co SzeF przed Panią, się krzywił : — że — ten Adam — od Myszy Napierskiego bierze pończochy i sprzedaje swoim tanecznicom i ich przyjaciółkom — co nie ładnie według SzeFa jest, bo albo się robi coś dla idei, albo zwykły, psiakrew, szabier, szmugiel i kant !

Z tego wszystkiego wynikało jednak — że z Dzierżyńskiego zbiegowie, w dalszym ciągu żyli jakoś na wolności w Punta Chata i z głodu nie umierali; ale też jak SzeF się serdecznie uzalił : co też nasze rodziny o nas w Gdyni pomyślą ? ! Trości z tych wszystkich kłopotów przybyło na wadze; wszyscy zaś, jak jeden mąż, nie znali się już więcej z kolegą Fornalskim, bo ten jakies niewyraźne miał chody, na różne tematy kluczył i ciągle łąził ze świńskim ryjem, z tym lewym synem Jarząbkim.

W okresie między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem aktywność wykazywał Wiesio rozplómienny, który latał lichy wie gdzie i z SzeFem miał teraz długie w cztery oczy rozmowy; i właśnie z rozplómiennych wiesiowych oczu najłatwiej było wnioskować, że coś nareszcie z całe-

go gadania, projektowania, latania krystalizuje się w Punta Chata i z Nowym Rokiem się zdarzy.

Tym bardziej, że akurat obiegła Polonię wiadomość, iż Juan Gacki, niepodległościowy Prezes wielokrotny i katolik twardy jak mur — wysyłając zaproszenia na zabawę sylwestrową — wysłał także zaproszenie do byłego konsula w Antwerpii, który szczęśliwie znalazł wolność w Punta Chata po pięciu latach niewoli w ramach czerwonego terroru. Jedni natychmiast powiedzieli, że bardzo fatalnie zrobił pan Gacki i że nie miał prawa, bo ten konsul nie jest godzien towarzystwa tych, co się jasno od pierwszej chwili opowiedzieli; drudzy mówili, że dobrze zrobił prezes Gacki, bo od polityki jest Kapitan Wupe, a były czerwony konsul do polityki się teraz nie miesza, a na kwiatek na pewno da 5 pezów i w bufecie, że to wkupić się ze chce, może nawet zostawić co najmniej 20 pezów! O to, czy dobrze prezes Gacki czy źle zrobił, były zajadłe spory, co absorbowowało Polonię czas między Świętami a Nowym Rokiem.

W tym samym czasie kioskowy sztab główny przeżywał sensację w innej jeszcze postaci: — Wyobraźcie sobie, ten wariat, to kuku na muniu, strupowaty Korybut Duszny, który postawił na kinieli 50 centów na 88 z redobloną na 77 — wziął i wygrał mało wiele, ale równe 400 pezów!

Coś takiego! — emocjonował się Sze*f*. i emocjonowali się inni, tym bardziej, że Strup Duszny wcale się nie zgłaszał do Kiosku po wygraną, jakby o wygranej nie wiedział, i równe 400 pezów leżało w szufladzie, skutkiem czego Pani wyrażała obawę, że rozbiją kiedy żelazną kurtykę i skarb ukradną. Owszem, raz przemknął się Strup koło Kiosku i poprzez plecy okazynego klienta rzucił na parapet tuzin karteluszków, ale nie były to jego bohomazy, tylko bilety wizytowe pana Ma*ś*ły z pana Ma*ś*ły anonsem. Rzucił je ze słowami: — proszę to rozdać! — i natychmiast się zawieruszył; Pani zaledwie zdążyła spostrzec, że był na twarzy bardziej ogorzały i suchy.

W czasie między świętem a świętem doszedł też raz do okienka inny jeszcze osobnik: Kostek Napierski Mysz, żeby się wynętrzyć na jeden ciekawy temat. (Dziwne zaiste, że nikomu nie przychodziło na myśl, że nie kiosk z papierosami to był, ale biuro wynętrzań, czy też konfesjonał!...).

Kostek przyszedł z miną tajemniczą i z poranną gazetą, gdzie na ostatniej stronie była fotografia Murzyna z siwym łbem, uśmiechniętego od ucha do ucha. Pani rzuciła okiem i przeczytała pod spodem : „Julio César Pintos, kontrabandzista, schwytany na przemyście zegarków i papierosów amerykańskich, dzięki zasłudze i czujności inspektora nazwiskiem : HECTOR BULA !

Kostek do fotografii dał taki komentarz : — Mnie się, proszę Pani, zaczyna ten kraj nie podobać. Nie mówię o sobie, bo ja jestem wańka-wstańka, co mnie położą, to wstaje. Murzyna tego ja lubię, i nawet nie wiem czy go nie najbardziej lubię ze wszystkich, nie ubliżając Pani. O co mnie chodzi ? Mnie chodzi o to, że ten Murzyn, jak Pani widzi, wsiąkł. Jak Pani widzi, ja nie. W gazecie stoi napisane, kto nam nogę podstawił, celny inspektor jeden, który chciał połowę, a ten Murzyn dał mu tylko jedną czwartą. Wziął ten inspektor jedną czwartą i zaraz nas potem wydał. Mnie o to chodzi, że ja chciałbym dla tego Murzyna jakiego adwokata. Któremu trochę z tego co mam zapłacić, a resztę Murzyn zapłaci, jak wyjdzie. Chciałbym, proszę Pani, dla Murzyna dobrego adwokata. Nie ma Pani pojęcia co to za ucieszny jest Murzyn ! Ale jak już zaznaczyłem, mnie kraj z takimi Hektorami zaczyna się nie podobać. Zna Pani jakiego ?

— Adwokata ?

— Adwokata. Temu inspektorowi, który jest pies na dziewczynki, ja przy pomocy jednej dziewczynki podstawiłam dziewczynkę, co jest spec od psikusów. Zobaczmy czyje będzie na wierzchu i co z tego wyjdzie...

Wyszło to, że Pani musiała ugodzić dobrego adwokata Juliuszowi Cezarowi, żeby czarny Juliusz Cezar mógł jak przedtem łowić ryby i zabawiać przyjaciół, którzy z nim razem łowili ; co przy pomocy dobrego adwokata, zgodnie z procedurą, jeszcze przed Nowym Rokiem zostało uwieńczone sukcesem.

Z Bobusiem też były w tym czasie w Kiosku drobne przejścia. Naprzód Bobus nic nie mówił, potem się wzruszał byle głupstwem, a potem chciał mówić, ale się zaciął. Więc trzeba mu było delikatnie pomagać i przyciskać do muru, żeby spragnione wynurzeń serce bobusiowe mogło się wypowiedzieć.

— Bobusiu, czemu chodzisz, jak zmyty ?

— Nie zmyty, proszę Pani, tylko... Ja tu zapoznałem jedną panienkę — jej ojciec był wysokim urzędnikiem w Banku Państwowym, ale umarł. Ona miała strasznie bolesne życie... A jeśli o niej co złego Pani mówili, to nieprawda! Ona nie jest zła, tylko nieszczęśliwa. I ona jest teraz bardzo chora. Mnie się czasami aż serce kraje...

— To prawda, Bobusiu, więcej jest na świecie kobiet nieszczęśliwych, niż złych...

Bobuś poweselał. — To jest, proszę Pani, absolutna prawda! Dlatego mnie jej żal, że mało kto do niej przychodzi do szpitala, owszem, znajoma tego Kostka czasami przychodzi i już więcej nikt. Więc ja do niej w te dni, kiedy puszczają, w niedziele i czwartki, stale przychodzę. Żeby ją trochę rozweselić, bo ona rzadko wstaje, więcej leży. Wyzdrowieje nie prędzej, doktor powiedział, niż za jakie sześć miesięcy. A wie Pani, jak ona na mnie woła, kiedy mnie zobaczy?

— Jak, Bobusiu?

— Pucu-Pucu! Bo ja po tutejszemu jeszcze nie bardzo mówię, więc zacząłem ją uczyć po polsku. Strasznie się ona śmiała, kiedy ją uczyłem wierszyka: pucu-pucu, chlastu-chlastu, nie mam rączek jedenastu... Odtąd ona na mnie woła Pucu-Pucu, albo Chlastu-Chlastu... Śmieszne to jest, nie?

Pani śmiała się z tego istotnie, jak szalona:

— A nie zakochaj się tylko Pucu-Pucu, a nie ozeń się nam tylko, Chlastu-Chlastu!...

Uszczęśliwiony Bobuś zwrócił uwagę na swój nowy, amerykański krawat, na którym była duża końska głowa i srebrna podkova. Przyznał się Pani: — To od niej!

Ha! jak od niej, nie ma co więcej się wdawać, ani od niczego odstręczać! Tym bardziej, że wpadł, jak wicher, Adam Gwóźdź.

— Był tu Strup?

— Nie. Co się stało?

— Wie Pani co on zrobił? Nikt nigdy nie zgadnie. Ale zaraz... Był po swoje 400 pezów?

— Nie.

— No, to jest całkiem fijoł chłop! Ja jego zobaczyłem przy Greku „Arystofanes”, jak on na burcie tego Arystofanesa mazał kredą. Stał przy burcie i kredą na niej malował małpę jakąś albo niedźwiedzia, bestię na dwóch ł-



pach, a pod spodem napisał kredą wie Pani co? : 88 łamane przez 77! To właśnie, na czym wygrał na kinieli! Świat się kończy, pomyślałem...

— Jezus Maria! — przeraziła się Pani.

— Jak Boga Kocham! Chciałem do niego podejść i o leżących pieniądzech objaśnić, ale on jak mnie zobaczył, chodu! Szorował ode mnie, jak motocykiel. Wariata miałem gonić? Tu wpadłem. Szkoda chłopca!...

— Oj, panie Adamie, co pan powiedział, to jest okropna rzecz!

— Zapomniałem jeszcze powiedzieć, że w ostatniej chwili przed ucieczką dopisał on kredą: PPP...

— Gdzie on mieszka, może który z was wie, niech pójdzie do niego i porozmawia?!

— Gdzie on mieszka? w całej Punta Chata może jedna osoba wie, gdzie Strup mieszka! Ale jeszcze jedno zauważyłem: Na twarzy był on przystojniejszy i nie taki czerwony. Co z tego, kiedy widać strupy z jednej strony mu zlażyły, a z drugiej wylażyły. Przykre, ale trzeba nad nim postawić krzyżyk. Tylko co z tymi pieniędzmi będzie?

Bobuś ni w pięć ni w siedemnaście się wtrącił:

— Biedny. On bardzo lubił czarną kawę i mnie kilka razy zaprosił. Mnie jego żal...

Ten Bobuś, ten Bobuś!

## XV.

Na Sylwestra w Domu Polskim, w upał piekielny, pot się z człowieka lał — i lał się pot ze wszystkich, którzy tam byli, z ludzi dwustu, z Polaków samych i z kilku czarnych.

Bez mała cała czateńska Polonia zmieściła się w Domu na Sylwestra. Byli z rodzinami w komplecie prezesi i sekretarze, członkowie płacący składki i ze składkami zalegający, państwo różne, które raz na rok na Sylwestra się pokazywało, tak samo biedota z dalekich bariów, która przyszła polskiego słowa posłuchać — i tacy, co się musieli pokazać, i tacy co się chcieli udzielić, i tacy, którzy chcieli w gronie popić, i tacy, którzy mieli ochotę potańczyć, i tacy, którym się zdawało, że jak przyjdą, to sobie zaraz

coś dalekiego, kochanego i uciekającego z pamięci przypomną. Był też młodego pokolenia huk, jeśli kto pamięta Różanę i Bielsk — takiego właśnie, któremu normalną koleją rzeczy łatwiej się było porozumiewać po tutejszemu, aniżeli po polsku; która to młodzież, nosiła biało-czerwone kokardki, zaś co więksi eleganci polskiego, srebrnego orzełka.

I po to był Sylwester w Domu Polskim — ażeby — mimo nieszczęść tylu prywatnych i wszechświatowych — żywotność mogła bić z patia Domu Polskiego pod niebo, natryskane gwiazdnym nasieniem tutejszym...

Zimne piwo gorąc łatwiej pozwalało znieść: chłodziło kiszkę i lubością szczypało serca...

Od piwa był pan Misiak, ten, co dawał 3.50. On to, a nie kto inny, przy bufecie się zwijał, i nie dla żadnej kariery, ale z patriotycznego podszeptu nalewał, wydawał, kartki stemplował, szklanki mył — i choć dwa domy i samochód posiadał — z zakasnymi rękawami w pocie czoła piwo nalewał, pianę skrawał i dolewał — na co patrząc — kto się jeszcze ośmielił szczeknąć marne słowo na pana Misiaka?

Marne słowo nie na pana Misiaka, ale na paną Grzegorzę Łunę wypowiedziała własna małżonka jego, pani Łunina, w obecności pani Misiakowej, z piekła rodem, i prezesowej Gackiej: — Mówięz mu, mówiłam, Grzegorz, pilnuj starszego dziecka, bo dziecko ma 39 stopni gorączki, ja zaś potrzebuję iść na ferie i wcześniej nie wrócę, niż za godzinę. Wracam, kobiety moje kochane, patrzę, chore dziecko przed domem w jednej koszulinie bawi się na ulicy, a Grzegorz wiecznym piórem smaruje program dla O. O. i nie wie o niczym. Powiedziałam mu, powiedziałam, jak w mordę ciebie nie trzasnąć, Grzegorz, a on się zasępił, więc, kobiety kochane, go trzasłam, bo albo co?...

Przed północą miało być przedstawienie, co najwyraźniej zaznaczył w rozesłanych na czas zaproszeniach prezes Juan Gacki. Było. Czyściutkie polskie pędraczkę wbiegały jedno po drugim na scenę i — bla, bla, bla! — kto ty jesteś? Polak mały — przedziutko, żeby jak najprędzej i najładniej — zebranej publiczności blablały. Też i łyzy zrozumiały ocierali z oczu dumni rodzice, jak również ci, co dzieci nie mieli, albo je potracili w przeciwnościach życiowych.

Odę do Młodości porąbał z uczuciem Władzio Salop. Wreszcie wjechał na scenę gwóźdź programu, krakowiak w strojach narodowych, przez Adama Gwoźdźdia prosto z Gzowa, jak bukiet polskich kwiatów do Chata przywieziony! Zatrzęsło się, zabrykało, najzgrabniej brykał Ambrosio i brat jego Adolfo, najśliczniej przebierała nóżkami w czerwonych buciczkach seniorita Elena Gacka. W kółko, na okrętkę, na zabój, jeszcze raz odtańczyli, rozmilowana w cudnym widoku, publiczność tupiała żeby jeszcze raz — więc tańczyli, w boki się brali, pasiakami migali i tak ślicznie brykali, że aż pani Gacka ręce załamała: A Jezus Ty mój!

Tę ucztę duchową uczuł się zmuszony przerwać z urzędu prezes Gacki w sposób namaszczony i ważny:

— *Pero...* co chciałem powiedzieć?... *pero* bije godzina dwunasta!

Biła godzina dwunasta. Biła na zegarze w Domu Polskim pod obrazami wodzów i mistrzów, i zobaczyli ją, kto chciał, na ręcznych i kieszonkowych zegarkach — a z miasta doszedł alarm powszechny — i raz, dwa, trzy i dwaście nastął w Punta Chata Rok Nowy!...

Natychmiast z urzędu powstał pan Kapitan Wupe i wygłosił treściwe przemówienie, w którym dał wyraz wiary. Po hucznych brawach, pan Misiak znowu zaczął nalewać piwo — i nalewał — aż w końcu zabrakło kufli.

Piwa nie chciał pić, bo nie lubił, inż. Rumak, na patio Domu Polskiego przy stoliku Kapitana Wupe, gdzie rendez-vous naznaczył sobie kwiat inteligencji, i gdzie panie miały ondulację i wieczne rumieńce. Inżynier Rumak, ambitnym działaczem na dużą skalę przed wojną będąc i mały Dom Polski po raz pierwszy z blablającymi pędrakami widząc — trzymał się za głowę jak przy bólu głowy i jęczał tak, że go słyszał Kapitan Wupe: — Za jakie grzechy, za jakie grzechy?!

W tym czasie Wiesio Bączek czaił się jak kot i skradał się jak kot od ściany na patio do ściany na sali tańca, i na dół, do ściany w sali bufetowej. Do każdej ze ścian przyklejał się na minutę i patrzył co się dzieje, wszystko co się działo, śledząc bystro.

Więc — z ulgą dla konspirantów — zaraz po godzinie dwunastej, zjawił się jak był powinien na zaproszenie Konsul Antwerpski w Fordzie aerodynamicznym, i zaraz

prezes Juan Gacki wyleciał mu naprzeciw, i wysadziwszy, prowadził do bufetu, a wtem zabiegły im drogę dwie seniorytki z szarfami na białych bluzkach — biało-amarantową kokardkę antwerpskiemu konsulowi wpięty w kłape białej marynarki, a Konsul, zgodnie z przewidywaniami, rzucił na tackę 5 pezów! W podwójnych potem lansadach prowadził go do bufetu Prezes Gacki, co widząc pan Misiak — przestał obcinać piwo, i do trzech kieliszków nalał trzy koniaki.

Wiesio prężył się pod ścianą w bufecie, gdzie miał teraz najlepszy obserwacyjny punkt artyleryjski. Spozrzegł natychmiast szefa Bolesławskiego, który do bufetu pruł, jak rozbitek do brzegu; a gdy do brzegu przez tłum bufetowy dobrnął — za piwo, za kanię i za grapę się wziął, nie widząc, że łokieć w łokieć stoi przy nim wróg ogniomistrz Lipiński, i łokieć w łokieć wróg Gacki, i wróg Grzegorz Łuna, a największy wróg Konsul Antwerpski kieliszek z koniakiem, który nalał wróg Misiak, podnosi do ust i wychyla!

Zaczęli się też wkrótce trącać kieliszkami przy bufecie śmiertelni wrogowie. A że wrogowie byli, wynikła kłótnia taka, że Wiesio zaczął spoglądać spode łba.

Zaczęło się od tego, że pan Misiak mokną pięścią dał w bufet i zagroził: to jest moja kolejka! Konsul Antwerpski, przy bufecie rozczapierzony, mięciutko zaoponował: — Pozwólcie, rodacy, ten drobiazg niech do mnie należy i wszystkie następne temu podobne drobiazgi! — Ktoś z dalszych bufetowych szeregów krzyknął: Wiwat! — Na co, jak na co, ale na to w żadnym wypadku nie mógł się zgodzić szef Bolesławski i usta otworzył (Wiesio na ustach mu zawisł), usta otworzył i zaprotestował: My, polskie ofiary, też mamy swoją hardość i wiemy co do nas należy; panie Misiak, ja płacę! — Wpadł w złość cięty ogniomistrz Lipiński: — Nie lubię — wykrzywił się — kiedy żaba nogę podstawia, płacę ja albo płaci Gacki, co będzie sprawiedliwe, wedle stawu grobla i wedle materialnej proporcji!

Na tę propozycję zgodził się natychmiast prezes Gacki i: — *Seguro...* — rzekł — bardzo przyjemnie, ja płacę. — I zapłacił.

Konsul Antwerpski wyjął paczkę jasnych papierosów i poczęstował wszystkich obok. Jedni wzięli, drudzy nie,



ci co nie wzięli mieli przyzwyczajenie palenia cygarów czarnych. Jednym i drugim połączoną zapalniczką Konsul dawał ognia, po ten ogień chylili się jedni i drudzy tak, by zapalniczka z cygarem mogła się spotkać na pół drogi. Ognia odmówił palacz prezes Gacki (Wiesio pod ścianą zaczął się jak kot!), odmówił i wyjaśnił: — Proszę perdona, *pero* odmawiam, bo od sztucznego zapalania tworzy się w gardle rak! *Si!* — I zapalił zapałką.

Znowu rozgorzała między wrogami kłótnia. O głowę wszystkich przerastający szef Bolesławski wzrostu 2 metry, głosem wszystkich pokonał: — Ja nie pozwolę, ja się nigdy nie zgodzę, teraz ja płacę!

Za wszystkie czasy odegrał się na Szefie wróg Grzegorz Łuna i dociął zjadliwie: — Twoja, moja — moja, twoja — psia mać! — na przykład napijmy się! — ale nie ty, tylko ja płacę! — I zapłacił.

Wiesiowi zaczął przeszkadzać Adam Gwóźdź, triumfator wieczoru, szturchańcami w bok: — Ty, Wiesiek, pozycz mnie dwa pezy, bo tego...

— *Holà*, Bolesławski!

Przyskoczył Ambrosio Lipiński w sukmanie z wyłogami i do Wiesia po hiszpańsku: Czy ty, *vos*, co z tego rozumiesz, bo ja nie?

— A ty znowu czego?

Ambrosio rękawem krakowskiej sukmany machnął w stronę, gdzie, jak na komendę, sięgali po pełne kieliszki ojciec Lipiński, Gregorio Łuna i szef Bolesławski w sąsiedztwie antwerpskiego konsula. — *Entonces*, za jaki kartofel ja się męczę na Churro?

— *Andate* — Wiesio się wściekł — idź won, *chancho sucio!*

Jak na zawołanie — *vamos!* rzekła do Ambrosia Elena Gacka, blondyneczka z oczkami jak turkusiki i z paciorkami na kontusiku, w tęczowej spódnicy i w czerwonych buciczkach — i Ambrosio i Elena, krakowska para urodna, nie won, ale na salę tańca pod rękę poszła, gdzie kłótni w tym momencie nie było, tylko ochota i zabawa, zdrowa na młode lata.

— Czt, czt, Bolesławski! *Holà*, Bolesławski!

Nową przeszkodę w żarliwej obserwacji spowodował gwałcik przy stoliku inteligencji, gdzie inż. Rumak za głośno się uniósł, mimo że go kpt. Wupe mitygował. — Gdy-

by Gomółka uciekł i był tu, też by go koniakiem traktowali i wpięli do klapy kwiatek! — Kapitan Wupe, taktyk, rozsierdzonego umitygował. Umitygowany inż. Rumak — prawda — rzekł — wszystko psu na budę się nie zda i nie ma żadnego znaczenia, przejmować się nie warto...

Inżynierowa Rumakowa dokończyła za męża perlistym śmieszkiem : — Pośmiać się warto...

— Bolesławski ! Eeej ! Czt, czt, Bolesławski !

Na nic. Miejsce przy Wiesiu zajął zgorzkniały w męczącym życiu ojciec chłopca Salopa tego, co z uczuciem porąbał Odę do Młodości. Przypiął się do Wiesia i wyluszczał : — Wisz ich, koka-kolę i maltę piją, bo tańsza i mniej panom pod nosem śmierdzi, niż piwo ! A głośne takie ! A szydliwe i naśmiewające się ! Wisz ich, jeśli na Nowy Rok do chłopów przyszli, dlatego, że od chłopów widocznie potrzebują ! *Caramba !* Jakby nie potrzebowali, szliby do kasyna. Peza na skarb, peza na radio, a każdemu oddzielnie potrzebna gwarancja na mieszkanie i może jakie sto pezów na eskriturę ! Gdyby nie potrzebowali, nie przyszliby, nie ? Zagwarantować mogą tamto owo im gdzieś !

Wiesio tego wyluszczenia nie słuchał, tylko śledził, jak za bufet wstąpił ogniomistrz Lipiński, bo pan Misiak z nalewaniem i obcinaniem sam już nie mógł dać sobie rady. Takie się bowiem zrobiło obłężenie bufetu, że tylko ręce było widać, wyciągnięte po piwo i po frankfruty ; i tylko głosy było słychać : panie Józef, panie Franciszek, a mnie to nie, a ja to pies?!

Przyklejony do Wiesia i gorzki jak smoła ojciec chłopca Salopa, niezrażony brakiem audytorium, wyluszczał : — Gacki, wiesz Gackiego, Misiaka i Gackiego — podmiłają się zdradzonemu konsulowi, bo idiotom się zdaje, he, he! — że jak się podliżą koniakiem z tego powodu dostaną progres klasowy, a ich córeczki będą grabianki, e, e, e! — he, he, he! a coś im gdzieś, nie?

W ciśniejszym bufetowym tłumie nie łatwo było zauważyć pana Masło, choć był. Niziutki, okrągłutki i wesołutki, taczał się między nogami pijących w formie jajka, kogo złapał, chwycił za guzik, w danym wypadku chwycił pana Rożka w trzecim szeregu, który z wywalczoną kiełbaską walczył o miejsce do zjedzenia kiełbaski i podetknął panu Rożkowi pod wąs kufel piwa. — Pij!

— Pij — mówił. — Od Turków se zacznie, ale Turki głupie nie będą winowate...

Kiedy polityką zajechało, ktoś z boku zajechał : — Nie Turki, ale Makartur wyrznie spode łba i zobaczycie, jak się posypie!

Polityka raz zaczęta, bez niczyjej pomocy nabierała rozpędu : — Makana i tonteryja, czyli głupota jest, bo oni przez biegun północny się zamachną i stamtąd rypną, oni nie takie głupie!

— Od Turków se zacznie! — wrzaskliwie obstawał przy swoim pan Masło, niezadowolony, że jego prognostyk tonie w powodzi innych tez.

Napodurędził się przypadkiem Bobuś smyk, który ujrawszy pod ścianą zaczajonego Wiesia, chciał się do niego przepchać.

Ale Bobusia chwycił za guzik pan Masło i łatwo nie puszczał : — Człowieku! Nie wierz tamtemu, bo od Turków se zacznie. Powiadam tobie, człowieku, że od Turków se zacznie, ale Turki głupie...

Bobuś brzdąc przeląkł się, szarpnął i odskoczył, nie wiedząc, że pan Masło jest lekarzem na wszystkie choroby i mówił o tym co najważniejsze, w samej rzeczy o wojnie...

— Czt, czt, Bolesławski! Czt, czt — czt, czt!

Wiesio zdesperowany powziął szybką decyzję :

— Bobuś, chodź tu! Jest źle! SzeF pije jak wieprz! Jemu nie wolno się upić, bo jest plan! Uważaj, co tobie powiem, bo nie widzę innego remedia. Jest plan!..

Wiesio miał grozną zmarszczkę na brwiach i usta ściśnięte w kleszcze.

— Ja ciebie wtajemniczam, Bobuś, bo jeśli SzeF sfrakasuje, ty będziesz niezbędny. Bobuś, ja ciebie wtajemniczam!

— Czt, czt, czt! — zaczął na wszelki wypadek bez rezultatu, po czym Bobusia pod ścianą we wszystko szepetem wtajemniczył, a Bobuś, jak to Bobuś, zgodził się natychmiast, sapnąwszy : o jej!

Tymczasem przy bufecie gwar doszedł do zenitu z różnych przyczyn, z pierwszej, że pan Misiak odbił nową beczkę piwa i wkręcił kran, z drugiej, że politycy oblegli pana Konsula i zaczęli mu wiercić dziurę w brzuchu i pan Konsul czuł się skrępowany — z trzeciej, że szef Bolesławski

postawił nareszcie na swoim i postawił kolejkę — jak również z innych pomniejszych przyczyn...

W zenicie gwaru — Szeł nagle rozgarnął rękami tłum, jak wodę — i w świetnej formie dobił do Wiesia.

— Ty ! — warknął ze śmiertelną urazą Wiesio wściekły.

— Ja ? Z byka spadłeś ? U mnie zabawa zabawą, wstawianie wstawianiem, ale ty się nie bój, ja celu z oczu nie tracę, nie ! A ten smyk co tu robi ? — zdziwił się, widząc Bobusia.

— On pojedzie z nami !

— Niech jedzie. Tylko niech nie pada i nie siusia, jak będzie co. A ty, dudku z Punta Czata, myślałeś, że ja robaka zalewałem, a nie ! Ja podstęp oraz wywiad robiłem i już jestem zorientowany w którym miejscu, tu właśnie (Szeł puknął się w czoło) będzie odpowiednie miejsce ! A ty szczyłu, teraz do ciebie mówię, jak ty z nami jedziesz, pamiętaj, co Wiesiek ma już w duszy zapisane, że nam twardości, i nic, tylko twardości nam jest dzisiaj potrzeba ! Ogólnie chcę powiedzieć, twardość a nie miękkość, kiedy cały świat twardy, my też musimy być twarde, a nie miękkie i jeśli nas różną, my musimy różnić nie z żadnej zemsty, ale spekulując na zdrowy chłopski rozum ! Rozumiesz, Bobuś, bo jeśli nie my ich, to oni nas, jak powiedziałem, wyróżną. Co zawsze powiadał śp. major Bóbr, gdyśmy w lasach brodzili. Zrozumiałeś, Bobuś, majora Bobra, czy nie rozumiałeś ?

Bobuś Sandalski po raz pierwszy w życiu zapragnął dostać choroby Św. Wita, ale nie dostał. Szeł się streścić : — Skutkiem czego dość tego gadania, mnie coś szeptę, że godzina przypila. Czas !

— Bolesławski, patrz ! — Wiesio Bączek, w cieniu obydwóch konspiratorów, podniósł marynarkę i w tylnej kieszeni spodni pokazał kolbę pistoletu, która sterczała.

— Oj, ja nie mogię ! Ja pękne ! On będzie uczył ojca dzieci robić ! — Szeł w śmiechu serdecznym przygarnął ich do siebie rękami. — Mnie ? ! Bobuś, ty jemu powiedz, co wiesz, jak ja w leśniczówce obera Dickmana z zimną krwią zastrzeliłem, jak psa ! On mnie... — śmiał się Szeł.

— Naprzód, chłopcy ! — wziął komendę w swoje ręce Wiesio zdeterminowany. — Przez Dom idziemy powoli, jakby nic.



Weszli na schody, jakby nic — na patio oświetlone tu-  
tejszymi gwiazdami, jakby nic, minęli stolik kapitana Wu-  
pe, gdzie inż. Rumaka brała w obroty pani Łunina — jak-  
by nic — i szli do żelaznej bramki, jakby nigdy nic...

Dom Polski w Punta Chata huczał za nimi i grzmiał  
i świecił życiem takim, na jakie go było stać...

— Biegiem! — zakomenderował Wiesio wódz.

Wzięli Szefa pod rękę i biegli wzdłuż kolejowego toru.  
Zaraz za rogiem stał aerodynamiczny Ford Konsula Ant-  
werpskiego, przezornie przez wynajętego chłopaka pilno-  
wany, by go kto nie uszkodził, lub nie zanieczyścił z głu-  
piej, politycznej mściwości. Minęli Forda. Zwolnili tempa  
i Wiesio zapytał :

— Iglę, szmatę i chińską tintę masz ?

— Uf !... Mam.

Po torze przeleciała lokomotywa ze spóźnionym nowo-  
rocznym alarmem. Skręcili na lepszą ulicę i szli kilka kwa-  
der w górę i w dół do przystanku, gdzie szczęśliwie zła-  
pali tramwaj. Wsiedli i pojechali, zgodnie z planem. W  
tramwaju Bobuś nagle sobie przypomniał, że Skarga to  
straszna, jęk to ostatni, do Ciebie Panie, bije ten głos !  
Szef wbił sobie w głowę i podśpiewywał, że Gęsi za wo-  
dą, kaczkę za wodą, uciekaj Kasiu, bo cię pobodą ! Wie-  
sio nic sobie w tramwaju nie przypominał, więc przez całą  
drogę groźnie milczał.

## XVI.

Na pniach drzew Świętej Ryty i drzew rajszych kwitły  
białe i liliowe powoje i kwiaty Nocnych Dam.

Granatowe powietrze nocy wisiało nad pustkowiec,  
zbierając się w kropelki na twarzach konspiratorów i na  
żelaznej balustradzie willi Belvedere...

Szef trzymał się prosto; otarł czoło i oznajmił wiado-  
mość, że zaduch piekielny jest, a od tych kwiatów robi mu  
się słabo.

— Co tak huczy ? — spytał nieśmiało Bobuś brzdąc.

— Żaby z *Parque Atenas* ! Bolesławski ! Jak było umó-  
wione, stań tu ! Pamiętaj : jak dziób Forda nakieruje się  
na estradę a fary pójda na Belvedere, a on wyjdzie, żeby  
otworzyć — ty podskoczysz i skoczysz ! Wiesz ?

— Głupi !... Myśli, że jak dwa tyki wypitem, to już nie wiem, że się nazywam Bolesławski ! Ot tu się przy czajam i wyskakuję. Tu, tu !

— Si ! Bobuś, my się przy czajamy z drugiej strony w cieniu drzew, żeby nas gwiazdy nie zdradziły. Niech tylko ten Bolesławski nie zaśnie, *Dios me libre ! Chancho*, wieprz ! Słyszysz, rzyga ? !

— Nie; kaszle,

Przyczaili się na swoich miejscach, zgodnie z planem. Noc gorąca szemrała, niektóre złote punkciki odczepiały się od nieba i między rajsłkami drzewami na kwiatach powojów siadały, i błysnąwszy, z powrotem odlatywały do nieba. W zechcyka grały świerszłcze tropikalne, zech-cyk, zech-cyk, skrzydełkiem o skrzydełko, kto tego słuchał, musiał wąpić, czy co kiedy w życiu jeszcze wygra i gdzie się właściwie znajduje. W nozdrzłch dokuczal zapach Szłchów Perskich i męczył zapach słodkiego błota, i kto tam wie ! — zapach tego, co w upalny Nowy Rok w żaden sposób po naszymu nazwał nie można...

— Wiesio ?

— Co ?

— To nie są żaby !...

— Co ty gadasz ?

— Wiesio ! Żaby są inne ! Ja znam żaby ! One inaczej rechoczą i mnie nie powiesz, że co tak huczy i huczy, to są żaby. Ja żaby pamiętam, słowo daję ! Ja łiebie przepraszam, Wiesiu...

— Stul się, Bobuś ! Już świeci !

Prawda ! Naprzód łuna zaczęła chodzić po niebie, potem blask się skoncentrował na łasku palmowym, potem już nie było wąpliwości, że samochód do Belwederu się zbliża na dużym gazie.

— Czt, czt, Bolesławski !

— Oheej ! — odpowiedział czujny głos, zgodnie z planem.

Powychodziły na wierzłh kształty w nocy utajone, drzewa nowe, żywopłoty inne, szczegóły nieoczekiwane, wyprowadzone na jasne światło mocą fordowskich łatarni. Z piszczeniem opon Ford zwolnił i zawiął półkole : natychmiast znikły żywopłoty i drzewa; Ford stanął : natychmiast wyrosła brama belwederska i sam konsulowy Belweder.

Bobuś szeptał : Aniele Boży, Stróżu mój, ty zawsze przy mnie stój, rano, wieczór, we dnie, w nocy...

Dokończył prawie głośno : bądź mi zawsze ku pomocy ! — Wiesio wytknął głowę i śledził, czy nikt nie idzie.

Konsul Antwerpski, otworzył drzwiczki i zaczął się grzmolić, żeby otworzyć bramę do Belwederu.

Przyszły sekundy kulminacyjne.

Motor warczał, świerszcze nie grały, zapach benzyny zjadał zapach kwiatów.

Plan przewidywał, żeby nie dać Konsulowi wejść w światło latarni, ale przyduścić go, zanim się wyłoni na tle bramy. Szef był tak umieszczony, że mu tylko potrzeba było trzech kroków do skoku.

Konsul, jakby znał plan, nie zamknął drzwiczek i zrobił krok jeden i bardzo długo się ciągnący krok drugi.

Wiesio gwizdnął (zagwizdał z emocji fatalnie), na znak, że droga wolna. Co będzie ?

Właściwie nic nie było. Nic nie było widać w obliczu jasnego Belwederu. Chrząścił żwir pod nogami Konsula — nagle przestał chrząścić, coś jakby ciemniej i gęściej się wydało w cieniu Forda, i w tym samym momencie ktoś tam dostał czkawki i czknął. Ktoś inny westchnął głęboko z głębi serca. Trudno się było zorientować, kto co zrobił, i czy stało się coś, czy nie — i jak zwykle w momentach kulminacyjnych, nie było wiadomo, czy już, czy nie.

Bobuś wpił się palcami w ramię wiesiowe, Wiesio się szarpnął : Puść !

Obok skrzydła Forda beczelnie głośno rozległ się bas Bolesławskiego : — Mam ptaszeczka w garści i nie puszczać ptaszka, nie puszczać, o nie ! — I z głębi serca czknął.

Zaraz po momencie kulminacyjnym, zaczęły grać świerszcze i Nocne Damy nastały wonie cudne, i natychmiast Wiesio dał susa z kryjówki, a za nim Bobuś, do ptaszka !

Szef Bolesławski wzrostu 2 metry trzymał Konsula przewieszzonego na łapie, jak gąsiennicę, która udaje martwą, drugą łapę trzymał Konsulowi na ustach w taki sposób, że jeśli o Konsula chodziło, cisza była absolutna. Bobuś się zląkł :

— On nie żyje ! Ojej !

Szef trochę popuścił, Konsul zagmerał nóżkami i Szef uspokoił : widzisz, trup wierzga !

— Nie takich ja konsulów — SzeF wpadł w zapał oratorski — podciskałem na pęczki i może teraz głupi Wiesio zrozumie, że ja, to ja! — Czknął. Z Konsulem na rękę dostał repetującą czkawki.

Wiesio znowu objął komendę. — Do wozu go, na tylne *sitio*, na podłogę, chustkę w bokę i nogami trzymać, żeby nie wyskoczył. Szybko, szybko!

Wykonano. Konsul ani zipnął, leżał na podłodze swego Forda, a na nim umieścił buciary szef Bolesławski i ledwie go dotykał noskami Bobuś brzdąc. Wiesio wsunął się za kierownicę i z energią włączył tylny bieg.

Zazgrzytało okropnie, przyroda oniemiała, Ford się wykręcił w tył. Potem do przodu. I poszło — uf! — coraz szybciej, coraz dalej, coraz niebezpieczniej, od nocnych Dam i od Belwederu...

Jazda była piekielna; Wiesio gnał jak opętany, że nawet SzeF się zaniepokoił i : — ty — spytał — na wesele się tak spieszysz, czy gdzie? — Po raz pierwszy w nocy *manehuje*, ciekawy jestem jak mi pójdzie! — odpowiedział Wiesio i gnał. Alejki się skończyły, pokazało się pole. Na polu przydrożnym wyrastały kaktusy i agawy, niebezpieczne i ostre. Nagłe zakręty pojawiały się bez uprzedzenia, a Wiesio w nie wpadał jak w znaki zapytania. — Smierci szukasz? — sennie zapytywał SzeF i ckał. Bobuś trzymał nogi w powietrzu i męczył się niewypowiedzianie, bo Konsul pod nogami ani drgnął. W wozie było światło niebieskie, a z pustych okienek wiatr podmuchiwał jednym ciągiem. Bobuś pochylił się i sprawdził, czy chustka za bardzo Konsula nie dusi, chustkę rozluźnił, po czym Konsul Antwerpski stęknął z ulgą. SzeF rozkietznał się pod szyją, wyciągnął wygodniej na siedzeniu, papierosa z trudem, jako że przeciąg był, zapalił i z papierosem, z którego wiatr ogień wydmuchiwał — jechał; mrucał o majorze Bobrze, co choć świętej pamięci, ze względu na dzisiejszą twardość, powinien być zadowolony! Wiesio, schylony nad kierownicą, w furii radosnej, gnał i gnał. Powietrze poświsływało, kaktusy i zakręty przelatywały. — Udało się! — głośniejszym głosem stwierdził SzeF i czknął dwa razy raz za razem. Wiesio gnał i gnał. — Zobaczcie, czy nikt nas nie goni! — Nikt ich nie gonił. SzeF chciał wyrzucić przez okienko papierosa, ale nie trafił, niedopałek upadł na Konsula, Konsul jęknął, SzeF ziewnął : — spać mnie się chce! —



Bobuś gorączkowo zaczął szukać niedopałka, znalazł i wyrzucił. Nagle Szeff się zaniepokoił : — Mam takie wrażenie, że od tej jazdy komuś, z przeproszeniem, rzygowiny zbierają się w ryju, nie wiem Konsulowi, czy mnie ?

Tak jak było w barowych naradach ustalone — Wiesio w pewnym miejscu skręcił w bok, na bezdroże, gdzie latarnie Fórda rozjaśniły stojące w gronie drzewa eukaliptusowe i dalej morze.

— Stop ! — Wiesio zahamował i z zasłużonym triumfem oznajmił : — Was przywiozłem !

— Wiesiu — pokornie poprosił Bobuś — zobacz, czy ptaszek żyje !

Ze swego miejsca Wiesio z pośpiechem wymacał, że ptaszek był spocony, a zatem żył, więc odpowiedział : co nie ma żyć ? !

Zgasił latarnie i ciemność zapadła ; zgasił motor i cieższa zapadła. Ledwie to uczynił, eukaliptusy zaczęły się wyodrębniać na tle gwiazd, bez światła inne, a ciche dotychczas morze zaczęło lizać plażowy brzeg z mlaskaniem i trzopotaniem.

— Chłopcy ! — My jego wyjmemy i położymy tu ! Raz, dwa, trzy, chłopcy, pod tego eukalipta !

Szeff Bolesławski, można powiedzieć, wbił w siebie ostrogę, jak w konia ambitnej krwi : — Żadne chłopcy, żadne raz, dwa, trzy — ja go sam — ot tak ! — raz, dwa, trzy !

Mówiąc to, wysiadł z potknięciem, natomiast nieszczęśliwego więźnia pochwycił sprawnie za brzuch, za nogę, za ucho, trudno było dojrzeć za co, i wyciągnął z samochodu, jak z chlewa. Tak go wyniósł i tak go też niósł za ucho i za nogę na miejsce pod drzewem eukaliptusowym, a doniósłszy, upuścił, komenderując : raz, dwa, trzy !

Konsul jęknął i spoczął. Po tym wysiłku, Szeffowi odbiło się mocno, wypite świństwo gazem wyszło — zatoczył się w odległą stronę, symulując dla niepoznaki : raz, dwa, trzy !

Wiesio był optymistycznie nastrojony co do dalszego ciągu i ufał Szeffowi, że jeśli dotąd nie zawiodł, niechybnie nie zawiedzie i dalej. Bobuś pochylił się nad skazańcem i sprawdził, czy pod drzewem eukaliptusowym nie ma jakich bolesnych korzeni i czy tamten sobie wygodnie leży. W tym czasie zdążyły dolecieć na przelaj świerszcze, któ-

re przed Belwederem grały w zechcyka, i te same świerszcze grę tutaj w lasku kontynuowały. Przyzwyczajaiwszy się do nocy, morze się widziało, które miało coraz dłuższe języki. Spirytusowym ogniem gwiazd przygrzane olejki eukaliptusowe dymiły zapachem lekarstw, dobrych na tropikalne choroby...

— Wiesio, kto? Co to?

— Gdzie?

— Tam... Co na nas mruga!...

— Tam?

— Ojej!

— *Bobo!* To jest czerwona lampka od tyłu tego Forda, co ją zapomniałem zgasić, ale nic nie szkodzi, bo jej z carretery nie widać! Bobuś, powiedz mnie, czy dobrze się wprawilem Fordem kierować na ten dzień? *Fenomeno* było, e?

Dorosły Wiesio, sto razy doroślejszy od Bobusia, planu nie tracił z pamięci i nie czekając odpowiedzi, rzucił rozkaz: — Trzymaj tę *linternę* i świeć!

Bobuś posłusznie wziął od Wiesia latarkę i zaświecił. Przeląkł się w tej samej chwili, bo latarka oświeciła pień i zaczęła straszyć... Przykrył ją dłonią i światło przeszło przez palce.

— Nie bój się, Bobuś, zaraz będzie po wszystkim. Tu mnie poświęć...

Wiesio kucnął, obok niego Bobuś przycupnął, a pod nimi leżał zdrewniały Konsul. — Świeć mnie Bobuś, a ja go zawinę...

Usta Wiesia zwały się w kleszcze, ręce Bobusia drżały, kiedy świecił. W planie było przewidziane, że Wiesio będzie w posiadaniu sznurka, toteż go posiadał. Konsula Antwerpskiego sznurkiem obwijał i zawijał gęsto i raz przy razie, ale nie zaciskał; nie trzeba go było zaciskać, bo Konsul dawał się zawijać jak dziecko i tylko sarkał.

— Gdzie jest Szeł?

— On zaraz na pewno przyjdzie... on pewnie musiał pójść za własną potrzebą... On zaraz tu będzie, Wiesiu.

— Bobuś, ja tobie mówię, że czas ucieka. Czt, czt, Bolesławski!

Cisza. Morskie języki pochłapywały i świerszcze dokańczały partii.

— Bobuś, zdejm palce z *linterny* i świeć!

— Czerwony zdrajco! Mnie słyszysz?! — Konsul na znak, że słyszy, sarknął. — Żeby to, co ciebie spotka, nie było nadużyciem przemocy, jest dla ciebie sentencja. Marynarz Sandalski którego rodzinę z czerwonej winy spotkało straszne nieszczęście, przeczyta tobie sentencję! Proszę czytać, panie Sandalski!

Pan Bączek ze sztywnych palców pana Sandalskiego wyjął latarkę i nie zaślaniając palcami zaświecił ostro; jednocześnie panu Sandalskiemu wręczył papier, który wydobyl z kieszonki spod serca. — *Adelante*, panie Sandalski!

— Aniele Boży, stróżu mój...

— Sandalski!

— Wyrokiem wolnej Rzeczypospolitej, za zdradę i za świństwo...

— Słyszysz? — Konsul spowity sznurkiem zadrzał pod piernem na znak, że słyszy — ...za świństwo, które zrobiłeś w Antwerpii znanym nam marynarzom... — Wiesio, mnie się miga, ja nie widzę!

— Czytaj teraz!

— ...nam marynarzom, Kowalskiemu, Zajlichowi i obecnemu Trości, za które marynarz Zajlich i Kowalski po dziś dzień męki czerwonego terroru cierpią...

Ptak przeleciał z łopotem, a z głębi lasku doszło warczenie grubego zwierza. Też morze chlapnęło blisko...

— Czytaj, Sandalski!

— ...i za świństwo posiadania po tym wszystkim Forda ostatni model i domu, który... jak... na ironię... nazywa się Belweder...

— Słyszysz, czerwony zdrajco?

— ...będziesz...

— Proszę dokończyć, panie Sandalski!

— ...będziesz napiętnowany zdrajcą po wieczne czasy na postrach wszystkim innym zdrajcom! — dokończył pan Sandalski zduszonym tchem.

— Słyszałeś sentencję, a zatem wiesz, co ciebie czeka, zdrajco?!

Ostre światło latarki w ostrym skrócie z białego papieru przeszło na białą twarz więźnia.

Ha!

Pan Bączek odłożył latarkę czołem w mech, który też w małym promieniu rozpromienił się na srebrno. Gdzie indziej była noc. Konsul sarknął. Ktoś gdzieś gadał i za-

gadało coś w łasku eukaliptusowym, i słychać było ogólne gadanie i sarkanie.

— Czt, czt, Bolesławski!

Według planu SzeF był teraz koniecznie potrzebny, ale nie nadchodził. Czt, czt — i czt, czt! — nic nie pomagało. Wiesio chwycił na nowo latarkę i po krzakach i pod pniami błyskał — zabij się! — nie ma Bolesławskiego! Ani pod tym krzakiem, ani pod tamtym pnem, ani doszedzisz do Forda, nie ma Bolesławskiego ani w Fordzie, ani pod Fordem! — Bobuś! Gdzie się podział wieprz Bolesławski?!

— Gdzie się podział? Ja nie wiem... Może chory jest SzeF?

Znaleźli go przecie, bo człowiek takiego wzrostu i miary nie mógł przepaść jak sople lodu w nagrzanym lesie. Znaleźli go o dobre sto kroków od miejsca wyznaczonego, na suchym mchu, pod białym pnem grubszym niż inne, leżącego na wznak, z gębą otwartą, którą zdawał się podziwiać niebieskie w Ameryce królestwo. Wiesio go zaraz trącił nogą:

— Wstawaj, Bolesławski! Czytanie się odbyło, twoja kolejka! Wstawaj, SzeF!

Co zrobić, kiedy tamten nie wstawał!? Wiesio przykucnął i zaczął go tarmosić. SzeF we śnie głębokim tarmoszeniu łagodnie się poddawał i spał. Za nos go w ostateczności Wiesio wziął i pociągnął.

Sójkę w bok dał i w udo z całej siły uszczypnął. SzeF mruczał i dalej cudownie spał.

— Bolesławski! Ja ciebie proszę, Bolesławski!...

— SzeFie! — też zaczął prosić przerażony Bobuś brzdąc. „Bolesławski” ani „SzeFie”! nie pomagało, SzeF spał.

Wiesio zerwał się, bliski szału: — Bobuś, tamten czeka na wyrok, a ten śpi! Widzisz, już się na niebie wybiela! Tego wieprza nikt nie obudzi! *Dios me libre!* Bobusiu kochany! Ja tobie poświęcę, a ty jemu zrób!

— Mamusiu, ojej!

— Bobuś! Sentencja musi być dokonana! Przecież jesteś marynarz, wiesz jak! Igła i tinta jest przy SzeFie, ja tobie poświęcę, ty jemu nakłujesz słowo przez szmatkę i tintą napuścisz. On związany! On ci nic nie robi! Bobuś, jakby co, ja ciebie obronię!



Wiesio błagał. Kopiając od czasu do czasu, bez wielkiej nadziei, szefa Bolestawskiego, zaklinał jak najzarliwiej Bobusia, żeby, po tylu wspaniałych wyczynach, po tylu planach, nie pozwolił na sfrakasowanie wyroku wolności i żeby nakłuł! — Przecież on tam czeka! — rzucił ostatni argument, święcie wierząc, że Konsul związany naprawdę wykonania wyroku niecierpliwie wygląda...

Bobuś ukląkł. — Wiesiu! Jak mamę serdecznie Kocham, ja tobie przysięgam, że ja nie umiem nakłuwać!...

Rozpacz i jednocześnie tłumiona radość była w głosie klęczącego Bobusia.

Zaraz morze nadbiegło z językiem mlaszczącym, i zaraz ptak zapowiedział, że nadchodzi godzina świtu.

Po dłuższej chwili Wiesio rzekł, więcej do siebie, niż do Bobusia: — Forda się nauczyłem prowadzić, ale tatuować nie! *Dios me libre!* — I po raz ostatni kopnął Bolestawskiego, a ten jęknął: Zosiuniu!...

— Wiesiu, słyszysz, już nic nie huczy i nie gra, tylko morze się pieni i fale błyszczą...

— Marsz! — krzyknął na cały laszek Wiesio wódz.

— Wiesiu...

— Marsz! *Adelante!*

— Wiesiu, a SzeF? A z biednym ptaszkiem związanym co będzie? Wiesiu, jakto marsz?

Wiesio zrozpaczony uczynił to, czego później żałował: uderzył Bobusia, jakby to był Bolestawski. — *Te digo*, marsz! Chcesz żeby nas jeszcze za samochodowych ladronów za to wszystko złapali, *adelante* ci mówię, marsz!

Pognał Bobusia do Forda. A że naprawdę w jednym miejscu seledynowo się zaczęło robić na niebie i gwiazdy znikwały — wsadził go do Forda, motor zapalił, latarnie zaświecił, bieg jeden, drugi i trzeci włączył i pognał. Bobusiowi się zdawało, że samolot pofrunął, a nie Ford. Nadleciały znajome kaktusy i agawy na białej drodze i znaki zapytania, oznajmiające zakręty, tylko teraz, jak w piśmie hiszpańskim, odwrócone na drugą stronę. W fordowskim świetle niebieskim Bobuś widział usta Wiesia, spięte kleszczami. — Chce nas zabić! — pomyślał. Nie przeraził się tym, tylko przeraził się krzyczącą niesprawiedliwością. — Wiesiu!

— Wiesiuniu! Ja tobie daję słowo honoru, że SzeF jest dzielny! Ford wziął zakręt na dwóch kołach, że było

o włos! Ranne, zielone światło zaczęło się silić z żółtymi latarniami na krętej drodze. Była też już widoczna kępka palm. Bobuś nic więcej nie mówił.

Jeśli nie ma sprawiedliwości, niech się wyłoni śmierć!

Wyłoniła się alejka w okolicy Belvederu, gdzie tej eskapady odbył się początek i finał. Grobowy Wiesio zatrzymał wóz o kwadrę od Belvederu, pogasił wszystko i wysiadł. — *Se acabó*, skończyło się! — Nadleciał znajomy zapach słodkiego błota i Nocnych Dam. Wiesio z całej siły kopnął Forda:

— *Que te vayas, cholera, a la mierda!*

## XVII.

— Widzi pani — mówił w Kiosku pan Łuna — czy ja się pani naprzykrzam, albo dokuczam? Nie! Ale na przykład taki kapitan Wupe, kiedy w Głosie i w Godzinie dał o Sylwestrze, wymienił ma się rozumieć tego łotra Gackiego i tego Misiaka i wymienił po rodzinie wszystkie małe klejnoty, co wierszyki przepowiedzieli — ale o nas z O. O. najmniejszym słowem nie stwierdził! Kiedy przypuszczalnie my postarali się o *permiso* z Municipio, i my, a na przykład ja, cztery beczki piwa na Sylwestra do bufetu po cenie ulgowej na własny koszt przytaskałem! O nas nic! Czy to nie jest dokuczanie? I do tego jeszcze kapitan — i komu? — swojemu własnemu Związkowi! Jak to złe ludzie potrafią za podszeptem łotrów robić podle! Masz pani tutaj przykład namacalny...

Po Sylwestrze w Kiosku zbierały się wszystkie nici i nawijały się wartko, jak na szpulkę.

Pewnego wieczoru zajechała samochodem polska para dyrektorska, Świętemu Antoniemu powodzenie zawdzięczająca, żeby Panią, — która z powodu życiowych trudności w Kiosku sterczała — na duchu podnieść. Na ducha ją podnieśli w oczach barowych panien, robiąc przyjazne w okienku gadu-gadu:

— Słodziutkiej tu musi być duszno, czemu słodziutka kiedy nie wybierze się z nami za miasto na spacer? Prosimy, prosimy... Rumaków więcej nie zaprosimy, po tym brzydkim, co Rumak na Sylwestrze powiedział o mężu, co mi powtórzyła ta kochana Zonia Wupowa. Tyle do-

brego im mąż wyświadczył, a oni do grzechu przywodzą, bo się myśli, że nie warto być dobrym! Ale czy wie słodziutka, że Rumak zbłądził się na Sylwestrze, bo podobno głośno powiedział, że ani obchodów, ani w ogóle nic robić nie warto, na co mu powiedziała jedna chłopka, że gdyby Piast tak samo myślał, to by nigdy narodu polskiego nie było! Dobrze powiedziała ta chłopka, prawda, słodziutka? Ale widzę, że bladziutka i mizerniutka jest słodziutka, uszki do góry, przyjedziemy kiedy z mężem i choćby gwałtem wywieziemy na powietrze. Milutko tu u pani w barze i czyściutko... Pa, pa...

Podniósłszy na duchu, para odjechała do centrum, gdyż, prawdę mówiąc, nie bar to był milutki i czyściutki, ale lupanar \*).

Zaczęły się nawijać grubsze nici.

Początek w czas obiadu dał Strup Duszny. Musiał on wypatrzeć moment, kiedy nikogo nie było i doszedł do Pani, kiedy ta, w oczekiwaniu klientów, kładła pasjansa. Ucieszyła się i zawołała: Nareszcie!

Duszny przed okienkiem przestępował z nogi na nogę, nie skrępowany i gładki.

Pani poderwała się do szufladki, gdzie czekało na Strupa równe 400 pezów.

— No, nareszcie, panie Korybucie kochany!

Wcale nie o to Strupowi chodziło. Zawczasu miał widać przygotowany twardy szkopuł, bo sam zaczął:

— W imię Ojca i Syna...

Poprawił się: — Dzień dobry Pani!

— Niech pan wejdzie do środka, pogawędzimy, mam tu niespodziankę dla pana...

— Ja się spieszę...

— Ale na chwilkę, panie Korybucie kochany!

— Nie mogę. Mnie zaraz wypada jechać, trąbią na mnie (istotnie syrena okrętowa w tej chwili huczała)... czy można powiedzieć po polsku: niedźwiedzim tropem? Na wschód albo na zachód...

— Zaraz, niech pan...

— Trąbią na mnie. Czy Pani kto mówił, że ja na Bu-

---

\*) — Ich — mówiła później Pani z Kiosku — ani inż. Rumaka, nie należy powierzchownie sądzić, bo oni, jak my wszyscy, mogą mieć swoje wady, ale raz naprawdę okazali mi serce przy vermucie i sandwiczach...

gu z Holmana strzelałem, jak nikt? Przepraszam; nie o tym chciałem mówić. Pani myśli, że ja może jestem trynknięty? Ja nie piję, miód teraz jem. Tylko mnie ktoś powiedział, że ja nie jestem chory na przyszłe, tylko na chorobę, co się nazywa kacze ziele. Stwierdziłem, że nie jest to takie nieprawdopodobne. Od zaraźliwej choroby ludzie uciekają, a kto ma zaraźliwą chorobę, też powinien uciekać. Przyszedłem za wszystko podziękować...

— Panie Duszny, ja panu...

— Jeden moment! I... idealnie mnie się czasami śni i żebym ja ten sen w garść mógł uchwycić, nam wszystkim byłoby bardzo dobrze. Ale nie jest. Co ja mogę na to poradzić? Nic. I... idealnie mnie się wydało, jak tych młodych, co Pani wie, zobaczyłem, ale później trop mnie gdzieś uciekł i mnie się jakoś popsło. Całkiem słusznie. Moja wina, bo jestem chory. Niech Pani o mnie źle nie myśli, bo ja, wybierając się na polepszenie, jestem niewymownie wdzięczny. Polepszenia też i może szczęścia jakiego życie... Słusznie... I niech Pani będzie zawsze tak samo dla różnych osobników i... idealnie dobra... W imię Ojca i Syna...

— Panie Korybucie, panie Korybucie, niech pan chwileczkę zaczeka, są dla pana pieniądze od Bóg wie jak długo!...

Pani przeżyła największy dziw swego kioskowego żywota :

— Ja Pani serdecznie dziękuję, ale na komedor mnie dzisiaj nie trzeba, bo trąbią na mnie, poza tym pół butelki miodu mnie jeszcze zostało. Niech Pani na pożegnanie przykrości nie robi. I... ideału nie psuje... Żadnych dwudziestu czterech centów nie potrzebuję. A jabłko — zaśmiał się porozumiewawczo — i tak jest!

Położył na ladzie jabłko.

— Ale, panie Duszny, tu są... ma pan!

— Pani jest i... idealnie dobra, ale ja żadnej potrzeby nie widzę. Rączki całuję. Karteluszk, co dałem, niech Pani rozda, jeśli jeszcze nie rozdane. Ja Pani z podróży przysłałem na pamiątkę jeden rysunek. Kiosk na nim zrobię, w szponach, a Panią w nich. Niech Pani pamięta o i... ideale!

A że Strup Duszny na zewnątrz stał i żył jak ptak — był wolny jak ptak — więc Pani, kiedy odchodził, nie in-



nego nie mogła zrobić, tylko krzyknąć : Ale tu są pańskie 400 pezów ! co nie pomogło, bo Korybut Strup Duszny, jak postanowił, tak od okienka na zawsze odleciał.

Stało się więc, jak niedawno przewidywał Adam Gwóźdź : że nad Strupem i jego fortuną należało postawić krzyżyk.

Łatwiej to było zrobić nad Strupem, niż nad fortuną.

Czas uprzedzając — gdy się o dziwnym zdarzeniu rozszło, a Pani na oczach ludzkich nieroztropnie przerzuciła w palcach 400 pezów — i kiedy zjawili się świadkowie, że Strup się utopił, co w żadnym wypadku nie było prawdą, ponieważ doszła wiadomość, że na wschód czy też na zachód odleciał, zaś Bobuś Sandalski na polepszenie Dusznego zamówił w Kościele Polskim Mszę Świętą — po tym wszystkim, w miesiąc później — nikt w Punta Chata o Strupie nie pamiętał, ale o jego fortunie tak.

Co to w miesiąc ! — W rok jeszcze później w Domu i po domach powtarzano, iż — kłamstwo jest, co ta Kioskowa wymyśliła, podmówionymi świadkami się zastaniając — że te 4 tysiące pezów między polskich biczykomów w porcie rozdzieliła, że temu dała i temu dała — tylko Kioskowa, mając za sobą prawo, nawet guzika nikomu nie dała, nowy kostium i zapyty za te pieniądze sprawiła, a resztę dała na procent, i w nowym kostiumie jak ta chuda indyczka chodzi, co każdy łatwo może na własne oczy sprawdzić. Komuniści przypuszczalnie tę potwarz wymyślili, a głupi im uwierzyli, czemu na przykład pan Grzegorz Łuna nigdy nie dał wiary, to mając tylko na względzie, że biczykomom nie warto dawać, lepiej długi spłacać. Z tych kontra- i rekontra żadna krzywda nikomu się nie stała i źle by było takie gadanie brać w Punta Chata do serca. Pani długo czekała na rysunek Kiosku uwikłanego w szponach, ale rysunek nie nadszedł ; pytała też różnych osób, co malarz mógł mieć na myśli, gdy na kartonikach i burtach okrętowych malował PPP... Istniały domniemania, że Prędejj, Prędejj, Prędejj ! albo że Prawda, Prawda, Prawda ! albo że Polska, Polska, Polska ! były też domysły, że Pilnie Potrzeba Pieniędzy... Ta ostatnia wersja zyskała najwięcej zwolenników i tak zostało, z tym, że nie wiadomo po co Pani przepadłego głuptaka ciągle jeszcze wspomina...

Ale to wszystko miały być późniejsze czasy postrupo-

we. Tymczasem, sylwestrowe nitki różnej grubości w dalszym ciągu nawijały się na Kiosk. Zameldował się Ambrosio Lipiński z głęboko przemyślaną wątpliwością :

— Jeżeli Ojciec i SzeF, Gregorio, a z nim nawet Adam i nawet Trościa, razem na Nowy Rok byli jak *amigowie* — jaką importancję miało, że ja męczyłem się na Churro? *Ninguna!* Matka się ucieszyła, kiedy wróciłem. Ojciec z dobrym humorem mnie przywitał, co go nie zrozumiałem : Zuch ! Co to jest zuch ? Wiesio teraz ode mnie ucieka, dlaczego ucieka, jestem ciekawy ?

Ze sztabem głównym najbardziej się poplątało po Sylwestrze. Wprawdzie wkrótce zjrzał Adam Gwóźdź z przyjemną nowiną, że otrzymał gratulacje od Kapitana Wupe i od Prezesa Gackiego, którego córeczka wywiązała się w stu procentach — ale Adam mało wiedział o SzeFie, o Bączku i o Bobusiu, ci zaś na oczy się nie pokazywali.

Za pośrednictwem (wstyd powiedzieć) Lizusa Jarząbka, Pani naprzód upolowała Bobusia. Lizus przeprowadził Bobusia do Kiosku dosłownie za ucho, wepchnął do środka, powiedział : siedź ! i odszedł, ponieważ go sprawy bobusiowe obchodziły tyle, co za paznokciem.

Pani zaczęła od wstydu : —

— To tak, to się zapomina, to się omija, to tak, brzdącu jeden, Pucu-Pucu, Chlastu-Chlastu ? !

Więc Bobuś musiał się naprzód przyznać, że jego znajoma w szpitalu Dobrego Pasterza była z nim wczoraj w ogródku szpitalnym na spacerze, a on ją nauczył nowego wierszyka : „Deszczyk sobie pada, do siostrzyczki mówi brat, i tak jej powiada...” — i że chora znajoma ani rusz nie mogła wymówić deszczyk ani siostrzyczka... — Cieszyła się też ona i była zadowolniona...

— Bobusiu !...

Bobuś się przyznał ! — Wiesio myśli, że SzeF jest tchórz, ale to jest absolutna nieprawda, bo ja Szefa znam. Jemu tylko wtenczas zakręciło się w głowie, co nie jego wina, bo sam mnie raz mówił, że jemu klimat tutejszy wybitnie nie służy. Poza tym on bardzo tęskni, co też go osłabia. Na przykład Zosię we śnie wspominał, a ja wiem, że Zosia to jego ulubiona córeczka, której niestychanie mu brak. Mnie się zdaje, że Wiesio się nie połapał i dlatego chciał nas zabić. SzeF jest naprawdę klasa. Ja Szefa znam...

Pani nic nie zrozumiała, dalej więc Bobusia maglować,

ale, tyle tylko się domaglowała, że był pęd, były świerszcze, co nie mogły być świerszcze, i były żaby nie-żaby — Bobuś w zeznaniach robił taki galimatias, że, streściwszy mu nowiny o wojnie, lepiej go było wyprawić spać.

Ale i z innych kioskowych źródeł zaczęły napływać wiadomości, od których skóra cierpła. W pierwszym rzędzie nadeszła fantastyczna wiadomość, że Bogu ducha winnemu Antwepskiemu Konsulowi jakaś łobuzeria, najprawdopodobniej podbechtana przez inż. Rumaka, w czym kapitan Wupe mógł także maczać palce — w noc sylwestrową wyrznęła jądra! Co na szczęście z punktu zostało zdementowane przez pana Łunę, który osobiście na przykład ujrzał Konsula w porządku. Ujrzał, nie ujrzał, że to Sekretarz zawsze lubił nadużywać języka, Konsul choć w porządku, mógł pozostawać bez jąder! Ledwie, że względu na konfrontację, plotka ta upadła — podgoniła ją w szczególności obfitsza plotka, że: — Antwepskiego Konsula — z bólem Bolesławski wraz z cichą wodą Sandalskim — w nocy napadł i ograbił z majątku, ze złotych zębów i Forda. Co też zostało zdementowane przez pana Bolączkę, który jakoby widział Konsula w Fordzie przed konfiteryją, gryzącego zębami ciastka...

Kto takie głupie plotki puszczał, zachodziło się w głowę, jakoż nie ma dymu bez ognia.

Aż nadeszła ponad wszelkie powątpiewania wiadomość, przez pana Łunę, przez pana Bolączkę i jeszcze przez dwa tuziny osób potwierdzona, że po Sylwestrze — na białą ścianę Belvedere — ktoś bombę alkitranową przywalił!

Tu już nareszcie wiadomo było o co chodzi. Czarne bomby alkitranowe stanowiły w czasie wojny jedyną broń w Punta Chata przeciwko kolaboratorom, i ponieważ nic innego nie można im było zrobić, przywalało się im na domach znak hańby. Bomby takie wsiąkały czarnymi kleksami w ściany rezydencji i łatwiej było ścianę zburzyć, niż płamę zdrapać lub zmyć; w czasie wojny niektórzy pohańbieni ściany zmieniali, inni, ze względu na koszt, w splamionych ścianach po dziś dzień spokojnie sobie siedzą...

Gdy o czarnej bombie na konsulowym Belvederze potwierdziło się ze wszystkich stron i nie było żadnych zaprzeczeń ani wątpliwości — w Kiosku i poza Kioskiem wiadziano, że jeśli o bombę chodzi, jeden mógł być tylko sprawca: amator bomb: Wiesio Bączek!

Pani zapragnęła zobaczyć Wiesia; otóż go zobaczyła, jak siedł sobie ramblą, nie patrząc na Kiosk, z Lizusem Jarząbkiem i z Fornalskim, do portu!

Zrobiło się przykro w Kiosku, pasjans nie wychodził, klientów też się nie widziało za 5 centów!

Przyszedł szef Bolesławski.

— Oj dobrze, że pan przyszedł! Co się dzieje?

Szef w stanie rozchętanym poprosił o chwilę rozmowy na osobności. Osobność była sama przez się, więc Szef zaczął:

— Niech Pani nikomu jeszcze nie mówi, lepiej nie mówić...

— Co?

— Czy można zamknąć wentylator, bo szumi?

— Można...

— Ja przyszedłem, właściwie mówiąc, w sprawie Bączka. Ja nie przeczę, on jest morowy chłopak, jak z czasów Powstania, ale subtelnych rzeczy nie chwyta, bo za młody.

— Nic nie wiem! Wszyscy tyle mówią, wszyscy krzyczą, wszyscy mają pretensje...

— Wolnego. Myślałem, że Pani wie, ale jeżeli nie, to ja od początku. Widać Opatrzność nade mną czuwa, że ja tego konsula, co Pani wie, nie naznaczyłem. Otóż kiedy ja się w lasku znalazłem...

— W jakim lasku, panie Janie, wyście wszyscy po tym Sylwestrze poszaleli?!

— Wolnego. Od początku. Z Wiesiem, o którego mnie właśnie chodzi i z tym smarkaczem Brzdącem zaprosiliśmy Konsula, co Pani wie, na przejażdżkę. Tam ja jego miałem naznaczyć na całe życie sposobem chemicznym. Ale mnie się w lasku od aptecznych zapachów zrobiło niedobrze i na chwilę zemdlałem...

— Zemdlał pan?...

— Owszem. I czułem się fatalnie i tego co się zobowiązałem, nie mogłem wykonać, ponieważ...

— Bo co?

— Żeby Pani Wiesiowi później wytłumaczyła, ponieważ ja z Trością dziś szczęśliwie zamustrowałem!

— Zamustrował pan? Nie może być! Panie Janie!...

— Zaraz. Zobowiązania nie mogłem wykonać, a kiedy wyszedłem z zemdlenia ani Wiesia ani Bobusia już nie było.



Wstałem, przetrąłem oczy i znalazłem tego Konsula, który niezręcznie był związany, tylko nie śmiał wstać. On się przeraził, jak mnie zobaczył, ja się przeraziłem, że już rano i że chłopaków ani samochodu ani widu ani słyhu...

— Więc jednak było coś prawdy w tych wszystkich gadaniach...

— Zaraz. Wyjąłem chustkę Konsulowi z ust, chociaż, między nami mówiąc, jednym kichnięciem mógł się tej chustki pozbyć, ale widocznie nie chciał. Jeszcze się miałem dość kiepsko, więc spytałem Konsula : Co pan tu robi? On się na mnie patrzył i ja się na niego patrzałem...

— Niech się pan poczęstuje papierosem, panie Janie...

— Słicznie dziękuję. Mnie ciągle chodzi o tego Wiesia, który jest chłopak, żeby go nawet jeden znajomy major chętnie przyjął. Złapałem go dzisiaj, chciałem mu wszystko objaśnić, ale on do mnie, niech Pani słucha : „Jeśli jedno słowo piśniesz, to ci nóż wsadzę !” Kto komu wsadzi, sama Pani rozumie, ale mnie się o sens bardzo rozeszło i dlatego proszę, jak mnie nie będzie, żeby Pani jemu wytłumaczyła. A więc...

— Tu są zapaliki...

— Słicznie dziękuję. — Szeł Bolesławski na blaszance od cukierków skurczone nogi pozmieniał, bo mu zdrętwiały. W barze zapalono iluminację i stroił się akordeon.

— A więc... Konsul mnie wyznał ważną tajemnicę, którą, jak mnie już tutaj nie będzie, niech Pani Wieskowi wyzna. Dobrze się bardzo stało, dzięki Opatrzności, że mnie się w porę zrobiło niedobrze i że ja żadnej krzywdy Konsulowi nie zrobiłem !

— Niech pan strząsa popiół na podłogę. I tak tu brudno...

— Powiem Pani prywatnie o co chodzi. W lasku raz, zaś drugi raz gdyśmy razem na piechotę do miasta dymali, Konsul mnie zaklął, żeby nie mówić. Oj, proszę Pani, mnie tak serdecznie boli, jeśliby kto miał myśleć, że ja jestem na szmelc ! Wyznał mnie Konsul w sekrecie, że dla Amerykanów niestychanie ważne tajemnice, dotyczące czerwonego terroru, posiada w opracowaniu, i że gdyby jego miała spotkać jakaś przykrość, niepowetowany cios spotkałby całą zachodnią cywilizację ! Jak Boga jedynego, tak mnie powiedział ! Sama Pani też mówiła, że na Amerykanów musimy stawiać, jak na Częstochowę !...

— Ja mówiłam?

— Wtedy jak nasze dwa Amerykańców pobili w barze... W drodze powrotnej Konsul wystąpił do mnie z niewiarygodną propozycją, aż mnie zatkało. — Czy ja — spytał — nie mam życzenia zamustrować na linię amerykańską? Jemu — powiedział — nie sprawi to żadnej trudności. Pomyślałem o Trości i powiedziałem, że nie ma się tutaj co namyślać, ponieważ nasze rodziny wyglądają od nas wsparcia, więc owszem. Przepraszam na chwilę...

Szef rozkręcił nogi spod blaszanki, wyprostował z metry i wstąpił na chwilę do baru. Zaraz wrócił do Kiosku.

— Owszem, Konsul dotrzymał słowa. Ja wczoraj zamustrowałem z Trością na Myriam. On na pokład, ja do maszyn, 220 dolarów na miesiąc! Czuję się w obowiązku wytłumaczyć po pierwsze, że dobrze się stało, jak się stało, bo z tego widać, że Konsul ma wielkie chody i nie bujał, wobec czego w Antwerpii uprawiał umyślny kamuflaż, a że niektóre przez to cierpieli, na to nie ma rady. Druga jest rzecz prywatna...

Szef pilnie patrzył na Panią, czy mu w prywatnej rzeczy nie pomoże, ale Pani nie pomagała; obok w barze zwiększał się wieczorny rejwach.

— O chłopca mnie chodzi i chodzi. W baonie byłiby z niego dość, zadowoleni. Przez skórę mnie coś mówi, że on może się popsuć, jeżeli w czas nie zrozumie. Przez wyjątkowy traf, ja się nie wywiązałem, jak on myślał. W łeb się trzaskam, proszę Pani i pytam się ja swego głupiego łba, jeśliby mnie szkopy, które mnie mieli na widelcu, a potem te drugie, jakby mnie jedno albo drugie zatłukły, to ja bym dzisiaj...

Szef pociągnął papierosa, papieros się nie palił, więc przeprosił na chwilę i zaraz wrócił.

— Ja, proszę Pani, nie chwając się bynajmniej, nie gorszy byłem, niż inne zmarłe kolegi. Miałem coś nie coś czynów udanych, przede wszystkim w leśniczówce i w akcji, co się u nas nazywała „Marta”. Trościa a nawet Bobuś o niektórych wie. Gdybym był zatłuczony, figurowałbym dzisiaj razem z kolegami, za których naród odprowadza ze łzami żałobne modły. Ponieważ mnie nie zatłukli — ja znalazłem się w powietrzu, które mnie rozstroiło nerwy i zrobiłem się, sam to wiem, jakby to powiedzieć, cokol-

wiek inszy. Oprócz powietrza zawinił tu także syk, jaki się robi, gdy jedno gorące a drugie zimne, albo jedno zimne a drugie gorące na siłę do siebie się zbliży. Syku się tu koło mnie narobiło, co mnie także zagrało na nerwach. Jest dość trudno w nerwowym rozstroju sterczeć z kitą w śmierdzącym lasku, a także w mieście, gdzie rzecz dla mnie niewiarygodna, dwa albo trzy kieliszki marnego trunku z nóg człowieka zbijają! W danym wypadku dzięki Bogu, że się stało, jak się stało bo na dobre wyszło. Ale mnie o chłopaka chodzi, który może miał nie taki, jakiego mu trzeba, egzemplarz. Ja upraszam Panią, żeby ten Wiesiek to wszystko zrozumiał...

— Żeby !...

Szef : — Przepraszam na chwilę...

Wrócił z dwoma kieliszkami w obu rękach. — Jeśli Pani nie pogardzi, proponuję wypić na pożegnanie...

Wypili na pożegnanie. Jakoże było ostatni raz, Szef zamyśloną Panią rzewnie przeprosił za nieogolenie swoje, za rozchełstanie, jak również za pijaństwo, za kartograjstwo, za przechwałstwo, za pożyczanie, za dokuczanie, za złe humory, za cudze piórka i za to, że po odjeździe przyjaciela — Pani prędzej wstydzącymi oczami będzie musiała za niego świecić, niż zadowolonymi. Czemu tutejszy świat jest winien, bo nie sztymuje, jak lewy but na prawą nogę.

Wzrostu 2 metry szef Bolesławski łąz zakończył i odmeldował się z Kiosku jak należy — w przeciwieństwie do marynarza Trości, który, niewdzięcznik! prawdopodobnie z braku czasu nie pokazał się przed odjazdem w Kiosku.

## XVIII.

Po odjeździe „Myriam” klimat w Punta Chata nagle się ostudził. Przyszły wiatry z południa, zatem chłodne, i nawałnice z piorunami w czasie chłodu, wbrew naturze.

W wieczory burzliwe Gruby Lizus Jarząbek wcześniej zapuszczał w Kiosku żelazną kurtynę i wypychał Panią na siłę do autobusu.

Z całej piątki z ss. „Feliks Dzierżyński” zostały dwa samotne palce : marynarz Bobuś i marynarz Fornalski;

albowiem w kilka dni po „Myriam”, innym sposobem i gdzie indziej, zamustrował Adam Gwóźdź.

Wraz z nadejściem dni przewiewnych, w kolonii czateńskiej nie dziwiono się zbytnio tym odjazdom, bo rozumiano, że tak powinno być i lepiej dla tamtych, przestaną się w porcie włóczyć i smród, jak te kukaracze i wstyd dla polskości koło siebie robić. Żalowali ich niektórzy, ot choćby Juan Gacki, który — *claro* — mówił — Elena z Adamem w tańcu pareha była jak w cinie, *pero* co robić, płakać nie będę, no aj kaso. Pan Misiak napomknął w tym sensie, że on od początku wiedział, iż 3,50 było dla nich aż nadto, co na jego wyszło !; zaś ojciec Lipiński, iż mogli oni przynajmniej wstąpić i Bóg zapłać powiedzieć dla starej, która pchała w nich naleśniki przez miesiąc z czubem. Na ogół odjazd przyjęto z milczącą pobłażliwością; co z oczu schodzi, nie trzyma się na językach w Punta Chata...

Skutkiem letnich upałów nastąpiła w barze Tango częściorowa zmiana żeńskiego personelu, jedne znajome „milongi” znikły, drugie się pojawiły, Norma mulatka z powodu obrazy już nie śpiewała, skutkiem czego w Arizonie mówiono, że Tango jest o krok od bankructwa.

Po rozpadnięciu się sztabu głównego, zaczął bywać w Kiosku marynarz, którego nazywano Turysta i dwóch młodziaków, niejasnych trochę, bo mówili, że zieloną granicę przeszli w puszczy, rzekę łódką przepłynęli, do oazy wolności dotarli i w ten sposób trafili do Kiosku. Jeden był z Wilna, drugi z Tczewa.

Ci często przesiadywali, tego i owego potrzebowali, ale się do niczego nie mieszały, więc jakby ich nie było.

Bobuś Sandalski miał rzadką okazję zamustrowania na tankowiec, ale nie chciał z dwojakiego powodu, raz, że miejsce było w maszynach a on był z pokładu, dwa, że jego znajoma weszła w okres krytyczny i miało się dopiero okazać, czy będzie zdrowa za miesiąc, czy też dopiero za dwa lata. Wobec tego — na co Pani także musiała się zgodzić — wypadało Bobusiowi jeszcze trochę poczekać. Jeden jedyny Bobuś, przecierpiawszy rozstania, cęgly u gązgi bez żadnej przerwy taskał.

Kostek Napierski Mysz wstąpił raz do Kiosku ze słojem. Słój był wypchany srebrem w płynie, ziarnkami i liś-



ciem — na pierwszy rzut oka można rozpoznać, że w słoju były śledzie marynowane.

— To dla Pani !

— Śledzie ! Skąd taki królewski prezent, panie Kostku ?

Prezenty są po to, aby za nie, jako że nic darmo na świecie, zyskiwać logiczne prawo do wynurzeń, wylewających się od czasu do czasu z najbardziej zahartowanego serca.

— Zbrzydziłem sobie — mówił wkupiony słojem Kostek — cały kram, mam zaś takie podniebienie, że jak mnie raz coś obrzydliwe się zrobi, nigdy więcej na ząb nie wezmę. Nie o śledziach mówię, ale o tej, którą Pani widziała w barze.

— O tej miłej paniencie, która pana wyciągnęła z Pierwszej Sekcji, panie Kostku !

— O tej. Nie co innego, tylko ta Sekcja stała się dla mnie grobem. Bo głupia nie wie, że ja nie z takich krat się wywijałem i tyle mnie ta kobieta pomogła, co pchła ! Wytłumacz to jej ! Kiedy ona mniema, że bez niej zgniłbym na zgnitej słomie w Punta Chata. Ja !!!

— Ale...

— Nie ma nawet jednego ale ! Dobrze ! Mieszkanie w odległej dzielnicy, gdzie jej nikt nie zna, podnajęta, z prysznicem, francuskie meble wzięta na raty, żenić się ze mną chce — dobrze ! jej prawo ! — ale dlaczego jej padło na myśl, że żenić się ze mną ma w ten, *enseguida*, *enseguida*, piątek ? Welon przymierza, mnie się każe cieszyć, że jej do samych pięt sięga ! Śmieję się, pajacu !...

— Biedna Chichita, mnie się podobały jej oczy...

— Oczy ? ! Zaszedłem ją, niespodzianie w porze obiadowej, gdy myślała że nie przyjdę — ja zaś dobrze pamiętałem, że na prymusie miał stać rondel z kapustą palce lizać — i co widzę ? Pełen rondel jest pod ścianą, a ta głupia stoi nad płomieniem i wyskwircza na nim czuraski ! Wściekłość mnie ogarnęła, kapusta była na kaczce, głupia zawstydzona jak mnie zobaczyła, ale co z tego...

Wszedł Bobuś Sandalski, zawsze wierny Kioskowi i oznajmił, że złapał Wiesia, ale Wiesio powiedział, że dzisiaj nie ma czasu.

Wiedząc z doświadczenia, że Pani pod żadnym pozorem żadnego gościa nie usunie, choć czasami warto było —

Kostek zaproponował, żeby się przenieść do stolika wewnątrz baru, gdzie siedzieć wygodniej, a przez ten czas niech Bobuś handluje.

Gdy Bobuś zapalił się do handlowania, zobowiązanej słojem Pani wypadało się zgodzić i zająć miejsce przy stoliku, przy którym miały zwyczaj siadać panny.

Ugrzeczniony Kostek zamówił dwa trunki i kawę.

Siedzieli na linii spornej kolorowych świateł. Kostek był czerwony, a Pani zielona. Akordeon rozpoczął arię, zamiast Normy śpiewał Włoch artysta.

— Tutaj — rzekł Kostek — możemy spokojnie i jak się należy obgadać. Oprócz stoika śledzi, mam jeszcze dla Pani drugi prezent. Zatem stanęliśmy na czuraskach... Wbijaj tu człowieku kulturę w głupi mózg, ledwie głowę odwrócisz, barbarzyństwo w całej dzikości nawraca, jak ta hydra. Wstrętem mnie to przejęło, i w tym samym momencie zapadła moja ostateczna decyzja.

— Jaka decyzja?

— Jechać!

— Pan też? Dokąd?

— Bez znaczenia. Widzi Pani, człowiek czasami taki smutny chodzi, do nikogo gęby ze szczerością nie można otworzyć, bo nikt nie rozumie — a jak przez dzień i przez noc, i znowu przez dzień i przez noc chodzą myśli po głowie, czasami człowiek chciałby, żeby drugi człowiek rozumiał. Nie tak?

— Co, Panie Kostku?

— Nic. Ja nie jestem bardzo inteligentny, skąd ja? Raz gościów zaprosiłem na flaki, żeby się porozumieć, ale goście wzięli za złe, że ja bez żadnej złej myśli naszą sztukę kulinarną, która jest ponad wszystko na świecie, przyrównałem do konstytucji. Z lekka byłem pod gazem, samo się oczywiście rozumie. Nie znam dokładnie ani jednej konstytucji, ale zawsze sobie mówiłem, niech każdy pilnuje swego deku. Ten na górnym deku, ten na dolnym, gdzie komu wypadnie. Kulturę naszą kochaną ja potrafię rozwziąć po świecie w postaci potraw wartościowych, że cudzoziemcom oczy bieleją i nas chwalą. Jeden angielski major Bimis z wpadł w zachwyty przy moich leniwych pierogach i pięknie o Polsce napisał w tygodniku ekonomicznym; jeśli Pani nie wierzy, mam ze sobą! Nie jestem, jak Pani

myśli! Mnie nie tylko o wyzerkę, i ciepłe łóżko chodzi! A nieprawda! Mały jestem, bo na kradzionej brukwi nie urosłem, ale znowu nie pętam się po świecie, jak ten głodny pajak. A nie!

— To dobrze wiemy, panie Kostku...

— Ależ Pani bujnęła! Kto wie? Mnie nie łatwo zatrajlować, wstyd to nawet słyszeć w Pani ustach! Nikt nie wie! Pani, jak słyszałem, zdrową propagandę w Kiosku sieje, ja się cieszę, ale ja na moim deku też co mogę robię podobnie! Na przykład: gdzie się nie znajduję, staram się przykładowo zaznaczyć, że odwieczna kultura nie da się wybić z fasonu dzikości! Moim zdaniem, każdy jeden w swoim zawodzie powinien tak robić. Chciałem im wytłumaczyć podczas flaków, ale gdzie tam! Tutejszej mojej *novii*, co mogłem zaszczepić, zaszczepiłem, sam diabeł jej więcej nie zaszczepi! Więc po co ja mam tu dłużej siedzieć? Co mnie wypada zrobić? Logika uczy: dalej jechać!

Pani siedziała zielona, pod gauczem na ścianie rozpałnionym, dość mizerna; pomadkę z ust starła, żeby czatujące w pobliżu panny nie posądzały, iż jakieś wstręty chce im robić.

— Dokąd pan chce jechać, panie Kostku?

— Nie zastanawiałem się; jutro mam zamiar jechać, bo pojutrze piątek.

— Ona naprawdę pana kocha, widziałam po jej oczach...

— Znowu po oczach! To żadnego wrażenia na mnie nie robi. Niech się Pani o nią nie martwi, jej się żadna krzywda nie stanie. Niech Pani nawet nie nadużywa wyrażań w naszym ukochanym języku! Logiką mnie nauczyła, że w nieszczęśliwym narodowym położeniu zawsze lepiej jest jechać. *Ola, mozo!*

Pani stanowczo oświadczyła, że nie chce więcej trunku, gdyż musi wracać do Kiosku, gdzie z portowym klientem Bobuś kręci się i męczy, co widać.

— Jeszcze chwileczkę, jeszcze odrobineczkę, w życiu się więcej nie zobaczymy... Mam jeszcze drugi prezent, będzie Pani dziękować... Świństwa też żadnego nie zrobię, niech się Pani nie boi, bo nie zdążę. Chciałbym tylko wytłumaczyć do końca, bo nie lubię gadać do lustra. Dlaczego jechać? Piątek feralny dzień, won z piątkiem, ale są

ważne dodatkowe punkty. W rozterce duchowej popchałem się na miasto, chodziłem po mieście i stukałem w palce : jechać, a może nie jechać ? ! Zawsze wypadło na jechać. Chodząc po jakim bądź mieście, mam obyczaj czytać, co pod oko mnie wpadnie. I czytam ja sobie, proszę Pani, na jednym zakładzie gastronomicznym : *Catedral de los Sandwiches* ! Co pani o tym powie ?

— Bobuś na mnie kiwa...

— Ostatni raz... Przetłumaczyłem sobie po polsku : Katedra sandwiczów. Jak byk : katedra sandwiczów ! Podrzuciło mnie ! Tfu ! Mnie matka nieboszczka u kacapów napomniła, jak wrócisz synku do ojczyzny, uklęknij synku w katedrze i zmów Zdrowaś Maryja. Niebrydka matka powiedziała, stąd powstało u mnie uczucie dla wszystkiego, co ma połączenie z katedrą. Tymczasem co tutaj widzę : czego katedra ? Sandwiczów ? W jakiej stronie ja się ulokowałem ? Co mnie dobrego może tutaj spotkać ? Przypomniałem sobie jak na jawie, że komu jak komu, ale mnie nikt nie może zarzucić, że nie mam poszanowania dla potraw. Więc jeszcze na wszelki wypadek wstąpiłem do katedry i obstałowałem dwa katedralne sandwicze. Pani ciekawa ? Wata, proszę Pani ! Obsmarowana gnojem ! Tfu ! Do tego niech Pani doda : ślub ma być w piątek ; inspektory Hektory okazały się w tym kraju najzdradliwsze pod słońcem ; zrozumienie dla kultury jest pod psem — czym wobec tego taki kraj logicznie jest dla mnie ? Słowem nieprzyzwoitym ! Wobec tego co ja mam począć ? W palce stukać ? Nie ! Bez stukania jechać !

— To pani chciałem pierwszy i ostatni raz przedłożyć, żeby się w lustrze głośno samemu sprawdzić — a teraz niech Pani idzie do swego Bobusia, a ja w okienku dam, oprócz słoja, drugi prezent, aż Pani oko zbieleje...

Gdy wstali, kolory się zmieniły : Pani była czerwona, a Kostek zielony.

## XIX.

Nieskromne sam na sam z Kostkiem Napierskim Pani odcierpiła na poczekaniu, nie tyle w postaci hańbiących domysłów, ile z powodu, że niezadowolony Patron



odstawił akordeon i przypomniał, że się za czynsz kioskowy należy za listopad, grudzień i styczeń.

Po oswobodzeniu Bobusia z mąk, zadawanych przez klienta, zdarzyło się szczęśliwie, że 6 paczek papierosów i 2 tabliczki czekolady sprzedało się jednym ciągiem, wobec czego odżyła nadzieja, że będzie lepiej — co Patron musiał wziąć pod uwagę, chcąc nie chcąc.

Dopiero po tej szczęśliwej passie, Kostek z ulicy mógł wstawić głowę do okienka i wręczyć swój drugi prezent w postaci sekretu.

Zwrócił przedtem uwagę, że Pani ma wziąć papier i ołówek, bo pamięć ludzka jest zawodna, specjalnie po dryнку. Gdy stało się według życzenia, podyktował, jak idzie :

— W żadnej Książce — albo śmiejąc się mówię, w żadnej konstytucji — nieznanym następujący sekret : Na podstawie wypróbowanej, własnej, długoletniej praktyki ! Proszę napisać ! :

*Najstońsze, norweskie, bądź też angielskie śledzie — moczy się nie w naturalnej, ale w solonej wodzie !*

— Zrozumiała Pani? Sekret polega na tym, żeby śledzie kłaść do wody i posolić, a najstońszy śledź w godzinę będzie słonawy, ale nie przeholowany. W godzinę się robi, co starym sposobem wymaga całej doby ! W słoju będzie Pani miała autentyczny przykład. Cud natury polega na tym, że słoność się słonością wyciska ! Normalnie sekretu tego nikomu nie powierzam, ponieważ kosztował mnie dużo nerwów i zdrowia. Zapisała Pani ? Dobrze. Co więcej ? Mało mówić, smacznie jadać, z podziękowaniem za Murzyna baj, baj, czau, czau ! Moje uszanowanie Pani !

Bobuś się zmartwił : — Wszyscy odjeżdżają, wszyscy się dokądś spieszą, a ja ?...

— A ja ? — przerwała Pani, zapominając, że ma do czynienia z Bobusiem brzdącem.

Zaczęli się pocieszać nowinami o wojnie, ale krótko, ponieważ zajrzał zmartwiony Turysta i kręcił się przez pół godziny przy jednym okienku i przy drugim, zanim wyznał, że mu spuchło, a on w Punta Chata nie zna żadnego adresu, zatem prosi o adres godny zaufania, jeśli można.

Jednak wieczór ten nie miał być wieczorem zgryzot, tylko prezentów ; Pani mało się nie posiadała z radości, gdy

Gruby Lizus Jarząbek, przed zamknięciem żelaznej kurtyny, przyszedł z małpką.

— Kiki, pocałuj Panią! — Małpka była cudna, maciupeńka, szybka, łapczywa, pełna życia, rączki i nosek miała jak u synka. Wnet się ulokowała, gdzie ją namówiono, wczepiła się pyszczkiem i rączkami w wątle łono i szalała ze szczęścia.

— Zwierz jest dla Pani! — Z soczystymi wargami, z twarzą tęgą, Lizus Jarząbek miał coś więcej na języku do powiedzenia. Że jednak Pani małpką się przejęła, Bobuś przed małpką klęczał, Turysta też do małpki się wdziewczył, — językiem po wargach przejechał i nic nie wyznał, a szkoda!

Zaczęła się w barze pijana heca, zagrażająca policją; wobec czego Lizus surowo przypilnował, żeby przed czasem została zapuszczona żelazna kurtyna.

Ze słojem śledziowym, z sekretem na papierku i z Kiki na łonie — Pani — za radą Bobusia — zysk z czekolady i z papierosów obróciła w ten sposób, że wsiadła nie do autobusu, lecz do taksówki.

## XX.

Nazajutrz, w czwartek przed piątkiem, był dzień jak marzenie, w sam raz, chmurki się głąaskały po niebie, i przez nie, a nie wprost, lał się do wody potok gorąca.

Na molo rybnym zgromadzenie rybaków i rybaczek było w świetnych humorach, bo w taką pogodę, jak dzisiaj, ryby łowiły się ręką, na szpilki od włosów i na agrafki. Na zielonych kamieniach dwóch sąsiadujących i wodą od czasu do czasu opłukiwanych — rozkosz odprawiał Kostek Mysz z przyjacielem Lizusem Jarząbkiem, nie łowiąc, ale śledząc szczęście innych. Zdjęli buty, nogi moczyli, koszule porozpinali i też się pławili w powszechnym szczęściu. Na trzecim suchym kamieniu leżała Książka, zawinięta w gazetę i w ręcznik, razem z dziwną butelką, szyja tej butelki była krzywa i lakiem opieczutowana, zaś czytało się na niej „Barbarroja”, czyli Ruda Broda.

Na dziwną butelkę Mysz i Jarząbek spoglądali dość

często, ale jej nie tykali, hamując się wobec czekających ich zadań przed zawczesną pożądlivością.

(Warto jednak było ostrzyć apetyt, bo w butelce był rarytas, jakiego za 20 pezów nie kupisz, mianowicie stary koniak hiszpański, który Chichita trzymała na wesele, wyznaczone na piątek).

W międzyczasie Kostek nauczał mało ciekawego Lizusa, która, przez sąsiadów złowiona ryba jest Pejerey, która Bagrey, a która Anchoa; Lizus robił przegląd statków i krytykował.

Bo dla rybaków dobry, dla marynarzy marny był dzień przy kei i na redzie : dwa niepewne Norwegi, koślawy Honduras, chińskie pudło, na Angliku, wiadomo, kapitan był pies, Grek aż tutaj śmierział — co poza tym? Szwed, który swoim zwyczajem zajędzie do Archangielska, więc nie ma głupich, no i Mac Cormack ! Tego, jak Kostek zobaczył, poznał, że na nim właśnie z Bije przyjechał do Czata, a że mu szczęścia nie przyniósł, więc niech się wypcha ! — A zatem wynika pytanie — czym pojedą ?

Chodziło o życiową decyzję, warto się było namyślić — czym pojedą ?

— Pii !...

Z wiązką wędek na ramieniu, na umówionym miejscu na molo stał czarny Juliusz Cezar i pochyłony ku kamieniom, serdecznie witał blatów.

Kazali mu zejść i obydwaj mieli do Murzyńa przemowę, przerywając i pomagając sobie nawzajem w języku hiszpańskim :

— Blat ? Blat ! Ty co nam winien ? Nic ! Co ja tobie winien ? Nic ! Co on tobie winien ? Nic ! Blat ? Blat !

— Czarny ! Pilnuj się ! Adwokata nie trać z oka ! Inspektora Hektora bezpotrzebnie nie rozdrażniaj. Uważaj, *negrito* ! Chłopiec Wieszo jest dobry chłopiec, buen muczacz — blat ! — nie daj mu zrobić żadnej krzywdy ! *Comprendes ?* Nie daj, żeby muczacz Wiesio wpadł ! Blat ? Blat ! A teraz uciekaj stąd, nie mamy czasu — *adios, negrito, adios* czarny sympatyku !

Julio César zrozumiał wszystko od a do zet, powtórzył słowo w słowo jak ma być, poklepał odpływających po plecach, oczy obtarł — wędkę na ramię zarzucił i jak mu kazano wdrapał się z kamieni na molo.

— Blat ?

— Blat, blat !

— Pii ?

— Pii, pii !

— *Que Dios los ayuda*, rycerscy Polacy !

Nic już nie stało na przeszkodzie, aby z krzywej szyjki odbić lak, tym bardziej, że słoneczny czas na niebie postąpił znacznie. Na dalsze życiowe zapasy czerpali siły z butelki wprost, aż zgodnie doszli do przekonania, że ani jedna łajba w tym dniu fatalnym nie jest godna zaufania.

W obawie możliwej pomyłki, wspólnie przejrzeni okręty jeden po drugim, i okazało się, iż istotnie żaden zamiarom nie sprzyja, a że mieli w tym względzie doświadczenie, ten tamtemu, a tamten temu, mógł ufać.

Pociągnęli, uważając, aby ciągnąć porówno. Na kamieniach zdarzył się połów obfitszy, na co Kostek mniej zważał, ponieważ mu świtał nowy pomysł. Beztroski Lizus ułożył na poczekaniu piosenkę : że jednego Włocha, wieczorem pod gazem — miał on nabić w butlę, z Ybelyce razem... — Po tej piosence spowaźniał — bo widzisz, Mysz, tu już wszyscy wiedzą, że ja jestem świnia, migdał i świński ryj; mnie takie gadanie obrzydło, chętnie się znajdę gdzie indziej, gdzie nikt nie będzie wiedział, że jestem świnia, migdał i świński ryj...

Spuścili nogi do wody. — Jaka wiedźma — szedł za nową myślą Kostek Napierski — nas zaczarowała, że nas tylko po wodzie okrętami goni?! Jakby ziemi nie było, ani szyn kolejowych! Głęb Ameryki może pociągnąć nie gorzej, niż woda, którą przewracamy nogami. Łądem możemy zrobić łuk, a potem, Lizus, po miesiącu, albo po dwóch, możemy z głębi Ameryki wysunąć się do jakiego innego, lepszego portu i tam od początku szukać szczęścia?! Co ty na to, Lizus? Jeżeli wszystkie tratwy, jak widzimy, są tutaj fatalne, co nam szkodzi zobaczyć czy łąd w głębi, dla odmiany, nie kryje w sobie jakiego lepszego glika?!...

Gruby zgodził się bez sprzeciwu, po zwróceniu uwagi, że Broda się skraca, i pod warunkiem : — Mysz, połóż nacisk, żeby było co doić, bo inaczej zdechniemy z głodu w twoim łuku !

Z zadartej Rudej Brody ściekła ostatnia kropla — Kostek wziął ją za szyjkę, zamachnął się i — *enseguida, en-*



*seguida!* — cisnął między pehereje i bagreje, żegnając w ten sposób Punta Chata.

Zdecydowali czekać zmięrzchu; w międzyczasie zrobili rewę barów, omijając rozsądnie Arizonę i bar Tango. Z ostatniego schroniska wyszli wtedy, gdy był najlepszy wieczorny czas, obaj, jak Bóg przykazał, gotowi na wszystko. Zaszli na tory kolejowe, idące z portu w głąb, i pomagając sobie wzajemnie i zachęcając się podniecającymi słowami — na los szczęścia wybrali pociąg towarowy, z lokomotywą pod parą, który najprawdopodobniej łukiem miał iść w głąb. — Ładuj się! — komenderował Kostek. — Nie tu, logika mnie mówi, że nam wypada łądować się nie na platformę, ale na dach!

Pierwszy podsadził drugiego, drugi pierwszego wciągnął, sprawdzili, czy ręcznika z Książką gdzie nie posieli — i na z lekka łukowatym dachu towarowego wagonu położyli się brzuchami jeden obok drugiego, żeby się podtrzymywać i nie spaść.

— Zatem jedziemy, Lizus ścierwo!

— Na twoją Mysz... jedziemy w głąb... odpowiedziałność...

Leżeli z rozłożonymi rękami na płask i czekali; ponieważ Kostek zawsze wiedział, co z nadarzających się rzeczy wybrać — pociąg zaraz szarpnął i ruszył w czarną głąb.

Miły chłodek powiał po plecach. Światła miasta chodziły po nich w postaci sygnałów i reklam. Przelecieli koło Domu Polskiego, nie spostrzegając, bo nocy tej Dom był nieoświetlony i czarny. Gdy przestały chodzić po plecach światła — gwiazdy się wydziwiły nad dachami wagonów i nad nimi, jak oczy amerykańskich zwierząt...

— Nie śpij, Lizus, bo spadniesz!

Jechali w głąb. Trząsł się towarowy wagon, zataczał na zwrotnicach i zakrętach, zaś oni, wczepieni w dach, mieli wątpliwość, kto jest nie w porządku: niebo czy dach?

— Nie śpij, Lizus, bo spadniesz!

Czasem kołysało gładko, jak na kolanach — wówczas Kostek puszczał luzem Grubego i nadziwić się nie mógł nadlatującym światłom semaforów, które leciały wprost w oczy, jak świetlne pociski w czasie wojny. Tym Kostek się odstrzeliwał: Mamo, Józia ma ocy, Józia mnie ugryzie i skoocy...

— Nie śpij, Lizus, bo spadniesz !

Zaczęło znowu szarpać i groziło niebezpieczeństwo. — Lizus, ścierwo, nie śpij, bo spadniesz !

Ścierwo ułożyło się grubym cielskiem na dachu, jak słonina na wypukłej patelni i tak jechało.

Lizusowi naprawdę zaczęło zagrażać niebezpieczeństwo, że się zsunie i pograży na wieki w czarną głąb.

Kostek Napierski Mysz postanowił koledze ocalić życie; więc zaczął go cucić, znaczy się siec po mordzie, jak to swego czasu obiecał.

Bił go po twarzy z tej strony, która ku gwiazdom się miała, a jak niezadowolony Lizus twarz odwracał, bił go z drugiej strony.

Klaskało na dachu równo, bez złości, w takt kół, pod światło księżycy, który na niebo wylazł.

Gruby Lizus pogodnie zgadzał się i poddawał, czując, że tu o życie chodzi. Bez żadnej złej myśli, z ludzkiego instynktu, próbował kopać, ale kopał tam, gdzie zbawcy nie było, w przelatujące powietrze. Siekany i bity, w błogim nastroju, spytał : — Za co mnie bijesz ?

— Za co ja go biję, on pyta ? Za co ja go biję ? Z tej strony raz — za pedała ! Z tej strony raz — za to, żeś palec wtykał ! Z tej strony raz — za lizusa ! — Leż ! nie ruszaj się ! — Z tej strony raz i dwa, za to, żeś nie powiedział, iż jesteś Kuśnierz i masz ordery z łodzi podwodnej ! Leż ! I raz, i dwa, i trzy, i cztery — za to, żeś chichyśmichy robił jeszcze Polska nie zginęła !... I raz i dwa i trzy i pięć, licz sobie !

Gruby poddawał się cierpieniu bez protestu, kopał ale nie trafiał, raz tylko przypadkiem trafił.

Kostek mało, mało, a byłby zleciał pod tym kopnięciem w czarną głąb, więc wpadł we wściekłość :

— Ja ciebie, jak przyjaciel, a ty mnie kopiesz ? Ty tak ze mną ? — I zaczął go kuć po swojemu.

Wówczas na dachu lecącego wagonu rozegrała się scena bójki bez żartów. Uderzony w czulsze miejsce Lizus Jarząbek dzwignął się na kolana i stanął na czworakach. Kostek Napierski klęczał i łapiąc równowagę na łukowatym dachu, w chwiejbie, starał się utrzymać i bić. Klęczęli i opadali na czworaki jeden obok drugiego, a gdy złapali równowagę, kuli jedną ręką albo dwoma, zależnie od chwilowego położenia. Czasami, zamiast się wyróżnać, obejmo-

wał jeden drugiego, żeby utrzymać zachwianą równowagę. Objęci przypadkowym uściskiem, mówili sobie straszne słowa. Jednocześnie jeden drugiego ratował przed spadkiem w przelatującą głąb. Szamotali się na klęczkach, jak dwa cienie w świetle gwiazd i księżycy, który po dachach wagonów bezpiecznie chodził. Tak się bili, tak się łomotali, że za szyję się musieli objąć, żeby się spaść. Będąc w przypadkowym uścisku i szukając podpory — Kostek nagle wybuchnął żalem :

— Za co mnie spychasz, kiedy ja ciebie zawsze lubię, Lizus ? !

Zdumienie zapanowało na dachu, a właśnie przelatywali przez stację. Dyżurni na peronie spostrzegli, że coś niedobrego dzieje się na środkowym wagonie, dwa cienie przeleciały pod światłem łukowej lampy w wydętych koszulach, sterczące wyżej, niż komin lokomotywy, a niedługo miał być tunel. Gwałtu narobili dyżurni, zmobilizowali wszystkie możliwe środki, żeby pociąg zatrzymać w czas !

A niepotrzebnie ! Bo między cieniami robiła się właśnie zgoda i miało niebezpieczeństwo, cień cienia się pytał : za co ja ciebie spycham ? a za co ty mnie spychasz ? — i cienie się już nie spychały, bo za co ?

Czerwone alarmy robiły swoje, tu błyskało i tam błyskało, w dzikich polach się odezwało, pociąg zaczął pozgrzytywać i zwalniać.

Kostek, alarmowy wyga z czasu wojny, w lot spostrzegł co się święci, wetknął Książkę pod pachę i ocucił Lizusa :

— Zaczęły się łowy na byka ! chodu, byku !

Słowo „chodu” lepiej ocuciło Lizusa niż mordobicie ; rozejrzał się bystro w położeniu :

— Nie takie nas łapali i nie złapali. Mam ich gdzieś !

Wagony zaczęły bić o siebie bufor w bufor, pociąg stracił pęd — wówczas zsunęły się z dachu dwa cienie, pomagając sobie wzajemnie.

Gruby cień, szczęśliwie dotknąwszy ziemi, mruknął uparcie : — Widzisz, Mysz, miałam rację, jeszcze Polska nie zginęła !...

Pobiegli w łukiem rozpiętą głąb, choć nikt ich nie gonił. Kto ich miał gonić i po co ? Oni tego nie wiedzieli, więc uciekali wielkim tchem w przekonaniu, że cały świat się na nich sprzysiągł i o niczym innym nie myśli, tylko

o tym, żeby ich zgonić. Ziemi kłującej, łukiem rozpiętej, w gwiazdach się majaczącej, tyle przed nimi było, że się zmęczeni i przystanęli na moment.

Książka była gdzie trzeba, pociąg się skończył w głębi, w rozległych agawach sam diabeł nikogo nie znajdzie! — więc Kostek Napierski Mysz odsapnął z ulgą i zagroził koledze :

— Za ostatnie, coś powiedział, mordę ci posiekam na pasztet! — Co później wykonał.

## XXI.

Ziemia czateńska ta, jest ziemią piękną, bujną, rodzącą rzeczy wspaniałe i zdumiewająco inne, o której wiadomo, że gdy nasienie maku, czy też gorczycy w niej się zasadzi — słonecznik, albo żużo wyrasta, w lepszej jeszcze będąc cenie, niż mak. Ziemia ta — jest ziemią ludzi, zdumiewająco podobnych do innych ludzi, z tym, że co innego ich do życia zachęca i co innego im daje siły do znoszenia trosk, na ziemi tej, jak na ziemi innej — wszystkim ludziom zarówno przeznaczonych. A co ich zachęca i co im siły daje, to ich rzecz!

Ziemia czateńska ta — jest mądra mądrością ptasiego gniazda, uwitego w zmurszałej czaszce mądrego człowieka.

Bujna ziemia, łaskawa ziemia, najszcześliwsza ziemia pod słońcem — ze słońcem w spółce, z Panem Bogiem ułożona na spłaty — jeśli komu na niej źle, nie ziemia jest winna, ale człowiek, który mak siejąc, maku się spodziewa, a ziemia po swojemu żużo rodzi, albo *ajo*...

Skończył się styczeń i luty, marzec jesienny nadszedł — a wojny w Punta Chata jak nie było, tak nie było...

W wymienionych miesiącach zdarzyły się zmiany, ale tak drobne, że od strony Katedry patrząc, lepiej o nich tylko mimochodem napomknąć.

Na przykład : Pani w Kiosku zaczęło się krajać serce. Co wieczór w barze Tango widziała nieszczęśliwą Chichitę w fontannie też, upijającą się w niemożliwy sposób, aż dwa razy musiała ją zabrać zaalarmowana przez patrona policja. Chichita broniła się, jak kocica, i to było najgor-



sze. — *Nunca jamas ! jamas nunca !* — Widok wleczonej przez policjanta Chichity mógł rozkroić najtwardsze serce. Tym bardziej, że na zielonym swetrze nosiła ona wpiętego, srebrnego orzełka, prawdziwy wyrzut sumienia dla Pani i dla polskich, kioskowych gości. Po przejściach z policją nie było jej widać przez tydzień, potem przez dwa tygodnie — wróciła wreszcie smutna i łzawa, aż się serce krajało od nowa. Jednego wieczoru przysiadł się do niej marynarz libański i nieco rozruszał. W miesiącu lutym, Chichita — zawsze z orzełkiem na honorowym miejscu — poszła do okienka z zaprosinami i oświadczeniem :

— Że — nie tylko Polacy istnieją na świecie, Libańczycy również mają prawo do życia, wobec czego na ślub swój uprzejmie zaprasza, który odbędzie się w maju, w kościele libańskim... Tak, tak, tak !

Tak ! Jeśli o inne drobne rzeczy chodziło — wesoła małpka Kiki była największą pociechą : pretensji nie miała, nigdzie się nie wybierała i zdrowa była, bo dopiero za rok miała ją chwycić choroba, zbliżona do przypadłości słomianej Marii Angeliki w szpitalu Dobrego Pasterza.

W związku z nią, Bobuś Sandalski, brzdąc utrapiony, przez te miesiące nie zamustrował, jak i dlatego, że poddał się intensywnej kuracji. Znajoma jego miała się lepiej, ale pomimo to Bobuś razu jednego, bez żadnej widocznej przyczyny, z własnej choroby padł, w nowym Domu Polskim, gdzie szczęśliwym trafem był obecnym pan Masło. Ten wziął go w opiekę, obiecując zaleczyć w maju człowieka. Co między Bobusiem a panem Masło na konsultacji zaszło, mniejsza o to, z konsultacji wynikło, że Bobuś miał w ciemnej piwnicy cegły grzać i na ciepłych ceglach każdego ranka przez 7 minut czatować, spoglądając na mapę ; na sobie miał wieszać anielskie włosy i sreberka, jakimi u nas jest zwyczaj ubierać boże drzewka. Po takiej siedmiodniowej kuracji, sam Bobuś mówił, że mu się zrobiło znacznie, znacznie lepiej. Zmizerniał co prawda i beksił się częściej niż dawniej, nawet przy noszeniu cegieł u gażegi, ale bezsprzecznie miał się znacznie, znacznie lepiej.

Co więcej ! Wielkiej wojny, jak powiedziano, nie było, ale zdarzyła się mała wojna domowa, zakończona nie byle jakim zwycięstwem. Stary Dom Polski na peryferii zaciekał i więcej wstydu, niż pożytku, ambitnemu narodowi przynosił ; więc o kupno nowego Domu wynikła wojna,

jakoże nowy Dom miał kosztować moc czateńskich pieniędzy, a na światowe polskie porozumienie nie było co nawet liczyć... Prezes Juan Gacki był za Domem; inż. Rumał przeciwko Domowi; pan Misiak za nowym Domem; na przykład sekretarz Grzegorz Łuna nie tylko opowiedział się za Domem, ale pierwszy na Dom dał; kapitan Wupe razem z Konsulem Antwerpskim radzili jeszcze trochę zaczekać; pan Bolączka był przeciwny Domowi. Tak samo zgorzkniały ojciec chłopca Salopa powiedział, że nie trzeba, bo i tak rozkradną. Zwolennicy Domu zwyciężyli po pierwsze dlatego, że sami dali, po drugie, że przeciwników osobiście zawstydzili do łez. Chętni i niechętni dali, i tak powstał w Punta Chata nowy Dom Polski. Krew w tej wojnie domowej nie poleła się między dającymi i bojkotującymi, ale między tymi, co dali. Na uroczystości w nowym Domu Polskim o kwestię, gdzie jaki portret i z której strony ma wisieć — do krwi się pobili pan Łuna z panem Lipińskim, chociaż obydwaj dali; właśnie w czasie tej bójki Bobuś brzdąc dostał ataku swojej nieszczęsnej padaczki.

Do Kiosku częściej w tym czasie zaglądał wspomniany przy okazji Turysta i dwaj młodziacy niejaśni; oprócz nich pojawił się nowy mentekaptus, marynarz urodzony w Bobrujsku, który zbierał dolary, a na chleb sobie załował i głodem przymierał, tłumacząc, że o jutrze myśli, a na dziś kicha; ten był znieawidzony w całym porcie.

Wiesio Bączek przez ten czas był w Kiosku dwa razy na bardzo krótko: raz, żeby spytać, czy był Fornalski, i drugi raz, gdy był Fornalski, żeby powiedzieć, czt, czt, Fornalski! Wkrótce po tym Fornalski, który języka dobrze nie znał, a na prawo i lewo się szastał — wsiąkł, i to od razu w Pierwszej i Trzeciej Sekcji! Wobec czego potrzebował nie jednego, lecz dwóch adwokatów.

Co poza tym? Mniej więcej w połowie marca Ambrosio Lipiński, zaręczony z Eleną Gacką, wyjaśnił w Kiosku, że — *seguro* — on nic nie rozumie, ale polskie sprawy mniej już go teraz ciekawią. Mówiło się o tym w związku z zapowiedzianym przyjazdem z Polski do Punta Chata ss. „Kostka Napierski”. Dziwnie znajoma wydała się ta nazwa i dopiero po sprawdzeniu w encyklopedii Trzaski i Ewerta, wiadomo było, że nie chodzi o nabieranie ani o żart. Ale ss. „Kostka Napierski” obiecywał się dopiero

na maj, w maju- zaś nie miało już być w Punta Chata polskiego Kiosku.

Aha! SzeF Bolesławski i Adam Gwóźdz, jak pojechali, tak przepadli, o co niektórzy mieli pretensję. Kto napisał do Pani miłych słów kilka, niewdzięcznik marynarz Trościa z Puerto Rico; poza tym Gruby Jarząbek przysłał w liście parę najlonowych pończoch, Dupontów 56, skąd je przysłał nie wiadomo, bo stempel był zamazany; w liście dołączył pozdrowienia imiennik ss — Kostek Napierski.

Od połowy kwietnia począwszy, nie ma już Kiosku w barze Tango. Sam bar też zmienił nazwę i patrona, i nie jest już to, co było.

Panią z Kiosku w omawianych miesiącach dosięgły przykre zbiegi okoliczności i frasunki najrozmaitszej natury i też się zmieniła i nie jest już ta co była.

Szła raz kiedyś z bukietkiem fijołków ulicą Termopil, frontem do czateńskiej katedry i tam ją chwycił przypadkiem zadyszany pan Masło :

— Nie martw se, kobieto, bo od Turków se zacznie...

— ...i nie martw se, kobieto, bo Turki głupie nie będą winowate...

— ...a kiedy se zacznie ?

— ...a w maju, a w maju, kobieto !

## KOCIOŁEK NA ZIEMOWITA

### I.

Oficer służbowy napisał w Książce Raportów sakramentalne : *W czasie mojej służby nic ważnego nie zaszło. Jedynie przy KO4 ktoś przystawił w nocy drabinę do okna na pierwszym piętrze, po stwierdzeniu, że okno nie wykazywało śladów włamania i pozostawało zamknięte, kazałem drabinę zdjąć. Cezary Gach, por. Of. Służb.*

Raport ten w Książce Raportów zajął kolejne miejsce na stronie numerowanej z datą październikową, przed nim były inne raporty, po nim dalsze dwa, albo trzy, ale nie więcej.

Albowiem Książkę Raportów zabrano, dano nową, a porucznika Gacha wkrótce potem zawezwał przed swe oblicze człowiek cywilny w randze majora, naczelnik Zenon Bijas.

Człowiek był średni wiekiem, wzrostem i zachowaniem, z lokiem na wklęsłym czole w formie sierpa.

Por. Gach z niemitym zdziwieniem skonstatował, że wzrok cywila Bijasa był rozstawiony pod szerokim kątem, co tylko wówczas miało miejsce, gdy cywil Bijas popadał w stan szalonego zdenerwowania.

— Tu mam — głos naczelnika Bijasa był szczypiący, jak ałun (a działo się to w Gdańsku, w lat kilka po wyzwoleniu, w dyżurce służbowej z piecykiem żelaznym z rurą wpuszczoną w dach) — wasz raport z tego miesiąca, w którym jest wzmianka o drabinie. Ja was proszę o bliższe, że tak powiem drobiazgowo, szczegóły. Mówcie !

— Drabina — szybko przełknął ślinę por. Gach w postawie na bacność — drabina obywatelu naczelnika była



przy KO4 od strony magazynów, ale okno zostało nienaruszone, wobec czego kazałem drabinę zdjąć. I ja podałem w raporcie...

Major Bijas podbił lok, który mu zaraz opadł na dawne miejsce.

— Obywatelu poruczniku, czy wy przypadkiem sobie nie wyobrażacie, że ja was zaprosiłem, aby z waszych własnych ust jeszcze raz posłyszeć ten sławny raport? Jest pan w błędzie! — Podjął z biurka kartkę z notatką i czytał prędko. — Kto przystawił drabinę? O jakiej porze? Czy drabinę stawiała jedna osoba, czy więcej? Jeżeli więcej, to ile? Mężczyźni, kobiety i w jakim wieku? Jak byli ubrani? Skąd jest drabina? Do kogo należy? Jakiego gatunku drabina? Tapicerska, ogrodnicza, stajenna, domowa, strażacka, pojedyncza, podwójna, składana, czy zwykła? Gdzie jest obecnie przechowywana? Meldować z nazwiskami i ze wszystkimi dodatkowymi szczegółami! Ze szczególami!

Por. Cezary Gach po raz pierwszy w czasie nieskazitelnej służby zbuntował się:

— A skąd ja mam wiedzieć, kto tę cholerną drabinę przystawił, jeśli nie było żadnego włamania i jeśli w ogóle nic nie było?!

Zenon Bijas zrobił gest. Por. Gach obleciał wzrokiem dyżurkę w nagłym pomieszaniu, wyprostował się i, jak w szkole oficerskiej, przyszczypnął szwy.

— Drabina, obywatelu naczelniku, była zwyczajna, owszem, trochę dłuższa niż zwyczajna, bo jak sobie w tej chwili uświadamiam, była sztukowana, znaczy zbita z dwóch sztang. Poza tym nic specjalnego, normalna drabina. W tej chwili jeszcze sobie uświadamiam, że była niemalowana i dość przybrudzona po wierzchu. Kazałem żołnierzom ją zdjąć i zaraz się mogę dowiedzieć, gdzie ją ponieśli. Kto ją przystawił, nie miałem sposobu widzieć, bo kancelaria nie daje wglądu na tył KO4, zaś w czasie mojej inspekcji...

Z huczącego ogniem piecyka nagle wywalił się na podłogę rozżarzony koks. Por. Gach postąpił krok, jakby chciał się zabrać do ratowania dyżurnej podłogi, ale obywatel naczelnik znowu zrobił gest.

Gestem tym objął nie tylko nieszczęsnego Gacha, ale i siebie samego i ów rozżarzony piecyk, więcej, nieobecne nawet w dyżurce osoby i rzeczy. Rzekł:

— Słuchajcie, obywatelu ! Ja nie lubię straszyć i choć w czasie waszej służby nic ważnego nie zaszło, bieda będzie...

Z gestu sądząc, bieda się zapowiada w szerokim wachlarzu...

Ano !...

## II.

Pamięta kto może październikowy deszcz w Gdańsku ?

Który bije z ukosa i tak się przy tym nastawia, żeby z silnym wiatrem zawsze ciąć w twarz ?

Pamięć ludzka jest po to, aby ciąć wspomnieniami, i jeśli kogo wiatr z deszczem w tej chwili nie tnie, tnie go podobnie pamięć...

W czasie takiego właśnie październikowego deszczu, pluton gdańskiego WOP'u, pod komendą por. Gacha, maszerował gęsiego po trapie ss. „Gotland” w Nowym Porcie.

Okręt był szwedzki, biały; na czarnej tablicy w Urzędzie Morskim kredą było uwidocznione, że odjazd tego Szweda miał nastąpić punkt o godzinie 17-tej.

Pluton wmaszerował na pokład i por. Gach ustawił go według instrukcji na dziobie, w dwa szeregi od kabiny nawigacyjnej aż do kotwicznej burty.

Wichrem porywany deszcz ciął w twarz wszystkich na pokładzie Wopowców, obojętnie, czy który stał frontem, czy tyłem do swego dowódcy. Pod okrągłymi czapami z kuty daszkiem wszyscy chłopcy jednakowo mieli twarze zalane deszczem.

Kapitan Gotlandu z punktu zdenerwował szefa inspekcji; nim się jeszcze przywitał (a był w czarnym, burżujskim gumowcu z kapiszonem i mógł gwizdać na deszcz !) pokazał ręką na cieknące niebo i wyraził się gestem, że jest niemożliwe !

— Niemożliwe ? (warto było posłyszeć służbowy śmiech por. Gacha !). Niemożliwe ? Dla Polaków możliwe, a dla was, Szwedów, ma się rozumieć nie ? ! Niemożliwe, on powiada ! Otóż ja powiadam i powtarzam, że cała załoga ma stanąć na pokładzie i ma stać, deszcze nie deszcz, inaczej

okręt centymetra od kei nie ruszy, zapowiadam i wyjaśniam! Zrozumiano, czy nie?!

Por. Gach mówił to wszystko po polsku i dobitnie, z intencją, że jeśli szwedzki syn nie rozumie, niech się nauczy po polsku. Tyle służbowej energii włożył w głos, że kapitan Gotlandu od razu skapitulował.

Niechętnie, ale dał znak. Zadzwoił dzwon okrętowy. Zaczęli wyłazić z ciepłych schowków niechętni marynarze w ceratach i brezentach, szli leniwie na przedni pokład, otrząsając się z deszczu psim dreszczem.

Miała być (według instrukcji) obecna na inspekcji cała załoga, z wyjątkiem kapitana, który mógł czekać w kabini, i z wyjątkiem cieśli, który w swoim warsztacie miał prawo się spodziewać rewizji.

Por. Gach, chłop jak byk, stał na środku pokładu nie szukając żadnych przed deszczem osłon; deszcz jest deszcz, wiatr jest wiatr, Gotland jest Gotland, a służba jest służbą!...

Wydobył z mundurowej kieszeni listę załogi i odczytywał; wcale się nie krępował, że przekręcał zagraniczne nazwiska i prawdopodobnie źle akcentował — i że deszcz bił w papier, jak CKM w tarczę. Przy nim stał przodownik wyszkolenia bojowego i politycznego, chluba WOP'u, sierżant Władysław Rym.

Ten, o sympatycznych, w tej chwili mokrych rysach sierżant, spełniał odpowiedzialny obowiązek Polski Ludowej: kiedy porucznik wyczytał nazwisko, a wywołany marynarz powiedział „jä” — sierżant Rym maszerował krokiem sprężystym, zaglądał w twarz, sprawdzał i dostatecznie przekonany pozwalał mu odejść na bok.

Tak według instrukcji dokonywał się przegląd załogi, żeby jaki zdradziecki szpieg w szwedzki kapiszon się nie ubrał i z Polski nie zadrwił...

Pośród załogi nic nie znaleziono godnego czujności, chociaż szukano dobrze; ale aż do końca inspekcji kazano Szwedom na deszczu stać, skąd zrodziły się straszne szwedzkie przekleństwa, do dziś jeszcze w Szwecji powtarzane...

Po przeglądzie załogi por. Gach rozdzielił swoje siły na człony: kilku ludzi z plutonu wyznaczył do pilnowania przesegregowanej załogi, a resztę rozbił na pary; każda para miała zadanie dokonania rewizji, ci w kabinach, ci w lukach, ci w bunkrach, ci w szalupach, a sierżant Rym,

spec i pies jeśli chodzi o szpiegów, ten miał szukać gdzie go skieruje czujny instynkt.

Wkrótce nadeszły meldunki : kabiny puste ; luki sprawdziły trzy dwójki i ręką za luki ; w węglu pracowały wyborowe dwie dwójki i węgiel kłuły stemplami i są odpowiedzialne za węgiel, czego dowodem są twarze, pomazane pyłem węglowym ; za-wszystkie pokłady górne i dolne gwarantuje trzecia i piąta dwójka ; w kuchni, w warsztatach, tudzież w okrętowych ubikacjach wszystko się znajduje w należyтым porządku ; w szalupach, w spiżarni, pod plandekami żadnego zbiega nie ma ; kubryk zrewidowały dwie pary z wynikiem negatywnym ; u burty, ani na linach nikt nie wisi ; w aptece były szczury, ale ani jednego bryka nie dało się wykryć...

Odebrawszy te wszystkie negatywne meldunki, por. Gach przetarł mokre rzęsy i pytająco spojrzął w mokrą twarz Ryma, który uchodził za specą w wopowskim rzemiośle :

— I ?

— Czepurkowski ! — krzyknął sierżant, nie odpowiadając na i. — Drap się, ci radzę, na gniazdo, łap-cap !

Wyskoczył z plutonu zwinny jak wiewiórka Wopowiec, odłożył na bok karabin, rzucił szynel i chociaż od deszczu miał mokre ręce, splunął w garście i oblepił nimi maszt. Kabłąkowato wypiął nogi, objął drzewo, grzbiet też wypiął i zamiatając rękami zaczął się piąć, jak wiewiórka.

Obecni na pokładzie głowy zadarli i podnosili je coraz wyżej i wyżej — a deszcz ich za to wszystkich w kupie w twarz bił...

Czepurkowski zgrabnie dopiął celu i stamtąd głową przeczył i ręką negatywnie machał, że w bocianim gnieździe nie kryje się żaden wróg.

— I, Rym ?

Szwedzi na pokładzie dawali coraz dobitniejsze znaki nieukontentowania, jako że deszcz istotnie siekł, i, co który Szwed obrócił się w prawo, siekł go z prawa, który w lewo, siekł go z lewa — ów październikowy gdański wiatr...

Sierżant Rym nie przestawał strzelać oczami na prawo i lewo i choć por. Gach zdradzał symptomy kapitulacji, nie dawał za wygraną.

— Kordus i Sachse do wietrzników ! Jeżeli siatek nie



ma, klucz bagneta w dziuplę !... Ja zaś, obywatelu poruczniku, własnoręcznie sprawdzę komin !...

Komin ? Z komina Gotlandu szedł czarny dym, marszczony na powietrzu deszczem i wichrem srogim — i por. Gach miał prawo pomyśleć, że sierżant Rym w kominie flądry wędzonej pragnie szukać, a nie żywej duszy — co by mu chętnie powiedział, gdyby sierżant nie był pwbp i nie był specem.

Znowu zadarli głowy rozstawieni na pokładzie Wopocy i Szwedzi, i uważali, jak Sierżant Rym mądrze po stopkach się piął, żeby mu dym z komina twarzy nie zamorusał. Piął się on po czarnym kominie, po rozstawionych w szachownicę sztyftach, i obejmował komin tak, że mu z pokładu zazdrościli, bo od kominowego ciepła niezawodnie suszył i grzał się.

W czasie tego wspinania, wylał ponownie z kabiny kapitan Gotlandu i szefowi inspekcji niecierpliwie pokazał na zegarku, że zbliża się godzina odjazdu.

W sitwie z kapitanem, zawyła w tym momencie okrętowa syrena i biała para trysnęła obok sierżanta, kiedy ten docierał do szczytowej obręczy.

(Jeśli — tłumaczył później w świetlicy zastuchanym podwładnym sierżant Rym — jeśli komu jest powierzona okrętowa czujność, komin powinien znać też ! Komin dla waszych oczu jest gruby, rozdęty, zasmrodzony — a dla moich oczu on jest cienki i dęty. Przetłumaczcie sobie na rozum : choćby w najgrubszym kominie, pogrubionym umyślnie dla ludzkich oczu, znajduje się tylko cienka rura, którą dym idzie, natomiast reszta komina, jak wam wytłumaczyłem, jest próżna, czyli dęta. W próżnej części każdy z nas mógłby sobie zafundować małżeńską sypialnię i jeśli będzie respektował wiatr, nawet nie poczuje większego smrodu. Instrukcja nam powiada : szukać w kabinach, w węglu, w szalupach i w ogóle. W ogóle nie wspomina o kominach. Sekret kominów odkryłem wam pogłęboko na Gotlandzie, gdy...)

Gdy sierżant Władysław Rym dotarł po stopkach do celu, przegiął się i zapuścił żurawia w czeluść. Ledwie spojrzął, zamachał pozytywnie ku swoim. Przegiął się jeszcze bardziej i ryknął w komin — Wylaż !

Ludzie na dole mało oczy sobie nie poskręcali, tak się gapili na pasjonujące widowisko.

— Krrwaa! — wyraził nieukontentowanie por. Gach, że ten Rym zawsze musi być niezawodny i pierwszy!

Z komina, w kłębie płasko się rozciągającego dymu, centymetr po centymetrze, zaczęła wyrastać biało-czarna twarz: biała od naturalnej bladości, a czarna od popstrykania kopciem; poza tym chuda, z blond bródką.

Czerstwy sierżant Rym zawisł nad zdobyczą w wicherze, w deszczu i w dymie...

Z pokładu nie było widać, ani słysząc, co między nimi się działo: jeden był wewnątrz komina, drugi z zewnątrz, wiatr obydwóch jednakowo zagłuszał, dym obydwóch jednakowo oczerniał. Czy coś do siebie gadali, czy może robili sobie gorzkie wymówki, kto ich wie, dość długo zabawiali się i marudzili.

Pierwszy zaczął złazić po stopkach sierżant Rym, a za nim pasażer, i ten cichy pasażer ni z tego ni z owego, dał szczupaka i byłby się znalazł w Bałtyku, gdyby go sierżant Rym nie przytrzymał za nogę. Czujny sierżant (krrwaa!) w samą porę nie dopuścił do samobójstwa i cichy pasażer, wywinąwszy koziołka, zdrowo wylądował na górnym deku, obok nawigacji.

Zziębnięte Szwedziska trzęsły się w swoich ceratkach pod nawalą mokrego ziąbu, a przed por. Gachem kapitan Gotlanda ręce rozłożył na znak, że o niczym nie wiedział i że nie jego jest wina, jeśli oprócz morskiego handlu zdarzają się na świecie polityczne nieprzyjemności.

Zebrany w garść pluton wmaszerował na górny pokład i skupił się pod kominem, aby przyjąć czujnego sierżanta i jego zdobycz, utrzymaną za nogę.

Por. Gach rozporządzał na poczekaniu parą służbowych kajdanków, błyskotliwych jak mgnienie oka, które natychmiast puścił w ruch. Błysnęło, jak mgnienie oka i trzymany za nogę bryk uwikłał się w stal, rezygnując w ten sposób raz na zawsze z niewczesnych bikiniarskich pomysłów.

Na co Wopowcy z plutonu patrzyli z wytrzeszczonymi oczami, i na co Szwedzi patrzyli z wytrzeszczonymi oczami, ci ostatni z lubym przeświadczeniem, że temu, co się dzieje, oni nic nie winni...

Nad skutym i z wrażeń osłabłym brykiem rozbestwił się sierżant Rym:

— Oleś nie Oleś, ale ci powiem, że jak cię zaczną

szczytać w pięty, wspomnij sobie : lepsze polskie gie w polu, niż fijołki w Neapolu !...

Po tym wybuchu poezji, pluton uformował się gęsiego do odmarszu ze skutym więzieniem w środku, ale musiał się wstrzymać z odmarszem, ponieważ po trapie wchodził gęsiego pluton Inspekcji Celnej.

Dopiero gdy tamci weszli, ci zeszli i, po ubezpieczeniu czujkami Gotlandu, pomaszzerowali przez Nowy Port.

Zadowolony z siebie sierżant Rym zrównał się z por. Gachem, a nawet do niego zagadnął :

— Prawdziwy jest traf, że ja tego złapanego przeze mnie bryka znam. On jest Oleś Fornalski i nic mu żadne wykręty nie pomogą, bo ja z nim przed wojną do trzeciego oddziału szkoły powszechnej w Wejherowie razem ucześnie. Bródkę sobie zapuścił, żeby mnie zmylić, ale ja go po kształcie mordy poznałem, jego brat pływa na Dzierżyńskim, i ot widzi obywatel porucznik, co się z koleżki zrobiło ? ! Gdzieby kto kiedy pomyślał, że ja tego Olesia będę zobowiązany własnoręcznie z komina za łeb wyciągać ? Ot widzi obywatel porucznik, jakie trafy chodzą po ludziach ? ! Ale nie może być innego trafu na swołocz...

Maszzerujący na czele plutonu, por. Gach machał rękami raz, dwa, raz, dwa i nic nie mówił.

— Powiedziałem swołocz i mam rację ! My tu w deszczu, na masztach, w szalupach się męczymy, a taka swołocz chowa się przed nami, gdzieby nikt oprócz mnie nie pomyślał, w kominie ! Cały nasz naród siedzi na kupie, a moim zdaniem naród w kupie jest absolutnie niezbędna rzecz, co także było dowiedzione na politycznym udoskonaleniu, że jest po socjalistycznej linii. Wściekłość czuję niewypowiedzianą, gdy kto od kupy pragnie się oderwać i brykać. Moim zdaniem brykanie jest łamaniem narodowej karności i takiego drania co od narodu bryka, ja chętnie ścigam ze świecą w rękę, nawet w kominie. Kto bryka, nie Oleś jest dla mnie, tylko bryk. Tak ja rozumiem ludową czujność, obywatelu poruczniku ! Czy dobrze mówię ? Czy albowiem komu jest dobrze, czy komu jest źle, ma być na kupie i kto samowolnie bryka jest dezterter i ja takiemu jednemu, jak się kiedy zdenerwuję, bebechy wyrwę, taka mnie na nich wściekłość ogarnia !... Ale — obywatelu poruczniku — też dzisiaj u nas plucha, ale plucha, niech jasna cholera ściśnie...

W czasie tej pluchy maszerujący w kierunku wopowych ciężarówek por. Gach — czuł się zmuszony znosić cierpliwie opromienionego świeżym triumfem sierżanta Ryma, który nie tylko zrównał się z nim krokiem, ale gadał, jak równy z równym.

— Słusznie twierdzicie, obywatelu sierżancie, że warto brykom bebechy z brzucha wykręcać; ale jak to, obywatelu, powiedzieliście na pokładzie temu swemu koleźce z Wejherowa? Polska gie, Neapol fijołki?

Sierżant Rym strzepnął z okragłej czapy deszcz i energicznie wziął się w obronę:

— Przesłyszenie i niedostyszenie, melduję obywatelu poruczniku! Ja tylko każdemu dezerterowi, którego w węglu albo w kominie schwytam, lubię przepowiadać staropolski, i, moim zdaniem, słuszny wiersz, że lepsze polskie gie w polu, niż fijołki w Neapolu! To nie jest przeciwne partii! Jeśli co mówię, to wiem! Jestem przodownikiem wyszkoleniowym czy nie jestem, mam odznakę Wzorowego Żołnierza WOP'u, czy nie mam, byłem w gazecie, czy nie byłem? Może nie?

— Aha, aha! — zgodził się łatwo maszerujący na czele por. Cezary Gach, notując w pamięci posłyszany wiersz staropolski.

Ryknęła syrena Gotlandu na pożegnanie Gdańska — a sierżant Władysław Rym, wsiadając do ciężarówki, ucieczył się:

— Słyszysz obywatel porucznik? Szwed się skadził ze złości!

### III.

Naczelnik major Zenon Bijas nie tak sobie na wiatr straszył biedą, bo bieda, po wypadku z drabiną, zaczęła przybierać rozmiary kłeski.

W pierwszym rzędzie kłeska spadła na por. Gacha, którego wézwwał pułkownik Sierpuchowski, po polsku poprawnie się wyrażający — i opieprzył go grubymi słowami po polsku. Opieprzył go grubymi słowami za brak socjalistycznej czujności, a gdy por. Gach zameldował, że drabina została odnaleziona, tow. pułk. Sierpuchowski na-przód zdumiał się, a potem go powtórnie opieprzył, że ga-



da od rzeczy. Z czego wynikało, że pułkownik nie wiedział o co chodzi, jednakowoż : zauważyłem u was — pieprzył — brak socjalistycznej czujności, na co po raz ostatni zwracam uwagę — pieprzył — i ja w stosunku do was wyciągnę konsekwencje — pieprzył, czerwony z gniewu, jak burak.

Ot, czego dochrapał w czujnej służbie przez tę przeklętą drabinę por. Cezary Gach !

Natomiast w samej dokumentacji wykryły się naprawdę interesujące szczegóły, o których nie mógł wiedzieć pułk. Sierpuchowski.

Ludzie nacz. Bijasa, idąc po śladach WOP'u, dotarli do sedna konspiracji, a mianowicie, że drabina pochodziła z ogródka dwóch sióstr.

Jedna siostra — dotarli — była wdową, zapisaną pod imieniem Anna Aninowska — i dotarli — że ta siostra zajmowała się uprawą kwiatów i łapaniem motyli dawniej w Orłowie, a po zmilitaryzowaniu terenu obecnie w Gdańsku; druga siostra — dotarli — nie rodzona, ale przyrodnia, panna, była przed wojną nauczycielką, obecnie jest krawcową, nie należącą do Związku, polującą na zagraniczne żurnale mód. Ta druga siostra nazywała się Łucja Duszna i Urząd dwa razy miał z nią do czynienia, raz z powodu amerykańskiego marynarza, który u niej za długo przesiedział, drugi raz z powodu fig, których 5 wianków wraz z tajemniczym i nie wiadomo od kogo pochodzącym klejnocikiem w postaci złotego pieska, dostarczył jej z Ameryki Południowej marynarz nazwiskiem Lubański.

Obie siostry — dotarli — były bezpartyjne, ciche, kwalifikowane w kartotece jako bierna opozycja, i w kartotece przy ich nazwiskach figurowały ptaszki, nakazujące czujność.

Otóż od tych dwóch sióstr, zamieszkałych w Gdańsku przy ulicy Ziemowita pod nr 13-tym, w budyneczku, skleconym z wypalonych wojennym pożarem cegieł, otoczonym nadzwyczaj bujnym ogródkiem, w którym nawet w październiku rumieniły się dziwne, chyba nie polskie, kwiaty — ślady doprowadziły, że właśnie od tych sióstr pochodziła drabina.

Gdy się to ustaliło i zaprotokółowało, wkroczył w sedno rzeczy (dla dalszej ludzkiej biedy) obywatel naczelnik od spraw morskich Zenon Bijas.

#### IV.

Zanim jeszcze wkroczył, wiedział zawczasu, że bieda zaczyna się wtedy, gdy na przedmiot dochodzeń naciska góra; której nacisku unika jak może każdy rozsądny człowiek, świadomy tego, że gdy góra naciska, obowiązkowo musi wycisnąć ofiary. W tym zaś wypadku ofiary wyciśnięte przez górę, mogły być różne: siostry, por. Gach, nieujawnione dotąd trzecie osoby, albo, na psa urok! onże sam, Zenon Bijas!

Gdy o tym myślał u boku ukochanej żony, trudno mu było nie przyznać racji por. Gachowi, który słusznie zaobserwował, że po jakiego smarka władza interesuje się drabiną, jeśli okno pozostało nienaruszone i do KO<sub>4</sub> nikt nie wlaź?

Ale przyznać też trzeba (czego Gach nie wiedział), że akurat za tym oknem było archiwum z zalakowanymi paczkami, pochodzącymi nie stąd, lecz *stamtąd*, o których ważności, nic nie mówiąc, mówił mu w Warszawie, specjalnie go zawezwawszy, towarzysz Rolny.

W zrozumiałej rozterce o bieg dochodzeń, a czując w powietrzu nieuniknione ofiary, naczelnik Bijas, z instyktu samozachowawczego, urządził w swoim domu popijawę orientacyjną.

Kto na nią przyjdzie, a kto nie przyjdzie? kto, wypiszący, co powie? kto farbę puści? może kto co obieca i może kto ofiaruje plecy?.; po takiej popijawie może się w głowie rozjaśni i pokażą się znaki orientacyjne, w jakim kierunku należy prowadzić śledztwo: na Gacha, na siostry, czy też na szpiegów amerykańskich?

Słodką jego kobieta, Alicja, porównywana przez Urząd do kwiatu azalii, stanęła na wysokości zadania i choć w tych czasach niemałej pieczy wymagało zdobycie oliwy nicejskiej do majonezu, majonez był z oliwy nicejskiej, a nie z soji. Alicja na tę okazję zapięła się w suknię seledynową, skąpą gdzie trzeba, a kolosalną na dole, uszytą przez Łucję Duszną z francuskiej tafty krojem z francuskiego żurnalu mód.

Rozkosznie było na nią patrzeć, ale przykro było myśleć, że tego tylko brakuje, aby śledztwo drabinowe wzięło

kurs na Duszną, z Duszej na suknię, a z sukni na Alicję Bijasową!

W trakcie tej wstrętnej myśli, Zenon Bijas podbił na czole lok, który mu zaraz opadł na dawne miejsce, i zazezował w zdenerwowaniu na żonę.

Ona zaś, pośród doborowych gości, nawet nie śniła o możliwym niebezpieczeństwie, biust jej pod seledynem chodził jak klacz w cuglach i szedł od niej nie byle jaki, bo autentyczny zapach olejków, dowiezionych z ludowych Chin.

Towarzysz pułk. Sierpuchowski (dobry znak!) nie odmówił i przybył, optymistycznie czystą golił, zagryzał i znowu golił, podszczypując ogórek kiszony i rydzyki; a już wypadało śmiać się do rozpuku, co wszyscy robili, gdy pułk. Sierpuchowski, podszczypując i goląc, stroił niewinne żarty, iż — ano! — nu ano i ciekawe, co też nasza Alicja na dziś do przekąszenia z dań serio, co, a, wykombinowała?!

Ta popijawa orientacyjna miała miejsce w willi niespalonej, z boazeriami z czarnego dębu, w której niestety tylko część starych mebli po grafie Preussie dostała się Bijasom, resztę chuligany w czasie wyzwolenia rozkradły, i te skradzione, między innymi stół i krzesła w jadalni, musiały być zastąpione wyrobami z warsztatów ZMP z białej, niepoliturowanej sosny tucholskiej. W jadalni, na frontowej ścianie, był wyrzeźbiony bodaj że herb tych Preussów z tarczą i pióropuszem, w który Zenon Bijas zaraz pierwszego dnia po zainstalowaniu się wbił gwóźdź. Na gwóźdźu zawsze odtąd wisiał okolicznościowy Portret przez duże P, który herb grafów Preussów skutecznie zastąpił...

Chcieli niektórzy z gości z pułk. Sierpuchowskim prowadzić dyskurs po rosyjsku, ale pułkownik się wzdragał i, ruszając grdyką, za każdym razem odpowiadał po polsku. Gości był tuzin, wśród nich specjalnym uważaniem cieszył się cichy gość, nazwiskiem Hurewicz, należący do lotnej ekipy, co to dzisiaj w Gdańsku a jutro w Brańsku; z tym gościem sam Bijas nie wiedział jakim językiem się porozumiewać, ponieważ tamten się nie odzywał, nigdy o nic nie pytał, a jak się chciał wyrazić, syczał jak gąsior: sss! Kręcił się on ostatnio po Urzędzie, do Warszawy wpadał jak po ogień i zaraz wracał, na popijawę u Bi-

jasów przyjechał w aucie z pułk. Sierpuchowskim, więc podwójnie się liczył.

Ogólna, towarzyska rozmowa zaczęła się na temat słowa „morszczyń”, którego w związku ze skarbami, jakie Polsce Ludowej daje Bałtyk, użył młody towarzysz z Urzędu Dzikowski. Słowo „morszczyń” zaciekało obecnych i nawet Bijas objawił zainteresowanie w nadziei, że ten temat, łatwiej niż inny, da się naprostować w kierunku drabiny. Pułk. Sierpuchowski ostrożnie spytał sąsiada (Czesia Musia), jak się pisze owe morszczyń i czy pochodzą od „szczy”, czy od „szczyń”? na co mu kilka głosów chórem odpowiedziało, że ani od tego ani od tamtego, tylko od morza; jednocześnie kilka zakamuflowanych uśmiechów przeleciało po twarzach, albowiem wszyscy wiedzieli, że ciekawość Sierpuchowskiego pochodzi z obawy, aby w ortografii nie strzelić byka; wszyscy też wiedzieli, że jak zebrało się tu osób dwanaście, tak w dwunastu meldunkach figurować będzie słowo „morszczyń”.

Po wygaśnięciu ożywionej rozmowy na tematy morskie, zaczęło się manifestować normalne w tych czasach zjawisko, że choć wódki czystej z karafki z leżką dolewano do kieliszków i twarze zabarwiały się odpowiednio, i choć z dań serio gospościa Elżbietka postawiła na stole indyka en gros z borówkami, i choć picia ani potraw nikt sobie nie żałował — każdy z gości coraz mniej mówił, a coraz chętniejszy był słuchać. Coś jakby się działo wbrew naturze; coś jakby samogwałt każdy na sobie popełniał wódkę pijąc i samemu sobie: stul pysk, stul pysk! życząc. Pań, z wyjątkiem Alicji-Azalli nie było, bo Bijas kobietom (z wyjątkiem tej) nie wierzył, bojąc się ich niezdyscyplinowanych języków, które nawet bez złej intencji potrafią człowieka zgubić. Że jednak pań nie było, więc też nikt, z wyjątkiem pułk. Sierpuchowskiego, nie mógł się zająć odmienną picią i ożywić, które to ożywienie jest traktowane w Górze przez palce. Pułk. Sierpuchowski, z karkiem w fałdy nad mundurowym kołnierzem ze srebrnymi wężykami — pierś z Virtuti Militari wypinał do Alicji i jurzył się, a podsmalał, i o gramofon, czy jest, żeby potańcować, pytał — ona zaś, Alicja, kobieta tip-top, ma się wiedzieć nie rozumiała w czym rzecz i tylko śliczne oczęta mrużyła i przekomarzała się: „czy mu dać, czy nie dać, czy wesela poczekać?!...” Gdyby nie to przekomarzanie się



i jurzenie — chyba tylko zegar gdański na ścianie, obok herbu zakrytego Portretem byłoby słycać, tak się każdy wstrzymywał, żeby nie mówić, tylko słuchać.

Aż w tym jurzeniu się i w tym tykaniu zegara, Zenon Bijas zdecydował potrącić o strunę dzisiejszej troski, związanej z drabiną.

Więc wniósł zawczasu obmyślony toast za pomyślność ludowego rozwoju, którego przykład i wzór idzie — z góry! Mówiąc „z góry”, rozbrykane oczy zebrał do kupy i nakierował na Portret. — Przykład i wzór idzie stamtąd, a pomyślność socjalistycznego rozwoju wymaga od nas socjalistycznej czujności (lok mu opadł), ponieważ wróg nie śpi i czyha nawet tam, gdzie go się nikt nie spodziewa (podbił lok). Nie potrzeba daleko szukać, ot tu obecny towarzysz Sierpuchowski, bohater naszej Polski Ludowej, najlepiej wie, ile krzywdy mógł wyrządzić brak czujności ze strony takiego, który przez zaniedbanie, albo przez...

— Sss !...

Syknięcie wyszło wprost z nogi indyka, której połowa tkwiła w ustach, a druga połowa sterczała z ust Hurewicza.

Towarzyszowi Bijasowi lok opadł i oczy się otworzyły, jak cyrkiel.

Urwał, przywołał na twarz gotowy uśmiech, kropnął rezerwowo kieliszek i usiadł.

Czego w desperacji Zenon Bijas nie wziął pod uwagę, to żony swojej Alicji-Azalii, która w niemiłej pustce, jaka się po syknięciu zrobiła, podniosła się na całą smukłość sukni seledynowej i z piersią godną uwagi — pośpieszyła mężowi na ratunek.

Zaklaskała w paluszki : — A ja mam niespodziankę, a ja mam niespodziankę, kto zgadnie, aha? !...

(Fajna była ta Bijasowa, ani słowa, kobieta szyk, z domu Sienkiewicz, w okresie okupacji ciężko miała przejścia, że żyje, to cud! zanim zapach chińskich perfum poznała, gniła w zapachach przykrych, do których nie miała ochoty wrócić, więc też bardzo się troszczyła o aktualność, zmiany ją przerażały, podżegaczy do zmian nienawidziła i zenonowe utrzymywanie się na powierzchni oceniała, jak nikt chyba...).

— A ja mam niespodziankę dla was, kto zgadnie, aha?

Pułk. Sierpuchowski wyciągnął łapę, żeby się dotknąć niespodzianki, ale Alicja wdzięcznie się umknęła i zaklaskała jeszcze raz.

Na to klaskanie wbiegł do jadalni naumiany przez matkę, synek Jędrus.

Chłopaczek miał latek mało i był jak aniołek, po Alicji wziął nosek prosty i cerę azaliową, po Zenonie odziedziczył bodaj tylko loczek. Śmiało wstąpił między gości, szasnął nóżką, loczek podbił, a że na szczęście zeza nie odziedziczył, prostymi oczkami patrzył w twarz mamy.

Mama dała znak, więc synek zaczął :

*Posłuchaj, synku, opowieści  
O wielkim kraju, o narodzie,  
Co temu z górą lat trzydzieści...*

Zbiegiem okoliczności, z gdańskiego zegara wyskoczyła kukułka i zaczęła kukać późną godzinę; Zenon i Alicja jednocześnie zachnęli się, ale synek nic sobie z kukułki nie robił :

*...z górą lat trzydzieści (kuku)  
Bunt podniósł w Moskwie, w Piotrogradzie (kuku)  
O tych, co wówczas szli do boju (kuku, kuku)  
Aby wywalczyć wolność siłą (kuku)  
I poświęcili młodość swoją... (kuku, kuku)*

Tu synek wspiął się na paluszki, podniósł piąstkę i zakończył w tej samej chwili, kiedy punktualna kukułka z powrotem wskakiwała do gniazda :

*...Aby ci się, synku, dobrze żyło ! (Kuku, kuku, kuku !)*

Zapomniawszy o kukułce, wzruszona mama, otworzyła Jędrusiowi ramiona, ale nie tylko ze strony mamy posypały się na synka pochwały, wszyscy się prześcigali, a już pułk. Sierpuchowski po prostu słów nie miał, wziął synka pod bródkę i rozrzewnił się basem : Ot i pociecha rośnie naszej kochanej matce-Polce Alicji na stare lata, ot i powinszować się chce, że sama synka wychowała i sama w piękności się uchowała... Wasze zdrowie, Alicja !...

Wobec tego Zenon Bijas też się rozchmurzył i całując Jędrusia w czołko rzekł : Aby ci się, synku, dobrze żyło ! — Młody towarzysz z Urzędu Dzikowski wziął Ję-

drusia pod paszki zaczął go łaskotać, a gdy Jędrus się rozchichotał, podnosił go i opuszczał : hopsasa, hopsasa !

W czasie tego huśtania, Bijas miał na uwadze, że mimo syknięcia Hurewicza, w dwunastu raportach na plus muszą być zaliczone owe hopsasa, hopsasa !

Wracając do Hurewicza, ten, ku zdumieniu obecnych, po majonezie, po indyku i pięciowarstwowym torcie orzechowym — nawrócił z powrotem do przystawki, wysysając ogonki i główki śledzi.

— Coś podobnego ! — każdy pomyślał, ale nikt się nie zdradził, bo lepiej nie wtrącać się do Hurewicza.

Hopsasowanie z Jędrusiem najwidoczniej rozzuchwaliło tow. Dzikowskiego, albo też wódka przemogła w nim wychowanie i uśpiła instynkt samozachowawczy — ponieważ nie wytrzymał i puścił farbę :

— Proszę towarzyszków... Ja przepraszam za podniesienie głosu, jako kapitan tutaj najmłodszy... Ale ja muszę wyrazić u-czucie mnie prze-pelniające, ponieważ czuję się zmuszony nazwać to uczucie wdzięcznością ! A nawet chcę powiedzieć czcią !... Tak właśnie, proszę towarzyszków, głęboka cześć mnie zmusza... I ma się rozumieć wdzięczność dla tych... może nie dla tych, a dla tego... mam bowiem na myśli rewo-lucję, która mnie wszystko dała i posadziła między wami ! Jedną chwileczkę ! Jako kapi-tan, źle się wyraziłem, która mnie postawiła razem z wami ! Proszę towarzyszków, moim psim obowiązkiem jest wdzięczność, że mnie, że ja, bez rewolucji, że ja bym bez marksistowskiego aktywu drapałbym, proszę towarzyszków gnój w stajni, do tej pory bym drapał i nawet abecadła bym nie znał, a dziś ja, dzięki rewo-lucji, ja dzięki rewo-lucji z wami tutaj siedzę...

Bijas po owym hopsasa, hopsasa, czuł słabość do Dzikowskiego, więc chciał go wyrwać z niebezpieczeństwa jankania się w stanie pijanym :

— Zatem, towarzyszu Dzikowski, wypijcie za zdrowie naszego ukochanego Prezydenta i spoczniście sobie.

Dzikowski wypił z zapałem, ale czując, że się nie dość potoczyście wyraził, koniecznie chciał się poprawić :

— Zdrowie naszego ukochanego Pre-zydenta ! Który mnie wziął od gnoju, posłał do szkoły, zachęcił i zaopatrzył w pazury i kły !... I który mnie tego... (poprawił się) — który mnie tu oto postawił (rozzrewnił się) który mnie

tu oto przy tym stole postawił razem z naszym bohaterem pułkownikiem Sierpuchowskim, razem z towarzyszem Hurewiczem i z naszym uko-chanym naczelnikiem Bijasem, tu oto, chciałem powiedzieć, posadził...

Bijas nie lubił pijaków z własnej parafii, więc poprosił wzrokiem żonę o interwencję, ale za późno, ponieważ ktoś inny, a mianowicie poeta Ziem Zachodnich Czesław Muś, podniecony orędziem Dzikowskiego, z kolei puścił farbę.

Lecz w innej formie. Ten kędzierzawy Muś, z noskiem karpia, z muszką bordo, zaproszony do Zenonostwa dla dobrej opinii, którą się cieszył i dla sławy bufora nowej kultury i przydomka „Poety Wybrzeża” — choć nie starszy był od Dzikowskiego, przecież więcej posiadał dyscypliny i nie improwizował, lecz mówił to, co było już przed tym drukowane w „Dzienniku Bałtyckim”.

Podjął ze stołu pusty kieliszek i dyrygując nim, deklamował z olbrzymią siłą :

*My mamy plan! Już nie żyjemy głupio i bezdurnie  
z dnia na dzień! Nie w słowach się urzeczywistnimy, lecz  
[w czynie!  
Nie na trzęsawiskach zwątpień, lecz na betonie społecznych  
[wytwórni!  
Na torze! Na traktorze! W kopalni! We współdzielni!  
Wisząc na szprychach kół, z kielnią na murarskiej  
[drabinie —  
wbijamy oczy, jak gwoździe, w nasz plan! W nasz plan  
[sześćcioletni!*

Zenon Bijas podbił lok, posłyszawszy o drabinie. Alicja zainteresowała w stosunku do pułk. Sierpuchowskiego, który nazarty i napity, objawił przy poezji objawy senności; pofiglowała przy nim tuż-tuż, aż się rozczmuchał i niuchnął jej rączkę; wówczas wydała opinię o wierszu :

— Jeśli nikt nic nie mówi, ja powiem. W tym wierszu słyhać siłę zwycięskiego proletariatu i głęboki oddech te-  
rażniejszości! Było bardzo mocne! Czesio zaimponował  
mnie! — A do pułk. Sierpuchowskiego : — Pułkowniczek  
pozwoli teraz inny wierszyk? Pozwoli Alisi powiedzieć wierszy-  
czek?

Pułkownik niuchnął i pozwolił.



*Idzie kotek po drabince... po drabince... po drabince...  
Już tylko jeden ma szczebelek...  
A wtem — fruuu!...  
Poleciał wróbeeelek!...*

Razem z „fru!”, przekorna Alicja odrnęła od pułk. Sierpuchowskiego, nie dając mu głębiej niuchnąć.

Bijasowi lok opadł; miał gotowe na języku uszczypliwe słowo o drabince, ale nie zdążył, bo z kąta, gdzie siedział cichy gość, odezwało się sss! — co mogło być celowym syknięciem, lub przypadkowym syśnięciem, jako że Hurewicz w tym czasie główkę śledzia wysysał. Tak czy siak, gdy na Hurewiczu skoncentrowały się badawcze spojrzienia, sam Hurewicz nie wytrzymał i puścił farbę.

Odezwał się bodaj po raz pierwszy, odkąd go Bijas znał :

— Sukinsyna solitera śledziem truję — a !

Lżej się zrobiło w towarzystwie, a już Bijasowi po prostu kamień spadł z serca, z drugiej jednak strony, złośliwe fatum drabiny, powtarzanej w rymach i rytmach, ze wszelkimi pozorami konspiracji, stawiało włosy dęba. Gdyby nie chodziło o Alicję i Musia, włożyłby palec do środka i wymacał, kto ich do aluzji nakłonił i dlaczego im naraz obojgu drabina w formie wierszowanej z ust się wypnęła \*). Mamusia Alicja objęła synka Jędrusia za szyjkę i przedfilowała z nim przed pułk. Sierpuchowskim, i ten urwis Jędrus szasnął nóżką i grzecznie pozwolił się mamusi zaprowadzić spać. Zenon wypił po cichu za ich zdrowie i kopnął drabinę w drobny mak. Urznięty tow. Dzikowski, już nie farbę puścił, ale po prostu świństwo : nachylił się do naczelnika Bijasa, z intencją konfidencyjnego szeptania na ucho !

Bijas odskoczył od Dzikowskiego, jak od odbezpieczonego granatu, podbił lok i rzekł cierpko :

— Nasz Dzikowski zdaje się zapomniał, że nie ma zwyczaju szeptania w kulturalnym towarzystwie ! Posądzam, że ululał się nieco *pan* Dzikowski !... — odepchnął od siebie pijaka, żeby każdy widział, że nie było czasu na szeptanie na ucho.

\*) „W socjalistycznym układzie społecznym nie ma przypadków (nieśłuczajów), ani zbiegów okoliczności, każdy zbieg okoliczności winien być ścigany, jak dokonany fakt karygodny...” (z PPP).

Gruby śmiech pułk. Sierpuchowskiego wcale nie zna-  
czył, że się zgadza z przedmówcą, lub ma zasadnicze obiek-  
cje, wyniknął z szelmowskiego zachowania się Bijasowej,  
która z progu jędrusiowej sypialni kiwała rączką, że wnet  
się zjawi z powrotem.

Przydomek „pan” przestrzełił Dzikowskiego na wy-  
lot, usiadł, wstał, usiadł — wstał, język mu nie dopisał,  
no i palnął głupstwo, że tylko bić i kija nie zdejmować!

Dzikowski : — Ja chcę powiedzieć... nic takiego... ja  
tylko chciałem zameldować nie żaden sekret... publiczną  
tajemnicę... ja... (zameldował) ...melduję, że przyszła de-  
pesza z Feliksa Dzierżyńskiego od ofpola Pieniążka z Punta  
Czata, że tam powstał burd... czyli, chciałem powiedzieć,  
burda...

Bijas wywalił takiego zeza, że Dzikowskiemu nareszcie  
dech zaparło. Ale osadził go i ostudził dopiero tow. Hu-  
rewicz, który ani syknął, ani sysnął tylko wstał.

Hurewicz zachował się rychtyg, jak ksiądz, kiedy się  
skończyło nabożeństwo i pora na gaszenie świec : otrze-  
pał ręce, wsunął je pod podszewkę i skierował się święto-  
bliwym krokiem ku wyjściu.

Pogotowie ratunkowe w postaci Alicji nadbiegło z dy-  
miącym barszczem, ale już było za późno, bo nawet roz-  
rajcowany pułk. Sierpuchowski nie chciał siorbać, tylko  
pytał, gdzie jego szynel? Widać było, że ma szaloną ochotę  
dłużej się zabawić, ale co miał robić, barszcz nie barszcz,  
Alicja nie Alicja, kiedy wszyscy razem przyjechali, wszy-  
stkim wypadło razem wyjść!...

Zenon Bijas czytał w gościach jak w gazecie i nie miał  
do nikogo pretensji, tylko zezując na bladego Dzikowskie-  
go, przyciskał w myśli ołówkę, stawiając przy jego nazwi-  
sku grube ptaszki...

Przed willą Bijasów oczekiwały trzy urzędówki z trze-  
ma towarzyszkami, cierpliwymi w czekaniu, jak baranki.  
Jedna urzędówka, w kolorze ochronnym, przynależna była  
pułk. Sierpuchowskiemu, druga, łup wojenny, pochodziła  
z Urzędu, a mała pchełka, z ceratową budką, podana mia-  
ła być Czesiowi Musiowi, buforowi kultury. Na owalnym,  
zwirowanym podjeździe, w samym centrum, rosta kępa  
świerków karej maści, wprost nad nimi księżyc ganiał  
chmury, rozpychał i rozdzierał i co którą rozdarł — na

same czubki świerków po niej spływał. Pięknie było przed willą Bijasów na podjeździe, choć chłodnawo i wietrzno.

Zapaliły się reflektory trzech aut — też i pożegnania się zaczęły i ceregiele, związane z wygodnym ułożeniem tyłu osób. Lekkomyślna Alicja, w przewiewnych seledynach, narażała się na ganeczku na grypę, wdzięcznie żegnając gości. Traf zdarzył, że księżyc akurat przebił chmurę i zeslizgnął się na korony świerków, a ze świerków na Alicję Bijasową — wiatr jej podbił bębenka — i na ganeczku żegnało gości cudne zjawisko, mieniące się seledynowymi fałdami, uszytymi nie przez Łucję Duszną, lecz przez księżyc i wiatr...

Trzy auta zaambalowały, żwir na podjeździe skrzypnął — trzy pary latarni zatoczyły trzy półkola i nastąpił gładki odjazd; najdłużej było widać rubinowe sygnałki i rękę pułk. Sierpuchowskiego, kiwającą seledynowemu zjawisku aż do zakrętu...

Bijas : — Wynocha do domu, bo się przeziębisz !...

Bijas : — Momencik ! Nie zauważyłaś, Ali, do którego samochodu wsiadł Hurewicz ?

Rozmarzona Alicja nie zauważyła.

Bijas : — Do którego samochodu wsiadł Hurewicz ? Czy wsiadł ? Widziałaś, wsiadł, czy nie wsiadł ? Musiał wsiąść, bo go nie ma ! Jeśli nie wsiadł, gdzie jest ? Nie zauważyłaś nigdzie czwartego auta ? Ja też nie zauważyłem... Ciekawa rzecz : wsiadł, czy nie wsiadł ? ! Jeśli nie wsiadł, gdzie jest ?

Ciekawe, jak cholera : na ganku Hurewicza nie ma ! pod gankiem (Bijas wychylił się) nie ma ! rozstąp się ziemia, gdzie wsiadł Hurewicz ? !...

— Alusiu, jazda do domu, bo znowu cię chwyci cug !...

Bijas zszedł z ganeczka i obszedł podjazd. Zaobserwował żwir, nagnane przez wiatr żółte liście, igliwie świerków, słomkowe badyłki, i zaobserwował — śmiesznie wyrazić : — ślimaczka, który ze skorupą na grzbiecie czort wie po co w spóźnionej porze zapychał ? ! Ale Hurewicza nie dojrzał. Może Hurewicz przyczał się w kępie świerków na klombie ? Albo może Hurewicz przyczał się w suchych krzakach bzu ? Czy ostatecznie Hurewicz odjechał, czy się przyczał !... Jeśli nie odjechał, gdzie jest ? !...

Zenon Bijas na próżno oczy rozstawiał, i raz za razem

podbijał lok — zmarzył, zniechęcił się i niczego na podjeździe się nie dochrapał. Pies z Hurewiczem tańczył!...

Skierował się za smugą chińskich perfum do nagrzaną, ale zdezorganizowanej jadalni. Bałagan tam był: niedopałki, niedopitki, niedojadki, a co gorsza, Portret zawieszony na gwoździu na herbie von Preussów, jeśli oko nie myli, wisiał krzywo!...

Masz ci los! Kiedy się skrzywił? Jak dawno jest krzywy? Czy sam się skrzywił? Jeśli nie sam, kto go skrzywił? Czy w czasie popijawy zauważył ktoś, że jest krzywy? — Alicja ślepa jesteś, że nie widzisz, patrz, popatrz, otrząśnij się, gdzie jest drabina, Ali?

Zanim jeszcze Alicja zdążyła zabrać głos na temat drabiny — wypadł z sypialni synek Jędrus w piżamce z rozsypanymi loczkami i jak był prosto z łóżeczka, pognał do mamy. Płakał w złości okropnej:

— Ty wstrętna!... Ty kłamczucha!... Ty wyrodna matka!... Ty zdrajca!... Obiecałaś, że zagrasz i nic nie zagrałaś!...

Wszystko inne poszło na bok; do rozdrażnionego Jędrusia przypadli oboje Bijasowie i nuż synka utulać, żeby się nie darł, bo mu się rzuci na żołądeczek; prosili go na wyscigi, aby mamusi nie groził, bo mamusia Jędrusia kocha i jeśli raz obiecała, na pewno synusia nie oszuka...

— A zagraj, jeśli obiecałaś, niech się wreszcie odczepi...

Idąc za dobrą radą, mamusia przysięgła synkowi, że mu zagra, odprowadziła do łóżeczka, otuliła kołderką i jeszcze raz obiecała, że nie oszuka i zagra: — Leż cichutko, Jędrusiu, ja drzwi otworzę, tatuś będzie pisał, a mamusia synkowi ślicznie zagra...

I zagrała. Naprzód wprawki ciche z góry na dół i do góry, następnie melodie usypiające wlaź kotek na płotek i mruga, a gdy się nieco rozegrała, wzięła się za wariacje na temat: śpij kochanie!...

Ze „Śpij, kochanie!” przerzuciła się na sztuczki bardziej sercowe, bliższe kobietom, niż dzieciom, o zdradzonej i podeptanej miłości przez niewiernego kochanka...

No to świetnie!; uspokojony rodzinnym ładem Zenon Bijas zasiadł obok pianina przy stoliczku, zrobił światło, uporządził się z papierami i w świętym przekonaniu, że Hurewicza nie ma, zaczął stukać na maszynie:



*Dzień... miejsce... etc... Obecni : tow. tow. Z. Bijas, A. Bijasowa, pułk. A. L. Sierpuchowski, B. Hurewicz, Cz. Muś, kpt. S. Dzikowski, oraz...*

Alicja załatwiła się z kochankami i ostro wzięła się do melodii, która miała niejakię podobieństwo do rozkwitających pęków białych róż...

*Cel zebrania : Samokontrola i socjalistyczna wymiana myśli. Przebieg zebrania : Goście przyjechali razem w trzech samochodach (w pierwszym aucie pułk. Sierpuchowski, B. Hurewicz i... w drugim aucie S. Dzikowski, T. Zajac i... w trzecim aucie Cz. Muś i...) Wszyscy razem odjechali (w pierwszym aucie pułk. Sierpuchowski... w drugim aucie Dzikowski... w trzecim aucie Muś...)* Treść rozmów :

Skończywszy z pękami róż, umęczona Alicja chciała przestać, zaledwie jednak pochyliła się beczynnian nad klawiaturą, z drugiego pokoju rozległ się grymaśny głosik synka :

— Mama, graj !

Więc mama zaczęła znowu grać, tym razem szybkie, bodajże kawaleryjskie melodie. A tata stukał :

*Rozmowy toczyły się na tematy następujące : Skarby Polski Ludowej; wdzięczność dla Rewolucji; zdrowie ukochanego Prezydenta... Brali w nich udział : Pułk. Sierpuchowski, Cz. Muś, S. Dzikowski... Mój ośmioletni syn Andrzej deklamował wierszyk o Rewolucji Październikowej z lipcowego numeru Płomyczka. Kpt. Dzikowski Stanisław, po wymianie zdań na temat morskoczyn, zadokumentował brak wewnętrznej dyscypliny i podatność na wpływ alkoholu, ze skłonnością do wyjawiania służbowych tajemnic pod wpływem takowego. Wyżej wymieniony kpt. Dzikowski Stanisław zaczął publicznie ogłaszać treść...*

Alicja żywiej grała, Bijas żywiej stukał :

*...depeszy, która w dniu dzisiejszym nadeszła do Urzędu od of.pol. Pieniążka Kazimierza z „Feliixa Dzierżyńskiego” z meldunkiem o masowej dezercji marynarzy w Punta Chata (Ameryka Południowa). Dzięki mojej czujności i stanowczej interwencji tow. B. Hurewicza, depesza nie została ujawniona do końca i zaraz potem goście wszyscy razem odjechali w porządku podanym powyżej.*

Wystukawszy kropkę, miał zamiar kontynuować od nowego wiersza, przesuając wałek, nastawił ucho, co też Alicja wyprawia na fortepianie ?

Co jest u króla-starca ? ! Alicja wyprawiała na fortepianie harce jakies fatalne, akowskie, czy andersowskie !...

Zenon Bijas podbił lok (opadł lok), wstał i z punktu rozpoczął śledztwo :

Hurewicz jest ? Nie ma ! W tym pokoju, w jadalnym, u Jędrusia, w korytarzu, pod stołem, pod pianinem, za firanką, pod łóżkiem, o głowę się można założyć, Hurewicza nie ma ! Okna zaśrubowane, podobnie drzwi od frontu, od kuchni, od schowka, od kredensu i od szaf ! Nie ma ! Portret, jak krzywo wisiał, tak wisi krzywo ! Pod schodami na pięterko do gosposi Elżbietki, drabina stoi, jak stała. Ta wariatka coraz bezczelniej młóci w klawisze i agituje niestworzone rzeczy, jakies *Szturmówki* i *Maki*, bez uwagi na to, że ściany mają uszy i że Jędrus już śpi !...

— Ty ! — wrzasnął na nią — ty wariatka ! Przestań !... Zamknij !... Wstań !... Ściany mają uszy ! Pomóż !... Przystaw !... Wleź !... Jeszcze krzywo !... Więcej w prawo ! Dobrze ! Marsz do łóżka !... Kładź się !... Posuń się !... Ty — panna Sienkiewicz ! Ty, ty, moja Akaczko !

## V.

Bieda, wystukana przez nacz. Bijasa, grasowała, jak cholera.

WOP był zaniepokojony, UB w stanie czujności, Straż Celna także, zaciekawienie zdradzały Ośrodki Chodów Tylnych, a nawet poinformowane były morskie ekipy reflektorów i sekcja tresowanych psów, ta ostatnia niezbyt wiadziano po co ? !

Bieda na odcinku Bijasa formułowała się na razie w stosach raportów, protokółów, listów, zapytań i odpowiedzi. Miał prawdziwe urwanie głowy, bo tow. major Rybienko całą biedę zdał na niego, a sam mądrze wyrwał służbowo do Warszawy, co się zaś tyczy tow. Hurewicza, ten się przymędził na stałe, ale niczego nie tykał, choć z Urzędu nie wyłaził. Swoją drogą przylepność Hurewicza dzikiej energii dodawała Bijasowi, bo oprócz śledztwa drabinowego, pod nieobecność Rybienki, zwały się inne bieżące

sprawy, między innymi „bryk” Aleksander Fornalski, wykryty przez WOP na Szwedzie, i owa cyniczna ucieczka marynarzy w Ameryce Południowej z ss. „Feliks Dzierżyński”.

Swoje bite osiem godzin siadywał Bijas z linijką w ręku, z protokółantem Zającem, na przesłuchach — przez bite osiem godzin naśladował tykanie zegara stukając linijką o kant biurka — ale dopiero poza dniem roboczym podejmował właściwe przodownictwo pracy, zarządzał kogo ściągnąć do Urzędu w dzień, kogo w nocy, kogo przetrzymać i puścić, kogo zaś przepuścić przez Jurka Mazurka, czyja korespondencja ma być wysegregowana, jacy zaufani ludzie mają być dopuszczeni do głosu i w jakim sensie z tego wszystkiego ma formułować treść prawa ręka, kpt. Dzikowski. Góra co kilka dni telefonowała : meldować ! Hurewicz sterczał i posykiwał. Popijawa orientacyjna dała tyle co kot napłakał, więc Bijasowi miał prawo lok siwieć, czy nie ? ! Co było krzyczącą niesprawiedliwością, jako że Bijas robił wszystko co w ludzkiej mocy, będąc tylko małym, zębatym kółkiem w tłoczni, obliczonej na masowe prasowanie...

Zanim jeszcze drabinowe śledztwo wzięło właściwy kurs — pojawił się na bijasowym biurku meldunek por. Gacha o polskim gie i o neapolitańskich fijołkach, który Egzekutywa WOP'u przesała do urzędu ze względu na autora, zamieszanego w KO4.

Do tego śledztwa, samo z siebie wynika, w pierwszym rzędzie miały być zaproszone dwie siostry, od których pochodziła drabina. Jednakowoż nie zostały zaproszone tak w te pędy, ponieważ tow. Rybienko przed wypadem do Warszawy udzielił fachowej rady, aby wziąć na wstrzymanie i podstawić pod siostry kociótek, czyli wpuszczać każdego do sióstr, a każdego kto je opuszcza, brać po cichu za łeb i do Urzędu !

Dzięki tej radzie obie siostry, od których pochodziła drabina, w dalszym ciągu zajmowały się szyciem fatalachów, sadzeniem cebulek hijacentów i tulipanów i naklejanym motyli na szkło, nie mając zielonego pojęcia, co się wyprawia na świecie.

Od razu pierwszego dnia wpadł w kociótek niejaki marynarz Lubański; ten Lubański w swoim czasie raz już był odnotowany w Urzędzie z powodu dostarczenia Łucji

Dusznej z Ameryki Południowej złotej broszki w formie szkockiego terrierka i prasowanych fig. Tego Lubańskiego po wyjściu od siostr wzięto na rogu ulicy Ziemowita bez ceregieli, bo marynarz, jak to marynarz, ma prawo być w stanie pijanym i robienie lokalnego porządku nie nasuwa społeczeństwu podejrzeń, że panoszy się terror.

Chłoptaş Lubański, nim zajechał na miejsce, już w aucie został zaliczony do kategorii nerwowych \*), ponieważ moczył się śliną i zaklinał na wszystkie świętości. Gdy ta diagnoza potwierdziła się w samym Urzędzie, nac. Bijas postąpił stosownie, zlecił trzymać go przez godzinę w bliskości ludzi uważających się za skrzywdzonych i z tego powodu głośno narzekających — a potem go brać, odprowadzać brać i odprowadzać z powrotem do celi 10 razy. Dopiero za jedenastym razem Lubański został posadzony na żelaznym krześle przy żelaznym piecyku w izbie zeznań, mięciutki, jak masło — a nac. Bijas puścił linijkę w ruch.

— Mów prawdę !

Lubański bardzo chętnie chciał opowiedzieć całą prawdę, ale tyle prawd mu się namnożyło, że ani rusz nie potrafił wybrać; więc tylko stękał i się mokrzył.

Wyga Bijas, który linijkę spomiędzy biurowych utensyliów od zaranania działalności sobie upodobał, jako symbol gniewu ludu — stukał nią rytmicznie w kant biurka i pomagał :

— Mów prawdę !

Wówczas Lubański zrobił wysiłek i zaczął wypruwać z siebie flaki i opowiadać całą prawdę : o podejrzanej politycznie kobiecie wujence Adeli Lubańskiej, która nie umie trzymać języka za zębami i wygaduje niestworzone rzeczy... Gdy raz otworzył usta i zaczął mówić (protokółant T. Zajac każde słowo w lot łapał na papier) i gdy się rozkręcił, naczelnik Bijas zmienił system.

Trzepnął linijką po papierach płaską stroną, zadygotał cały z furii \*\*), oczy rozstawił po diabelsku, że jedne patrzyło w piec, drugie w drzwi, a między obydwojma był Lubański, i ryczał :

— Co wiesz o siostrach ? Po co chodzisz na Ziemowita ? ! Kto ci kazał przystawić drabinę ? !... Dra-bi-nę !!!  
Mów prawdę !

\*) „Napuganych”.

\*\* ) Z tej furii najtrudniej mu było zdać egzamin na PPP.



Lubański, nie mając dostatecznego życiowego wykształcenia, o mało nie kipnął. Nie kipnął zaś, ponieważ nacz. Bijas w samą porę ponownie zmienił system.

Rzekł, jak przyjaciel :

— Zapalcie sobie papierosa, kolego, zaciągnijcie się, ot tak, uszy do góry, no i opowiedzcie, kolego, nareszcie całą prawdę !

Tu dopiero Lubański zaczął wypruwać z siebie flaki w serdecznej trosce, żeby nie popsuć przyjaźni.

Pociągnąwszy papierosa, jak najuprzejmiej zaczął opowiadać całą prawdę. Prawda niezgrabnie się ujawniała, ale nie ze złej woli, tylko z winy tego głupiego jęzora, który jak na złość do dziury po wyrwanym zębie mu wpadał i na czas nie wylaził...

Wszystkie z serca płynące szczerości Lubańskiego, litera w literę, stenografował przodownik pracy w sektorze T. Zajac. W stenogramie stało, jak idzie :

#### ZEZNANIA MARYNARZA P. (Piotra) LUBAŃSKIEGO Nr 1.

Zgłosił się do Urzędu w dniu... w godzinie... Zeznania odbiera major Z. Bijas. Stenografuje ppor. T. Zajac.

Pouczony przez majora Bijasa, że ma mówić całą prawdę, marynarz Lubański zeznał co następuje :

Tekst zeznań : Urodziłem się w Kowlu z rodziców dla mnie wyjątkowo dobrych... Szczególnie matka była dla mnie wyjątkowo dobra... (Major B. : Obywatelu, do rzeczy, do rzeczy !) Lubański : Potem nas wywieźli... to znaczy emigrowaliśmy do Ojczyzny Proletariatu... ale potem szczęśliwie wróciliśmy... a potem nas przenieśli na Ziemię Odzyskane. A potem ja byłem... a potem ja trafiłem... (Major B. : Obywatelu, obywatelu, mówcie prawdę !) Lubański : Czemu nie, bardzo chętnie... Raz, gdy w Gdyni była rewizja na Generale Walterze po zacumowaniu i kiedy szukali, co kto szabrował, nam się kazali rozebrać do rosolu (w.z. \*) i buty nam kazali zdjąć, ja jeden but zdjąłem i zadokumentowałem, że nic nie mam w tym bucie, a ja w drugim bucie miałem, wyznaję całą prawdę, cztery pary najlonów. Mnie się za to słuszna kara należy, wiedziałem od początku i ja... (Major B. : Spokojnie, obywatelu,

\*) Wyrażenie zeznającego.

nikt wam tutaj nie ma zamiaru robić krzywdy, tylko mówcie, co wiecie o ulicy Ziemowita i o dwóch siostrach). Lubański : O dwóch siostrach ? Bardzo dobrze. Zaraz się zastanowię... Owszem, o dwóch siostrach... Już wiem ! Ja na siostrę pannę Łucję Duszną trafiłem w sposób ten, żeby nie zełgać, szczegółowo opowiem. Już wiem ! W Nowym Porcie paliła się w cukrowni masa cukru, kiedy radio z Wielkiego Kacka nadawało nam, iż zbliża się wyzwolenie w osobie armii marszałka Rokossowskiego, wobec czego ludzie cukier z ognia ściągali, żeby później robić z niego bimber. (Major B. : Lubański, Lubański, mówcie prawdę !) Lubański : Ja nie łzę, po co mam łgać, ja też tam byłem. Jak Boga jedynego chcę mieć przy skonaniu (w.z.) mówię prawdę ! Ale cukru ja nie podejmowałem, nie podejmowałem, jak matkę rodzoną kocham ! (w.z.). Owszem, z niektórymi innymi wyrywałem z wystygłych domów rury i kłamki, ale tylko dlatego, żeby się nie roztopiły, bo jak wiecie mosiądz był wtenczas w ogromnej cenie. Dzięki czemu wyscie później nie dawali nikomu żyć, ganialiście za tym mosiądzem, jak za złotem. Może nie ? Nic nie ukrywam. (Major B. : Papieros wam zgast, macie ognia). Lubański : Dziękuję. A na pannę Łucję Duszną ja właśnie wtedy trafiłem, gdy miałem pod pachą wór ciężki jak sto kilo, a ona gapła się na płonącą Marię Pannę, a ponieważ ona Jej bardzo żałowała, więc ja zbliżyłem się i spytałem, co jej dolega ? Ona mnie odparła, że jej nic nie dolega, ponieważ szczęśliwie wydostała się z Orłowa wprost spod armat. W tej ciężkiej sytuacji ja zacząłem żałować panny Dusznej, choć jak teraz widzę, niestusznie, bo coś mi się widzi, że przez nią mam dzisiaj cały bajc. Ale ja się zastrezgam przed posądzaniem o jakieś konszachty względem niej, bo ja kategorycznie stwierdzam, że ona już w tym krytycznym roku była ode mnie starsza o jakie 15 lat. Dzisiaj nawet ma już pod oczami tak zwane kurze łapki. Może nie ma ? ! Ale wracając do starych czasów (w.z.) chociaż byłem obciążony mosiądzem, jak szczerze powiedziałem, na nic nie mogłem mieć ochoty, ale musiałem zaopiekować się panną Duszną, bo w przededniu wyzwolenia iskry strzelały z Marii Panny dosyć gęsto i ja bałem się, że i panna Łucja Duszna też zajmie się... Więc wziąłem ją w opiekę i podprowadziłem ją w cichsze miejsce i poza tym nie zrobiłem nic złego, oświadczam, jak na spowiedzi.

(Major B. : Urząd nie kościół, a ja nie wasz proboszcz, mówcie prawdę!) Lubański : — Całą prawdę mówię, jak na... całą prawdę mówię, jak było... Więc w jakieś dwa lata po wyzwoleniu spotkałem się ja z panną Duszną nos w nos tutaj w porcie i nie ma się czemu dziwić, że po starej znajomości ja do niej zagadałem, a ona mnie natychmiast poznała i ucieszyła się i na moje zapytanie odpowiedziała mi, że uwielbia port dla syren. Zastanowiłem się nad tym, co oznajmiła, ale dopiero mniej więcej po jakichś kilku minutach zorientowałem się, że ona ma słabość do gwizdków, co są na okrętach. Ona była dla mnie uprzejma, więc co miałem robić, wypytywała mnie co ja gdzie i jak, jak również sama się wypowiedała, że ma siostrę przyrodnią w ciężkiej żałobie, która tylko płacze i płacze i żebym, jeśli mam życzenie, żebym do nich obydwóch w wolnym czasie wdepnął. Dlaczego nie miałem wdepnąć? (Major B. : Kiedy po raz pierwszy wdepnęliście?) Lubański : Wdeptem w maju, musiał być maj, ponieważ kwiatków było u nich w ogródku do rozpuku (w.z.), albo był kwiecień, rok mniej więcej 47-my. Owszem, potwierdzam rok 47-my! (Major B. : Lubański, mówcie prawdę!) Lubański : 47-my! (Major B. : Mówcie dalej!) Lubański : 47-my! Może 48-my?! Nie, nie kłamię, 47-my! W 47-mym roku ja wdeptem, ale nie dłużej, niż na jakieś 2 godziny. Może nawet, nie chcąc skłamać, na jakieś 2 i pół, bo czas szybko leci. Dały mi one obydwie zjeść i wypić, a potem zaczęły się napraszać...

Marynarzowi Lubańskiemu w zeznaniach nie przerwał, ale Bijasowi i Zajacowi przerwał to. Hurewicz, który wsunął się do izby badań na cichych podszwach, doszedł do okna, wyrzał i bardzo naturalnie zaczął dłużyć w zębach, i jak to u niego, bez mówienia sykać i ćwierkać.

Dalszy ciąg protokołu Nr 1 według stenogramu ppor. Zająca :

(Major B. : Mówcie prawdę!) Lubański : Mówię prawdę. Najadłszy się u nich i napiwszy w miarę, ja zabawiłem się z ich kotką, więc się przy tym zgadało, że ja wybieram się na Generale Walterze w rejs do Ameryki Południowej, ponieważ nasza ukochana Polska Ludowa potrzebuje tam sprzedać konopie. Panna Lucja Duszna tym się szczerze zainteresowała przy jednoczesnej zgodzie pani Ani-

nowskiej, znaczy się drugiej siostry, no i jak mnie one obie po jedzeniu i piciu we dwie nasiadły, to mnie się spytały, czy przypadkiem nie zawadzę o Punta Chata? Więc odpowiedziałem ostrożnie, że może i zawadzę. Dodałem, że niekoniecznie, ale nie jest wykluczone. Na to one obydwie na mnie najechały, żebym wziął od nich list...

Tyłem ustawiony tow. Hurewicz głośniej ćwierknął, nacz. Bijas podbił lok, zaś marynarz Lubański w zeznaniach się zatkał.

Dalszy ciąg zeznań, według stenogramu ppor. Zająca.

(Po krótkiej przerwie, major B.: Chcecie jeszcze pa-pierosa, no to macie, zakurzcie sobie i opowiadajcie całą prawdę). Lubański: Ja was przepraszam za zwłokę... Ja prawdę mówię, jak na... Przepraszam! Nieco mnie słabo, ale cały czas mówię prawdę, jak na... przepraszam! Na czym to ja stanąłem? Zaraz... Już mam! Zatrzymałem się na liście. Otóż dały mnie one list. Zaadresowany był ten list, pamiętam jak dziś i wyznaję jak na... znowu was muszę przeprosić!... mianowicie chciałem powiedzieć, że był zaadresowany do niejakiego Wupego w Punta Chata, pamiętam, jak dziś... Jednak uporczywie podkreślam, że tym dwóm, jak teraz jasno widzę, przeklętym siostróm, zaraz i bez zwłoki zakomunikowałem, że wcale nie jest zatwierdzone, że mam zawadzić o Punta Chata, ponieważ kierunki rejsów dla ludowych marynarzy stanowią bezapelacyjny i nietykalny sekret! Powiadam i potwierdzam, że tak powiedziałem! Te dwie kobiety na mnie wsiadły i powiedziały, że to nic nie szkodzi, gdybym mógł, żebym wręczył, gdybym nie mógł, żebym temu jemu z którego bądź portu pocztą wysłał. Przyznaję się otwarcie, rozeźliłem się i wziąłem. Ale ja nic w tym złego nie widziałem, ponieważ wpadłem na myśl, że kiedy obie na mnie nastają, na pewno o nic innego nie mogło jęm chodzić, tylko o babskie z tym całym Wupem pierepałki...

W momencie kiedy protokół rażno się uzupełniał, tow. Hurewicz wyskoczył spod okna jak pajac ze sprężynowego pudełka i wrzasnął:

— Ale łiesz!

Głupi osioł Lubański wziął i osłabł a nawet zwiotczał na żelaznym krzesetku, zaś nacz. Bijas podbił lok (opadł lok) podbił lok i nacisnął wewnętrzny dzwonek; co się ty-



czy tow. Hurewicza, ten narobiwszy bigosu, wyszedł, tak jak przyszedł, na cichych podeszwach.

Dzwonek bijasowy nie dzwonił w próżni, pojawiła się bowiem druga ekipa w osobie obywatela Dzikowskiego i nowego protokółanta, ci, nie mieszkając, wzięli się do zamykania okiennic nie ze względu na przeciąg, ale ze względu na zły wpływ, jaki wywiera na prawdomówność światła dzienne. Po zamknięciu okiennic, nowy protokółant zapalił wiszącą nad biurkiem lampę z zielonym kloszem, następnie uruchomił wynalazek w postaci sznurka przywiązanego do kabla, sznurkiem wykrzywił lampę w ten sposób, że światło poszło ukośnym snopem i oświetliło w całej okazałości zwiotczącego na krześle łgarza Lubańskiego; po czym sznurek umocował i podwiązał.

W stenogramie T. Zająca ostatni paragraf szedł, jak idzie : *Została zalecona zmiana. Skończyłem o godzinie 15 m. 7. T. Zając, ppor.*

W czasie gdy ów kolega stawał w stenogramie końcowe wywijasy, naczelnik Bijas odłożył linijkę; co widząc kpt. Dzikowski podjął z biurka zaostrzony ołówek; gdy ów kolega Zając skończył z wywijasami i wstał od stoliczka — nowy kolega ułokował na stoliczku swój papier i zasiadł.

Zgodnie z obyczajem, pierwsza brygada grzecznie dorzuciła koksu do piecyka drugiej brygadzie, a potem pierwsza brygada, Bijas w przodku, Zając za nim, skierowała się ku wyjściu, jednocześnie zaostrzony ołówek kpt. Dzikowskiego zaczął wybijać na biurku takt.

Z niejakim znużeniem odstępująca brygada zanotowała wypoczęty głos kpt. Dzikowskiego :

— A teraz mów od początku całą prawdę !

Zamykając za sobą drzwi, pierwsza brygada uchwyciła nieśmiałą odpowiedź Lubańskiego :

— Urodziłem się w Kowlu...

Ot bieda !...

## VI.

Z błahych powodów wykluta nienawiść między oficerem Gachem, a przodownikiem politycznym i bojowym, organizatorem informacji prasowych i członkiem kolegium

redaktorskiego Gazetki Siennej, oraz ochotnikiem do prac budowlanych, sierżantem Rymem Władysławem — miała przebieg powściągliwy, lecz denerwujący.

Por. Gach był swój chłop, do rany go przyłóż, ale nie lubił, jeśli mu kto nadeptywał na odciski akurat wtedy, kiedy krzywym okiem spoglądała na niego władza polityczna i kiedy pieprzył go w te i nazad sam pułk. Sierpu-chowski !

Tego nie lubił. Na odwyrtkę — sierżant Władysław Rym opływał jak pączek w maśle, miał się dobrze i po wykryciu „bryka” na Szwedzie, żołnierzy w świetlicy uświadamiał w niedopuszczalny sposób, że on, nikt inny, doprowadził do tego, że w kominie ukryty szpieg amerykański, albo i watykański, został za pędzel z komina wyjęty, podkuty i w trzy migi na wieki wieków wyeliminowany !

Po pierwszym meldunku, złożonym na ręce of. pola do Egzekutywy o polskim gie i neapolitańskich fijołkach — por. Gach czekał na rezultat dzień, dwa dni, tydzień — ale gdy skutku żadnego nie widział, podkreślił meldunek obfitszej treści.

(Por. Gach nie miał bowiem zamiaru być stale bity w ciemę, i tym nowym meldunkiem chciał uzasadnić, że wie co się święci i że wszelkie rugania w jego kierunku są politycznie nieuzasadnione i mylnie pokierowane).

Meldunek był tej treści : *Tow. sierżant W. Rym z mojego plutonu, przodownik polityczny i bojowy, członek Gazetki Siennej, jak mnie zameldowali przestuchani przeze mnie kaprale H. Otto i R. Rumianek, stara się o narze-czeński stosunek ze studentką, niejaką Hanną Aninowską z ZMP, mającą przydział do Domu Akademiczek „Nowa Dziekanka” w Warszawie. Ta studentka spędza wczasy w Gdańsku, ponieważ ma matkę, którą okazała się być Anna Aninowska z ulicy Ziemowita Nr 13, skąd, jak mnie zameldował kapral Rumianek, ma pochodzić drabina. Po-za tym zauważyłem, że sierżant Rym żyje nad stan oraz wódkę wykorzystuje ponad normę. Moje wnioski ostatecz-ne biegną po następujących sektorach :*

1) *Wzmiankowany sierżant Rym rzucił mnie się w oczy z powodu, który już dawniej zgłosiłem, że naszą ukocha-ną Polskę Ludową nazwał on dostownie gie, a cały zgniły*

świat zachodni określił mianem fijołków, co moim zdaniem jest niedopuszczalne;

2) Wyżej wymieniony sierżant Rym w obliczu plutonu wyraził się w stosunku do złapanego pod moją osobistą czujnością zbiega Fornalskiego (Raport w Książce Służbowej WOP) : Oleś! Ta poufalość mnie zdziwiła i zrodziła we mnie domniemanie, że dezertera Fornalskiego oraz sierżanta Ryma łączy jakiś dwuznaczny stosunek. Co wyznał zbadany przeze mnie na miejscu sierżant Rym, przyznając się, że ze złapanym Aleksandrem Fornalskim chodził razem do jednej szkoły powszechnej w Wejherowie, tuż przed wojną. Przedkładał ten fakt z tego względu, że wzmiankowany kapral Rumianek, który z politycznych, wyszkoleniowych i budowlanych względów zasługuje na przodownictwo, czemu jednak sierżant Rym gdzie może przeciwstawia się, zameldował mnie, że stosownie do zasłyszanych przez niego głosów, rodzony brat tego Fornalskiego, też nazwiskiem Fornalski, należał do szajki, która po złupieniu kasy na ss. „Feliks Dzierżyński” zdezerterowała w porcie południowo-amerykańskim i tam od niedawna siedzi. Usłyszawszy o tym, ja sierżanta Ryma od niechcenia zagadnąłem, czy on tego drugiego Fornalskiego też znał? Na to on spuścił oczy i zachłystnął się. To zmieszanie podkreślał w punkcie drugim.

3) Ponieważ Morski Urząd Bezpieczeństwa Morskiego wezwał mnie i wypytywał o drabinę, która w czasie mojej służby została umyślnie podstawiona pod KO4 kiedy ja byłem z drugiej strony, otóż przede wszystkim sierżant Rym tyczy się drabiny w ten sposób, że jak mnie objaśnił kapral Otto, którego sierżant Rym też tępi, sierżant Rym nic innego nie robi, tylko matce i ciotce tej studentki, od których pochodziła drabina, sam osobiście raz na tydzień, albo i częściej, a także samo postugując się żołnierzami z plutonu, dostarcza produktów żywnościowych z kategorii bonów, jak np. ryby wędzonej, drobiu i wysokoprocentowych tłuszczów.

4) Wszystko powyższe wynika z tego, że wymieniony sierżant Rym Władysław jest pod moją służbową czujnością i gdybym go nie obserwował, w razie czego moja musiałaby być współwina, czemu ja z góry kategorycznie zaprzeczam. Zważywszy, że sierżant Rym jest Przodownikiem, czuję się tym bardziej zobowiązanym do wzmoczonej

czujności, ponieważ jest on także samo najważniejszą figurą w Gazecie Sciennej, mającej dodatni wpływ na żołnierzy, nad którymi czujność również obowiązuje mnie. Zważywszy to wszystko, czuję się odpowiedzialnym i w żadnym wypadku nie mogę pozostawać obojętnym ze względu na czujność, której od członków wymaga nasza ukończona Ludowa Ojczyzna Polska.

107/G. „Szatan”.

Ten rzeczowy meldunek, po tygodniowej wędrowce z Egzekutywy poprzez koordynacje do Kartoteki, został wysegregowany i trafił na biurko nac. Bijasa, jako podpadający pod śledztwo.

W tym samym czasie, swardziały po sukcesie, kpt. Dzikowski ( o tym po tym) dostarczył na biurko załącznik z własnoręczną zapiską treści tej : *Załączony i podklejony załącznik jest wycinkiem z „Dziennika Bałtyckiego”, autorem jest ujawniony pod spodem Czesław Muś, wymieniona w załączniku osoba jest córką Anny Aninowskiej z ul. Ziemowita, co może mieć wpływ na obchodzące nas śledztwo.*

„Nas” — bardzo się nac. Bijasowi nie podobało, świadczyło, że szczeniakowi przewróciło się w głowie, jednakowoż wycinek przewertował od deski do deski. Wyczytał w nim :

*Haneczka miała zamiar całe życie kochać burą kotkę —  
Ale przyszła Rewolucja w Polsce...*

*I Haneczka przestała kochać kotkę — zakochała się*  
[w Czynie

*I nie o burej kotce śpiewa pieśń, lecz o Stalinie !*

Nacz. Bijas po przeczytaniu udobruchał się, że po czytnie nastąpiło o Stalinie, a nie o drabinie, ponieważ już raz zauważył u Musia drabinowe w rymowaniu skłonności. Porozumiał się z Dzikowskim w cztery oczy, okazując Dzikowskiemu służbową nieufność :

— Może obywatel zechce jaśniej się wyjęzyczyć, co mianowicie obywatel miał na widoku, dając mi to ? Wcale z załączonego wycinka nie wynika, że Haneczka jest Haneczka, ponieważ jest wiele Haneczek w Gdańsku. Obywatel z palca wyssał, czy skąd ?



Młody Dzikowski rozplomieniał się, jak ogień i obstał przy swoim : — Towarzyszu Naczelniku, ja z palca nie ssę, tylko wiem co mówię ! Mnie coś tknęło i wziąłem do wglądu teczkę Musia i znalazłem meldunek jednego przyjaciela Musia, jak raz Muś przyznał się w TPP-erze, że bez ślicznej Hanusi Aninowskiej życia sobie nie wyobraża ! Czy to jest z palca, czy też wiem, co mówię ?

Bijas za arogancję chciał go przewiercić spode łba, ale dał spokój, mówiąc naturalnym głosem :

— Tu już muszę was, kolego, pochwalić za czujność, ponieważ rzeczywiście warto się *nam* będzie zastanowić, co z tym fantem *nam* wypadnie zrobić ? ! Dziękuję wam, towarzyszu, możecie odejść.

Gdy uszczęśliwiony wywalczoną pochwałą szczeniak Dzikowski służbowo się odmeldował, nacz. Bijas, podbiwszy lok — w niemitej samotności Izby Badań sznurkowy wynalazek z lampą nakierował na centrum biurka — i przewertował jeszcze raz meldunek oficera Gacha. Opadł mu lok, więc podbił lok i wziął się raz jeszcze za wiersze Musia. Czytał wiersz Musia, po tym znowu raport Gacha i koordynował. Bezwiedną ręką napotkał linijkę i podjął ją z biurka. W czasie koordynacji, samemu sobie wybijał takt :

— Bie-da by-ła bie-da jest bie-da bę-dzie A-li-cja !

## VII.

Umęczony biedą Zenon Bijas miał jednak momenty bez mgiełki, te mianowicie, które z soboty na niedzielę spędzał w łóżku : szerokim, preussowskim, gdańskim ! Gdy po tygodniowym wyścigu pracy na tym łóżku się wyciągnął, a jak się rozwalił, a jak sobie bez autoczujności ziewnął — i jak na różowy, nie na zielony klosz popatrzał i na różową a nie zieloną Alicję — i gdy na preussowskich sprężynach tak i siak się sobie pohustał — i gdy do tego nabrał przekonania, że muzyką uspiomy synus Jędrus pogrzyżył się w sen ponad wątpliwość niewinny — wówczas zbiedzony Bijas naprawdę czuł się bez mgiełki i nie tam, gdzie musiał, ale tam gdzie mu się podobało, palcami wybijał takt.

Bijasowe wczasy — odprowiały się w świętej, małżeń-  
skiej tajemnicy, której nawet najbardziej obostrzone prawo  
nie jest w stanie pogwałcić. Niech Bóg broni !

Gdzieś dobrze po północy, gdy gdański wiatr stukał  
w okiennice i potrzasał deskami, płosząc sennie — mąż  
Zenon Bijas czuł potrzebę wywnętrzania się w serdeczny  
sposób, a w niektórych wypadkach czuł nawet potrzebę  
wymyślenia samemu sobie od ostatnich synów. Czuł mus  
i przymus ujawniania własnych błędów i win obywatelskich  
i rozdrapywania ich w nocy po cichu pod kołdrą, jak zwy-  
kli czynić strupowaci ze strupami, oraz cierpiący na  
świerzb z nieludzko śwędzącymi świerzabami.

Rozkosz miał Bijas, że nikt nie notował i nie mógł mu  
robić kwestii :

— Mówię ci, Alicja, całą prawdę, bo nie mam powodu  
kręcić. Treść jest taka, że ja nie wiem, co ja mam robić ? !  
W pierwszym rządzie francowaty Dzikowski, którego nie  
raz wyciągałem za uszy, mnie opaćkał. Jak ? Zaraz ci opo-  
wiem jak ! Ten Hurewicz, co jak Rybienko, jest z Rusków  
i pisze się przez o kreskowane i ch, w pewnym momencie  
mnie przerwał bynajmniej nie psyknięciem, ale żywym słowem.  
Ja wtedy ruszyłem mózgiem i doszedłem do przeko-  
nania, że zgrabnie zrobię, jeśli pod tego głupiego Lubań-  
skiego podstawię głupiego Dzikowskiego, bo jeśli Hure-  
wicz się wtrącił, niech się potem z Lubańskim i Dzikow-  
skim sam męczy. Głupio pomyślałem, przyznaję się tobie  
i zbytecznie pocisnąłem dzwonek. Bo posłuchaj, co się po  
tym stało. Ja nie lubię się martwić, ale moim zdaniem wy-  
padło kiepsko. Ten Dzikowski wycisnął z Lubańskiego  
treść, której ja, z powodu wtrącenia się popa, nie zdąży-  
łem wycisnąć ? Widzisz teraz, jak mnie się brzydko zazębia  
cała kwestia ?... Widzisz, czy nie ?... Czy rozumie całą kwe-  
stię moja Alusia ?... Ty moja malusia brylantowa sam-  
czusia !... Nie potrzebujesz się odpychać, wracam do kwe-  
stii. Ponuro mnie się wydaje i mam poważny powód być  
niespokojny. Ja nie lubię niepotrzebnie straszyć, ale zobacz  
sama, ty mnie tak zawsze podkrećcasz, że ja przy tobie  
ujawням, jak na spowiedzi, całą prawdę...

Różowa Alicja podbiła mężowi lok i rozgrymasiła się :

— Zen, ja nie jestem idiotka, ja widzę twoją walkę  
i twoje męstwo, nie myśl, że nie widzę ! Ale cóż z tego, jeśli  
którego dnia wezmą mnie ciebie, albo zdmuchną i nawet

mnie nie zawiadomią! Mnie to raz po raz przeszkadza w tym, co ty lubisz. Ja się boję! Ja nie umiem walczyć z przeciwnikami! Popatrz, Zen: tak nam dobrze razem, tak nam tutaj przestronnie, cudnie, sam widzisz, powiedz, że cudnie! A jak ty którego dnia gdzie wsiąkniesz, albo ogłosisz, że jesteś wszystkim winien, co wtedy z nami się stanie, Zen?

Mąż bez pomocy żony podbił lok (opadł lok), podbił lok i rzekł wesoło:

— Cudusi mojej samczusi tu, tu, tu się zdaje, że jej samczus już nie wie, gdzie raki zimują! A nieprawda! a wie! A łzesz, a łzesz! — Tak ją pocieszał, aż sam się pocieszył.

Alicja zaczęła się martwić z innej beczki:

— Nie myśl, że ja nie pamiętam, co powiedziałeś w Jastrzębiej Górze, że jesteś Waligóra i Wyrwidąb!... Bez kompletnej wiary w ciebie, ja bym nigdy nie potrafiła być twoją!... Ale mnie jeszcze co innego przeszkadza... Nie bądź skryty, Zen, powiedz mi, kiedy oni mogą skończyć budowę gmachu dla naszych rodzin i kiedy, myślisz, zmuszą nas, żebyśmy zwolnili nasze gniazdko i przenieśli się pod naszą strzechę? Wiesz, że ja przeciw temu wewnątrznie się buntuję! Co myślisz?

Zenon odpowiedział: Hej, ha, ho, jeszcze nieprędko!  
— Ale zaraz nawrócił do kwestii:

— Teraz dopiero słuchaj! Sobaczy szczeniak Dzikowski przyskoczył do mnie zadowolony taki, że tylko go w mordę lać! — z zeznaniem, w którym poślaskotany przeze mnie Lubański ujawnił, że jakoby zbiegli marynarze z Dzierżyńskiego, między którymi, zapamiętaj, ujawniło się nazwisko, Fornalski, wszyscy oni są serdeczni koleżkowie Lubańskiego, ponieważ razem robili rejs na Sobieskim, a teraz bryknęli w Ameryce Południowej! Żeby tylko to! Dzikowski, na podstawie Lubańskiego, zgłosił pisemny meldunek, że udało mu się wykryć prawidłowy i nie podlegający zaczepieniu związek między obchodzącą nas drabiną i brykami w Ameryce Południowej i niejakim Fornalskim, którego tutejszy WOP przychwycił na Szwedzie! Sama podsumuj: jeden Fornalski tam, drugi Fornalski tu! Brat? Brat! Mało tego: Dzikowski, na podstawie Lubańskiego, zameldował, że nie jeden, ale obydwaj Fornalscy, oraz inny jeszcze amerykański bryk, nazwiskiem

Bolesławski, nie byli obcy siostrom, od których pochodziła drabina i że świetnie znali się. Dzikowskiemu nie umiem odmówić racji, gdy nie chce wierzyć w kwiprokwo i powiada, że znalazł klucz do drabiny, za który siostry drogę zapłać nam. Wobec tego, gdzie ja, Alicja, w tym wszystkim jestem? Wychodzę z tego, jak szczun! Rybienko nie taki głupi, żeby wrócić z Warszawy i płakać za mnie... Ale co ty, Alicja, śpisz?

— Ja? Skąd? Ja rozmyślam, co ty mnie mówisz i zastanawiam się...

— Nie śpij, bo tu i o ciebie chodzi! Bardzo jestem niekontent, że na siostry idzie chmura, bo ty do Łucji Duszej latałaś z fatałachami, jak opętana, kto nam ze chce nogę podstawić, proszę bardzo, mogą cię nawet przepuścić przez Jurka Mazurka, nie wzmiankując co będzie ze mną! Nie mogłaś to rzadziej latać? Nie, ty ma się rozumieć musiałaś latać codziennie, albo co drugi dzień!...

Na wzmiankę o fatałachach, Alicja pośliniła powieki i rozczmuchała się:

— Ty! Nie krzycz na mnie! Bzik jesteś, Zenon, czy co jesteś? Co Jureczek może mieć do mnie, jeśli Łucja Duszna nie chce ze mną gadać o niczym innym, tylko o kroju, poza tym na żadne moje serdeczne pytania nie odpowiada i boczy się na mnie, wiesz dlaczego, wszystko przez ciebie! Gdyby ona nie miała ostatnich modeli i gdyby nie miała złotej ręki, jabym dawno jej powiedziała, co o niej myślę! Zebyś wiedział, ona poza szyciem jest wariatka, zapomina się i najpilniejszą robotę w środku przerywa, jeśli tylko usłyszy, że jakaś syrena huczy w porcie. Dobra wariatka, co? Dopiero, jak wysłucha syreny do końca, zabiera się z powrotem do roboty. Stuknięta taka!...

— Przestań już raz, Alicja, ty nic nie rozumiesz!

— Pięknie powiedziałeś! Powtórz! Ślicznie mnie powiedziałeś! Może powiesz jeszcze, że ja jestem stuknięta? No powiedz, powiedz, nie masz się przy kim kępować! Mów zresztą sobie, co chcesz!

Obrażona żona wykręciła się plecami do męża i wysunęła spod kołdry nogę.

Mąż uznał, że istotnie przesolił, więc wstał z łóżka, ukląkł i starał się udobruchać wrogo usposobioną nogę.



Alicja, zastrzegłszy się, że jej łaskotki nie biorą, dokończyła, co miała na języku :

— Może ja jednak źle zrobiłam, sama nie wiem, biję się z myślami i nie umiem znaleźć odpowiedzi... Na pewno źle zrobiłam, ale widzisz, Zen, kiedy ty mnie powiedziałeś, że Rybienko pod te biedne siostry kazał postawić kociołek, mnie się zrobiło zimno, ale ja sobie pomyślałam : i cóż my na to możemy poradzić ? Nic ! Absolutnie nic nie możemy poradzić, co mnie najwięcej pocieszyło. Nic nie możemy poradzić, nikt nie może mieć do nas pretensji ! Ale ja też sobie pomyślałam — żebyś tylko, Zen, na mnie nie krzychał i twoim Jureczkiem mnie nie straszył, bo ja i bez tego się boję — słyszysz ? — kiedy te okiennice hukają, choć jesteś przy mnie, masz rację że jestem idiotka, ale ja się boję o ciebie, o siebie i o Jędrusia ! — pomyślałam sobie, że jednak nie koniecznie muszę być bierna. Tylko nie krzycz na mnie, bo ja krzyków nie znoszę — i nie łaskocz mnie, Zenon, bo ci to nic nie pomoże ! Ja nic złego nie zrobiłam, tylko tu i ówdzie szepnęłam słówko. Źle ci powiedziałam : tu i ówdzie mrugnęłam okiem do tej i owej klientki Łucji Dusznej, żeby się miała z ostrożna, bo nikt nie wie, co jutro z Duszną będzie... Myślisz, że szeptałam ? — Mylisz się !... Mówię ci tylko o żonach Urzędowych i Wopowych, które latają do Dusznej, jak ja ale nigdy w życiu do takiej na przykład Rybienkowej, bo ja jej organicznie nie znoszę... Ale dlaczego ty, Zenon, ze swoim Jurkiem Mazurkiem zawsze do mnie, a nigdy do niej, czy ja jestem na świecie jedna, czy Rybienkowa po fatałachy do Łucji Dusznej nie lata tak samo jak ja, dlaczego ja dla ciebie jestem zawsze najgorsza i tylko mnie straszysz i straszysz ? !... Ja i bez twoich głupich strachów przep ten wiatr szlocham i szlocham...

W obliczu katastrofalnej żoninej ignorancji, Zenonowi na wkleśłym czole lok zwiśł w kształcie sierpa i wisiał.

Zwycięska Alicja zaczęła pogodniej marzyć :

— Chociaż powiedziałeś, że jestem idiotka, mimo tego wiem, nawet bez widzenia się z Duszną, że ona mnie przeklina, bo najlepsze klientki ja jej ulotniłam i ona ma prawo myśleć, że to moja wina. Owszem, nie przeczę, ma częściowo rację, ale niech ona sobie winę przypisze... Do drugiej siostry, bo jest i druga — do tej drugiej siostry, jak ci powiedziałam, też mało kto teraz zagłada z mojej

winy, bo ja to tu, to tam, nic złego nie powiedziałam, tylko byłam bardzo niezadowolona. Ta druga siostra plecie wianki, a prócz tego robi bardzo ładne religijne obrazki ze skrzydeł motyli, które jej dostarczają z Brazylii, z nich lepi lazurowe sukienki na szkłe dla Świętej Marii Panny i z tego żyje. Zapamiętaj, Zenon, bo ja wkrótce zapomnę : te brazylijskie motyle pochodzą z gatunku, jak ona mnie powiedziała : *Menelaus* ! Zapamiętałeś ? No to dobrze ! Ani tobie, ani mnie, nie zależy na ludzkiej wdzięczności i tym się wyróżniamy od innych, że swoje robimy, a że jedni są wdzięczni, a drudzy nas mają za świnki, tak zawsze jest na świecie i nas nic nie obchodzi ! Powiedziałam, co chciałam i zaraz zrobimy lulu. Ale przed tym, Zen, nie myśl, że ci ujdzie na sucho !... Ciekawa jestem, co ty na noc dzisiejszą przygotował swojej panie Sienkiewiczównie ?...

Tradycją w rodzinie Bijasów było (ze względu na panięskie nazwisko żony), aby w chwilach wczasów, strzelać do siebie zapytaniami i liczyć dodatnie lub ujemne punkty w rozgrywce o mistrzostwo Trylogii; trylogia Sienkiewicza leżała na preussowskim stolyczku, jako bezstronny sędzia.

Bijas : — Gdzie Wołodyjowski uczył Kmicica szablą robić ?

Panna Sienkiewiczówna : — Myślisz, że powiem pod Lublinem, albo w Widłach ? Nie weźmiesz mnie na takie dziecinne pytania ! Pod Sandomierzem !

Bijas : — Plus ! A skąd jest to : „*Kto po nasze głowy przyjdzie, ten i swoją przyniesie*” ?

Panna Sienkiewiczówna : — Ogniem i Mieczem ! W czasie oblężenia Zbaraża, gdy Janicki jechał do chana !...

Bijas : — Twoje na wierzchu. A to : — „*W zamku wielki zdrajca patrzył na zapadający mrok i słuchał wycia wichru*” ?

Panna Sienkiewiczówna nabzdyczyła się : — A tobie co na mózg padło, Zen ? Takie łatwe pytanie, do tego okropne, bo słyszysz przecież, jak wiatr w okiennice bije i bije... Już nie masz ciekawszych pytań ? Ale nie myśl, że cię zagaduję, zaraz ci mogę powiedzieć : Potop, tom drugi, w zamku tykocińskim, gdy miał umrzeć Janusz Radziwiłł ! Dobrze powiedziałam, czy nie ? Ale mi wyrządźcieś okropną

przykrość, bo powinienes wiedzieć, że ja nienawidzę wichru, a jeśli ty mnie przypominasz naumyślnie, ja ci od tej pory zabraniam używać mego panińskiego nazwiska. Skończyło się! Zrób, ogłoś, pozwalam ci, że Sienkiewicz jest wrogiem socjalizmu, bardzo mnie będzie przyjemnie i zaraz to opowiem Jędrusiowi!... Ale żebyś się po tym do mnie nie zbliżał!... Zen, dlaczego jesteś taki wstrętny? Strwożyłeś mnie... Przepróż mnie... Ot tak!... Już się nie gniewam, mnie tylko jest bardzo smutno... Idzie Zenus po drabince, po drabince, już tylko jeden ma szczebelek...

Alicja nagadawszy się do syta, zwinęła się w kłębek i zasnęła, chwiała Bogu!

Zenon Bijas nie mógł jej naśladować, bo nie dał rady.

Wstał, zgasił różowy buńczuk nad łóżkiem, i nie mógł zasnąć; słuchał potakiwania okiennic i nie mógł zasnąć; ani na prawym boku, ani na lewym nie mógł zasnąć — dociekał tego i owego i ani rusz nie mógł zasnąć...

A gdy tak się wiercił i gdy tak dociekał, zabrał się do łowienia lazurowych motylków, i nie mógł zasnąć!...

A gdy tak się biedził i gdy tak łowił — na pleckach swego Menelausa, swego Chana, swego Wielkiego Zdrajcy, zaczął wybijać takt:

— Bie-da by-ła bie-da jest bie-da bę-dzie A-li-cja!

I zasnął.

## VIII.

Inicjatywa w drabinowym śledztwie KO<sub>4</sub> powróciła do rąk nac. Bijasa w obecności świadków, cichostapalskiego Hurewicza i Dzikowskiego, i polegała na dialektyce ponieważ, iż:

— ...iż (mówił Bijas) tow. Rybienkę zatrzymują w Warszawie ważne, partyjne sprawy, natomiast u nas obrywa się telefon — wypadaloby może wziąć przede wszystkim dwie siostry, co do których dotychczas wyszło na wierzch, iż a) od nich pochodziła drabina; b) Lubański się z nimi przyjaźnił i Lubański przyjaźnił się z Fornalskim, bratem tego Fornalskiego, który bryknął w Ameryce Południowej; c) ponownie badany Fornalski zeznał, że jest bratem Fornalskiego i krytycznej nocy nie spał, ani nie pracował, tylko bumelantował; d) ten sam Fornalski zeznał, że

o dwóch siostrach słyszał; e) sztywny w karku Fornalski lada moment przed tow. Mazurkiem może ujawnić, że nie był obcym przystawianiu drabiny; e) obydwie siostry rozumieją po angielsku; f) u sióstr jeszcze w roku 1947 widziano amerykańskiego marynarza, o którym bliższych danych nie ma i o którym nikt nie stwierdził, że nie był emisariuszem imperialistycznego wywiadu; g) od sióstr bezsprzecznie pochodziła drabina; h) są poza tym wmieszane dodatkowe osoby i są dodatkowe ślady, ale co nadto, na razie lepiej zatrzymać przy sobie...

— ...iz (mówił Bijas) wobec tego, wypadłoby dwie siostry wziąć, ale ponieważ tow. major Rybienko udzielił fachowej instrukcji, żeby nie brać i zamiast akcji wprost posłużyć się wyciąganiem zła z korzeniami — taka też a nie inna, aż do powrotu tow. Rybienki winna być stosowana taktyka, moim zdaniem...

— ...iz (mówił Bijas), z powodu tow. Rybienki sióstr nie wypada brać, powstało we mnie pytanie, czy dla przyspieszenia tempa, nie należy nam się odnieść do Wydziału Technicznego, czy by Wydział nie podjął się wkroczyć pod siostry samograj Telekomunikacyjnych Zakładów Moskiewskich? Powziąłem w tej materii samodzielną decyzję i zwróciłem się do inż. Fiodorowicza i on mnie służbowo zapewnił, że jeśli rzecz, jak powiedziałem, jest warta świeczki, on, byle siostry z domu wywabić, samograj im wkroci. Komunikuję o tym towarzyszym, bo moim zdaniem siostry się nie wykręcą, a normalnie, jak uzasadniłem, nie wypada ich brać. Jutro pójdzie Zajac, żeby je z domu wywabić. To właśnie chciałem towarzyszym ujawnić, żeby nikt się nie czepiał, że Urząd działa bez pokrycia, na ślepo...

Tow. Hurewicz ani razu nie psyknął, tylko jako niekulturalne bydlę porobił notatki i zmierzył ku wyjściu, ale ma się rozumieć serem karmiony Dzikowski chciał się wymądrzyć — wówczas już nie Hurewicz, lecz Bijas psyknął i Dzikowskiego języka pozbawił.

Po tym zrywku, Zenon Bijas znalazł się w lepszym humorze, bo miał czyste sumienie, jak również dlatego, że w niedługim czasie spodziewał się serdecznego śmiechu, który nie częstym jest gościem w Urzędzie.

Tego samego dnia tak bowiem wypadło: Druga czujka z kociołka dwóch sióstr dała po linii znać, że pod Nr 13-ty wszedł, dobrze skądinał widziany, poeta Cze-



sław Muś i dotąd nie wychodzi. Czujka spytała, co ma robić : brać, czy filować?

Nacz Bijas udzielił po linii zdumiewającej w tych czasach odpowiedzi : — Nic nie robić, zanotować tylko osobnika czas przyjscia i wyjścia...

Będąc wolniejszy, zatelefonował do redakcji „Dziennika Bałtyckiego” 335-60 i połączył się z Musiem.

Rzekł do niego po linii koleżeńsko i na wesoło :

— Cześć ! Tu Bijas. Jak wam leci?... Jeśli nie macie nic lepszego do roboty, ot wiecie co, kolego, weźcie i wpadnijcie do mnie do Urzędu w nieważnej sprawie... Ale co się odwlecze to i uciecze, najlepiej nie zwlekajcie, a zaraz !...

Jak się spodziewał, usłyszał po linii głęboki wdech i jeszcze głębszy wydech, a po tym skore : — Już lecę !... — Co potwierdziło domniemanie, że z Musiem będzie ze śmiechu jedno wielkie zdychanie.

Oczekując wizyty Musia, nie tracił drogiego czasu, zajrzał do trzech wychodków (o tym po tym), następnie wglądął w posegregowane w teczce „KO4” załączniki z dnia bieżącego i w odnośną korespondencję.

Przejrzał, co było : Z Urzędu w Wejherowie urzędowa powiastka, że istotnie chłopiec Władysław Rym z chłopcem Aleksandrem Fornalskim razem uczęszczali przed wojną do jednej klasy ; z b. Zakładu Sióstr Urszulanek w Warszawie, że przedwojenna nauczycielka Łucja Duszna pracowała u nich 5 lat i nigdy nie była karana sądownie ; telefonogram od pierwszej czujki, że zatrzymany mleczarz Pikutek Feliks od trzech lat całej ulicy Ziemowita dostarcza z wolnej ręki mleka i jaj i nic poza tym ; z Komitetu Opieki nad Dzieckiem, że Aleksander Fornalski w czasie wojny był deportowany do Norymbergi, a po wojnie dobrowolnie podległ repatriacji i wrócił do wolnej Ojczyzny ; ze Związku Bojowników o Wolność, że Anna Aninowska po głębszym namyśle posłała własnoręcznie mężowi na Pawiak truciznę, gdyż istniała obawa, że znacznie sypać i sam Aninowski w grypsie napraszał się o truciznę (okres hitlerowskiej okupacji) ; kartka od blokowego z ul. Ziemowita, iż obie siostry do późnej godziny palą światło i są w posiadaniu radia na krótkie fale, lecz grają cicho ; depesza od ofpola Kazimierza Pieniążka z Feliksa Dzierżyńskiego, że

jeśli trzeba, on z Antwerpii gotów jest przybyć do Gdańska samolotem; pismo z Komitetu Demokratycznego w Punta Chata, czym się zbiegły marynarz Fornalski trudni, z czego żyje i co jego wspólnicy tam porabiają; plik opinii i wyciągów, dotyczących nieskazitelnej służby por. Cezarego Gacha; zawiadomienie z Biura Studiów Odbudowy Miasta Gdańska, iż dokonana ekspertyza wykazała pochodzenie drabiny z okresu nazistowskiego i z powodu przedawnienia dało się tylko stwierdzić, że była zbita z dwóch drabin, jedna z drzewa sosnowego, druga z bukowego, miejscami spróchniałego; szyfrowana depesza z Konsulatu Polskiego w Buenos Aires z wymianieniem głównych tamtejszych zdrajców i ich połączeń; papierek z Centrali Telefonów Gdańskich, że dnia 11-go listopada (NB : data sanacyjnego święta niepodległości) obywatelka Łucja Duszną połączyła się z WOP'em i domagała się sierżanta Ryma, lecz zanim doszedł, komunikację przerwała; wykaz osób i instytucji, które dezertrom Fornalskiemu, Bolesławskiemu, Gwoździowi, Trości i Sandalskiemu udzieliły swego czasu przychylnych opinii; z Domu Akademickiego „Nowa Dziekanka” w Warszawie, iż zamieszkała tam studentka Hanna Aninowska jest członkinią ZMP i prowadzi się nienaganie tak w Dziekance, jak i w Zetempie, jak i na Mili-cji; odpis metryki, nadesłanej przez Urząd Morski, iż marynarz Piotr Lubański istotnie urodził się w Kowlu; spis członków rodzin, pozostałych po zbiegłych marynarzach z Feliksa Dzierżyńskiego, wraz z adresami i fotografiami niektórych wyszczególnionych...

Do tego spisu spinaczem przypięty był list ze znaczkami zagranicznymi, oraz papierek od mądrali Dzikowskiego.

Papierek : *Niniejszy list dostarczył uprzedzony przez nas pismem z ub. miesiąca nasz Urząd Gdyniński. Adres opiera na Romana Rybę, ale treść bezspornie tyczy się Zofii Bolesławskiej, żony dezertera Jana Bolesławskiego z F.D., który po akcie dezercji, stał się autorem załączanego listu. Czy Rybę, czy Bolesławską brać? W/z Dzikowski.*

Oczekując lada moment nadejścia Czesia Musia, nacz. Bijas zdążył jeszcze przeczytać familijny list.

List : *Kochany przyjacielu! Szukałem w pamięci i ciebie odnalazłem, mój ty przyjacielu Romanie, dlatego do*

ciebie jednego się zwracam, żebyś ty, przyjacielu, nad sercem moim się ulitował i dalej nie czytał, ale żebyś to co trzymasz, wręczył gdzie mnie serce dyktuje. Amen. Sercem umiłowany Przyjacielu! Nagle i niespodziewanie mnie wypadło zatrzymać się w podróży bez porozumienia z tobą i bez zabezpieczenia ciebie, choć mnie przepowiadałeś, że z moim charakterem ja tak skończę. Przyznaję ci całkowitą rację, kochany przyjacielu i tylko w kilku dorywczych słowach chcę ci donieść, że nasza ukochana Polcia Wolnoska okazała się dla mnie nad wyraz serdeczna i otacza mnie miłością bez granic i od siebie nie puszcza, ale ja wkrótce tak czy siak dalej ruszę, żeby trochę grosza zarobić i tobie przestać, bo niepokoję się ja, co ty beze mnie zrobisz i naszą Zosiunia, jeśli nie będziesz miał ode mnie wsparcia. Ucałuj, kochany przyjacielu, tę słodką naszą pociechę i powiedz jej, że tatuś przysłał jej lalkę włoską, która sama chodzi, mruga i gada. Tak jej obiecaj, kochany przyjacielu, bez którego ja życia sobie nie wyobrażam i tylko patrzę gdzie by zarobić i tobie przestać. Dla ciebie, przyjacielu kochany, ja wsadzę w kopertę parę pończoch najłonowych najlepszych jakie są, Dupont 56, w spodziewaniu, że ciebie dojdą i będą pasować. (Nacz. Bijas w tym miejscu obrócił list, zajrzał do koperty i stwierdził, że pończochy nie zostały dołączone do śledztwa). Klimat tu jest gorący i ja mam gorącą nadzieję, że i u was się wkrótce ociepli, a ja zaraz do ciebie wrócę z nadzieją, że ci z powodu mnie krzywdy nie zrobi Urszula Barbaraska i ja zastanę ciebie, kochany przyjacielu i naszą małą Zosiunię w dobrym zdrowiu. Jak ci przysięgłem, tak ci jestem wierny do grobowej deski, tylko o ciebie się martwię, co ty poczniesz beze mnie, drogi przyjacielu, i ci przypomnę co ci radziłem przed każdym rejssem, że jak ty, kochany przyjacielu, poczujesz, żebyś zaraz szedł do Kościoła i Świętemu Antoniemu ofiarował na moją intencję jaki datek, a złe chęci odgonisz i już tylko o mnie będziesz myślał. Z serca ci tego życzy twój utęskniony przyjaciel. Jeszcze raz całuję ciebie mój ty złoty przyjacielu Romanie, żebyś naszą Zosienkę, która żeby tatusia nie zapomniała. Pozdrów ode mnie p. Lucję i p. Annę. Twój stały przyjaciel

Jan Kochanowski

Nacz. Bijas, gdy ten list wkładał z powrotem do koperty i na papierku Dzikowskiego notował czerwonym ołówkiem : „Do kompetencji mjr. Rybienki” — zadumał się nad naiwnością ludzką, wspominając z zamierzchłych czasów w sanacyjnej szkole wkuwanych autorów greckich i rzymskich, z których bodajże jeden rozpoczął epos od słów : O święta naiwności ludzka !...

Wszedł Zając, że przyszedł Muś ; wyszedł Zając i wszedł Muś.

Muś, którego nikt przy zdrowych zmysłach nie mógł podejrzewać — jak się tego Bijas spodziewał — zrobił w Urzędzie cyrk, że proszę siadać !

Ani go Bijas o nic jeszcze nie spytał, ani samo się przez się rozumie, nie podjął linijki z biurka — gdy tylko mu się grzecznie uklonił, Muś z punktu wziął i się okropnie przestraszył. Nieproszony usiadł.

Z grzeczności dla Poety Wybrzeża, nie było w gabinecie protokółanta, protokółant siedział w drugim pokoju, od którego drzwi były otwarte i widać było plecy protokółanta ; można było drzwi zamknąć i przez mikrofon protokółować, ale grzeczność grzecznością, gdyby Muś zauważył, że w Urzędzie nie ma protokółanta, tym bardziej by się jeszcze przestraszył.

Patrząc na tę francówkę, Zenon Bijas skręcał się w śmiechu brzuszny, ale twarz pokazywał marmurową i Musia jak najbardziej serio traktował :

— No, to już dziękuję wam, żeście nie pogardzili moimi zaprosinami, a już przez chwilę myślałem, że może wam coś ważniejszego wypadło i tak na łapu-capu nie będziecie w stanie przyjść. Toteż podwójnie wam jestem wdzięczny, towarzyszu Muś, i zechcicie mnie wybaczyć, jeśli z zaprosinami nie w porę się wybrałem. Wiadomo towarzyszu Muś, że wasz czas nie jest wasz czas, ani mój czas nie jest mój czas, wasz czas i mój czas przynależą do naszej ojczyzny ludowej, więc podwójnie gorąco wam dziękuję za wizytę. Dziękuję wam, Muś. Usiądźcie sobie. Zna czy, przesiądźcie się na miękki fotel, ot ten, zaraz wam będzie lepiej... Dziękuję wam. Jak wam leci ?

Muś namarszczył czołko, siorbnał noskiem i zaczął się pocić, co szczególnie rzucało się w oczy w czasie zimy... Tego całego cyrku, ani brzusznego śmiechu, nie był w stanie wyrazić żaden protokół...



I — choć Musia nikt do niczego nie zmuszał — Muś z punktu puścił farbę :

— Zanim wiem, o co się rozchodzi, wolałbym uprzedzić...

— Wolnego, kolego, na hamulec i stop ! Pyta się was kto o co, albo kto jest o was ciekawy ? Nikt. Wasze polityczne podłoże jest znane nie tylko na Wybrzeżu, ale w całej Polsce, po co się macie pocić, otrzyście się, bo ja po starej przyjaźni pragnę wam zadać tylko nie ważne pytanko...

Spocony Muś, gdy te pocieszające słowa usłyszał, dostał napadu dzikiej energii.

— Choć nie muszę, ale z własnego impulsu powiem, zanim wiem o co wam chodzi, jestem zdecydowany powiedzieć, co mnie po głowie chodzi, skorzystam ze sposobności i nawet jestem wdzięczny że mam sposobność !... Nikt mnie od tego obowiązku nie odwiedzie i ja was proszę, kochany towarzyszu Bijas, nie przerywajcie mnie, którzy reprezentujecie władzę naszej ukochanej ojczyzny ludowej, za którą wszyscy jesteśmy gotowi oddać wiecie co, i ja was proszę dajcie mnie dokończyć, żebym mógł wam powiedzieć, co mnie po głowie chodzi...

Nacz. Bijas : — Ja was, kolego, jeszcze raz upewniam, że mnie o to nie chodzi, co wam po głowie chodzi...

Muś (zrywając się) : — Towarzyszu Bijas !... Zawsze byliście dla mnie ogromnie serdeczni !... Kiedyście do redakcji do mnie zadzwonili, akurat pisałem wiersz o Jędrusiu-Aktywiście na temat waszego synka i Październikowej Rewolucji... Sprawdźcie w redakcji, ja was proszę... Nie myślcie, że ja was chcę dobrze do siebie usposobić, bo wy macie taką nieskazitelną opinię, że was nikt nie jest w stanie usposobić, ani przekabacić, ale ja musiałem zrobić ten wstęp, żeby wam powiedzieć, co mnie po głowie chodzi...

Nacz. Bijas : — Muś, Muś, ja was proszę, uspokójcie się, ja nie jestem was ciekawy, przysiądźcie sobie, ja wam zaraz każę dać herbaty...

Muś (nie dając sobie przerwać) : — ...co mnie po głowie chodzi, w stosunku do czego mam wątpliwości, bo jak na pewno wiecie, mówiłem o tym głośno w Arce Literackiej, co jak widzę ma przykry rezonans...

(W trakcie tej francówki Zenon Bijas przysiągł sobie, że jeśli, nie daj Bóg ! zaczną go kiedyś brać pod pachy

i robić z nim podobne łaskotki — on się zatnie i prędzej język sobie odgryzie, niż jedną kropelkę farby z własnego popędu puści ! Tak mu dopomóż Bóg).

Muś : — Więc... Po tym co powiedziałem w Arce, mnie samego napadły ostre wątpliwości, jednakowoż, jeśli wy, towarzyszu, zadaliście sobie kiedykolwiek trud przestudiowania moich wierszy, zawartych w tomiku, wydanym przez „Pax” pod tytułem „Żniwo w pełni” — musieliście zauważyć orientację, wypływającą prosto i to wprost z ideologii czysto marksistowskiej ! Zauważyliście ?

Nacz. Bijas : — Mniej więcej...

Muś : — Ja wam gwarantuję, że tak jest ! Potwierdzenie możecie znaleźć w recenzji Jasia Kotta w „Nowej Kulturze”, i także u Ewy Szonert w „Dziś i Jutro”, czarno na białym. Ale ja, towarzyszu Bijas, nie po to do was zaszedłem, żeby się chwalić. Ja do was zaszedłem, żeby się podzielić wątpliwościami, czy ja byłem w prawie, nie pytając nikogo, interesować się epoką nic nie mającą wspólnego z naszą bohaterką epoką, czy to jest karygodne i niedopuszczalne i do jakiego stopnia ? Ale jeśli ja mówię, nie mającą nic wspólnego, wy, towarzyszu Bijas, pochopnie nie sądzicie i nie rozumiecie mnie źle... Bynajmniej nie mam na myśli epoki faszystowskiej, zresztą już mnie powiedzieliście, o coś podobnego nigdybyście mnie nie byli w stanie posądzić... Mnie się rozeszło o starożytną epokę, o swego rodzaju książki, dotyczące sanskrytu i kultury praindów... zrozumiecie... o historyczne książki, które nie dorosły do naszych czasów... Za chwilę wam powiem, dlaczego nie dorosły, ale wiecie, towarzyszu Bijas, co za szczególny zbieg okoliczności ? ! Kiedy mnie pierwsza książka o praindyjskiej kulturze wpadła w ręce, tegoż samego dnia zobaczyłem w Gdańsku po raz pierwszy marynarzy hinduskich ! Traf ?

Nacz. Bijas : — Traf. Co wam po głowie chodzi ?

Muś (z pasją) : Chodzi ! Ja jestem synek praczki, która od mydlin miała ręce poobierane do kości, a mój fater sprzedawał szelki na pomorskich jarmarkach, a ja jadłem kartofle w łupinach i chodziłem bez gaci, wszystko to macie od a do zet w „Żniwie w pełni” ! Moje pochodzenie mnie nie stoi na przeszkodzie, dlatego kto jak kto, ale ja miałem prawo się podjąć samodzielnej idei i stworzyć coś takiego, co by stworzyło pomost — rozumiecie, co to jest

pomost? — między naszą bohaterską epoką a kulturą prairindów?... Przepraszam za uniesienie, ponieważ wy na pewno znacie ze szczegółami co tego wieczoru powiedziałem w Arce, kiedy śpiewał Mieczysław Fogg, nie zasięgnąwszy zdania, co mogło być mylne...

Nacz. Bijas (mając dość) : — Ja was proszę, Muś, weźcie na wstrzymanie i zaopiekujcie się sobą...

Muś (nie dając sobie przerwać) : — Ale wysłuchajcie mnie!... Ja nie znoszę żadnych między nami nieporozumień, albo niedomówień. Siuśruta, ojciec medycyny indyjskiej...

Nacz. Bijas (ciekawie) : — Coście powiedzieli? Powtórzcie, Muś!

Muś : — Siu-śru-ta, ojciec medycyny indyjskiej, żyjący grubo przed narodzeniem Chrystusa, napisał, że w człowieku — uważajcie co powiem! — siedzi pięć wiatrów. Jeden wiatr z góry ciągnie — pozwólcie skończyć! — drugi wiatr w dół pcha, trzeci w bok dmie, czwarty w kółko się kręci, a piąty wiatr w miejscu stoi! Rozumiecie, towarzyszu : piąty wiatr w miejscu stoi! Napisałem wiersz pod tytułem : „Pięć Wiatrów” i po spektaklu Miecia Fogg'a recytowałem go w Arce bez zastanowienia, a nawet, jak wiecie, z idiotycznym komentarzem, że od czasu Siuśruty nic nowego pod słońcem!... Gdy tylko usłyszałem przez telefon wasz głos, ucieszyłem się, ponieważ już przed tym doszedłem gdzie leży mój błąd. Choć wam gadam o wiatrach, nie mówię na wiatr! Zaraz wam dowiodę, w jaki sposób doszedłem do przekonania, że od czasów Siuśruty istnieje coś nowego pod słońcem!...

Nacz. Bijas szeroko rozstawił oczy i objął nimi z obydwóch końców linijkę, spoczywającą na biurku.

Muś : — Wy, towarzyszu Bijas, jesteście wybitnie inteligentni, więc wam łatwo przyjdzie zrozumieć mój problem. Nie mam zamiaru się wypierać, że w Arce powiedziałem, że od czasów Siuśruty nic nowego pod słońcem! Ale ja tych „Pięciu Wiatrów” nawet nie zaniósłem do Dziennika, ani mnie się śniło! Wprost przeciwnie, zaraz następnego dnia, wzięłem je z powrotem na warsztat i powiedziałem sobie, że jeśli ten wiersz ma mieć jakąkolwiek społeczną wartość, musi przejść przez sito i być przepuszczony przez pryzmat marksistowskiego światopoglądu!

Zebyście raz na zawsze nie dawali wiary złym o mnie głosom, zaraz wam powiem, co mnie po tym wyszło...

Nacz. Bijas (z myślą o Jurku Mazurku) : — Może kiedy indziej, kolego, mnie o tym powiecie, bo wasz czas i mój czas...

Muś : — Słuchajcie !... Przyznaję : pierwotnie zrodził się zły, niedobry, psu na budę społecznie nie zdalny wiersz ! Ale ja, towarzyszu Bijas, przysiadłem fałdów i jeszcze przed waszymi zaprosinami zmieniłem Pięć Wiatrów na Szósty Wiatr. Zaraz posłyszycie ! Jesteście pierwsi, którzy będziecie słuchali ! Recytuję z pamięci, więc może nie być gładko... Sądzę, że po tym wierszu pozbędziecie się w stosunku do mnie obiekcji. Słuchajcie ! Szósty Wiatr :

*Pięć było wiatrów Siusruty, które nas gnały, o drodze  
towarzysze moi !*

*Pierwszy wiatr w dół nas ciągnął ! Drugi wiatr w górę  
dał i w trwodze nad nami biadolił...*

*Trzeci wiatr w bok nas bił ! A czwarty wiatr w kółko  
się kręcił i żarty z nas stroił !...*

*Piąty wiatr nic nie robił, w miejscu stał i zrządził !...*

*Pięć było wiatrów na świecie ! Aż pełnymi usty  
Chlusnęł w nas, towarzysze, październikowy wiatr  
szósty !...*

Nacz. Bijas : — Muś ! Podziękowawszy wam szczerze za waszą wspaniałą poezję, ja was proszę, Muś, dajcie mnie równie szczerą odpowiedź... Zastanówcie się, nikt was nie pili, ale powiedźcie mnie, co was naprawdę ciągnie na Ziemowita ?

Muś (siadając) : — Co znowu jest ?

Nacz. Bijas : — Jakie znowuż znowu, żadne znowu, to samo pytanko, dla którego ośmieliłem się was fatygować, nawet nie marząc o tym, że mnie będziecie recytowali wasze kapitalne wiersze. Muś ! Co was ciągnie na Ziemowita ? Nie wstyďte się przede mną, nie macie się przed kim wstydzić ! No, Muś, śmiało ! Może tam spotkaliście jaką osobę serdeczną, kochaną, która wam przypadła do serca, nie bójcie się mnie, ja was zrozumieję... No, Muś, jazda, krótko węzłowato jak przyjaciel do przyjaciela, gadajcie, co was boli ?

Muś (trąc czoło) : — Owszem...



Nacz. Bijas : — Wyjęzycie się...

Muś : — Głowa mnie strasznie boli... Owszem, macie rację... Ja zapomniałem wam donieść, że te sanskryckie historie czerpałem, znaczy pożyczalem, z ulicy Ziemowita... Nie zauważyłem, że nie powiedziałem, gdybym zauważył byłbym powiedział...

Nacz. Bijas : — Jazda, Muś !

Muś (w galopie) : — Tam jest księgozbiorek ! Żadnych książek faszystowskich nie zauważyłem... Lubię przewracać książki... Wpadły mnie pod rękę książki o sanskrycie i pożyczyłem... A następnie napisałem wiersz, który następnie przepuściłem przez sito... Książki zwróciłem...

Nacz. Bijas (z przytupem) : — Ej, Muś, moje pytanie brzmi, co was ciągnie na Ziemowita ?

Muś (w galopie) : — Dotychczas sobie nie uświada- miałem, że mnie coś ciągnie, ale jak teraz słyszę, macie rację ! Są tam dwie starsze siostry, matka i ciotka... O ile wiem, są bezpartyjne, ale nigdy nie słyszałem, żeby źle o czymś opiniowały. Ciotka szyje. Matka, która straciła męża za czasów faszystowskiej okupacji w tragicznych oko- licznościach, zajmuje się obrazkami na szkle, ale mniejsza o to... Mają burą kotkę, która ze względu na ulicę, gdzie mieszkają, wabi się Ziemowitowa. Ale mniejsza o to... Mówię, co wiem... Matka ma córkę... Dziewczyna jest wybitnie przystojna i przyjechała z Warszawy na wczasy, ale ja nie spotkałem się z nią na Ziemowita, bo nawet nie wiedziałem, że taka ulica istnieje w Gdańsku. Zetknąłem się z nią po raz pierwszy, kiedy, pamiętacie, robiliśmy Akademię dla Mao-Tse-Tunga ? Ona jest Zetempiaczka i naprawdę wybitnie przystojna dziewczyna, co w tym złe- go ? Podała mnie swój adres, więc zaszedłem raz i poży- czyłem książki. Potem ona wyjechała, ja odniosłem książki. Przy okazji pożyczyłem te właśnie sanskryckie książki. No i tak się ciągnie... Co w tym złego ?

Nacz. Bijas (b. serdecznie) : — Kochany towarzyszu Czesławie, co wy sobie w waszą bolącą głowę wbijacie, że może być coś złego ? Majaczycie, czy co ? Mnie tylko, po- nieważ jesteśmy w przyjaźni — niedyskretna, ale napraw- dę przyjacielska ciekawość zdjęła, co was ciągnie na Zie- mowita ? Haneczka ?

Muś (zrezygnowany) : — Haneczka...

Nacz. Bijas (wesolo) : — No to jeszcze raz wam naj-

serdeczniej dziękuję, żeście tak na łapu-capu do mnie wpadli, aby moją przyjacielską ciekawość zaspokoić. A propos ! Nie obito się wam przypadkiem o uszy, komu one pożyczły drabinę ?

Muś (szarpiąc kędzierzawą czuprynę) : — Co jest znowu ?

Nacz. Bijas : — No ?

— Muś : — Co znowu jest ?

Nacz. Bijas : — I ?...

Muś : — Niech mnie szlag trafi, jeśli wiem, czego wy ode mnie chcecie, towarzyszu Bijas ? !

Nacz. Bijas : — Nie macie wyobrażenia, jak mnie cieszy, że wolicie, żeby was szlag trafił, niż żeby mnie wodzić po manowcach. Wasze słowo jest dla mnie mur-marmur ! Ale a propos : Może spiknęliście się przypadkiem z przodownikiem p. i b. Władkiem Rymem, fajnym chłopcem z WOP'u ? Ktoś, nie pamiętam kto, mnie mówił, że on podobnie jak wy, zagląda na Ziemowita ?...

Muś (z radością) : — On się, towarzyszu Bijas, na peronie stacji w Tczewie zakochał w Haneczce Aninowskiej i od tej pory zagląda. Fajny chłop, to prawda, ale Hanka na niego gwizdże nie dlatego, że jest mało czytany, ale dlatego, że mu się ręce pocą. Owszem, widziałem go na Ziemowita kilka razy, zrobił na mnie dodatnie wrażenie, chociaż dodatnie wrażenie o niczym nie świadczy...

Nacz. Bijas : — Dziękuję, Muś. Ot, miło mnie było z wami pogwarzyć z serca do serca, człowiek przynajmniej raz się odświeżył w kulturalnym towarzystwie... Ale też pamiętajcie, że gdyby wam z Haneczką się udało, zamawiam się, chcecie czy nie chcecie, na waszego družbę ! Ja wam niewymownie dziękuję, Muś ! Widzę, że na herbatę nie macie chęci i że śpieszy się wam. Prawda jest : wasz czas i mój czas, to nie wasz czas ani mój czas... Sami widzicie, że nie było się czego przejmować. Prosto w te drzwi i na lewo. Dziękuję wam, Muś ! Cześć !

Czesław Muś na cześć odpowiedział cześć, wstał i zatoczył się, jakby robaka zalał, co było niemożliwe, znając Musia...

Dobrnął szczęśliwie do drzwi i miał skrócić w korytarzu w lewo, gdy zimny drań Zenon Bijas wkopał go z powrotem w podłogę :

— Psst, kolego...

— Co jest ?

— Towarzyszu Czesławie, jeszcze jedno słóweczko... Ja nie jestem taki inteligentny, jak mnie uraczyliście, ani nie jestem tak czytany, jak wy... Wy na literaturze sto razy, co mówię, tysiąc razy ! lepiej się znacie, niż ja... Wasz sąd jest miarodajny, a od rozstrzygnięcia waszych literackich wątpliwości macie Ministerstwo, nie mnie !... Ale ja wam coś powiem, Muś ! Tylko się na mnie nie pogniewajcie, bo ja powiem jak laik. Czy wam czasami nie przyszło na myśl, że z waszego wiersza mogą wyniknąć złośliwości ? Z tym waszym Siuśrutą skojarzenia są brzydkie i po co wam to ? Zróbcie, bo ja wiem, Rutę, Borutę, Ruryka, byle bez siu. Jeśli zmienicie, nikt nie będzie wiedział, żeście zmienili, bo u nas na starożytności znają się słabo, nikt nie pozna... Jeszcze nie dziękujcie ! Poradziłbym wam chętnie drugą zmianę. Powiedzieliście : Październikowy wiatr chlusnął ! Ktoś przekręci na chlasnął, ktoś z chlasnął na chłosnął, po co wam to ? Ja nie czuję się na siłach wam radzić, ale zmieńcie na przykład na musnął. Zresztą poradzcie się w redakcji i nie bierzcie mojego wtrąćielstwa do serca. Cześć !

Muś, podziękowawszy, znikł w korytarzu, wiodącym na lewo.

Zenin Bijas podbił lok ; nim opadł lok wszedł czujny kpt. Dzikowski i zameldował z rękami na szwach :

— Towarzyszu majorze ! Mnie ani jedna, ani druga siostra na żywe oczy nie widziała. Dlaczego na przykład ja bym nie miał do nich jutro, niby przypadkiem, wpaść, w razie czego powołać się na tego kapitana Wupe, albo na Lubańskiego, zresztą na miejscu zobaczy się na co — i — zanim Technika wkręci tym siostron samograj, może ja o drabinie zdołam przed tym wywąchać ? ! Dlaczego w razie powodzenia ma iść na szcnot Techniki, a my mamy być od macochy ? W tej myśli melduję się z prośbą o autoryzację, żebym jeszcze przed Techniką zdążył na ciemno do sióstr wpaść !

Nacz. Bijas odpowiedział z rzadką u niego surowością :

— Dzikowski ! Młodzi jesteście ! To coście przed chwilą rzekli, dowodzi także samo niezdrowej ambicji ! Dzikowski ! Więc wy o tym tylko myślicie, żeby zasługa czujności była wasza ? A czy was, Dzikowski, nigdy nie uczono o kolektywnym wysiłku twórczym ? Kto napisał : „I ten

szczęśliwy, kto padł wśród zawodu, jeśli innym dał szcabel do sławy grodu"? Adam Mickiewicz, *panie* Dzikowski! Oprócz tego zwracam wam jak najostrzej uwagę, że w polskim języku nie używa się „szczot”. Mówi się rachunek. Tu jest Polska, psiakrew, rozumiecie Dzikowski, i czysto polski język dotychczas obowiązuje! W ten sposób, jak wy chcecie, naszej ludowej ojczyzny nie zbudujemy! Wstyd mnie za was!

Po chwili dodał mniej surowo :

— Przemyślcie to sobie starannie, co wam powiedziałem, towarzyszu Dzikowski. Młodzi jesteście. Jeśli się koniecznie upieracie, możecie jutro do dwóch sióstr wpaść, no i zobaczymy, czy wam się uda o drabinie wywąchać!

Dzikowski zrobił w tył zwrot i odmaszerował w korytarz na lewo; jednocześnie z sąsiedniego pokoju wmaszerował osowiały protokółant T. Zając.

— Co znowu z wami? — spytał surowo nac. Bijas

— Towarzyszu naczelniku — rzekł Zając (który jutro miał dwie siostry wywabić) — melduję, że nie znowu, ale w stenogramie nie wszystko mnie wyszło...

Nacz. Bijas : — Łwaspies!

T. Zając : — Wszystko mnie wyszło, ale w wierszu Musia nie zdążyłem zaznakować, jak się nazywa ten Siu... śrut. Melduję, że przez to protokół mnie wypadł nie kompletnie, ponieważ mnie nie nauczono stenografować poezji, ani indyjskich, politycznych odchyłań...

Nacz. Bijas : — Przymknijcie się, łwaspies! Kimaliście przy pracy, a teraz mnie tu przychodzicie i francujecie kłitus-bajduś! Partyjny, łwaspies! Wierszy was nie nauczyli stenografować! Biedniście! Przodownik, łwaspies! Kiedy was nie nauczyli, możecie odmaszerować! Odmaszerujcie!

Ppor. Zając odmaszerował w korytarz na lewo.

Nacz. Bijas, zostawszy sam, sięgnął z przyzwyczajenia po linijkę, żeby zająć się biedą wczorajszą, dzisiejszą i jutrzejszą, ale tym razem dał spokój, bo go coś tknęło : w pierw tknął go tow. Hurewicz, który wsunął w szparę drzwi pyk i wycofał, a po Hurewiczu tknęła go myśl, że strzeżonego Pan Bóg strzeże...

Wobec tych znaków z ziemi i z nieba, poderwał się do blicowej inspekcji trzech urzędowych wychodków (o tym po tym); zadowolony z wyniku, wziął się do pliku spraw bieżących; zadowolony z wyniku, kazał się odstawić do willi



Preussów, gdzie prócz słodkiej Alicji i Jędrusia, czekały na niego teksty, niezbędne do urlopowego egzaminu PPP w Brnie, czy też w Zakopanem.

Tym sposobem zgrabnie się stało, że linijkowa bieda — tego dnia — nie miała do Bijasa przystępu...

## IX.

Przez nikogo nie było brane w rachubę, że porucznika Cezarego Gacha z WOP'u i kapitana Dzikowskiego z UB'u — wiązała nie to przyjaźń, ale w każdym razie długoletnia znajomość i, co więcej : wspólnota ideałów. Wspólnie przeszli pieroński głód, hitlerowskie poniewieranie, i w jednym czasie mieli szczęście dostać się w krąg promieniowania Polski odrodzonej. I chociaż, rzecz naturalna, drogi ich się rozeszły, ponieważ jeden został przewidziany do obrony granic z bronią w rękę, drugi do czuwania nad wewnętrznym porządkiem w Państwie — drogi ich ponownie się zeszyły właśnie w Gdańsku. Jeden był w WOP'ie, drugi w UB'ie.

Nie mówili do siebie per towarzysz, ani per ty, mówili do siebie per Gach i per Dzikowski.

Spotykali się, gdy zdarzył przypadek, bez hucznych umawiań, lecz gdy się już raz spotkali, dobrze im razem było.

Dzikowski miewał dla Gacha oryginalne żyłki, które najłatwiej jest spylic — Gach miewał dla Dzikowskiego jakiś egzotyczny trunek, który najprzyjemniej jest wypić — w czasie przypadkowych spotkań jeden rzadko wspominał o WOPie, drugi niechętnie mówił o Urzędzie, natomiast rozgadywali się pod kątem dziewczyn, z którą jest fest, z którą jest marnie, i czym której i w jakiej formie najłatwiej trafić do serca.

Raz np. zgadali się o pechu. Że pech dotknął młódz partyjną i brać marynarską przede wszystkim w Gdyni, gdzie nie podlegająca dyskusji woła ludu dość dawno temu zamknęła bar „San Francisco”, ostatnio zaś ścieśniła do minimum bar „Hotel Centralny”, Świętojańska, róg Starowiejskiej, dokąd z Gdańska najprzyjemniejszy był wystrzał. Konieczność ta zaistniała, ponieważ wszystkie dzi-

wy z obu barów zgłosiły się dobrowolnie na ochotnika do prac odbudowlanych, niechając poprzedniego rzemiosła.

Zgadawszy się o tym per Gach i per Dzikowski — obydwaj akceptowali konieczny stan rzeczy i zgodzili się bez dyskusji, że na Gdynię nie ma co liczyć, ponieważ te dziwy z obu barów, gdy wychodzą z odbudowy na świeże powietrze, zalatują kwaskiem, i żadna z nich teraz 20-tu złotych, ani paczki Camelów nawet nie warta...

W czasie takich przypadkowych spotkań, w chwilach dozwolonych na wyszumowanie — Gach i Dzikowski zawsze zgadzali się, że kobietom nigdy wierzyć nie wolno !...

Przy jednym takim wysoku do niepotępnego dotąd lokaliku w samym Gdańsku, Dzikowski, wypiwszy, rzekł :

— Patrząc na tę tutaj wybrakowaną kobietą nędzę, nie nadającą się do odbudowy, mimo woli przypomina się nasza Teośka, taka (pokazał jaka) dziwka ! Ale co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr, nasypali piasku ! Czy ty, Gach, czytasz coś czasami, czy tylko bradziażysz i bradziażysz ?

Gach : — Dostarczyli mnie niedawno dużą paczkę w wykwintnym opakowaniu...

Dzikowski : — Literatura partyjna jedna sprawa, a literatura, co człowiek czuje, druga sprawa. Co kto kiedy czuje, mnie niekiedy fantastycznie ciekawi.

Gach : Ja czuję szatański spust !...

Naleli i wychylili.

Dzikowski : — Byliśmy razem na wozie i pod wozem, Gach, ale nie wiem czy byłeś świadkiem, albo czy ci się obito o uszy o desce, o rękawowej kąpieli, albo na przykład o nerkach ? Albo też, powiedz mnie, Gach, byłeś kiedy nocą na służbie u gościa, co to się spodziewa kitę odwalić skoro świt ? Byłeś, Gach ?

Gach dał znać na migi, że nie był i woli nie być, sto razy woli wypić, więc wypili.

Dzikowski : — Nie ma powodów do zzymania się, bo wszystko, co powiedziałem, jest lipa. Literatura dużo gada, ale mało wie. Mam ochotę ci wyznać, Gach, że jak czytam o jakim okropieństwie rzygać mam ochotę, ale jak patrzę własnymi oczami, nie rzygam ! Jak czytam, chce mnie się płakać, jak patrzę, śmiać mnie się chce ! Literatura jest rzecz najgłupsza pod słońcem. Weź np. takiego Jurka Mazurka, musisz przyznać, że to jest spec, i co on o tym mówi...

Gach : — Co on mówi, to mówi, ale mnie tu śmierdzi...

Dzikowski : — Mnie też śmierdzi. Wnet stąd wystrzelimy, znam adres dwóch pierwszoklasnych rzep... A więc !... Jurek Mazurek też twierdzi, że na świecie panuje domniemanie, że ludzie stoją o całe niebo wyżej od pluskiew, co jak doszliśmy do przekonania, jest taka bujda, że spuszcza portki. Praktycznie biorąc, jeśli pluskwę albo człowieka rozciśniesz, jednakowy w trakcie i w skutku jest rezultat, cicho, jak makiem siał. Fałszywe mniemanie niefachowców bierze się stąd, że literatura roznosi na prawo i lewo, jakoby w trakcie rozgniataania człowieka, w przeciwieństwie do pluskwy, obowiązkowo musi powstawać wrzask. To jest łgarstwo ! Nie tylko Jurek Mazurek, ale ja ci mogę potwierdzić, że w wypadkach gniecienia, dominuje cisza i spokój, ani mru-mru ! Ma się rozumieć nie biorę pod uwagę fizjologicznych skutków gniecienia, ani też jakichś ślamazarnych słówek i gestów, ale normalnie biorąc jest jak makiem siał...

Gach : — Dajcie mnie szklanke wody, bo mnie się jakoś nudzi...

Dzikowski : — Zaraz pryśniemy stąd do takich (pokaż jakich) rzep !... Ale uważaj, Gach, co Jurek Mazurek twierdzi. Ludzie mają taką naturę, że głęboko cierpią i pyskują, jeśli chodzi o gie, np. stojąc w kolejce po chleb, ale jak przyjdzie co do czego, kiedy np. stoją w kolejce do pieca, albo jak on się do nich zbliży, robią się takie milczki, jak te pluskwy, rób z nimi co chcesz, nawet im się nie chce zipnąć. Uważaj, Gach, bo to ci się może przydać : Jurek Mazurek twierdzi, że same jego zbliżenie się na odległość dotyku powoduje, że ludzie robią się w ogromnym procencie, jak trusie i kto do tej prawdy nie doszedł, może szczeakać ile wlezie, ale w dzisiejszych postępowych czasach nie będzie rządził dłużej, niż kilka lat ! Gach, nie martw się, bo i materialistyczna teoria dziejów potwierdza, że człowiek to samo co pluskwa ! Chlust !

Gach : — Chlust ! Skol ! Wrogi ustroju, krrwa ! i różne Angliki i Amerykańce są trusie, ale my, Dzikus, jakby co do czego przyszło... won ! — my się nie zgodzimy na żadne pluskwy i nie pozwolimy, żeby makiem siał ! Dzikus, słyszałeś, czy nie ? Skoool !...

Dzikus (chluszcząc) : — Skol ! Jak uzasadniłem, nie

wierzę w co kto czuje, ale jak na twoje podgardle patrzę, mam ogromną radość, Gachowski, bo mnie staje w oczach, jak myśmy na lekcjach Kluki zakładali się, czym kto będzie... Ty się zakładałeś, że zginiesz pod następnym Lenino, a ja zakładałem się, że będę polski Miczurin! No i masz! Sprawdziło się! Ty jesteś WOP, ja UBE! Cały świat stoi otworem przed nami!... Teraz ja ciebie podmawiam do grzechu: skool! Zaraz stąd wyparujemy...

— Gachowski: — Jazda, panie gazda!...

Dzikus: — Ale przed tym jedno przyznaj: rzepy nas tutaj zawodzą i wszystko jest tutaj pod psem, ale czysta nas nie zawodzi! Za taką czystą, jak ta, z zimną łezką, raz na zawsze zostało udowodnione w Urzędzie, większość Andersiaków bardziej niż za czym innym skuczycy... Siup!...

— Gachowski: — Krrrwaa!...

Dzikus: — Im dłużej patrzę na zgromadzone w tym lokalu damskie okropieństwo, tym bardziej żal mnie się robi Teoski, która taka była (pokazał jaka) dziwka! Spotkałem ją przedwczoraj; ona chciała, ja nie chciałem, może ty chcesz, ja nawet za darmo nie chcę, bo skwaśniała. Ale co stare wspominać! Pod sześciolatkę! Pod naszą ukochaną władzę, która nas wzięła od gnoju, posłała do szkoły, zaopatrzyła w pazury i kły i świat nam otworzyła otworem! Która, Gach, nas uczy, jak się robi giganty i nas naprzód posłała do szkoły, a teraz posadziła przy obrusie, przy muzyczce, jeśli się komu nie podoba, może wrócić do gnoju, wolna droga, ale nie ma głupich! Gachowski, bracie, nie stawiaj się sztorcem o Teoskę, co ja miałem, ty też miałeś, po co się mamy kłócić, wolna droga, ale nie ma głupich! Zaraz stąd wyparujemy, ponieważ wspólnieśmy zdecydowali, że tu jest smród!

Gachowski (łupiąc kieliszkiem): — *Da przywykniesz, niczewo...*

Dzikus (likwidując rachunek): — Ty, Gach, gdy jeden, albo dwa kieliszki za dużo przewrócisz, robisz się dokuczliwy! Ja jestem z marksizmu pierwszy, z praktyki pierwszy, z historii od Mieszka do Rewolucji pierwszy, a że mnie język nie wchodzi do głowy, jakim prawem ty przypominasz?

Gachowski: — Nie ma się co pięścić, to się musi zmieścić!...

Dzikus: — Chcesz się ze mną kłócić? No to chodź!



Wstali i podążyli ku wyjściu.

Dzikus (idąc) : — Ja kuję, jak dziki osioł, ale ja mam językowy feler, jeśli coś nie jest po polsku, mnie się natchmiaszt chce powiedzieć po niemiecku. Dwoma językami jeszcze daję radę, ale trzema ani rusz! Gach? Czy brak językowych zdolności rzeczywiście może zaszkodzić i zawalić kłodę pod nogi członka z marca 49-go roku, aktywisty z ZMP i z SP?

Gach (już na świeżym powietrzu, patrząc na gruby księżyc, na komin nieodbudowanej ruiny i myśląc o tym samym, co Dzikowski \*) — Ja ci radzę.. Bierz kore... petetycje... dam ci adres!

Dzikowski (oddychając) : — Powietrze szczypie na mróz... Jeśli byś chciał iść do portu, musiałbyś iść nazad, znaczy odwrotnie, niż my zamierzamy, nie w tę stronę, gdzie idziemy — ale — tam! Nie tu, ale tam!... Popatrz no sobie, Gach w to miejsce, gdzie niebo jest pomarańczowe — które jest pomarańczowe od naszych reflektorów... Ciągnie ciębie? Nasze ukochane morze, takie wzburzone, takie wzdęte, które gdzieś dopiero na drugim końcu świata, jak sobie pomyślisz, czuje się ciepłe i zaspokojone... Ciągnie ciębie?... Nas ze straży Wybrzeża ma prawo ciągnąć nasze morze, bo to jest nasze ukochane morze, którego nie mamy teraz jak przed wojną stąd dotąd, ale sprawdź na mapie, mamy stamtąd aż potąd!... Bracie Gachowski, nie woła ciębie nasze morze?

Gach (wdychając zimne, słone powietrze, które człowiek rozbiera) : — W ten sposób, jak idziemy, nigdy nie zajdziemy do rzep!

Dzikowski (przyśpieszając kroku) : — Chytrus z ciębie, Gachowski, wiesz którądy wchodzi, a kędy wychodzi, masz rację, niech nas przewietrzy... Oprzyj się na mnie, po co się mamy taczać?!... Maszerujemy, maszerujemy, maszerujemy, Gach, do rzep, a więc zaśpiewajmy : *Tri tankisty, tri wiesiołyja družja!*... *Achtung!* Dziura! Prze-

---

\*) Na świeżym powietrzu, Gachowi i Dzikowskiemu równocześnie przyszło na myśl, że będąc w lokalu na osóbkach, musieli obowiązkowo podpaść organom lokalnym, pies im mordę lizał, ale ten o tamtym postanowił, a tamten o tym postanowił w formularzu „Mój tydzień w Służbie Polski” z nadrukiem „Partia jest duszą Narodu, co w tygodniu działałaś dla Partii” — napisać ten o tamtym, a tamten o tym, co robili w lokalu i czym się przysłużyli Partii,

skocz ! Nic się nie bój, idziemy prosto, jak strzelił do takich (pokazał jakich) rzep !...

Gach (potrzebując oparcia) : — Ale ty posłuchaj mnie i... pobieraj kore... petetycje, bo nie dojdiesz !

Dzikowski : — Ja dwoma językami mogę, ale trzema nie !... Zanim za 5 minut dojdziemy do takich (pokazał jakich) rzep, powiedz bracie, jak się miewa twoje oczko w głowie, któreśmy wszyscy podziwiali w Żołnierzu Polskim na pół stronicy z czerwonym nagłówkiem !... Te, z jakim nagłówkiem wywalili w żołnierzu fotografię twojego Władziula, Gach ?

Gach (z żalem) : Wywalili z nagłówkiem : „*To Bohater ! Ale tylko nasze czasy tworzą takich bohaterów !*” (Pochwili) — Ale prócz tego, co powiedziałem, ja ostro zwracam uwagę, że... Że ja na kpiny ze mnie o Rymie nie pozwalam i zwracam uwagę, choćby nawet najlepszy przyjaciel kpił... nie pozwalam, bo takie oczko w głowie ja mam w tyłku !... Jak ojca i matkę rodzoną kocham, mam dość, zaraz pójdę, siądę i napiszę i nawet już nie mam zamiaru iść do rzep !... Krrwaa !

— Dzikowski : — Czy ty się na mnie zawzięłeś, czy zawzięłeś się na mnie ? Zrobiłem ci kiedy jaką przykrość ? Ja tu cieszę się, że jego sierżant dzięki jego czujności poszedł w górę, a on mnie tu krrwuje ! Tego się po tobie nie spodziewałem !... Ale czekaj ! A może merytorycznie ty masz rację, ponieważ, czekaj, ktoś mnie ostatnio nieszczerze opowiadał o Rymie... Czekaj, kto to mógł być ? Już wiem, pułk. Sierpuchowski wyraził się o Rymie z przekąsem ! Co się na mnie gapisz, nie o tobie się wyraził, o Rymie, bracie, o Rymie !

Gach : — Krrwaa !

Dzikowski : — Wobec tego, co jest właściwie z tym Rymem ? powiedz mnie, Gach, jak brat bratu ! Co ? Bumelanctwo ? Wrednictwo ?... Chyba mnie nie powiesz (ciicho), że sabotaż albo (jeszcze ciszej), że szpiegostwo ?...

Kiwającego się Gacha, Dzikowski podtrzymywał jak brat brata i pod wpływem braterskiej czułości, Gach wycykał całe swoje niezadowolenie i cały żal :

— Mówią mnie co dzień : pisz ! Mówią : im więcej piszesz, tym będzie dla wszystkich lepiej ! Pisz wszystko, co wiesz ! Nawet duperele, siadaj i pisz ! Niech cię nic nie obchodzi, co piszesz, tylko pisz ! Wykorzystuj każdą wol-

ną chwilkę i bierz się do pisania! Cały świat siedzi i pi-sze!... Dobrze, ale jeśli komu, jak na ten przykład mnie, stale się zdarzały duperele i kiedy raz się trafił grubszy dynks, że ktoś miał czelność wyrazić się, że Polska jest gie i jeśli prócz tego wiadomo, że Rym jest łotr — co z tego wszystkiego wynikało? Rym po całym moim pisaniu dmie się, jak kogut!... Dzikus, przyjacielu z czasów psów hitlerowskich, do czego wy mnie doprowadzacie? Do tego mnie doprowadzacie, że ja się zniechęcam do pisania i ja ciebie ostrzegam, że może przyjść moment, że ja się zatnę i jednego słowa więcej, krrwaa, że mnie nie wydebcicie! Może nawet nie czytacie! Nie wstyd wam?

Brał w Gdańsku lekki mróz; poczęły się barwniej szklić zrujnowane i odbudowane domostwa w zasięgu księżyca, posiniałego od biorącego mrozu...

Dzikowski : — Gadaj, Gach!

Gach : — Gadaj, gadaj, gadaj, co ja mam więcej gadać, co komu z tego gadania, jeśli Rym przed moim woj-skiem chodzi jak kogut i ma mnie gdzieś!

Dzikowski (szepem) : — Powiedz mnie po bratersku, może on pod KO<sub>4</sub> sam po cichu przystawił drabinę?

Gach (ściskając Dzikowskiego) : — Z ust mnie wy-jąłeś!... Widziałeś?

Dzikowski (wznawiając marsz) : — Albo ja pytam, a ty odpowiadasz, albo ty pytasz, a ja nie mam obowiązku!

Gach (dotrzymując kroku) : — Tak? Jeśli pułk. Sierpu-chowski podpieprza mnie za każdym widzeniem, to ja, we-dług ciebie, nie mam prawa się spytać, dlaczego mnie pieprzy, a nie Ryma? Ja chodzę na Ziemowita, ja sio-strom posyłam wały, ja zagranicznych marynarzy zaczy-piam, ja z nimi gram w ping-ponga, ja z nimi mieniam się na marki, ja brykom mówię Oleś? I ja nie mam pra-wa się spytać : ja czy Rym?

Dzikowski (zwalniając kroku) : — Coś nowego, powia-dasz, że Rym z zagranicznymi marynarzami gra w ping-ponga i markami handluje?

Gach (patrząc, czy czego nie widać) : — Handluje i tar-guje się z nimi, jak ksiądz, a na Finie obraził się na bosma-na i pełną kopertę polskich znaczków pocztowych w twarz mu cisnął, wymiany nie biorąc! Popatrz, Dzikus, jakiego ja choleryka muszę cierpieć w plutonie! Ale te — dokąd my tak wędrujemy i wędrujemy?

Dzikus : — Za róg !... A zatem Rym markami handluje... Ciekawa rzecz... I do tego, powiadasz, kopertami ciska... Ciekawa rzecz... Gach, nie zauważyłeś, czy marki były oddarte od listów, czy prosto z poczty w arkuszach — i nie zauważyłeś, czy na kopercie było cokolwiek napisane, lub też czy oprócz marek było coś więcej w środku ? Gasiu, porusz mózgiem, nam obu może się przydać taka wiadomość z czasem...

Gasio (szukając rogu) : — Jak dojdę, poruszę mózgiem, ale głupich pytań nie lubię, co już raz powiedziałem twe-mu ukochanemu Bijasowi, gdy mnie zamęczał, z iletniego drzewostanu i z jakiej ilości gwoździ była zbita drabina ! Jamniki, krrwaa ! Zniechęćcie mnie do pisania, cała wasza zasługa ! Chleb Polski Ludowej darmo zrecie, a jeśli mnie nie wierzycie, spytajcie się Kazia Pieniążka, który lada dzień tutaj zleci, żeby on wam opowiedział wszystko o Rymie, co wie. Jeśli i jemu nie wierzycie, może mi przynajmniej odpowiesz, gdzie jest nareszcie twój róg ?

Na samym rogu Dzikowski zdenerwowanego przyjaciele udobruchał, mówiąc : — patrz !

Po wpatrzeniu się, ujrzeli blade światełko na półpięterku, schodki prowadzące ślimakiem wzwyż — a jak wpatrzyli się lepiej, ujrzeli na półpiętrze owalne drzwiczki wpięte w niezburzony łuk, a nad drzwiczkami dzwonek w kształcie rybki.

Dzikowski : — To tu ! Ale kiedy po dłuższej chwili stamtąd wreszcie bez pośpiechu wyjdziemy zadowoleni — nie damy za wygraną, tylko pójdziemy do Gryfów Kaszubskich i tam spokojnie odsapniemy, odkorkujemy Marumby i chlapniemy sobie po brazylijsku. A jak sobie chlapniemy, wówczas we dwóch rymowego syna tak obrobimy, że w naszych rękach będzie on chodził, jak żywy... Zatem na schodki marsz, marsz Dąbrowski, *tri tankisty, tri wiesiołyje druzja!*...

Gach : — Jakież tri ? Dwa ! Raz-dwa !

Mróz brat, poręcz ślimaka szczypała w palce, i nareszcie kpt. Dzikowski i por. Gach, pociągnawszy za dzwonek, dobrnęli do takich (ot jakich !) rzep !

Gdy dobrnęli, nie mogli widzieć, bo nie było sposobu, że z przeciwnego rogu, z podstawy chodnika — wpijały się w nich zielone, kocie ślepiea...



## X.

Granice, kordony, pasy bezpieczeństwa, przepustki, wi-  
zy, reflektory, kociołki, czujki — są dla ludzi, nie dla ko-  
tów; człowiek się nie przeszwarcuje, ale kot przejdzie...  
Toteż koty chodzą, jak chodziły...

Nieprawdą jest, że gruba kotka, urodzona w Polsce  
w czasie wojny, tylko w miesiącu marcu lubi pryskać! na-  
tomiasz prawdą jest, że koty tak samo pryskają w grudniu,  
jak i w marcu!

...Pierwsza czujka, druga czujka i rezerwa na Ziemowita  
nawet się nie fatygowały zanotować — że kiedy noc  
zapadła, mróz wziął i księżyc wypłynął — przez dziurę  
w ogrodzeniu wylazła na wolny świat kotka Ziemowito-  
wa...

Wylazła i przysiadła; zamiatała ogonem nie z obawy,  
lecz z namysłu, jak czas zabić... Świat był szeroki, lotne  
zaproszenia szły ze wszystkich stron, w takich okoliczno-  
ściach każde boże stworzenie ma prawo ogonem kręcić...

W nocnej porze chody i podchody kotów są zawile —  
ale niczym jest ta zawiałość wobec problemu, o co kotom  
chodzi?... Idąc kocim tropem, człowiek myśli, że kot kom-  
binuje tak jak człowiek — w czym ma się rozumieć bar-  
dziej błdzi, niż wszystkie razem wzięte w Gdańsku ko-  
ciska...

Bura Ziemowitowa, odśledziawszy co jej, ruszyła  
w świat z brzuszkiem przypadłym do ziemowiska; niską  
postawę taką mogły tłumaczyć ludzkie czujki, jak i ewen-  
tualna w tym rejonie obecność wrogo usposobionego pies-  
ka...

Tuż za kociołkiem kończyła się nasza ukochana ulica,  
zasłonięta gałęziami suchych drzew, przez które księżyc  
wpływał ale nie dopływał — i na dnie ziemowiska więcej  
było wężowin, fałszywych korzeni i czarnych żył, niż tego  
księżycowego światła... Bura obywatelka tak mądrze peł-  
zła, że była jak jeden wąż więcej na łachach oświetleniska...

Dopiero za kociołkiem można brać w rachubę prawdzi-  
wy Gdańsk. Po ludzku biorąc — zaraz po wyjściu — o li-  
czenie prosiły się przede wszystkim baszty, czyli wieże  
z wypalonymi oczodołami, jakoteż samotnie sterczące mu-  
ry placzu i wraże uroczyska na których każdy widzi co

chce — prócz tego piramidy egipskie ze zwietrzałych kamieni, jakoteż pojedyncze pagórki wzdęte z miążkiego gruzu — i ma się rozumieć prosiły się o liczenie rozsypane po tym i po owym kulki księżycowego srebra !... Wyliczając po ludzku prawdziwy Gdańsk gdy mróz wziął — nie wolno też pominąć czworoboków żywych cegieł i kominów z których świeży dym szedł — a także samo nie wolno i nawet nie ładnie liczyć samych tylko księżycowych blasków, a nie widzieć i nie liczyć ludzką ręką zapalonych latarni; o których można powiedzieć, że jeśli księżyc oświecał ogólnie, one wyjaśniały detale...

...W nocy natura ciągnie wilka do lasu, człowieka do odbudowanych domów, kota do ruin...

...Ziemowitowa czterema łapami nie w odbudowane skacze, ale w czarne...

...Noc wstyd kryje, mróz rdzeń szczypie, a księżyc słodkie oblizuje...

...Wiatr w górę ciągnie, w dół pcha, w bok dmie, w kółko kręci i w miejscu za ogon przytrzymuje...

Wewnątrz ruin (już nie po ludzku, lecz po kociemu sądząc) o branie w rachubę proszą się przede wszystkim zwęglone krokwie, z których dla czułych węchów swąd jeszcze nie wygasł — także samo rozbite cegły, formujące wąwozy, ganki, tunele i ścieżki wiodące w górę do przepięknych widoków, albo w dół, do ślepych piwnic, nabitych skondensowanym powietrzem... W takiej, byle jakiej piwnicy, starczy pazurem drapnąć — wydobywają się na wierzch drobiażdżki przesiąknięte obecnością ongiś żyjących ludzi, a także samo niezmiernie ciekawe kości, z którymi, jeśli czas i ochota, można igrać do woli... Ale — że na świecie los nie zawsze kotom sprzyja — trafiają się w ślepych piwnicach szcurze gniazda, prowokujące mordercze instynkty, także samo trafiają się namacalne dowody, iż w kursie ostatnich lat wiele kocich pokoleń potrafiło się tu rozmnożyć...

Ale (wciąż po kociemu sądząc) prawdziwy urok ruin polega na tym, że jest w nich tysiąc takich piwnic a nie jedna oklepana piwnica — że dróg, kanałów, ganków, rur przelotowych, pajęczyn i emocji jest tyle, że byle kot, chodzący własnymi drogami, całe życie może chodzić i mimo to nieodkryte ruiny pozostawić w spuściznie dzieciom swoim...

...Po cięciwie łuku Ziemowitowa księżycowe mielizny przebiega, co się mignie, już jej nie ma! ludzkie domostwa i kwadraty nowych cegieł łukiem omija, co się mignie, już jej nie ma! Przed nią, za nią, niżej, wyżej biegnie kot, z tyłu kot, pod nią kot, nad nią szary, rudy, tygrysi i Baby Jagi kot i kot!

Koty chodzą, jak chcą... A że mróz wziął, wiatr w popiół dmuchał i pora była — obywatelka Ziemowitowa pryskała, a za nią gdańskie koty...

Kocia ucieczka nie polega na szybkości, lecz na kluczeniu w terenie, na przyklejaniu się do zakopconych wnęk, na zamiataniu ogonem własnych śladów i na myleniu pogoni...

...Ziemowitowa lgnęła, zamiatąca, pryskała i wyłaziła z ruin na asfalt pod gdańskie latarnie, i tam miauczała na umór... A gdy z przodu, z boku, z tyłu, niestrudzeni gdańszczanie coraz bliżej odmrukiwali — Ziemowitowa dawała skok w kierunku pierwszego odbudowanego domu, jakby to był jej rodzony dom i śpieszno jej było do ludzi... Ale tam nie szła, pryskała z powrotem w ruiny, a najwytrwalsi gdańszczanie za nią...

Aż na kocich drogach stanęła w poprzek ruina czworograniasta, największa z największych, ciekawsza od najciekawszych i, żeby nie skłamać — podwójna : spalenizną pachnąca i żywica... I żeby nie skłamać : w nawie głównej hebanowym krzyżem, krzyż na krzyż, przecięta... Prawdę mówiąc : która zaczęła rosnąć wczas-wczas, dorosła wtenczas-wtenczas, a zgorzała od granatów w obowiązującym nas wszystkich wieku tym...

Po ludzku biorąc — ruina owa, zębówiskiem murów na niebie uwidoczniła, z przestrzelinami w ścianach i na stropie, z gotyckimi oknami, z których omawianego czasu podmuchem zostały wyjęte witraże — ruina owa, inwalida wojenny, miała na sobie białe zębra rusztowań, tudzież u podnóża przygotowane różowe cegły.

Wewnątrz, jeśli kto chce policzyć, było 28 krzywych filarów, splekanych i zagrażających, ale podtrzymywanych przez drągi, więc nie budzących obawy...

Jak raz tam (ludzkie widzimisia zostawiając na boku) Ziemowitowa wpadła, zasmakowała, a za nią pod sznur gdańskie koty!... Zawinęła się wokół filarów, wskoczyła na ostrołuk, z ostrołuka na częstokół, zasmakowała, wy-

prysnęła po belkach na czymś, zasmakowała, zeskoczyła, zainteresowała się wyrwą w marmurze, zeskoczyła, obleciała po ciemku biskupów gdańskich i prześwietnych rajców Szumanów, zasmakowała — prysła z podziemi do presbiterium, z presbiterium na listwę, z listwy na szczebel, po szczeblach w pozbawiony witraża oczodół... A koty za nią !...

...Urodzonej w czasie wojny grubej Ziemowitowej nie brakło panińskiej zwinności, gdy szła i szła po rusztowaniu na wieżę, ustawioną pionowo do nieboskłonu...

Wracając do ludzi... Jeśli kto kocha w nocy podniebne widoki, może je łatwo mieć, pojechawszy do Gdańska... Koty widzą co chcą, ale dla naszych oczu otwiera się przepiękny widok z rusztowania na Oliwę, na ukochane nasze morze Bałtyckie, na rumowiska i na drzewostan, tym piękniejszy, im bardziej mróz bierze, księżyc żółci, wiatr w górę ciągnie, w dół pcha, w bok dmie, w kółko kręci i w miejscu przytrzymuje...

Ale co o nas wspominać, jeśli nas nie ma i jeśli Ziemowitowa pierwsza dobrnęła do szczytowej żerdzi i wychyliła się... Ponoć koty nie znają zawrotu głowy, gdy patrzą z wysokości na nisko położoną gdańszczyznę, na taką i siaką ojczyznę, która nas by zaraz ciągnęła głową w dół... Ale co nam do kotów, a kotom do nas, jeśli koty nie kombinują, tak jak my?... Szerść zadowolonej Ziemowitowej puszyła się, gdy duchy, chuchy i podmuchy głaskały ją, a ona tam na przęśle przeciągała się, wychylała się i mruzczała, ciesząc się...

Morze jest morzem, Gdańsk jest Gdańskiem, ale najciekawsze, który z gdańszczan pierwszy z rusztowania do Ziemowitowej pryska ? !

Drapał się pierwszy, jęcząc i furcząc, wielbny czarny kot od Baby Jagi, i on też słusznie pierwszy na wieży po ludzku zawrzęszczał...

...Noc wstyd kryła, mróz rdzeń drapał, księżyc najśłodsze obliżywał...

I — w czworgu zielonych źrenic odbiły się obie półkule i niedościgłe przez naszą pogoń ziemowitowe szczęście...



## XI.

KO4, bezstronnie biorąc, otrzymało dwa zastrzyki, po których, przy dobrych chęciach, dawała się zebrać logiczna całość, gwoli udobruchania naciskającej Góry...

Pierwszy zastrzyk zasunął szczęściarz Dzikowski, który z rozkazu nacz. Bijasa poszedł na podrywkę do sióstr; drugi, na życzenie nacz. Bijasa, wlepiła nowoczesna Technika pod czujnym okiem tow. Fiodorowicza...

Referat kpt. Dzikowskiego, dotyczący pierwszego zastrzyku, zawierał następującą treść :

*Miejsce, data, etc... Zgodnie z otrzymanym pouczeniem, udałem się na ul. Ziemowita Nr 13 w charakterze delegata Wodociągów i Kanalizacji. Zanim się jeszcze udałem, byłem poinformowany przez nasze czujki, że obydwie siostry znajdują się na miejscu, co się okazało ściśle, ponieważ jedna siostra była w kuchni, drugą w grubej żalobie zastałem przy naklejaniu motyli. Po zapukaniu i spytaniu się czy można, zadałem pytanie, kto zarządza domem? Na to otrzymałem odpowiedź, że obydwie. Wobec tego ja wyjaśniłem, że niecierpiący zwłoki interes zmusza mnie je poprosić, aby się zechciały zebrać do kupy. Na to moje życzenie, druga siostra Lucja Duszna (pierwsza była Anna Aninowska) wyszła z kuchni i spytała się, czego ja sobie życzę. Na to ja obydwóm siostróm zreferowałem, że jestem delegatem Służby Zdrowia, która w skróconym czasie zamierza nie tylko u nich, ale na całej ulicy wymienić przestarzałą kanalizację na ostatni wyraz i że ja zbieram dane. Od pierwszej chwili doznałem wrażenia, że obydwie siostry czuły się spłoszone, jakby przewąchały o kociółku. Na dowód powyższego przytaczam dosłowne powiedzenie Aninowskiej, skierowane pod moim adresem : „Czego wy nas męczycie?” I natychmiastowe wtrącenie się Dusznej : „Spokojnie, Aninko, czy nie widzisz, że pan ma prawo? — Ja się na to roześmiałem i powiedziałem, że Służba Zdrowia ode mnie wymaga, ponieważ stara, przedwojenna kanalizacja wciąż się zatyka, ale że wkrótce będzie lepiej. Anna Aninowska, wydało się mnie, mnie uwierzyła, ponieważ wyraźnie uspokoiła się i powiedziała*

do mnie : „Panie Inspektorze !” Ale Łucja Duszna nie uwierzyła, gdyż zauważyłem, że ją w bok szturchnęła. Gdy się to działo, mnie interesowały leżące na stronie motyle pochodzenia bezspornie zagranicznego, ale w to nie wchodziłem, nie chcąc się rozdrabniać. Ja jedną i drugą siostrę zacząłem czarować, co mnie się dość udało, ponieważ gdy zacytowałem dowcip o Bęc-Walskim, Duszna śmiała się, ale Aninowska nie śmiała się, bo zdaje się nie do słyszała. Ale gdy zaraz po tym powiedziałem z uśmiechem, że u nich panuje prawdziwa atmosfera domowa, Aninowska się ocknęła i spytała się mnie, czy może ja jestem głodny? Na to ja odpowiedziałem, że serdecznie dziękuję. Na to Duszna (która moim zdaniem jest osiłą) rzekła do mnie : „A zatem przystąpmy do rzeczy !” Wobec tego ja jak najnaturalniej poprosiłem o drabinę, celem zbadania przedpotopowej kanalizacji. Tu opiszę słowo po słowie, co się stało. Jak tylko zawzmiankowałem o drabinie, Aninowska, będąca w pozycji stojącej, usiadła. Duszna odwróciła się do okna i poprawiła włosy. Jednocześnie Aninowska wzięła do ręki jednego motyla i z wyraźnym pomieszczeniem zaczęła w niego chuchać. Jednocześnie Duszna, tyłem do mnie, odezwała się cierpko : „Po co do badania kanalizacji jest panu potrzebna drabina ?” Na to ja z punktu odpartem, że w starych domach zbiorniki bywają na górze. Zaskoczona tym Aninowska rzekła, nie myśląc : „U nas nie ma drabiny”. Na to ja : „Taki dom, taki śliczny ogród i żeby nie było drabiny ?” Na to Aninowska : „Była, ale nam w nocy ukradli”. Natychmiast wtrąciła się Duszna : „Nie denerwuj się, Anisiu, widzisz, że panu o nasze dobro chodzi”. Na to ja : „Co za pech, że ukradli, czy obywatelki dają znać do milicji, bo ja tam posiadam kilku przyjaciół, którzy wnet przyskrzynią złodzieja ?” Odezwała się Duszna : „Nie chcemy nikogo fatygować, obstalowałyśmy nową drabinę, tamta była zmurszała”. Ja rzekłem : „Patrzcie, teraz już nawet stare drabiny kradną, ciekawe kto na taki grat dał się nabrać ?” Aninowska powiedziała : „Teraz wszystko kradną !” Duszna jej przerwała : „Anisiu !” Ja zabrałem głos : „No, no, ale kto to mógł być ?” Aninowska powiedziała z dużym przejęciem : „Teraz nie ma nic świętego i nie wolno z niczego oka spuszczać !” Duszna rzekła : „Ja ciebie proszę, ty nawet nie wiesz, co ty mówisz, Anisiu !” Ja spytałem : „Czy obywatelki nie żywią

podejrzenia w jakimś konkretnym kierunku? Duszna przygryzła wargi i odrzekła mnie : „Przykro nam bardzo, ale wobec braku drabiny, możemy tylko służyć stołkiem”. Ja świdrowałem dalej : „Mnie wyczyny złodziejskie doprowadzają do pasji, ja na miejscu obywaterek nigdy bym złodziejowi nie darował, dzięki komu, według zdania obywaterek, mogła się zapodziać drabina?”

Co teraz napiszę, grubo podkreślam, bo moim zdaniem rzuca światło : Aninowska się odezwała : „Korzystając ze śnieżnej zamieci, przyszli i wzięli!” Ja szybko spytałem : „Kto?” Natychmiast przerwała Duszna : „Ja cię bardzo proszę, idź i napisz list do Haneczki!” Aninowska jej odpowiedziała : „Miałaś rację, trzeba się było spodziewać, ciężko bo ciężko, ale napiszę list do Haneczki!” A wychodząc Aninowska rzekła mnie : „Życzę panu wesołych świąt i powodzenia w kanalizacji”.

Postarałem się każde słowo skopiować z pamięci, ponieważ na ich podstawie nasunęły mnie się następujące wnioski : 1) Lucja Duszna jest osiłą ; 2) Aninowska jest dowolnym narzędziem ; 3) obydwie nie mają czystego sumienia ; 4) przynajmniej jedna, najprawdopodobniej Duszna, wie kto ; 5) drabiny nikt od nich nie ukradł, tylko wziął ; 6) siostry ukrywają u siebie niejaką Ziemowitową, ponieważ jeszcze przed całą dyskusją usłyszałem, jak Duszna spytała się z kuchni Aninowskiej, czy Ziemowitowa już jadła? 7) o winie obydwóch siostr świadczy tak samo, że zdecydowały się na szukanie protekcji.

Doszedłszy na miejscu do wyszczególnionych punktów, nie miałem co tam dłużej robić, tym bardziej, że Aninowska, jak zaznaczyłem, odeszła, Duszna zaś od tej chwili jakby zaniemówiła. Dla zachowania pozorów, wszedłem na ofiarowany mnie stołek, postukałem w rezerwuar i powiedziałem do Dusznej, że wkrótce się zmieni. Tuż przed wyjściem, poprosiłem, śmiejąc się, o kwiatek dla narzeczonej i otrzymawszy hijacent, wyszedłem.

Z tego wszystkiego mam trzy wyrobione opinie : 1) żeby naprzód brać Aninowską, a później Duszną, bo Aninowska jest miększa ; 2) list warto przychwycić, żeby wiedzieć, jaki nagły interes zaistniał do Haneczki ; 3) sprawdzić dzięki czemu żadna czujka nam nie dała znać, skąd się wzięła wykryta przeze mnie Ziemowitowa.

1507/UBD. „Staś”.

Ten referat Dzikowskiego — nacz. Bijas długo i niechętnie ważył w rękę, zanim go wsunął do aktów KO4.

Niechęć do raportu Dzikowskiego trwała krótko, do następnego dnia, znaczy do pierwszych rezultatów szpili, jaką wbił sioström uproszony tow. Fiodorowicz przy pomocy Techniki, wobec której Dzikowski niech się schowa!

Druga szpila została wbita w następujący sposób: T. Zając raz nie nawalił i wywabił siostry artystycznie, w porozumieniu z Urzędem Skarbowym, który obydwóm sioström wyznaczył jeden i ten sam dzień i tę samą godzinę celem złożenia deklaracji w sprawie zaległości podatkowych od szycia, od kwiatów i od motyli. Gdy obie siostry w przewidzianym czasie ma się rozumieć z domu się wyniosły, zapuszczając za sobą zatrask — naukowy aktyw tow. Fiodorowicza był w pogotowiu i zaraz przystąpił do akcji; jak o tym później pisał T. Zając, serce rosnęło na widok aktywnej sprawności...

...przez bramkę i przez drzwi frontowe, zamknięte na zatrask, aktyw przeniknął, jakby zamki były nie z żelaza, ale z masła... Nie zostawiając za sobą śladów, znalazł się we wnętrzu i błyskawicznie zorientował się w sytuacji... Rozglądając się między maszyną do szycia a obrazkami z motyli, aktyw jednocześnie odsuwał na bok wypłowiałą otomanę... Dostrzegł to, czego oko ludzkie nie mogło widzieć: lufcik w ścianie, przykryty dziurkowaną płytką!...

Płytką została raz dwa wyjęta. Kwadratowy otwór podrajbowany. W otwór wsunięto samograj. Płytką została napowrót dopasowana, a rozrajbowanie ściśle pod kolor ściany zaglansowane. W lufciku pozostał mały ryjek.

Jeśliby kto powiedział, że cała fatyga kosztowała 15 minut, to by skłamał, ponieważ fatyga kosztowała niecałe 12 minut, wliczając w to funkcje uboczne: drut od ryjka w tym czasie został doprowadzony popod ścianą do okna tak fachowo, że pierwszy lepszy mógł się na niego gapić i prędzej nos swój zobaczyć, niż doprowadzony drut; wliczał się również wyczyn aktywisty w ogrodzie, który od pierwszej minuty akcji, nie czekając na przyjęcie drutu, własny drut pociągnął przez klomby, podeptując i przysypując ziemią, aż do słupa gdańskiej sieci telefonicznej; tam ów aktywista przypiął ostrogi, wlaź na słup i cienki drut przyłączył do grubszego drutu; od tej chwili niektóre



telefony w Gdańsku przestały funkcjonować na okres czasu...

W końcowym etapie — drut z ogrodu został przyjętyczony do drutu z domu — i wewnątrz domu przodownik brygady wetknął w kontakt pod ryjkiem aparat kontrolny. Sprawdził połączenie i rzekł do ryjka : Czy słyszycie ?

Na to odezwał się kryształowy głos nacz. Bijasa : — Nareszcie was słyszę świetnie, jakbyście byli w pokoju...

W rekordowym czasie aktyw dosunął otomanę i zatarł za sobą drobne ślady.

Ale (że nie ma róży bez kolców) owa robota ff była sabotowana wewnątrz od strony kuchni przez jakąś przegrzaną kocicę, która tam miauczała i miauczała, jakby ją łupiono ze skóry ! I — (co na szczęście nikomu nie spadło) — obecnemu z ramienia Urzędu Zającowi coś pokręciło się w głowie, ponieważ w momencie, w którym Bijas mówił z kontrolki, on świsnął ze stołu jedno skrzydło motyla. Po jaką cholerę to zrobił i czego tym skradzionym skrzydełkiem chciał w życiu dokazać — nikt nigdy Zająca nie pytał, co i lepiej się stało... Ale w sumie poszło, jak po maśle; *suma sumarum* trzynastka na Ziemowita została zreferowana, jak z płatka...

Drugi koniec aktywu tkwił w Urzędzie, gdzie Technika tow. Fiodorowicza zainstalowała ostatniego krzyku automat, taki, że dzięki niemu nikt nie potrzebował sterować z ołówkiem i czekać na ludzkie głosy, ponieważ automat na byle szelest sam się włączał i na szpulach czynowej produkcji sam automatycznie i najwierniej protokółował...

W przewidzianej na takie niecodzienne wypadki komnatce, sam nacz. Bijas z czujnością, oraz z palącej go ciekawości kazał nagrane szpule odłączyć i przez trzeci, też przez Technikę dostarczony aparat, natychmiast przepuścić...

Na przepuszczaniu pierwszych nagranych szpilek byli obecni, prócz nacz. Bijasa i ma się rozumieć tow. Hurewicz, nie licząc elektrycisty — dwaj niewierni Tomasz : S. Dzikowski i spec od ręcznego protokółowania T. Zając.

Pierwsze i drugie nagranie wypadło nieszczególnie, ale winy nie było, ponieważ automat musiał się włączać nie to co by się chciało, lecz na to co dochodziło — a że przez dwie godziny w trzynastce na Ziemowita zostawiona samopas kocica miauczała do samograju, winien był tylko Za-

jąc, który bez docenienia Techniki na zbyt długo siostry z domu wywabił...

Wysłuchując pierwszych dwóch szpul — nacz. Bijas nie znajdował w sobie dość energii, żeby po Dzikowskim i po Zającu przejechać się, jak należy, co usta po temu otworzył, szpulka meldowała „miau-miau!”, przy czym Dzikowski ironicznie obgryzał paznokcie, a Zając z zawodowej zazdrości po prostu w kułak śmiał i śmiał się!... Chociaż się dopraszali i aż się sami prosili, przy miauczeniu kota, ruganie nie mogłoby wypaść dość serio...

Trzecia szpula była lepsza i obaj Tomaszę uspokoił się; jeden zostawił w spokoju paznokcie, drugiemu odechciało śmiać się...

Na trzeciej szpulce automat włączył się na moment wejścia dwóch sióstr. Ciekawe były słyszeć, jak się otwierał zatrzask, jak drzwi skrzypiały i jak się rozlegały kroki. Pierwszy zrozumiął głos, jaki z samograju wypadł, brzmiał: *szsz-sz-sz-sz-sz-sz kotleciki i buraczki...*

Dzikowski wrzasnął: Aninowska gada!

Po pierwszych zrozumiętych słowach zaistniała dłuższa przerwa, dochodziły szmery, ktoś na Ziemowita musiał w coś stukać, coś dzwigać, coś prznosić z miejsca na miejsce, ponieważ automat przez długi czas nic nie mówił, tylko szeleścił i szeleścił...

Ale cudów na świecie nie ma, jak są kobiety, muszą być głosy; szpulka nagle przemówiła po żeńsku:

— *Co mnie wszystko obchodzi, wszystko mam tam, gdzie król piechotę chodzi...*

— Duszna! — wrzasnął mądrała Dzikowski.

— Ciiiicho! — pouczył Dzikowskiego nacz. Bijas.

Głos: — *Pesymizm nie jest lekarstwem na ból...*

— Aninowska! — objaśnił pod nosem Dzikowski.

Znowu szeleściło przez dłuższą chwilę, a potem głos: — *Dziękuję, nie mam ochoty. Co więcej jest dla niej?*

Głos: — *Resztki z obiadu...*

Głos: — *Prawdziwa kłeska jest z mlekiem, bo ona nie może bez mleka...*

Za każdym razem, gdy głos się zmieniał, Dzikowski pomrukiwał: — Aninowska... Duszna... Aninowska!... — Ciiiicho! — warknął jeszcze raz nacz. Bijas. Na Ziemowita widać wypuszczono z kuchni kocicę, bo z samograju, wystrzeliło, jak z pistoletu: *Miauuu!*

Głos : — *Wszystko im daruję, ale że Pikutka nam wystra...*

— Duszna ! — wrzasnął w gorącej wodzie kąpany Dzikowski, aż nacz. Bijas musiał się wziąć za niego i z tego powodu głos Łucji Dusznej przepadł w nadmiernym hałasie, trzeba było cofnąć szpulę i od początku przesłuchać.

Elektrycista cofnął szpulę za dużo o kilka zwoi, ponieważ zaczęło się znowu od : *Miauuu !*

Głos : *Wszystko im daruję, ale że Pikutka nam wystraszyli, tego im nawet Haneczka nie daruje !... Jeśli Haneczka nie pomoże, ty i Ziemowitowa (— Ziemowitowa ! — mruknął niepoprawny Dzikowski, notując ostentacyjnie na kartce) będziecie musiały obywać się bez mleka...*

Przez jakiś czas zabrakło kobiecych głosów, szpulka nadawała nieartykułowane dźwięki, coś tam znowu musiało tyrać na Ziemowita, słyszało się kroki, trzaski i nic więcej.

Głos : — *Co będziesz szyła ? Turkusową ?*

Głos : — *Turkusową. Jednej Rybienkowej jakoś dotąd nie wystraszyli i jutro kałmuczka po nią przyjdzie...*

W zacisznej Urzędowej komnatce ołówek w rękę Zająca drgnął i zawahał się przy odbieraniu ze szpulki na papier; Bijas podbił lok, zaś tow. Hurewicza w krześle połowę ubył. Dzikowski ostentacyjnie Rybienkowej na kartce nie zanotował.

Głos : — *Aniu, nie psuj oczu, przysuń się bliżej do światła... Na ile ci jeszcze starczy ?*

Głos : — *Na jakieś 10 mniejszych i na 2 lub 3 większe. Ale nie martwię się, bo jeśli Rym przyrzekł, zawsze dotrzyma. Rym jest przekonany, że Dzierżyński przywiezie z Brazylii większy zapas. Może też przywiezie choć kilka purpurowych...*

Młody Dzikowski, nie śmiał się odezwać, z cicha zagwizdał.

Znowu narobiło się szumu na szpulce, nic się nie odzywało, coś się szykowało i gotowało.

Cichy głos : — *A może z motylami przyjdzie razem jakaś wiadomość ?*

Ponieważ głos był nie tylko cichy, ale i bezbarwny, Zając stracił orientację do kogo należy i zapytał spojrzeniem Dzikowskiego czyj jest ? Grube szyszki też straciły

orientację, więc Dzikowski z wielką pewnością siebie rzekł : — Duszna !

Głos A. : — *Lusienko, nie myśl o tym !*

Głos D. : — *Dziękuję za dobrą radę ! Stale mnie radzisz, żebym nie myślała, ale jak ja ciebie proszę nie płacz ! ty zaraz zaczynasz Miecio to a Miecio tamto i czy dobrze zrobiłaś, a czy miałaś prawo, chociaż nie tylko ja, ale wszyscy ci sto razy mówili, że spełniłaś najcięższy jaki może być obowiązek i że jesteś bohaterka ! Bądź choć trochę sprawiedliwa, Anisiu !*

Przez jakiś czas szpulka znowu odkręcała się bez głosów z szelestem raz się wzmagającym, raz opadającym, w czasie którego nikt ze słuchaczy się nie wysiłał, żeby te szelesty odcyfrowywać, tylko protokółant Zajac wpadł na myśl i ośmielił się wyjaśnić szeptem : — *Wzdychają !...*

Na te szpulkowe wzdychania i na te zajacowe wtrącenie się nacz. Bijas podbił lok (opadł lok), a tow. Huřewicz całą łapę włożył w gębę w poszukiwaniu rozpiłowanego zęba.

Głos A. : — *Mam do ciebie wielką prośbę, Lusi. Nie mów bohaterka. W tamtą noc, kiedy klęczałam, mnie samej przychodziło na myśl bohaterstwo, ale dzisiaj i ty często mówisz, po co było to wszystko ? Moja Hanuś wierzy, że dla teraźniejszości. Jak ja jej mam powiedzieć, że ja dzisiaj sama nie wiem dlaczego postąpiłam, albo że się omyliłam, albo że na próżno... Nie mogę jej tego powiedzieć ! Nie mogę, nie mogę ! Aj Bożeż Ty mój !...*

Głos D. : — *Ja mam nie myśleć, a ty płaczesz !... Dobra jesteś !...*

Ten sam głos po dłuższej chwili : — *Jeśli my się nie boimy, czemu on się boi, że do nas nie pisze ? Tyle lat, tyle lat, może zapomniał ?*

Głos A. (po chwili) : — *Mówiłam ci tysiąc razy, że on nie taki, żeby zapomniał. Weź tylko, Lusi, na rozum i przypomnij sobie, co ci mówił twój od Marii Panny Lubański, kiedy ci przywiózł pieska, że on tam walczy ! Jak chcesz, żeby walczyć, on się nie liczył z sytuacją ? On z całą pewnością musi się liczyć i dlatego do ciebie nie pisze. Nie wolno mu !*

W tym miejscu szczeniak Dzikowski nie zdierzył i wtrącił się gwałtem : — *Jak pragnę zdrowia, to jest ten Wupe z Punta Chata ! Marmurowy grobowiec dla Lubań-*



skiego ! Kto jak kto, ale Lubański nam się teraz nie wypnie !

Nacz. Bijas przerywania i przerywania miał ostatecznie dość, zerwał się, oczy rozstawił na boki i rypnął w środek : — Łwaspies !

Dzikowski, młodym będąc i kochając sztukę dla sztuki, słusznie takie potraktowanie wziął na serio i sposepniał, przy tym tow. Hurewicz w ząb klaskał z dwuznacznym przekąsem.

W zacisznej komnatce panował przez pewien czas rwetes, co odciągnęło uwagę od szpulki, która w aparacie kręciła się i odkręcała normalnie. Po przyjeździe do ładu, towarzystwo zaczęło znowu słuchać :

Głos ze środka szpulki : *...co ja mam dłużej żyć, nie gniewaj się...*

Nacz Bijas dał znak na wróc ! elektrycista zatrzymał, cofnął i zaczął powtórnie przepuszczać.

Głos A. : — *...on tam walczy ! Jak chcesz, żeby walcząc, on się nie liczył z sytuacją ? On z całą pewnością musi się liczyć i dlatego do ciebie nie pisze. Nie wolno mu !*

Głos D. : — *Anisiu złota, może masz świętą rację, co powiedziałaś, ale ja już mam siwe włosy na skroniach i każdego dnia jest ich więcej i więcej i nawet może lepiej, żeby mnie nigdy w życiu nie zobaczył. Niech mnie zawsze pamięta młoda. Ja się wcale nie roztkliwiam, bo tak czy inaczej musi przyjść krzyżyk... Ja ani na chwilę nie wierzę, co mówił Pieniążek, że on się tam w Ameryce ożenił, bo Lubański dał słowo honoru, że to nieprawda... Czy to zresztą jest ważne?... Ja o jedno Boga proszę, żeby mu było jak najlepiej... Co ja?... Ty masz Haneczka... Ja, ile razy patrzę w lustro, tyle razy pytam się siebie, po co ja mam dłużej żyć, nie gniewaj się na mnie, Aniu, ale po co ja mam dłużej żyć?...*

Po chwili ten sam głos : *Nie gniewaj się na mnie, widzę, że się gniewasz, obie jesteśmy zdenerwowane tą zasadzką na nas i Urzędem Skarbowym, myślę też co się dzieje z Korybutem, nawet nie wiemy gdzie jest, może chory ? Jak się o tym wszystkim myśli, Ziemowitowa nie może wystarczyć do szczęścia...*

Głos A. : — *Haneczka ciebie u...*

W tym miejscu skończyła się trzecia szpulka. Nowa szpulka w odbiorniku załączyła się automatycznie i wy-

kluczone były martwe punkty — ale załączenie nowej szpulki w nadajniku wymagało czasu i umiejętności. Po chwili czwarta szpulka zaczęła funkcjonować dokładnie od tego miejsca, w którym urwała się trzecia szpulka :

Głos A. : — *bóstwia...*

Zajęc udatnie złożył całość : — Haneczka ciebie ubóstwia...

Potem nowa szpulka zaczęła nadawać szumy i szumy, nic ciekawego nie chciało się dziać, coś terkotało wartkim ciągiem, ale terkot nie był kobiecy, tylko maszynowy.

Gdy terkotało i terkotało i nic się ciekawego nie odbywało — tyle razy sprowadzony do właściwego mianownika szczeniak Dzikowski znowu nie wytrzymał i niby tylko Zajęcowi na ucho wyjaśnił, ale każdy go słyszał :

— Duszna szyje na maszynie suknię turkusową !...

A siostry jak się uparły, tak nie mówiły i nie mówiły, szpula się kręciła, ludzie czas tracili, a siostry się leniły, żadnej się nie chciało otworzyć buzi, aż nudno się zrobiło. Nawet terkot maszyny ustał i już nic się nie działo.

— Pewno nitka się urwała — rzekł Dzikowski.

— Łwaspies ! — rzekł Bijas.

Głos A. : — *Znowu słuchasz ?*

Szpula nadawała jakieś dalekie huczenie, niemożliwe do określenia nawet dla Dzikowskiego.

Głos A. : — *Zawsze to kochasz ? Już przestań !... Zamęczasz się tym...*

Głos D. (gdy skończyło się dalekie huczenie) : — *Ja się, Aniu, nie zamęczam, tylko liczę. Byłam jeszcze matką dziewczynką, a zawsze myślałam, że one huczą tylko dla mnie... Pierwsza : bądź gotowa ! Druga : wchodź po trapie ! Trzecia : good bye całemu światu !... Tak sobie zawsze liczyłam. Kiedy ostatni raz go pytałam : wrócisz ? on się zapytał : przyjedziesz ? ja się spytałam : nie zapomnisz ? Właśnie trzecia syrena huczała na Sobieskim... Wrócisz ?... Przyjedziesz ?... Nie zapomnisz ?... No i tak w kółko. I tak do tej pory... Ja czekam, ty czekasz, my czekamy...*

Głos A. : — *Nie denerwuj się, Łusienko. Przypominam ci naszą umowę, że nam nie wolno beczeć... Ty w porównaniu ze mną jesteś szczęśliwa, bo czekasz... Ja, od chwili kiedy posłałam, już na nic nie czekam...*

Głos D. : — *Ty jesteś szczęśliwa, bo masz Haneczkę...*

Głos A. — *Haneczka! Wiesz sama, jaka jest Haneczka!...*

Głos D. : — *Przypominam ci naszą umowę, że nam nie wolno beczeć...*

W tym miejscu tow. Hurewicz po raz pierwszy z własnej, nieprzymuszonej woli otworzył usta i wydał opinię :

— *Etie-petie, ujki-mujki!* — Wyglądał przy tym, jak zwarzony.

Nacz. Bijas w tej samej chwili zasygnalizował elektrycyście, żeby automat przesunął na „miortwyj znak”. Jak nożem uciął, skończyło się całe słuchowisko.

Bijas wytłumaczył po ludzku Zajęcowi o co chodzi :

— *Wy, obywatelu Zajęc, nie spoczywajcie, tylko weźcie się do przesłuchiwania od początku do końca wszystkich szpulek i nam zróbcie résumé. My nie możemy wiecznie tutaj sterczeć i godzinami wysłuchiwać babskich dźwięków. Co ciekawszego znajdziecie, nam streśćcie. Zróbcie nam taki, jak wiecie, ekstrakt. Proszę was też, obywatelu Zajęc, nie zapomnijcie zaznaczać numeru szpulki. W swobodniejszym czasie, ja sam jeszcze raz przepuszczę najciekawsze kawałki. Dziękuję wam, Zajęc. Cześć.*

Zaledwie minęło kilka godzin od przerwania, a już skrupulatny Zajęc na biurku szefa położył pierwszy ekstrakt; zbiegł się on w czasie i miejscu z dostarczonym z poczty listem Aninowskiej do Haneczki.

Bijas, pomyślawszy co ważniejsze, wziął się za ten ostatni i odlepił kopertę metodą Rozwadowej. Wyczytał :

*Panna Hanna Aninowska, Dom Akademicki „Nowa Dziekanka”, Warszawa.*

*Moja jedyna, najdroższa, złota Hanuś! Piszę w pośpiechu, żeby prędko wystać, spełniając obietnicę, że gdyby co, ja natychmiast napiszę. A więc wokół zaczęły się dziać rzeczy b. niedobre i Ciocia Łusia jest przekonana, że skończymy tak jak wszyscy. Spełniam Twoją prośbę, ale pod jednym kategorycznym warunkiem, żebyś się nie angażowała. Zaklinam cię Haneczko na pamięć Ojca, żebyś z naszego powodu nie brała na siebie jakichś obowiązków. Ciocia jest zdania, że jeśli na Twoją interwencję major Z. nie pomoże, to się już więcej nie zobaczymy. Ciocia*

Łusia o majorze Z. wspomniała tylko dlatego, że stale powtarzałaś, że on ma dobre serce i niczego od Ciebie nie żąda. Jeszcze raz Ci powtarzam, niech Cię Bóg broni, żebyś z powodu nas miała się angażować. Ani ja, ani Ciocia, nie chcemy naszego bezpieczeństwa Twoim kosztem.

Dołasz Ci jeszcze na prędko, że Twój adorator Władek R. stale mnie męczy, żebym opowiadała zdarzenia z Twego dzieciństwa, niemal się popłakał, gdy mu opowiadałam, jak wtenczas w Warszawie zawałił się nad nami dom na Polnej. Muś był dwa razy i oczywiście rozmawiałyśmy z nim o społecznej funkcji literatury, napisał o Tobie wiersz, który znasz, ponieważ mówił, że go Ci przestał do Warszawy. Jak się Tobie podobał, bo nam, jak się domyślasz, nie bardzo? Nic nie pisałaś, jak Twój ząbek, czy już nie boli? Dbaj o siebie, Hanuś i nie przemęczaj się, pamiętaj co doktor mówił o Twoim serduszkku. Córeńko moja, jeśli możesz, nie angażuj się zanadto, wiesz o czym piszę. Ty myślisz, że my jesteśmy stare, a Ty młoda, ale zobaczysz, że nam jeszcze kiedyś przyznasz rację. Przytomnij sobie co Ci ostatnio mówiłam...

Z Ameryki w dalszym ciągu nie ma wiadomości i biedna Ciocia Łusia chodzi, jak struta. Ziémowitowa nie chce gdzie indziej spać, tylko na Twoim łóżku. W zakończeniu błagam Cię jeszcze raz i zaklinam na pamięć Tatuśka, że jeśli ten major Z. zechce wejść w położenie, podziękuj mu od nas, ale gdyby to pociągało dla Ciebie konsekwencje, żebyś nawet nie wspomniała o nas. Życie nas nauczyło, że nic nie jest straszne, co ma być.

A może jednak przyjedziesz na Święta? Wiem, że nie możesz, ale mam ciągle nadzieję. Całuje Ciebie i ściska

Twoja Matenka A.A.

W rogu listu był dopisek zrobiony inną ręką: *Vive l'Amour!* E.D.

Nacz. Bijas uważnie przestudiował list dwa razy, podbił lok (opadł lok) i po namyśle skreślił czerwonym ołówkiem krótkie memorandum i doczepił do listu:

Odbić w trzech egzemplarzach. Kopie dołączyć do KO4. Po sfotografowaniu zalepić i natychmiast wysłać służbowo pod kopertowym adresem. Z.B.



Załatwiwszy się z listem, Z. Bijas wziął się do zajętych ekstraktów, które, jak polecił, akuratnie były zrobione, szpulka po szpulce.

Podbił lok i czytał :

*Miejsce, data, etc... Sciągnął ppor. T. Zajęc ze szpulki Nr 4 do Nr 8 włącznie.*

Szpulka Nr 4 poświęcona była w dalszym ciągu szyciu, oraz lepieniu motyli na szkło. W pewnym momencie na pierwszy plan wysunęła się Aninowska, która wypowiedziała : „Czemu oni nas męczą”, co im może zależeć?” Na to Duszna odpowiedziała : „Takie są czasy”. Po pewnej chwili Aninowska rzekła : „13-ka jest pechowa, ja od początku nie miałam ochoty sprowadzać się pod 13-kę”. D. rzekła : „Tylko nie zaczynaj ze swymi przesądami, bo są bliższe zmartwienia. Skąd się wzięło, że ten wczorajszy łapacz przyczepił się do drabiny?” A. odpowiedziała : „Et, kluczył, żeby w jakikolwiek sposób się do nas przyczepić!” Na to D. rzekła : „To ty ich nie znasz!” Aż do końca czwartej szpulki nie odbiło się nic więcej, godnego eks-traktowania.

Szpulka Nr 5 też w dalszym ciągu poświęcona była szyciu i lepieniu, ale z tym, że zaraz na jej początku Duszna nastawiła radio na Warszawę, co mnie niesłychanie utrudniło ściąganie i od tej pory musiałem przepuszczać niektóre kawałki na szpulce po kilka razy. Nagle D. zaśpiewała smutnym głosem : *Warszawo ma!* A potem przeszła na własną melodię i śpiewała przez jakie dobre 10 minut powtarzając w kółko : „I nie siadaj pod czeremchą, z nikim innym, tylko ze mną — i się nie kładź nocką ciemną z nikim innym, tylko ze mną!” Tak śpiewała, aż do znużenia. Po odśpiewaniu, Aninowska wyrzekła słowa, które ja przestuchałem 3 razy, żeby się nie omylić. Brzmiały one : „Sto razy wolę skończyć na Sybirze, niż żeby ona miała pójść za Moskala!” \*) Zaraz po tym radio z Warszawy zaczęło nadawać huczną muzykę i szpulka z tego powodu stała się nieodcyfrowalna. Byłem w stanie zanotować, że po odezwaniu się Aninowskiej, Duszna coś jej bez przerwy tłumaczyła przez ładne kilka minut, ale co,

---

\*) Studiując ten fragment ekstraktu, nac. Bijas zastanowił się melancholijnie, po co dobry Pan Bóg dał babom ozory ?

tego nikt ze szpulki nie odgadnie, z wyjątkiem końcowych słów : „...jak kłosa, przybite wiatrem !...” — Nie wiem, czy to zakończenie ma jakie znaczenie, ale na wszelki wypadek je ściągnęłam. Następnie radio z Warszawy zamilkło, ponieważ jedna z nich, A. lub D., przekręciła śrubkę, ale to też w niczym nie polepszyło mojej sytuacji, a nawet ją pogorszyło, ponieważ odezwały się piski i świsty. Mimo tego, odcyfrowałam głos D. : „Żeby choć jeden raz zapać...” W tym miejscu szpulka Nr 5 się skończyła.

Na szpulce Nr 6 w dalszym ciągu piszczało i gwizdało. Dostyszałam, co Aninowska rzekła : „Za daleko !” Duszna rzekła za trzecim razem : „Co mnie opowiadasz, jeśli tyle osób mówi, że można słyszeć, jak z drugiego pokoju !” A. rzekła za pierwszym razem : „Nasz aparat jest za stary”. Po niejkiej chwili ta sama A. jeszcze rzekła : „Przestań, Łusiu !” I jeszcze dodała : „Radio i syreny mnie ciebie wykończą, przestań Łusiu, nastaw na coś bliższego”. D. nic nie odpowiedziała, ale widać postuchała, ponieważ zamiast pisków i gwizdów radio zaczęło gadać po angielsku. Aż do samego końca 6-tej szpulki słyszałam tylko język angielski, bez znajomości którego nie jestem w stanie zrobić pełnego ekstraktu.

7-a szpulka również zawierała znikomą ilość polskich słów, z których najważniejsze mnie się wydały te, że mniej więcej w jednej trzeciej 7-ej szpulki D. rzekła : „Kałmuczka może przyjść nawet o świcie, turkusowa jest finisz. Jak ci się podoba ?” Aninowska rzekła : „Jest cudna, ale jak się pomyśli, że ta... ale lepiej nie myśleć !” Wkrótce potem D. albo A. przymknęła radio, ale mnie to też nie wiele pomogło, ponieważ po wyłączeniu obydwie oddaliły się od gniazdka. Musiały się one umiejscowić w jakimś odległym kącie, gdyż od tej pory wszystko co dostyszałam, musiałam przepuszczać po kilka razy. Usłyszałam, co rzekła D. : „U nas się pali, a oni tam gadają, i gadają, jakby ich gadanie co pomogło !” Zaraz po tym rzekła, nie wiem już czy A. czy D. : „Nie rozumiem, co z Lubańskim ?” Potem odcyfrowałam tylko oderwane nazwiska : „Lubański, Fornalski i odcyfrowałam : „Za co Bolesławska ?” W jakies 20 sekund później, też nie do odcyfrowania, głos rzekł : „Rym się z tego powodu nie powiesi”. Poza tym dostyszałam : „Oni to nazywają taktyką jeża”. Wreszcie ostatnie zrozumiałe zdanie brzmiało : „Postuchaj,

jak mruczy nasza Ziemowitowa!"\*). Ustyszałem dwa cmoknięcia, prawdopodobnie one się tam całowały, oraz ustyszałem jeszcze: „Śpij smacznie”.

Co do końca siódmej szpulki i co do całej ósmej szpulki, mam wątpliwości, czy aby nie było jakiegoś błędu ze strony Techniki, która nas zapewniała, że w braku ludzkich głosów, automat samoczynnie urywa się. Ponieważ w zakończeniu siódmej szpulki, jak i na przestrzeni całej ósmej szpulki, żadnych głosów ludzkich nie ma, zatem automat powinien był się automatycznie wyłączyć, ale nie wyłączył się. Powodem mogły być ćmy, albo też plądrzące myszy, co nie zmienia postaci rzeczy. Wymienione szpulki nadawały głuchą noc i nic więcej. Zaznaczam ten fakt dla porządku i biorę się teraz z kolei do dziewiątej szpulki, ale bez większej nadziei, żeby noc już miała minąć, albo żeby siostry w nocy się przebudziły i zaczęły się zwierzać.

Ściągnął: T. Zajac, ppor.

Przestudiowawszy ekstrakt, nacz. Bijas zastanowił się z linijką w rękę i zatelefonował do Wydziału Technicznego:

— Fiodorowicz? Tu Bijas. Cześć! Ot, mnie po prostu słów brakuje, żeby wam podziękować! Wzorowa, nowoczesna i cholernie skuteczna robota! Ta wasza Technika, mucha nie usiądzie! Nawaliliście mnie tyle materiału, że i przez miesiąc się nie obrządę. Gratuluję wam i dziękuję za wasz trud... Jeszcze potrzyście z dzień lub dwa, może się coś ekstra nakręci... Owszem, dam znać, kiedy będziecie mogli zdjąć... Bardzo zadowolony jestem; masę kłopotów usunęliście mnie z serca... Ukłony dla pani Ziny... Musimy obowiązkowo sobie podpić... Nie, do waszej kolekcji niestety nic się nie nadaje\*\*)... Cześć, cześć!

\*) Studiując ten passus, nacz. B. uśmiechnął się, jak ostatni szelma.

\*\*) „Kolekcję” tow. Fiodorowicza stanowił sprytny fonomontaż, złożony z fragmentów różnych szpułek, nagranych przez różne automaty w sypialniach, w numerach hotelowych i w gabinetach — z podchodzącym werbalnym komentarzem jednego komika z Wydziału Technicznego, który dowcipnie objaśniał, jak dana para wygląda i co w danym momencie wyprawia; ten fonomontaż był raz przepuszczany na kawalerskiej popijawie u tow. Rybienki, gdzie wszyscy pokładali się ze śmiechu; stąd sława fonomontażu rozeszła

Po załatwieniu się z telefonem nac. B. kazał stawić się Dzikowskiemu.

— Dzikowski! Coś jest dla was! Macie zaraz pójść i dostawić nam tutaj Ziemowitową!

Dzikowski pokraśniał z czerstwej emocji.

— A więc, pójdziecie, Dzikowski i dostarczycie nam tutaj obywatelkę Ziemowitową, na którą pierwsi zwróciście czujną uwagę... Gratuluję wam!

— Ale zanim, wy Dzikowski pójdziecie, ja mam dla was jedną koleżeńską prośbę. Nie obrażcie się tylko, nie róbcie mnie przykrości...

— Mnie chodzi o to, że jeżeli wy, Dzikowski, macie zamiar traktować siebie poważnie i jeśli pragniecie iść po drodze rozwoju, a nie robić wszystkiego na łwaspies — to wy, zanim się do czego zabierzecie, lepiej naprzód zadajcie sobie trud przestudiowania tego, co jest! Ot, gdyby wyście na przykład się nie polenili, to by wyście przed pójściem do sióstr wzięli do ręki moją pogaduszkę z Musiem, gdzie bez trudu znaleźlibyście ślad po Ziemowitowej. Ale w was, Dzikowski, ma się rozumieć śmierdzący brakorób siedzi i wybyście chcieli tylko pluć i łapać. Ano, jak chcecie! A zatem idźcie i doprowadźcie mnie tutaj waszą przekłętą Ziemowitową! Tylko uważajcie, żeby przy transporcie ona wam mordy nie zbronowała!

Dzikowski posiniał ze złości.

— No, czego stoicie, na co jeszcze czekacie, no idźcie, Dzikowski, nie zwlekajcie, zabierajcie się do roboty... Powodzenia wam życzę... Kici, kici, kici! Miau, miau!

## XII.

Zbliżało się Boże Narodzenie w Gdańsku. Patrząc z Urzędu przez okno, można je było poznać po choinkach, które podejrzani ludzie wlekli ukradkiem bocznymi ulicami, chociaż byli poinformowani, że władza ludowa będzie na nich patrzeć krzywym okiem... Również poznawało się Boże Narodzenie po tym, że ludzie o mizernym wyglądzie bie-

---

się szeroko i najgrubsze ryby z Warszawy nie raz zwracały się do gdańskiej Techniki o dyskretne wypożyczenie; po wysłuchaniu tego fonomontażu, szło się musowo na dziewczynki.



gali galopem, śpiesząc się nie wiadomo do czego, ale w żadnym wypadku nie do wyścigu pracy... Z okna Urzędu patrząc, znaków Bożego Narodzenia dopełniało niebo, zasłonięte brudnymi chmurami i fatalna w tym roku gdańska ślizgawica...

Z Urzędu, o którym mowa, tuż przed Świętami — wyskoczył lekki jak ptaszek Radio-oficer Pieniążek, który wpadł tam na moment zaraz po dobieciu „Feliksa Dzierżyńskiego” do macierzystego portu w Gdańsku.

(Ten Pieniążek, trzeba wiedzieć, czas wojny spędził we Francji, gdzie sfrancuział, będąc postępowych przekonań, zameldował się w Polsce Ludowej, tam spolszczał, jakiś czas pętał się bez przydziału, aż wreszcie osiadł solidnie na Dzierżyńskim...).

Wyskoczył z Urzędu, lekki jak ptaszek, ponieważ obywatel Naczelnik okazał się ludzki i wycyckawszy, nie zatrzymał go na dłużej...

Ale też ob. Naczelnik nie miał powodu być grubiański, ponieważ ofpol Pieniążek szczerę serce położył na dłoni, a drugą zademonstrował, że ma pustą... Nie zataił żadnego drobiazgu z konspiracji na Dzierżyńskim, odkrytej w Bije, której tragiczny koniec miał miejsce w Punta Chata; zdał dokładną relację, jakim hersztem okazał się szef Bolesławski, który swego czasu skorzystał z amnestii, i Fornalski, który znowuż ma rodzzonego brata tutaj w Gdańsku! Co się zaś tyczy ucieczki dodatkowego grona marynarzy z kapitanem na czele w Hamburgu, tłumaczyło się to samo przez się brakiem cywilnej odwagi i niechęcią do opowiadania, co się zdarzyło w Ameryce, na tym miejscu... Także samo, gdy otrzymał pytanie, nie zataił, że Lubański z obydwojma Fornalskimi był na ty, prócz tego zbiegły Fornalski raz się w kubryku wyraził: „Czekajcie, czekajcie, Amerykanie wam należą oleju przez gacie, będziecie latać na stronę, jak zacierzewione!” A jeśli chodzi o drugiego Fornalskiego, tego z Gdańska, nie ma czego tacić, onże za formalną przepustką był na Dzierżyńskim tuż przed samym rejsem i obydwa braciszki coś długo do siebie szeptali na rufie na oczach wszystkich. Tak samo na pytanie, czy Pieniążek nie sądzi, że w grę mogły wchodzić dolary, odpowiedział, że naturalnie, ponieważ osobiście widział u Bolesławskiego 5 dolarów, a może i więcej, które, jak mu doniesiono w Santosie, Bolesławski przepił. Dodał,

że jego zdaniem, amerykańska waluta mogła się czaić na dnie zdrady. Na zapytanie, czy mu się obilo o uszy nazwisko Wupe, odpowiedział, że takie nazwisko wspominali niektórzy marynarze, którzy zachodzili do jednego obskurnego baru w Punta Chata, gdzie pracowała jedna polska kobieta, ale on nie zachodził, bo się dowiedział, że tam jest gniazdo faszystów (W tym jednym, jedynym momencie ob. Naczelnik objawił pewne niezadowolenie, powiedziawszy : A szkoda !) Na zapytanie, czy mu coś wiadomo o dwóch siostrach, zamieszkałych w Gdańsku na Ziemowita, odpowiedział bez zająknięcia, że mało wie, prócz tego, że żona herszta Bolesławskiego z niewiadomych powodów wyrażała się o siostrach dodatnio. Na zapytanie o sierżancie Rymie, opowiedział wszystko, co wie. Na ostatnie pytanie, co mu jest wiadome o drabinie, odpowiedział, że kiedy przed godziną schodził z Dzierżyńskiego wszystko zostawił we wzorowym porządku...

Więc kiedy po grzecznościowej wymianie zdań Naczelnik uściśnął mu rękę i rzekł, że w razie konieczności będzie go jeszcze potrzebował na krótko — wycyckany, ale szczęśliwy Radio-Pieniążek podziękował i jak ten ptaszek wyfrunął z Urzędu...

Sumienie zachował czyste, z wyjątkiem plamki, że kiedy rozmowa tyczyła się sióstr i Ryma — on zdrętwiał, ponieważ właśnie na prośbę Ryma przesmyknał dla sióstr bukiety tropikalnych motyli i Naczelnikowi o tym nie wspominał, własnemu sumieniu tłumacząc, że zdechłe motyle nic nie mają wspólnego z socjalistyczną postawą człowieka...

Po wyfrunięciu z Urzędu, oficer Pieniążek zaczął się ślizgać na gdańskiej ślizgawicy i ślizgając się, szukał nie kogo innego tylko Ryma, aby po starej przyjaźni powiedzieć mu dwa słowa. Doślizgawszy się wreszcie, rzekł mu serwus !

Po przywitaniu się po tak długim niewidzeniu obydwaj zaprosili się na piwo do ansztaltu i oficer Pieniążek rzekł : — Muszę się ciebie o coś spytać.

Spytał się go : — Specjalnie zaraz po wylądowaniu, mając coś lepszego do roboty — w ten piekielny ziąb szukałem ciebie i znalazłem, żeby się na miejscu dowiedzieć, co u ciebie śmierdzi ? Nie stukaj kuflem, ale mnie słuchaj ! Słuchaj mnie ! Dlaczego, jeśli ja, żeby przyjaciela zadowolić, narażając się na niebezpieczeństwo, szabruję dla

twoich mademfazelów zagraniczne motyle, dlaczego ja z tego powodu w godzinę po przyjeździe jestem zapytywany w UBie, kto są te mademfazele i kto jesteś ty?! Ja się ciebie pytam i żądam kategorycznej odpowiedzi, ponieważ mnie się automatycznie nasuwa, że świnia jesteś i tyle! Ale ja bez wysłuchania nie palę za sobą przyjaźni, powiedz mnie, Władzio, czemu tu wokół ciebie tak zaśmierdło? Coś ty, Władzio, nasmrodził?

Sierzant Władysław Rym naprzód nie mógł opanować zdumienia, a następnie dał Pieniążkowi w bok i rzekł:

— Ja cię Kaziu bardzo proszę, ja mam ogromną cierpliwość, możesz liczyć na mnie jak na Zawiszę, ale ja w końcu mogę nie wytrzymać i tobie dać! Francuski pudlu jeden! Ja nie jestem gołosłowny i ja ciebie proszę: Kup ty sobie, Kaziu, egzemplarz „Żołnierza Polskiego” z datą wrześniową, przyjrzyj się mnie, a potem do mnie mów! Przyjrzyj się mnie na okładce, jak ja osobiście ładuję katuszę, a pode mną jest podpis: *To Bohater! Ale tylko nasze czasy tworzą takich bohaterów!* Jeśli nie masz polskiej waluty, to ci pożyczę i sobie kup! A dodatkowo cię mogę poinformować, że w Szczecinie spuszczają na wodę kuter dalekomorski i ten kuter, francu jeden, będzie się nazywał „Sierzant Władysław Rym”! Mów teraz, że koło mnie śmierdzi, no mów, proszę cię, ja ciebie bardzo proszę, ludzie nas nie słyszą.

Radio-oficer Pieniążek stropił się i pijąc z kufła nabrawł moc piwa, dopiero gdy wszystkie piwo łyknął i obtarł piannę, nastawił się serdeczniej:

— Ty, Władzio, na mnie nie pluj, ponieważ mnie Greki wyszkoliły w podejrzliwości, tym bardziej jeśli UBie się wtrąca, ale choć mnie o ciebie indagowali, złego słowa na ciebie nie szczekłem, tylko czystą prawdę. Przyjmujesz do wiadomości, czy nie? Zrozumiałeś? No to daj pyska!...

— ...Nię chcesz, to poczekaś! Wobec tego wykładam ci kawę na ławę: Motyle będą ciebie kosztowały 15 dolarów po cenie kosztu na czarnym rynku, nie po kursie rządowym! Przywiozłem ci też stertę znaczków z Ameryki, ale po takim napluciu, nie wiem, czy zrobię z tobą handel...

— No, Władziulku, nie pluj na mnie, przeproś się, bierz motylki i marki, zapłacisz mnie, kiedy się poczujesz na siłach... Ciekawe, co mnie powiedziałeś o katuszy i o ku-

trze... Kto wie, Władziu, może ja kiedy będę jeszcze pływał pod twoim imieniem i nazwiskiem? Ale napijmy się, Władzio, czegoś esencjonalniejszego, bo ja po nagłej zmianie klimatu, jestem przewrażliwiony. No, rozchmurz się, stara przyjaźń nie rdzewieje... Daj pyska!

Władzio dał pyska. Po czym wyposzczony długomiesięczną podróżą, w czasie której musiał zachowywać milczenie, ponieważ nikt z nim nie lubił rozmawiać — ofpol Radio-Pieniążek nareszcie miał prawo odbić się na różne tematy i z tego prawa obficie skorzystał, pośliniwszy się z Władziulem z dwóch stron.

W pierwszym rzucie Kazio Pieniążek Władziowi oznajmił, że co by jaki syn nie zrobił, każda matka automatycznie zapłaci. I — ciągnął — chociaż na świecie olbrzymią większość stanowią niewdzięczne syny, on się nie zapisał do takowych, ponieważ zreumatyzowaną matkę sprowadził z Francji, która kuszyka teraz po Gdyni zgięta w pół, ale matka dla niego zawsze się liczy pierwsza, a nie ci, co mu na Dzierżyńskim wymyślali od takich synów...

W drugim rzucie Władziowi oznajmił, że jeśli tow. Naczelnik jeszcze raz go do siebie powoła, on mu podziękuje uprzejmie i przyjdzie akuratnie; w trzecim rzucie Władziowi oznajmił, że w świecie kapitału ludzie żyją, jak żółwie w skorupach...

Dopiero ten trzeci rzut zainteresował Władzia Ryma do tego stopnia, że dołał wódki do ognia, pytając: — Co masz właściwie na myśli?

— Na myśli mam — rozognił się Kazio Pieniążek — jednego Polaka, zapoznanego w Santosie, który był wielkim przedwojennym specem od wypiekania różnego ciasta, a przede wszystkim pączków i faworków, a żona mu pomagała. On się wyplakał przede mną, że chociaż w Łodzi przed wojną, on żył z fachu jak król, w Santosie zbankrutował, bo jeśli brazyloch weźmie do ust nasz pączek, zje z niesmakiem, albo wypluje, wobec czego musiał interes zwinąć, chociaż żona mu pomagała. I ten Polak musiał się wziąć do ręcznego malowania fotografii w żywych kolorach, co znowuż gdyby próbował robić w Łodzi, zszedłby na psy. Czego to dowodzi? Dowodzi tego, że w krajach kapitalistycznych każdy musi się przeweksłować...

— Mów ciszej!... — ostrzegł Rym.

— Mówię ciszej... Dlatego ci o tym Polaku powiedziałam



tem, żebyś wiedział, co w razie czego cię czeka... Ty na przykład Władzio jesteś w Gdańsku Władzio, tutaj ciebie uważają, salutują tobie, wiesz co możesz a czego nie, — a na przykład w takim Santosie automatycznie niknie sierżant Rym i robi się mały Rymek, a w końcu gie. Głupota największa, jaka tylko może być! Wiele obałamuconych Polaków mnie w Ameryce przyznawało się i po cichu żałowało. Akurat z jednym takim w Punta Chata piłem brudzia.

— Mów ciszej! — ostrzegł Rym.

— Mówię ciszej... Nie masz, Władzio pojęcia, jaką stanowi rozkosz powrót do matki, która cię widzi wyświeżonego w gali, chłopaka jak ta lala, a nie płacze nad tobą, że siedzisz po uszy w gie... Obałamuconych, którzy brykali w Punta Chata, ja serdecznie żałowałem z dwóch powodów i nawet w ostatniej chwili próbowałem ich ostrzec — bo oni nawet nie zdawali sobie sprawy, jak boleśnie odczuwają ich matki i jak oni szybko ze związkowych marynarzy staną się tym referowanym przeze mnie gie...

— Mów ciszej! — ostrzegł Rym i spytał: — Gdzie leży ta twoja Punta Chata?

— W Ameryce Południowej, bliżej końca... Władzio, ty nawet wyobrażenia nie masz o pojęciu, jakie czyki za psi pieniądz możesz tam mieć! Zębami one zgrzytają na sam twój widok...

— Mów ciszej... Co to są czyki?

— Czyki to są tamtejsze przepiękne kobiety, które zębami zgrzytają na twój widok. Tak samo klimat w Punta Chata bardziej podchodzi pod nasz, mniej się pocisz i możesz oddychać pełną klatką. Masz tam na przykład malowniczy widok na rząd kafejek, w których do wyboru, do koloru siedzą czyki i na ciebie mrugają. Ale nie bądź głupi i nie daj się nabrać, jak ja się nabrałem, nie zasięgnąwszy informacji...

— Mów ciszej — ostrzegł Rym, jako że ten i ów w anszalcie z obowiązku nastawiał ucha.

— Będzie ciszej! Ale jeśli się nie poinformujesz, wsiąkniesz grubo jak ja i użyjesz tyle co pies w studni. Natomiast jeśli się poinformujesz, najlepiej w jednym detalicznym punkcie sprzedaży papierosów i czekolady na samym rogu, gdzie mówiąca po polsku jasna blondynka uśmiechnięta od ucha do ucha stale siedzi — nie stracisz! Ja się

w tym kiosku nie informowałem, ponieważ zostałem na czas ostrzeżony, że ona tylko po to siedzi, aby namawiać do sabotażu i podżegać do wojny, co było prawdą, ponieważ wszystkie nasze bryki uwiły sobie u niej zdradzieckie gniazdo. Ale o czym to ja tobie wykładam, Władzio? Trach, o blondynce! Mnie ta blondynka stanęła w myśli, bo wysiaduje na oczach całego portu i żebyś wiedział, pasjanse kładzie i kładzie... Ale ci co się z nią poznajomili i spotkanych u niej faszystów się radzili, lepiej wyszli z czykami, niż ja. Mnie nie wypadało wchodzić w kon-szachty z politycznym zwyrodnieniem i bankructwem i ja tylko spacerowałem po rogu przed rozłożonymi kartami, jak mruk.

— Może to nie pasjanse, tylko może ona z kart na szczęście tak sobie wróży i wróży? — zapytał silnie podniecony Władzio Rym.

Wyjaśnienia nie otrzymał, gdyż do ansztaltu wjechał, jak na łyżwach, młody kapitan z Urzędu Dzikowski i wycierając buty o wojtok, krzyczał od wejścia :

— Kogo moje modre oczy widzą? Jak się masz Rubel! Cześć Rym! Wręcz oślepiłem, jak ciebie, Rubelku, zobaczyłem z nienacka... \*).

Radio-Pieniążek, który, jak powiedziano, w czasie oceanicznych podróży mało od kogo doznawał serdeczności — rozrzewnił się tym przywitaniem i ramiona otworzył, a Dzikowski zaraz w nie wpadł. Sciskali się i całowali, aż miło było patrzeć.

Sierżant Rym nowoprzybyłego znał ledwie z widzenia, więc nie chciał się wtrącać, nalał sobie, wypił i o swoich sprawach rozmyślał.

Kiedy skończyły się powitania, Dzikowski przysiadł się do stolika i wnet Ryma w czułe miejsce pogłaskał :

Rzekł z sympatyczną aluzją : *To Bohater! Ale tylko nasze czasy tworzą takich bohaterów!*

Pogłaskany sierżant Rym ogromnie polubił Dzikowskiego i stuknął kuflem w stolik :

— Niech kto gada co chce, lepsze polskie gie w polu, niż fijołki w Neapolu !

---

\*) Przyjaciele nazywali Pieniążka Rublem, co się zaś tyczy Dzikowskiego, ten w czasie służby nigdy nie wjeżdżał do ansztaltu na ślepo.

Tak się więc stało, że młody kapitan z Urzędu Dzikowski, tuż przed Bożem Narodzeniem, na własne uszy przekonał się, że por. Cezary Gach o Rymie nie zełgał.

### XIII.

Kiedy naczelnik Zenon Bijas, za pośrednictwem Jurka Mazurka, osiągnął zadawalające i własnoręcznie podpisane zeznanie od Aleksandra Fornalskiego, schwytanego przez WOP na Szwedzie, i kiedy, wzięty w kociołku marynarz Lubański całkowicie z tymi zeznaniami kooperował — nacz. Z. Bijas uznał, że w połączeniu z tym co dały dotychczas siostry i ściągnięta z Gdyni Zofia Bolesławska — drabinowe śledztwo KO4 nareszcie dojrzało, jak śliwka.

Wszystkie biedy i nie-biedy odłożywszy na potem, nacz. Bijas opracował logiczny schemat, z którego w oparciu o grubą tekę załączników i protokółów — dłoń sprawiedliwości śmiało mogła zaczerpnąć i puścić się w ruch...

Schemat zamachu na całość i bezpieczeństwo Rzeczypospolitej, w opracowaniu nacz. Bijasa, formułował się tak :

*Wstępnie zostało przez nas ustalone, że w nocy z 15-go na 16-ty października br. ręce nieznanymi sprawców przystawily drabinę pod okno KO4, gdzie była zdeponowana tajemnica państwowa kategorii A. Złoczyńcy celu nie dopięli, ponieważ zostali spłoszeni i ułotnili się. W 3 dni później został powołany nasz Urząd, który po upływie czasu wiele istotnych śladów zastał już zatartych. Tym nie mniej, przeprowadzone pod moim kierownictwem śledztwo ujawniło całokształt projektowanej zbrodni, a wynikiła zwłoka tłumaczy się sama przez się zatarciem śladów. Nasze drobiazgowo śledztwo wykazało, co następuje :*

A) Zamach nie był impulsywny, tylko inspirowany z zewnątrz. B) Początek datuje się z połowy lata rb. z okresu, kiedy wybierający się w rejs marynarze z okrętu „Feliiks Dzierżyński” a mianowicie : Fornalski, Bolesławski, Sandalski, Trościa i Gwóźdz postanowili dokonać aktu dezercji w Ameryce Południowej, co im się później udało (w załącznikach : zeznania Al. Fornalskiego, Z. Bolesławskiej i meldunek of. pol. K. Pieniążka). C) Wybór miejsca

dezercji nie był przypadkowy, ponieważ w Punta Chata w Ameryce Południowej przemieszkuje b. kapitan b. polskiego wojska faszystowskiego nazwiskiem Wupe, który z jednej strony zajmuje się antypolską propagandą, a z drugiej strony ma powiązania z Gdańskiem. D) Ten wyżej wymieniony Wupe zawiaduje krótkofalówką w Punta Chata, mającą połączenie z centralą szpiegowską, najprawdopodobniej w Berg pod Monachium (w załączniku afirmatywna depesza Konsulatu Polskiego w Buenos Aires). E) Ten Wupe trzyma stały kontakt z ob. Łucją Dusznią, zamieszkałą w Gdańsku, ul. Ziemowita Nr 13 (w zał. zeznania Lubańskiego i ściąg ze szpulek). F) Ponad wszelką wątpliwość zostało ustalone, że z ul. Ziemowita Nr 13 pochodziła przystawiona pod KO4 drabina. G) Schwytany Al. Fornalski ujawnił, że on na rufie Feliksa Dzierżyńskiego umówił się z bratem marynarzem Fornalskim, że jeśli bratu uda się zdeszererować w Punta Chata, on do niego wkrótce dołączy, ale nie z pustymi rękami. H) Z zeznań tegoż Al. Fornalskiego wynika, że za radą Łucji Dusznej, kontakt między nim a bratem miał utrzymywać szef z Dzierżyńskiego Jan Bolesławski (który też zwiad), ponieważ żona Bolesławskiego przyjaźniła się z wzmiankowaną Łucją Dusznią i jej przyrodnią siostrą Anną Aninowską, zamieszkałą pod tym samym adresem (w załącznikach : zeznania Fornalskiego, list J. Bolesławskiego do żony Zofii, raport of.pol. Pieniążka i ściąg ze szpulek). I) W tej samej sprawie ponownie badany Al. Fornalski ujawnił i własnoręcznie podpisał, że Łucja Duszna za pośrednictwem znajdującego się u nas Lubańskiego, wymogła na nim, ażeby się podkraść pod KO4 i wyciągnął z niego zalakowany pakunek, pożyczając w tym celu drabinę i tłumacząc mu, że jeśli jego dobre chęci zostaną uwieńczone powodzeniem, może się spodziewać serdecznego przyjęcia w Ameryce i będzie optywał w dolary a także samo brat jego, za co gwarantuje b. kapitan Wupe w Punta Chata (w załącznikach : akta Fornalski). J) Wypytywany co do sumy Al. Fornalski kręcił, raz wymienił sumę 10-ciu dolarów, potem się poprawił na sto dolarów, wreszcie się przyznał do 10-ciu tysięcy, ale jeszcze raz zapytany zaczął kręcić wokół sumy stu dolarów, co nie ma istotnego znaczenia, ponieważ jakabądź suma nigdy nie będzie Fornalskiemu wplacona. K) Zapytany przez nas Fornalski czy ma współników, długo się



wzdragał, ale kiedy został zapytany o Lubańskiego, natychmiast oświadczył, że tak. Ten punkt w całej rozciągłości potwierdził i podpisał Lubański (w zał. zeznania Fornalskiego i Lubańskiego w ostatniej redakcji). L) Co do Lubańskiego ten bez trudności ujawnił, że był łącznikiem między Lucją Duszną a Wupem w Punta Chata, oraz między Duszną, Wupem, Bolestawskim i Fornalskim). M) Korzystając ze śnieżnej zamieci, Lucja Duszna wydała Al. Fornalskiemu drabinę w nocy z 15-go na 16-ty października, celem użycia jej pod KO<sub>4</sub> (zeznania samego Fornalskiego, meldunek kpt. Dzikowskiego z wywiadu u sióstr i ściąg ze szpulek). N) W trakcie usiłowania zbrodni, Al. Fornalski został spłoszony przez patrol WOPu, dzięki czemu zbrodni zaniechał i wolał skryć się, porzucając drabinę, a jego współnik Lubański z nim razem (w zał. zgodne zeznania obydwóch bez konfrontacji). O) W 5 dni później Fornalski został schwytany na szwedzkim kargowcu „Gotland” z pustymi rękami przy próbie nielegalnego przekroczenia granicy, zaś jego współnik Lubański został przez nas przytrzymany dnia 11-go listopada, gdy usiłował ukraść wymknąć się z ul. Ziemowita Nr 13, gdzie, zgodnie z sugestią pochodzącą od tow. Rybienki, było nakazane czuwanie. P) Celem ostatecznego skompletowania śledztwa brakuje tylko :

1) otrzymać zezwolenie od tow. Rybienki, aby wolno było wziąć Duszną i Aninowską i w ten sposób uzupełnić brakujące punkty; oraz :

2) po uzupełnieniu, przesać akta wraz z załącznikami i protokołami do Wojskowego Sądu Rejonowego na Województwo Pomorskie, do dyspozycji tow. Prokuratora.

Za U.B. do Spraw Morskich w Gdańsku : mjr. Z. Bijas.

Ten schemat został ostatecznie wykończony w wielce denerwującym dniu 20-go grudnia, który był wigilią 21-go grudnia, „święta postępowej ludzkości.

Zanim nacz. Bijas zajął się jak należy Wigilią, zdążył jeszcze dla siebie w prywatnym notesie zrobić ołówkiem treściwy horoskop, który brzmiał :

Fornalski + (krzyżyk)

Lubański & (dożywotni)

Ł. D. (zawahał się między + i między &, wreszcie postawił &)

• A. A. 12 lat.

Z. Bol. 3 lata Obozu Pracy

Chociaż Bijas nie posiadał prawniczego wykształcenia, był święcie przekonany, że nie popełnił poważniejszej omyłki; tylko z prostego lenistwa loku nie podbił, choć mu wia-  
siał...

Cacy-cacy, ale istotnie był dzień 20-ty grudnia, czyli wigilia święta 21-go grudnia i roboty leżało odłogiem huk !

Smiesznie słowem wyłuszczyć, ale odwalanie świątecznej biedy nacz. Bijas rozpoczął od trzech urzędowych wychodków, z których jeden był ekskluzywny, wyłącznie dla odznaczonych Sztańdarem Pracy, jak np. tow. Rybienko, tow. Hurewicz i on sam i dla tych, co wpadali, jak po ogień — drugi był dla funkcjonariuszy kalibru Dzikowskiego i Zająca — zaś trzeci i ostatni służył szarej braci ubowskiej i gościom zaproszonym na rozmowy, jak również klientom Jurka Mazurka. Był jeszcze czwarty wychodek, ale ten był damski, więc się nie liczył. Wszystko było rozplanowane, jak należy i zdawałoby się Naczelnik Urzędu nie powinien nigdy z powodu wychodków odczuwać bólu głowy, ale niestety, oprócz bólu głowy, nawiedzały go również zmory. Biorąc spokojnie i bez nerwów : jeśli np. w trzecim wychodku, ktoś z rozklekotanych w Urzędzie klientów dopuścił się rękoczynu i korzystając z bezkarnej samotności napisał, albo wyrzył paznokciem na ścianie, czy też na drzwiach, jakieś nieprzyzwoite i uwłaczające godności wyrażenie — o to nikt Naczelnikowi łba nie urywał. Bagatelizowało się i koniec. Ale jeśli np. w drugim wychodku, przeznaczonym dla szarzy kalibru Dzikowskiego i Zająca, do którego mieli wstęp jedynie ludzie stuprocentowego zaufania, stałe przepuszczani przez gęste sita — jeśli np. w tym wychodku okazywało się, że ktoś na drzwiach, na ścianie, na desce, albo na samej muszli wykalgrofaował uszczypliwe słowo, albo i całe wierszowane zdanie, dotyczące obowiązującej rzeczywistości i jeszcze w dodatku wymalował złośliwy figiel — to czy człowieka nie miała prawa krew zalać, jeśli po pewnym czasie przychodziło zapytanie podcyfrowane przez tow. Hurewicza, kto to zrobił? Cholera wie, kto to zrobił ! Ale to nie była żadna odpowiedź, nacz. Bijas musiał podejmować śledztwo. Te wychodkowe śledztwa bodaj gorsze były od drabinowych. Przesłuchaj człowieka stu ludzi, z których każ-

dy robi minę aniołka i powiada, że to nie on! Po każdym takim pornograficznym ekscesie przewracało się Urząd do góry nogami i kogoś ostatecznie odstawiało się na bok, ale ile to kosztowało zdrowia i mózgu, tylko jeden Bijas wie! Ale nie koniec na tym. Raz zdarzyło się, że w samej ekskluzywnej ubikacji z marmurowymi kafelkami, do której wolny wstęp posiadali jedynie tow. Rybienko, tow. Hurwicz, onże Bijas i ci, co wpadali, jak po ogień — jakies niekulturalne bydlę na samym marmurku wydrukowało chemicznym ołówkiem wyrazy tak wstrętne, tak plugawe, tak nic nie mające wspólnego z kulturą i tak uwłaczające godności człowieka, bez najmniejszego poczucia humoru — że kiedy tow. Rybienko zaprosił Bijasa na konfrontację — Bijas w pierwszej chwili chciał powiedzieć, że to on! Ugryzł się w język w samą porę, bo już w godzinę później zostało dowiedzione, że całą odpowiedzialność zwałił na siebie goniec z mundurowej Milicji, przystany do Urzędu z papierami, który wkraść się do ekskluzywnej ubikacji i załatwił się w niej po smarkaczowsku chemicznym ołówkiem...

Cacy-cacy — ale od tego krytycznego momentu nacz. Bijas nikomu nie dawał wiary i zawsze nosił przy sobie szmatkę i raz, albo dwa razy na dzień wpadał do wszystkich trzech wychodków i jeśli coś brzydkiego zauważył, nawet nie czytał, tylko, zwilżywszy szmatkę, szorował i zacierał.

W wigilię święta 21-go grudnia robił wypady co pół godziny, bo jeśli by jakaś zmara akurat wtedy się w wychodku wyległa — lepiej samemu wziąć się i w wychodku powiesić!

W wigilię święta nie brakło też dodatkowej roboty, od której można się spalić, a o której nikt nie ma pojęcia, kto nie zna Urzędu. Takie na przykład zagwarantowanie bezpieczeństwa Wybitnym Osobistościom i Agitatorom Partijnym, niby proste, a ileż kosztuje zdrowia i pomyślnku! A nasilenie zaufanymi ludźmi punktów ludowych manifestacji, a zdwojenie czujności w porcie i w drogowym węzle komunikacyjnym — też samo nie przychodzi i nie dziobie z ręki, jak ptaszek! Wszystko trzeba obrobić garstką ludzi, których normalnie wydaje się za dużo, ale jak przychodzi co do czego, okazuje się za mało. Niby wszystko było zawczasu uplanowane, niby wszystko miało po-

krycie w instrukcjach, w pouczeniach i we wskazówkach i powinno iść, jak po sznurku — ale ponieważ wiadomo, że jakby co nawaliło, winien będzie Bijas — więc Bijas musiał się dodatkowo przykładać, żeby ewentualności przewidzieć i uniknąć „mitręgi”, jak pisał H. Sienkiewicz. Na przedświątecznej odprawie nie tylko pouczał według instrukcji, ale jeszcze indywidualnie zalecał temu to, tamtemu tamto, gdzie który ma kierować baczność, na kogo kto ma mieć oko, licząc się z terenem i ze składem ludowych manifestacyj. Rybienko nawet na ten gremialny dzień nie raczył wrócić ze swojej Warszawy, a Hurewicz tylko powietrze psuł i cykał. Wszystko Bijas !

Dlatego też ani w wigilię, ani w samo święto, Bijas nie opuścił Urzędu nawet na krok ani w dzień ani w nocy — o czym z góry była powiadomiona, przyzwyczajona do świąt, Alicja Bijasowa.

Ta wigilia, jak i samo święto postępowej ludzkości przeszło, jak pułk. Sierpuchowski się wyraził, „chwacko”, a nawet lepiej niż Październikowa Rewolucja, solidarność we Wrzészczu nie została zakłócona, ludzi pracy zgromadziło się bodaj więcej, niż w listopadzie, tak samo ilość i ciepło wysłanych depeš podniosły się o 25 procent. W bezpośrednim rejonie nie pojawiła się żadna antypaństwowa kaligrafia, co nac. Bijas tłumaczył tym, że większość ludzi była w rozgonie i latała po mieście. Ale też Bijas zziajał się tym wszystkim i zrobił się mrukliwy, dukał każdemu kto mu podlał, chociaż nie powinien był tak robić, bo po świątecznym sukcesie nawet Hurewicz przestał psukać, a moguszcza Góra uspokoiła się po meldunku, że praktycznie biorąc wszystko siedzi pod kluczem !

Składając ten meldunek, nac. Bijas po raz pierwszy usłyszał zamiast normalnego położenia słuchawki : aaa ! — i dopiero po tym aa, Góra powiesiła słuchawkę. Lecz i to nawet nie rozchmurzyło Bijasa, ponieważ był zmachany, jak pies...

Jeszcze się nie wyziajał i jeszcze warczał na ludzi i świat — kiedy — masz ci los ! — doniesiono mu, że w cztery dni po wigilii i w cztery dni po święcie, ma być znowu Wigilia i znowu ma być Święto i Alicja znowu ma być sama, ponieważ z kolei miał się narodzić Jezus Malusienki...



Prawdę mówiąc, w tym wypadku nie istniał żaden mus ani przymus i Bijas mógł używać z Alicją ile włązło, ot, były tylko zwykłe porządkowe instrukcje o zdwojeniu czujności i nikt od Bijasa nie żądał, żeby znowu nie jadł i nie spał, ale cóż, kiedy sam chciał! Razem z Urzędowym kompletem chciał stanowczo zaakcentować, że komu jak komu, ale im nie w głowie bożenarodzeniowe jasełka, tylko twarde, żmudny, ale szaczący Plan Sześćioletni! Zmobilizowany Urząd tkwił z nim razem od pierwszej gwiazdy do całkowitej ciemności, dopóki diabelskie chmurzyska gwiazd nie zakryły, z czego zdaje się szczeniak Dzikowski był nie kontent, a Zajac zdaje się gwizdał przez zęby z premedytacją. Kogo zabrakło w Noc Wigilijną w Urzędzie, nikt nie zgadnie, Hurewicza zabrakło, który widocznie jeden jedyny potrzebował podzielić się ze swoją dziumdzią opłatkami i może nawet na pasterkę z nią pójść, chociaż nigdy dotąd nie ujawniał religijności, a do tego był prawosławny. Z nieobecności Hurewicza nacz. Bijas w Noc Wigilijną wyciągnął jedyną praktyczną korzyść, że nawet nie zajrzał do żadnego z wychodków...

Dobrze już po północy, po wigilii i po pasterce — zawiesił wreszcie czuwanie i rozpuścił senne brygady — i sam się też udał do domu, gdzie Alicja nie spała, tylko na niego czekała, zła jak osa!

Wszedł do domu zziębnięty, podbił lok, a ona mu zaraz pokazała stół wigilijny i zaraz mu powiedziała: jedz te zimne święstwa, ani mnie się śni po nocy ryb odsmażać! Jędrus już dawno zjadł i lula!

Alicja miała srogo zapowiedziane, żeby żadnej wili nie szykowała, bo sama powinna mieć tyle oleju w głowie, żeby wiedzieć, dlaczego nie; Alicja nie wytrzymała i uszykowała; była na stole ryba jedna i druga i zakrzepły barszcz z uszkami, zawijańce z makiem i zapiekańce różne, nawet figi, jednym słowem wszystko, czego prawdziwa wigilia wymaga. Oplatek też leżał na środku stołu, związany wstążeczką.

— Alicja, czy ty masz bzika, czy ty los na nas koniecznie wyzywasz?

I rozżalił się Zenon strasznie:

— Co ty sobie wyobrażasz, że ja z rozkoszy? Ja żywą krwią rzygam, żebyś ty miała spokojne życie, a kiedy ja ciebie raz o co proszę, ty to bierzesz na śmiech i ro-

bisz swoje i ciebie nic nie obchodzi, że cały Gdańsk będzie wiedział, że u Bijasów była wilia z opłatkiem! Do tego dążysz? Zabierz to wszystko won, ja niczego nie potrzebuję! Nawet o przyszłości Jędrusia nie myślisz?! Piękną mam żonę! Ja twoją odgrzewaną wilię mam wiesz gdzie?! I żebyś się nawet nie ważyła odgrzewać! Zjem, jak jest! — I zabrał się do zimnego jedzenia, bo był zziębnięty i głodny.

Alicja, ubrana na ten wieczór w przezroczystą szatę chińską wprost z Hong-Kongu — miała wpięty we włosy kwiat azalii — i zrozumiałwszy swój błąd, wysunęła spod kimona nagie ramiona i oplotła nimi szyję jedzącego Zenona.

— Ja sobie stale powtarzam, że jestem wstrętą, najgorszą żoną pod słońcem, ale przebacz mnie, Zen, bo ja się poprawię. Ja się zaraz poprawię i tobie odgrzeję, ale co do wili nie masz najmniejszej racji i grubo się mylisz, jeśli myślisz, że cały Gdańsk wie! To jest naciągnięte kłamstwo, żeby mnie tylko straszyc! Nikt niczego nie wiedział, bo ja się taitam...

Bijas (z rybą w ustach) : — Patrzenie ją, nikt jej nie wiedział, a Elżbietka to co?

Alicja : Elżbietka umie czytać, ale jest niepiśmienna, wiem na pewno.

Bijas (kończąc z rybą) : — Już naprawdę czasami człowiek robi się nerwowy, bo ty chyba z księżycą spadłaś! Elżbietka nie umie pisać?! Trzech dni by u nas nie była, gdyby nie potrafiła gryzmolić! Ile razy ja się ciebie pytałem, co ona robi na górze wieczorem, kiedy się zamyka na klucz? Modli się? Nie, siostró, pisze, jak kura patykami! I to ci mogę jeszcze zagwarantować, że wszystko co my wyprawiamy, zawiera się w teczkach takich grubych, jak stąd do Moskwy! A ty mnie mówisz, że ja grubo się myślę! Z całego serca ja tobie nie życzę takiej grubości...

Alicja zwinęła się wokół Zenona przezroczystymi ramionkami i w te pędy znalazła odpowiedź :

— Może masz rację, może ja jestem zbyt łatwowierna, ja tak ludziom zawsze ufam, ale ja coś tobie powiem na uszko... no, nachyl się do mnie... No, Zen... ktoś pana bardzo, bardzo kocha, panie Zeniu!... Zgadnąć kto?

Byłaby śmiertelna obraza, gdyby Zenon od razu nie zgadł : — Moja panna Sienkiewiczówna ! — Po czym ona, ułaskawiona, szła już bez wstrętów za swoją myślą :

— Wiesz, Zen, jednak ze względu na Jędrusia, nie powinieś się być na wilię spóźnić... Jędrus musi mieć do nas podświadomą pretensję, że w tym roku nie dostał choinki, w czym ja się do ciebie dostosowałam, chociaż mówisz, że ja z księżycą spadłam i chociaż Jędrus ma obiecaną elektryczną jodełkę na Nowy Rok, ale Jędrus nie rozumie, że choinki od jodełki nikt nie potrafi rozróżnić... Więc Jędrus grymasił, dlatego podzieliłam się z nim opłatkiem, zjadłam z nim wilię nie czekając na ciebie i — Zen — nie gniewaj się, uśmiechnij się — ot tak — dałam mu konia, którego miał dostać na Nowy Rok ! Mały ciągle się pytał o papusia, ja mu tłumaczyłam, że papuś nad Jędrusiem z daleka czuwa, mały to świetnie zrozumiał i lula. Chcesz popatrzeć na niego ?

— Owszem — rzekł Zenon — tylko daj coś kropnąć.

Kropnął większego, powąchał kwiecie azalii we włosach żony i oderwał się w środku jedzenia, żeby podziwiać synka Jędrusia.

Synek spał w łóżeczku po prostu jak Boże Dziecię, z dziobkiem rozwartym, jak boże ptaszę, piąstki miał zacisnięte na kołderce, jak mały bokser. Na puckach miał wymalowane intensywne kolorki, a złocisty loczek kręcił mu się na czółku tak, jak ojcu. Ojciec dotknął palcem kolorków, chcąc wiedzieć, czy synek nie ma gorączki. — Nie ma — szepnęła matka — chwala Bogu, zdrow jest, jak rydzyk...

Zenon głęboko odetchnął i pocałował mamusię w szyjkę. Spoglądając na cudnie uśpionego synka, naprzód się zamyślił, a potem szeptał tak :

— Wiesz, moje bóstwo, jak patrzę na ten jego miły uśmiech, mnie się zdaje, że jednak kiedyś nareszcie powinno być lepiej... Może nareszcie dojrzeje nowe pokolenie, na które jest położony specjalny nacisk, żeby się tak nie kiwało, jak my się dzisiaj kiwamy, co ani we wte, ani we wte... Nowego pokolenia, Alicja, nic nie powinno złać !... Ani żadna bomba atomowa, ani żadne strachy na lachy ! Jak patrzę na niego, mnie przychodzi na myśl, że innych mogą wykończyć, mnie też mogą wykończyć, ale

Jędrusia z nowego pokolenia już nie wykończą, wisz dla-  
czego?

— Jaki mądry jest mój Zen, mój Waligóra i Wyrwi-  
dąb!

— Nie o to chodzi, tylko mnie się zdaje, że nasz Ję-  
druś będzie tak mądry jak ten Chińczyk, który śmiał się  
stojąc w ogonku do egzekucji... Czekaj, Alicja, bo ja nie  
skończyłem... Chińczyk zaśmiewał się z obcinanych głów  
poprzedników, czekając na swoją kolejkę, ponieważ śmierć  
miał za nic i szydził z niej... Według zdania Chińczyków  
kto się śmierci nie boi do tego należy przyszłość i nawet  
nie umrze, bo śmierć jest zalotna i od kpiarzy ucieka... Nie  
bzdycz się znowu, Alicja! Ja nic złego o Jędrusiu nie po-  
wiedziałem...

— Jesteś straszny, wstrętny cynik, jeśli z Jędrusia  
chcesz zrobić Chińczyka. Odsuń się ode mnie, nic nie po-  
może, ja zaraz na głos się rozszlocham...

Zenon Bijas alicjowych szlochów w noc wigilijną, przy  
łóżeczku synka Jędrusia, nie pragnął wysłuchać za Boga!  
więc rzekł z pośpiechem:

— Klękajcie narody i patrzcie jaką mam czułą żonę,  
która się nawet z mężem nie podzieliła opłatkiem!

Na to Alicja wionęła chińską szatą i skoczyła po opłatki  
i nad łóżeczkiem Jędrusia podzieliła się. Potem objęli się  
bardzo czule i Alicja zaczęła rozpuszczać włosy. Kwiecie  
azalii ofiarowała do nóżek Jędrusiowi i zanuciła „Lulajże  
Jezuniu”... Potem oboje pocałowali synka w powietrzu  
i poszli lulu.

W szerokim, prussowskim łożu były samoczynne sprę-  
żyny, które rzucały, jak z procy...

Mimo ciężkiego dnia, Zenon Bijas nie zapomniał przy-  
gotować gwiazdki dla swojej panny Sienkiewiczówny  
i z punktu zadał jej bobu:

— Ile razy, powiedz mnie, w czasie Trylogii, mały ry-  
cerz powiedział: „Nic to!”?

Alicja leżała w dołku i była w błogim nastroju, więc  
tylko z lekka trąciła go łokciem i rzekła:

— Ty łobuzie, poczekaj troszkę, bo ja tak z punktu  
nie umiem zebrać myśli! Poczekaj, zaraz ci powiem... Raz  
powiedział, gdy się wysadzał prochami w powietrze, dru-  
gi raz powiedział w Ogniem i Mieczem, gdy uciekał od  
Tatarów z Heleną, trzeci raz powiedział... Ale Zenon! Pro-



się jesteś ! Ja się nie bawię w ilościowe pytania !... Ja też mogę się ciebie spytać, ile razy Zagłoba powiedział w Trylogii „napijmy się”, i co ty wówczas, zdechł pies !? Ja się w ilościowe pytania nie mam najmniejszego zamiaru bawić !...

Obrażona Alicja, swoim zwyczajem, nurknęła z dołka i wykręciła się tyłem.

Z takiego obrotu niezadowolony Zenon Bijas rzekł z przekąsem :

— Cacy, cacy !

Na to Alicja przewróciła się na wznak i zaczęła marzyć :

— Bo widzisz, Zenon, wszystko jest takie wstrętne... Ty się musisz męczyć i ja przez ciebie nawet w wigilię muszę się męczyć... Nie pytaj o powód, bo wiesz ! Chyba już wszyscy wiedzą, jaka wojna jest straszna, ale dlaczego jest mnóstwo takich, którzy wzdychają do wojny ? Mnie się to po prostu w głowie nie mieści, żeby po tym wszystkim co nas po wojnie spotkało, jeszcze komuś zachciewało się wojny ! To muszą być zbrojeńcy, którzy nam zazdroszczą, że nam się jako tako udało i wolą zaryzykować wszystko, byle tylko nas wymieść. Mnie to przejmuje wstrętem, i ty, Zenon, masz ode mnie moralne prawo ścigać takich zbrojeńców i żebyś po tym nie odczuwał przy mnie wyrzutów sumienia ! Ile razy idę przez ulicę Długą i przez Drzewny Rynek i patrzę, jak się wszystko zabliznia i jak się ładnie zabudowuje — tyle razy mnie się płakać chce, że mogą być tacy, którzy ten cały ogrom pracy gotowi są poświęcić dla własnej chluby, żeby nas wymieść. Dla mnie to jest wstrętne i po prostu nieludzkie, nie widzisz tego, Zen ? Ja mam przeszłość, więc mam prawo mówić... Ja sama jestem gotowa choćby dziś cisnąć bombę atomową w tych, którzy odbudowującą się Polskę chcą wymieść razem z nami ! Czy słusznie rozumiuję, Zen ? I ty wówczas nie potrzebowałbyś tracić nocy, i ja wtenczas nie potrzebowałabym się kryć z wilią i przyszłość naszego Jędrusia byłaby mniej obosieczna. Powiedz, że ja się przypadkiem nie myślę, Zen ? !

Zenon, widząc żonę na wznak, wpadł w lepszy humor, a nawet udobruchał się :

— Cacy-cacy, nic się nie bój, tak czy inaczej, wszystko się rozejdzie po kościach ! Najgorsze zmartwienie, ja-

kie nas gryzło, mam praktycznie pod kluczem, wszystko się zrobiło jak dwa plus dwa cztery, wypływamy na czyste wody, masz pełne prawo mnie pocałować.

Alicja zaraz też nabrała lepszego ferworu, podbiła mężowi lok na czole i zaświergotała : — Ty, ty, ty, dlaczego w rezultacie musisz być tylko ty i ty ? !...

— Owszem — rzekł Zenon, napęczniały dumą — bo jak przychodzi co do czego, ja zawsze się okazuję ja, ja, ja !...

Alicja знаła męża od lat, więc nie zdziwiła się i dopiero po dłuższej chwili zahaczyła go na całkiem inny temat :

— A zatem, sądząc z tego co powiedziałeś, samograj Fiodorowicza w końcu przydał się na coś ?

Tym razem Zenon Bijas spadł z księżycy, nawet nie zrozumiał o co jej chodzi, gdy się ocknął, podbił lok i w pierwszym rzędzie wyjaśnił : — Owszem...

Ale zaraz mu opadł lok (podbił lok) i jak był rozchełstany, zaczął wyłazić z łóżka.

— Co robisz ? — krzyknęła zaskoczona Alicja.

— Nic to ! — odparł Zenon Bijas.

Biedna Alicja z ciepłej pościeli do połowy uniosła kibić, chcąc widzieć, co mąż-wariat ma zamiar z kolei wyrabiać...

Patrzcie państwo ! Mąż wariat nic nie wyrabiał, tylko błądził. Doszedł do okna, obmacał okno, z okna przeszedł na ścianę, klepnął w ścianę, nie przestając klepać ściany domacał się stolika, wlaź pod stolik, obmacał stolik, klepiąc stolik drugą ręką błądził po podłodze, macał, klepał, wypinał się, a gdy mu się głowa z opadłym lokiem ukazywała w pomarańczowym świetle buńczuka, oczy jego ciachały, jak nożyczki ! Jezus Maria, co mąż znowu wyrabia ? !...

Alicja (nieśmiało i cichutko) : — Co ty, kochany Zen, masz zamiar ze mną wyrabiać ?

Zenon Bijas (stając na nogi) : — Ja nic nie chcę, ja tylko wolałem się upewnić...

Zaczął wlaźć z powrotem do łóżka, a ponieważ w międzyczasie zmarzył i od siebie odstręczał, więc z zakłopotaniem tłumaczył swojej panie Sienkiewiczównie :

— Ja się czasami myślę, ja czasami bywam zanadto przeczulony, ale ja czasami...

— Zen, zmarzłeś, jak szczur, nie mroź mnie, nawet nie przysuwaj się do mnie...

— ...ale ja wolę wiedzieć, że nam tutaj w międzyczasie nikt niczego nie wkrecił!

Alicja się zaniepokoiła: — Pójdę sprawdzić, czy Jędrus spokojnie śpi...

Zenon jej nie pozwolił: — Leż spokojnie, nie wybiegaj się, ja sam pójdę... — Jeszcze raz wstał, sprawdził i wrócił: — Śpi, jak aniołek...

— Dziękuję ci za fatywę — rzekła Alicja i wykreśliła się tyłem.

Wobec tego Zenon Bijas nie wszedł z powrotem do łóżka, tylko pokiwał głową nad zawiniętą w kołdrę panną Sienkiewiczówną, i jak był zmarznięty i rozchełstany, jeszcze raz przystąpił do okna. Niczego już tam nie macał, ani niczego nie szukał, tylko patrzył przez szpary okiennicy wprost w mrok. Owszem, ciemno było za oknem i ciemność szła z prawa na lewo, jako że cienie czarnych świerków kładły się z prawa na lewo za wiatrem, który leciał z Bałtyku... Ani gwiazd, ani chmur, nie było przez szpary widać, jedynie ciemność. Cicho było na ogół, tylko pies wył. Nie, nie wył. Kto wył? Nikt nie wył, tylko z wnętrza alkowy dochodziły wdzięczne odgłosy czystego sumienia zasypiającej tyłem azaliowej Alicji...

Zenon Bijas zapatrzył się w szparę w ciemność i — łtopies! — przypomniał sobie ulubioną poezję pułk. Sierpuchowskiego:

— *Tiomnaja nocz!... Tolko pułi swistiat po stepi...*

Podbił lok (opadł lok) i naraił sobie co innego:

— Ciemno wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie?...

Zbrzydziwszy sobie ostatecznie widok świerków, kładących się pod przemożnym wiatrem, które w każdej chwili mogły się położyć i więcej nie wstać — Zenon Bijas odstąpił od okna i zamierzył dostać się z powrotem do legowiska.

W legowisku, we śnie pogrążona panna Sienkiewiczówna starała się go nie dopuścić i wykopać — Boże ty mój! — a za co, a za co?

#### XIV.

Co to jest los ?

— Los (gdyby się spytać nac. Bijasa drugiego dnia świąt kościelnych, odpowiedziałby bez wahania) : jest bydlakiem, który upiera się, żeby człowiekowi robić na złość !

Z tą opinią w tym samym dniu zgodziłby się również bez wahania kpt. Dzikowski.

Albowiem drugiego dnia świąt katolickich w Urząd Bezpieczeństwa w Gdańsku uderzył piorun upostaciowany w nieanonsowanym powrocie z Warszawy tow. majora Rybienki.

Piorun wyskoczył nie z samego faktu powrotu (ponieważ tow. Rybienko dawno już powinien był wrócić, wiedząc, jaki się namnożył nawał spraw) i nie z tego, że zaraz po powrocie zażądał do wglądu aktów KO4 (ponieważ Urząd nie miał się czego wstydzić) — tylko z tego, że jak zaczął te akta przeglądać, gryził paznokcie i nieprzyjemnie się krzywił.

A właśnie nac. Bijas stał przy nim w pogotowiu ze swoim świetnie opracowanym schematem zamachu na całość i bezpieczeństwo Rzeczypospolitej, w którym trybik ząbał się o trybik, że ani mucha nie usiądzie...

I oto tow. major Rybienko (o sympatycznym, słowiańskim profilu, w swoim szykownym gabinecie, w którym nawet znajdowało się radio) zadrwił po prostu z losu, o czym już była mowa.

Odsunął z niechęcią akta, wytarł elegancko nos w chusteczkę i rzekł dźwięcznie :

— Ten numer wam nie przejdzie, kochany mój Bijas !

Wówczas to wystrzelił piorun, o którym była mowa.

— Jak to nie przejdzie ? Co tu jest nie podparte ? Wszystko, jak dwa plus dwa cztery ! Dlaczego nie przejdzie ?...

Broniąc się tak, Bijas już zdał sobie sprawę, że wisząc nad przepaścią chwytła się wątlých trawek.

Tow. Rybienko wszedł mu w głos : — Ja po prostu nie umiem opanować zdumienia, czy wy Bijas nie macie przypadkiem zamiaru ze mną się targować ? Jeśli jeżeli ja wam kiedy w życiu dałem znać, towarzyszu Bijasie, że numer nie przejdzie, przeszedł kiedy ? Dobrze sięgnijcie pamięcią



i powiedźcie, czy przeszedł? Nie przeszedł! A zatem weźcie na rozum i zrozumcie, że jeśli ja równemu stopniem koledze mówię nie przejdzie, kolega nie potrzebuje się wysilać, ponieważ nie przejdzie. Tak ono i jest!

Nacz. Bijas (z zezem) : — Mnie się to ciągle nie mieści...

Tow. Rybienko (z chustką przy nosie) : — Nie bierzcie do siebie, Bijas, ale dlaczego wam się nie ma zmieścić? Feler polega na tym, że ja ot, zakatarzyłem się w awionetce i swędzi mnie w muszlach... A wy, Bijasie, weźcie się raz w kluby i zrozumcie, że w Gdańsku jest jedna racja, a w Warszawie może być druga racja. Tak ono i jest.

Nacz. Bijas (biorąc się w kluby) : Jest druga racja?

Tow. Rybienko (z uśmiechem) : — Tak ono i jest. Jak ja was poduczałem przed moim służbowym wyjazdem? Poduczałem was po koleżeńsku : nie dotykajcie sióstr! Nie pchajcie się pod siostry, ja wam radziłem. Ale czy wy mnieście posłuchali, towarzyszu Bijas? Zaledwie rzuciłem okiem na wasz gruby wysiłek, nie miałem żadnych złudzeń, że wyście, Bijas, wleźli na siostry waszymi kopytami, zaraz po moim odjeździe uczyniliście to. A ja was prosiłem! Przykre, ale tak ono i jest!

Nacz. Bijas (głośniej, niż należało) : — Kto wlaź? Ja? Ja ślepo poszedłem za waszą instrukcją i ja najspokojniej trzymam siostry w poleconym kociołku, gdzie nikt bez mojej wiedzy nie ośmieli się ich palcem tknąć...

Tow. Rybienko (śpiewnym głosem) : — Bijas, Bijas, czy wy macie specjalne pozwolenie na filozofowanie, ja pytam się was? Jeśli nie macie i jeśli ja wam przed służbowym wyjazdem z koleżeńskiej zyczliwości wspomniałem o kociołku, to co ja mogłem mieć na myśli? Mogłem mieć na myśli serdeczną opiekę, roztoczoną nad siostrami. A wy, Bijas, dokądście zaszli? Wywiad pod siostry, technikę pod siostry wsadziliście, kto do nich z przyjaźni zaglądnął, tego braliście! Nie przeczcicie, bo tak robiliście. Wyście pomylili kociołek z kotłem, poplątaliście, i jeżeli wy, Bijasie, macie zamiar utrzymać się, powinniście przestudiować, jaka jest różnica między kociołkiem a kotłem. Ja wam wyraźnie tłumaczyłem, że pod siostry ma iść kociołek, a nie kociół. A wy nie pojęliście i co mnie teraz

wypada z wami zrobić? Wiecie przynajmniej kto to jest tow. Radkiewicz?

Bijas (wiedząc) : — Wiem.

Tow. Rybienko : — Ze względu na waszą dobrą wolę, ja powiem wam, żeby raz z wami skończyć, Bijas. Powiem wam szczerze, jak było, żebyście sami mogli ocenić, czy ja was się czepiam, czy ja wam pomagam z dobrego serca. W Warszawie — wiecie gdzie jest Warszawa? — zaprosił mnie do Ministerstwa na konferencję pomyślcie kto? — to, to, nie mylicie się, tow. minister Radkiewicz! Nie przerażajcie się tak znowu natychmiast, Bijas, bo nie ma jeszcze co. Tak samo się jeszcze nie przerażajcie, jeśli wam powiem, że pierwsze zapytanie tow. Radkiewicza poszło po linii, co jest właściwie ze śledztwem KO4? Ja go nie wiele mogłem objaśnić, objaśniłem tylko, że jestem służbowo w Gdańsku nieobecny, ale nie żywię obawy, ponieważ śledztwo spoczywa w czujnych rękach majora Bijasa. Nie przerażcie się, Bijas, ale tow. Radkiewicz wziął ołówek i zanotował wasze nazwisko. Naprawdę nie macie powodu się płoszyć, bo tow. Radkiewicz, dając wam słowo, był krotocwilny i notując wasze nazwisko, jednocześnie częstował mnie papierosem. Widzicie, Bijas, że ja hopków z wami nie robię, tylko wam wszystko szczerze i po przyjacielsku komunikuję. Tak ono i jest. A więc tow. Minister pogratulował mnie i przy okazji wypowiedział następujące słowa. Oto jego słowa : „Ja, tow. Rybienko, podziwiam pańskie czucie, że pan nie pozwolił sióstr brać, ponieważ siostry są małe płotki, jeśli nawet przepłyną, nasza Polska i tak nie utonie!” Zrozumieliście nareszcie, Bijas, że tak ono i jest?! Zatem weźcie na rozum i domyślcie się, dokąd waszym zdaniem siostry dotarły, że aż sam tow. Minister zechciał zainteresować się? A, Bijas?

Bijas (biorąc na rozum i gorączkowo grzebiąc w aktach KO4) : — Moim zdaniem zainteresowanie wzięło się z tej fotokopii, bądźcie łaskawi wziąć do ręki i rzucić okiem, oto jest właśnie fotokopia listu sióstr do Hanecki...

Tow. Rybienko (czytając) : — To, to, to! Tak ono i jest!

Bijas (kręcąc szyją) : — Wobec takiego nieprzewidzianego obrotu sprawy, co ja powiem Górze, która jest zawiadomiona, że praktycznie wszystko siedzi pod kłuczem?

Tow. Rybienko (ze smutkiem) : Co ja wam na to mogę poradzić? Szukam w głowie i nie wiem jakby was wyciągnąć z tej łaźni? Czekać! Byliście kiedy w Tatrach?

Bijas : — Byłem w Zakopanem...

Tow. Rybienko (ucieszony) : — Byliście? To, to, to! A zatem nie obce są wam Kozie Wierchy? Znać? A zatem wiecie, że Kozie Wierchy są małe wobec Gubałówki, a znowuż Gubałówka jest mała wobec Turni, a Turnia mała wobec Regli, a Regle są małe wobec Giewontu! Pojęliście? Góra z górą się zejdzie, ale góra górze nie równa. Doszło waszego mózgu, Bijas, czy mam was jeszcze objaśnić, że w Warszawie są większe góry, niż w Gdańsku...

Bijas (w lepszym humorze) : — Ja was zawsze podziwiałem, majorze Rybienko, za waszą smykałkę do tłumaczenia rzeczy na pozór skomplikowanych, a po waszym wyjaśnieniu natychmiast się prostujących. Jestem naprawdę pełen podziwu i nawet wam nie umiem okazać mojej wdzięczności. Dziękuję wam i korzystając z waszego powrotu, w danym wypadku ja was proszę o konkretne na przyszłość instrukcje, żeby raz na zawsze zlikwidować bolesne i niedozwolone z mojej strony omyłki...

Tow. Rybienko (znowu z chustką przy nosie) : — Oto nareszcie doczekałem się, że mój Bijas mówi, jak Bijas! Tak ono i jest. Praktycznie biorąc, co ja wam mogę poradzić? Chcecie, żebym wam poradził? Ja wam poradzę! Ja wam radzę, weźcie na kiel! Przelamcie się! Połowę tych aktów KO<sub>4</sub> weźcie i kińcie do Archiwum. Wyeliminujcie ze śledztwa siostry, jakby ich w ogóle na świecie nie było. Ja wam nie mówię jak zwierzchnik, ale jak przyjaciel. Mnie jest was naprawdę uczciwie żal. Ale prócz tego, co wam poradziłem, ja nie umiem wam niczego więcej poradzić, oprócz jednego, że wy, Bijas, musicie zabrać się do śledztwa od nowa!... Tak ono i jest!

Bijas : — Dziękuję wam serdecznie \*) tow. Rybienko za życzliwą radę, ale ja z punktu ostrzegam, że jeśli mam się zabrać od nowa, ja z punktu muszę zwolnić Lubańskiego, bo Lubański za bardzo się przyzwyczaił do sióstr i jeśli się go o byle co spytać, on z miejsca pomiata siostrami na prawo i lewo, a po upływie dłuższego czasu trudno byłoby Lubańskiego od tej nawyczki odczytać. Wobec

\*) — Łciępies!

powyższego ja uprzedzam, że musi być zwolniony Lubański, żeby nowemu śledztwu on nie podbił nóg.

Tow. Rybienko : — Ot i widzicie, ot i doczekaliście się ! Ja wam właśnie, celem uniknięcia podobnych nieprzyjemności, ja wam, Bijas, od początku zalecałem kociołek, a nie kocioł. Nie posłuchaliście ! No to cierpcie ! Jeśli nie możecie, to go puśćcie...

Bijas : — Wy, majorze Rybienko, naprawdę wchodzić w położenie i macie głębokie zrozumienie dla potrzeb, bo ten nasz naród przez tyle wieków był gniesiony...

Tow. Rybienko (z suchym kaszlem) : — Macie talent. Piszcie wiersze. Ale pamiętajcie, że jeśli koniecznie musicie go puszczać, przeproście go za omyłkowe przykrości, niech się nie czuje urażony i postarajcie się go zwerbować. Zwerbujcie go.

Bijas (z szerokim uśmiechem) : — Zwerbujemy go, ale nie obrażcie się tow. Rybienko, mnie się przypomniła pierwsza lekcja na PPP...

Tow. Rybienko (wycierając się po kaszlu) : — Jestem ogromnie usatysfakcjonowany, że mojemu Bijasowi nareszcie się przypomniało PPP, a zatem nie zwłóćcie tylko rażno bierzcie się do czynności. Bijas ! Ja na was liczę ! Z górki na pazurki ! Żebym znowu nie potrzebował za was wachać ! Tak to ono i jest !

Bijas (już we drzwiach, podbiwszy łok) : — Towarzyszu Rybienko, ja wam jestem niewymownie wdzięczny, że nie bacząc na przeziębienie pofatygowaliście się do Gdańska, żeby się ze mną podzielić waszym doświadczeniem i samowiedzą. Ja tę socjalistyczną koleżeńskość ogromnie u was cenię, ale pozwólcie mnie wykorzystać was do końca. Jeżeli ja wyeliminuję siostry, skąd ja powiem że pochodziła drabina ?

Tow. Rybienko : — Ja się zaczynam bić z myślami, czy wy przypadkiem, Bijasie, nie jesteście maruda ?

Bijas (z otwartymi ustami) : — Kto ? Ja ?

Tow. Rybienko : — Wy, Bijas, o ile jestem poinformowany, pobraliście katolickie wykształcenie, a zatem lepiej powinniście się orientować w drabinach, niż ja. Ja nie bardzo pamiętam, ale może wy sobie ładniej przypomnicie, skąd pochodziła drabina Jakuba ? Jak sobie przypomnicie, dajcie mnie znać. I nie marudźcie, a zaczynajcie od nowa !

Nacz. Bijas z pełną pachą aktów KO4 wymeldował się



i poleciał pędem korytarzem do miejsca pracy. Zatrzymał się przed drzwiami. Krzyknął, żeby mu dano Dzikowskiego.

Dzikowski, z samej miny nacz. Bijasa połapał się, że z losem jest źle.

Nacz. Bijas : — Szanowny panie Dzikowski ! Miło mnie jest pana widzieć w kwitnym zdrowiu. Na twarzy panu przybyło, znak że się panu dobrze powodzi. Jak z tego widać, nie może się pan na mnie skarżyć, żeby ja pana tępił, albo ja panu dokuczał ? ! Dzikowski ! Mnie wstyd po prostu powiedzieć, co ja za to z was mam ? ! Przysłałście się do siostr, jak żartok, nie dla żadnej idei, tylko z małostkowej złości, boście sobie zafajdali opinię przez waszą sławną Ziemowitową i wyście zapragnęli odgryźć się na siostrach, ja was znam !... Nic mnie nie mówcie, bo ja was absolutnie nie jestem ciekawy !... Ja wam, Dzikowski, w tej chwili urzędowo komunikuję, że jeśli wy kiedy siostry w życiu spotkacie, macie przechodzić na drugą stronę ! Siostry są poza nawiasem i są czyste, jak kryształ ! Zrozumieście, czy wam potrzeba dodatkowych objaśnień ? Od siebie wam mogę dodać, że przez waszą małostkowość, ja muszę wasze ekscesy językiem wylizywać !... Nie śmiejecie się, jak idiota, bo nie macie się z czego śmiać ! Wkrótce będziecie płakać ! Weźcie notes i notujcie !... Notujcie, wam mówię, bo wam jednym uchem włazi, a drugim wyłazi ! Notujcie : zwolnicie Lubańskiego. Powiecie mu tak : Lubański, jesteście wolni, nikt wam tutaj nie miał zamiaru zrobić żadnej krzywdy... Zanotowaliście ? Notujcie dalej : ...ani żadnego świństwa. Gdyśmy się przekonali, że urodziliście się w Kowlu, doszliśmy do konkluzji, że mówicie szczerą prawdę. Ostrzegamy was jednak (notujcie ! ja wam radzę notować staranniej !), że wam raz uchodzi na sucho szabrowanie pończoch z najlonu i oszukiwanie w ten sposób naszych władz ludowych, ale drugi raz wam nie ujdzie ! Już zanotowaliście ? I powiecie mu jeszcze tak : Niech Bóg się wami opiekuje, ale też niech Bóg was strzeże, żebyście mieli zdradzić jaką znaną wam tajemnicę Polski ludowej, na którą wróg czyha ! Dajcie Lubańskiemu do podpisania, a potem go weźcie i zwerbujcie. Dajcie mu numer i powiadomcie sekcję. Powtórzcie na podstawie waszych notatek, co macie uczynić z Lubańskim ? Ruszajcie się żywiej, Dzikowski !

Kpt. Dzikowski żywo odczytał notatki i jeszcze żywiej rzekł :

— Obywatelu Majorze, ja mam wrażenie, że myśmy wpadli, jak śliwka w gie !...

Nacz. Bijas (cierpko) : Dzikowski, ja u was nie pierwszy raz zauważam manię używania liczby mnogiej, zamiast pojedynczej. Ta śliwka do jamy ustnej wam kiedy wpadnie i będziecie mieli zgryz ! Macie jeszcze jakie inne obiekcje ?

— Dzikowski: — ... \*)

Nacz. Bijas : A zatem idźcie i róbcie !

Dzikowski : — Mam jeszcze jedną obiekcję. Co my teraz zrobimy ?

Nacz. Bijas (z zezem) : — My sobie poczytamy o Stalingradzie i *my*, panie Dzikowski, zaczniemy od nowa !... Ale czekajcie !... Jeśli wy tak gorąco się napraszacie, wy Dzikowski, po zwolnieniu Lubańskiego, pospieszcie mnie i zawiadomcie mleczarza Pikutka, żeby zaczął donosić mleczywo waszej Ziemowitowej, bo jej ciężko bez mleka ! Jazda, Dzikowski ! Won !

Po odejściu do wyznaczonych czynności zachmurzonego Dzikowskiego, nacz. Bijas poprawił sobie humor uczynioną „ad hoc” obserwacją, mającą nawet pewien związek ze starożytnością :

Jeśli bowiem — zaobserwował — fizyk Newton odkrył siłę ziemskiego przyciągania patrząc na spadające jabłko — on, naczelnik Bijas, odkrył siły ziemskiego gniecienia, patrząc na opadłego Hurewicza !

Cichostąpski Hurewicz jak tylko zoczył długonieobecnego Rybienkę, zgryzł się, co mógł łatwo zauważyć nie tylko Bijas, ale pierwszy lepszy ubik z Urzędu ! Długa bytność Rybienki w Warszawie i wątpliwość z czym powrócił do Gdańska, do tego stopnia przygnębiła Hurewicza, że zrobił się grzeczny i natknąwszy się na byle ubika nie plął, ani nie sykał, tylko mówił przepraszam ! Na podstawie tej obserwacji, nacz. Bijas sformułował prawo ziemskiego gniecienia : „Równowaga świata polega na warstwowym gniecieniu : gdy Hurewicz z kolei posiedzi w Warszawie i wróci do Gdańska, Rybienko zrobi się grzeczny i zacznie przepraszać !”

---

\*) — Łciępies !

Ale rzeczywistość, jak zwykle, nie teorii, lecz zrywu od Bijasa żądała!

Zawezwał Zająca i kazał mu siostry jeszcze raz jak najdelikatniej wywabić, ażeby Technika była w stanie wybrać ten znakomity samograj. Niedospany i przepracowany, istny aktywista — Zając stawił się na rozkaz z gotowym ekstraktem z 40-tu szpulek i zdziwił się, że za wszystkie znoje, prace, otrzymał od nacz. Bijasa „twaspies!” wraz z krótkim pouczeniem, jak ma się znaleźć, żeby być jak najszybciej za drzwiami! Ot los!...

Po odprawieniu Zająca, nacz. Bijas niechętnie przejechał palcami po aktach KO4, oraz rzucił okiem na rulon ekstraktów z 40-tu szpulek. Bez żadnej ciekawości, jednym okiem tu i ówdzie wyczytał: Głos A. : — *Kto posyła truciznę, sam się też powinien otruć...* Na innej szpulce głos D. : — *...dlaczego serce nie pęka?...* Na którejś dwudziestej siódmej szpulce głos D. : — *Mam królika, co wszystko polyka, wczoraj zjadł zapałkę i obrazek z królową, a jutro to pewnie zdechnie... Ale nie na pewno!*

Bijas z niesmakiem odwrócił oko, bo absolutnie nie był ciekawy zającowych wypocin, i zastanowił się, co też wypada mu zrobić? Czy pójść za radą Rybienki i spławić do Archiwum, czy spuścić wodę?! Uznał, że lepiej w wodę! Bo niby dlaczego — za jaki rok, kiedy jego tutaj nie będzie, jakaś swołocz ma zerwać na cudzym i na podstawie jego zasług nad siostrami się pastwić? Całkiem słusznie: w świeżym porybienkowym zdenerwowaniu wziął i podarł zającowe ekstrakty na drobne gwiazdki.

Podarłszy, ułożył gwiazdki w stożek na szklanej podstawie kałamarza, upchał i podpalił zapałką. Podpalał kilka razy, albowiem gwiazdki kiepsko się paliły i w niektórych miejscach gasły, a czas naglił, bo istniało ryzyko, że Rybienko albo Hurewicz zjawi się nie w porę. Podsycał palenie, a potem dmuchał, żeby prędzej wytłwały, a gdy się wytłwały, zsypał je sobie w kieszeń. Wówczas udał się za własną potrzebą. W ekskluzywnym wychodku, zapiąwszy się na haczyk, popiół i gwiazdki wytrząsnął z kieszeni gdzie trzeba i dwa razy raz za razem, spuścił wodę. Ani śladu ani popiołu nie pozostało z gwiazdek. Uspokoił się i udobruchał, ponieważ wychodek błyszczał, jak szkło, nie było ani jednego chemicznego dwuwiersza i ani jednego na ścianie obskurnego wyzwisła!

Wrócił Bijas do swojej mordowni, podjął linijkę z biurka i zaczął podbijać lok :

— Za-czy-na-my-od-no-wa-A-li-cja !

## XV.

Zającowe szpulki zwrócono Technice do zmazania, aby mogły służyć na inny raz — siostry przez tegoż Zająca zostały wywabione i samograj zgrabnie wyjęty — cacy, cacy, ale co dalej ? !

Jeśli dzięki podskórnym chodom siostry spłynęły bokiem, gdzie należało szukać jądra, o które tak namolnie dopominała się Góra ? Dobrze Rybience mówić, że góra z górą się zejdzie i że góra górze nie równa — ale dla zguby takiego tatarnika, jak Bijas, nie koniecznie potrzeba lawiny z Giewontu, wystarczy śnieżka z Kozich Wierchów...

Po wyeliminowaniu sióstr, po wyeliminowaniu Lubańskiego, po wyeliminowaniu *eo ipso* kapitana Wupe — w namacalnym zasięgu pozostawał jedynie bryk Fornalski, i ewentualnie brat tego Fornalskiego, Fornalski — cała drabinowa zbrodnia zaczynała się i kończyła na Fornalskich. Bijasa rozpacz ogarniała, ponieważ sam widział mgłość tak opracowanego schematu i nawet wstydziłby się iść do prokuratora z samym tylko Fornalskim ! Ale jak tylko zaczynał macać szerzej, zaraz dotykał się sióstr i musiał cofać rogi, jak ślimak, który się dotknie przeszkody. Za każdym cofnięciem czuł do sióstr taką samą anę, jak Dzikowski...

— Ot los !...

Ale nie miał racji ani Bijas ani Dzikowski, jeśli losem poniewierali, ponieważ los może być bydłkiem, lecz tylko do pewnego stopnia: Tak się wkrótce zdarzyło :

Po zwerbowaniu Lubańskiego, który wypadł z Urzędu, jakby się trenował w bieganiu — ob. Dzikowski zawiązał się i rzekł sobie : Nie ma na świecie tak dobrze !

I miał stuprocentową rację ! Działo się to między Bożem Narodzeniem a Nowym Rokiem. Po gołoledzi przysza mgła i roztopy. Wiatry nadjechały z północo-wschodu.

Czujka, krążąca w rejonie żywoplotu pewnego domu na skwerze Kościuszki, skąd przed kilku miesiącami został wyjęty, jak kleszcz, autentyczny szpieg amerykański na-



zwiskiem Ignacy Woźniakowski, skrzypek z zespołu „Pomorze”, który, jak sam się przyznał, amerykańskiemu konsulowi dostarczał informacji natury militarnej i ekonomicznej ze szczególnym uwzględnieniem naszych przyjaciół radzieckich — krążąca czujka na skwerze Kościuszki tuż przed Nowym Rokiem dała pisemnie znać :

...czujność. O godz. 23 przy żywo płocie wymienionego domu, zauważyłem osobnika w wojskowym szynelu. Ponieważ nikt mnie więcej nie mijal, skoncentrowałem się na tym przechodniu i zaobserwowałem, że on był zawiany z WOPu. Przepuściłbym go bez wzmianki, gdyby wzmiankowany wojskowy nie stanął przed wymienionym żywopłotem. Skoncentrowałem na nim czujność i zauważyłem, że wyjął z kieszeni pudełko papierosów i zaczął na stojąco zapalać papierosa. Jak wyjmował, zaobserwowałem, że papierosy były „Bałtyk”. Też nie uważałbym tego za godne wzmianki, gdyby zawiany wojskowy nie cisnął z ręcznie pudełka za żywopłot i gdyby nie puścił się w dalszą drogę szybkim krokiem. Mając badać każdą poszlakę, przebiegłem przez żywopłot w poszukiwaniu rzuconego pudełka. Zaświeciłem latarką po wszystkich zaspach, ale rzucone pudełko gdzieś wsiąkło, jakby nie było rzucone, chociaż na własne oczy widziałem, że było rzucone. Swieciłem w podłoże żywopłotu nawet dość długo, aż nagle w rozkiszłym śniegu zauważyłem ślad męskiej podeszwy. Zelektryzowałem się i puściłem się na przegląd wymienionego domu, ale ponieważ w tym domu nikt oficjalnie nie mieszka i jest do dyspozycji, znalazłem wszystko na glucho. Zatem ja szybko przedostałem się powrotnie za żywopłot i pobiegłem w ślad tego wojskowego, który rzucił pudełko, które znikło. Nie dogoniłem go, ponieważ gdzieś skręcił. Ale sobie uprzytomniłem, że płaszcz był wopowy, zatem skierowałem się pośpiesznie do koszar WOPu i tam w bramie się wylegitymowałem i spytałem, kto wszedł? Po wylegitymowaniu mnie, oficer służbowy objaśnił mnie, że nikt nie wszedł, tylko sierżant Władysław Rym z 3-ciej kompanii, ale on miał formalną przepustkę do godziny 24-tej. Natychmiast zanotowałem i jak najspieszniej wróciłem do powierzonego mnie rejonu, ale tam nic więcej nie zauważyłem, chociaż szukałem jeszcze raz, ale na próżno. Mnie się nie wydało, aby pudełko od papierosów „Bałtyk” mo-

*gło się w błocie roztopić, dlatego szukałem do godziny druga minut 15, ale nie znalazłem. Następnie wzbudzili moją czujność dwaj inni zawiani w płaszczach z lotnictwa, ponieważ jednak nigdzie nie stanęli i nie...*

Ten meldunek (jakich podobnych co dzień napływa do Urzędu tysięcy, albo i więcej), pochodzący od czujki, stawianej w rejonie domostwa dawno już gryzącego ziemię Ignacego Woźniakowskiego — dostał się drogą służbową do rąk Dzikowskiego, a ten, jak meldunek przeczytał, zmienił wyobrażenie o losie! Na kilka dni przed Nowym Rokiem wpadł, cały rozogniony, do gabinetu nac. Bijasa, który właśnie kończył łajać ppor. Zająca za ślamazarstwo.

Dzikowski (dyszząc) : — Obywatelu Majorze, klucz od drabiny mam w garści!

Nacz. Bijas (spokojnie do Zająca) : — Ja nie lubię być krukiem, ale jeśli wy się, Zając, nie podciągniecie, wam później może być ciężko w życiu. Brzydniecie mnie, Zając! Spłyńcie mnie z oczu.

Nacz. Bijas (po odmeldowaniu się Zająca) : — Was coś gryzie, Dzikowski, rzucacie się jak wesz na grzebieniu, dlaczego wy, Dzikowski, unikacie odwyszalni? Nie możecie spokojnie zameldować, o co wam się rozchodzi?

Dzikowski nie dał się tym łatwo zbić, dał Naczelnikowi raport do wglądu, a gdy ten czytał, Dzikowski rozwałkował po porządku :

Naprzód rozwałkował polskie gie i neapolitańskie fijołki, potem rozwałkował znaczki pocztowe i ping-ponga, rozwałkował renegata Olesia i zbrojeńca Fornalskiego i doszedł do produktów żywnościowych z kategorii bonów i do skrzydeł motylich, dostarczanych siostrom...

Nacz. Bijas właśnie skończył wgląd i rzekł, jak na niego, niezwykle ostro :

— Komu się maci? mnie czy wam? Zapowiedziałem wam, czy nie, że z siostrami macie być na dystans? ! Czy ja dla was muszę układać specjalny słownik? Jesteście cacus! Nie bróńcie się! Jesteście! Zostawcie mnie coście przynieśli i żebyście natychmiast wsiąkli! Wsiąkajcie! Ja chcę widzieć, jak wy wsiąkacie! Migiem 15 won!

Taką niezwykłą u nac. Bijasa ostrością dezorientowany obyw. Dzikowski, nie wiedział co zrobić, więc wy-

szedł i zaraz po wyjściu powrócił do ujemnej opinii o losie... \*)

Nacz. Bijas nie był żaden cymbał i jaśniej uprzytomnił sobie wizję nowego schematu śledztwa KO<sub>4</sub>, niżby to było w stanie uczynić stu Dzikowskich, miał już w mózgu nowe dwa plus dwa cztery, trybik w trybik, żadna mucha nie usiadzie !

Po wypłoszeniu Dzikowskiego, zasiadł bez marudzenia przy biurku, nie zezwolił nikogo wpuszczać — podbił lok — i pierwszy etap nowego śledztwa rozpoczął od wyczyszczenia aktów KO<sub>4</sub> od zbędnych naleciałości, przede wszystkim od sióstr. Bez ceregieli wyrznął z aktów wszystko, co miało do czynienia z siostrami, z Wupem włącznie. Po tej operacji, podbił lok, i zaczął konstruować nowy, lekki, przejrzysty schemat, trybik w trybik, mucha nie usiadzie...

Nowy schemat dla Prokuratora Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej na Województwo Pomorskie w sprawie zamachu na całość i bezpieczeństwo Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej formułował się tak :

*...Wstępnie zostało przez nas ustalone, że w nocy z 15-go na 16-ty października rb. ręce nieznanymi sprawców przystawily drabinę pod KO<sub>4</sub>, ale sprawcy celu nie dopięli i się ulotnili. W 3 dni później powołany nasz Urząd wiele śladów zastał już zatartych, tym niemniej, po drobiazgowo przeprowadzonym śledztwie, Urząd ustalił co następuje :*

A) Zamach był inspirowany. B) Początek jego datuje się od chwili gdy szef z F. Dzierżyńskiego Jan Bolesławski namówił kolegę Fornalskiego i pozostałych trzech utajonych wrogów Polski Ludowej, aby wspólnie dokonać aktu dezercji w Ameryce Południowej (w załączniku : zeznania of. pol. K. Pieniążka i Al. Fornalskiego). C) Owego Al. Fornalskiego, jak również jego brata z Dzierżyńskiego, znał z czasów szkolnych sierżant WOPu, przodownik wyszkolenia politycznego i bojowego, ochotnik do prac budowlanych i członek Redakcji Gazetki Sciencej Władysław Rym (w załącznikach meldunki por. C. Gacha).

\*) Dzikowski był człowiek młody, więc w rozgoryczeniu nie wziął pod uwagę, że o naczelniku Bijasie można wydawać najrozmaitsze opinie, z wyjątkiem tej, że był cymbał.

D) Ten sierżant W. Rym, o którym swego czasu dość głośno było w „Żołnierzu Polskim” z datą wrześniową, pochodzi jednakowoż z rodziny kulackiej, od dłuższego czasu dźwiga na sobie ciężkie plamy, między innymi stale przy żołnierzach porównuje on Polskę Ludową do ekskrementów, a cały zachodni imperializm określa mianem fijołków...

(Przeczytawszy napisane, nac. Bijas poczuł niesmak i przekreślił ostatnie zdanie, zmieniając na : )

...a do całego zachodniego imperializmu odnosi się afirmatywnie (w załącznikach : meldunki por. Gacha, K. Pieniżka i kpt. Dzikowskiego). E) Sierżant Rym od dłuższego czasu był pod obserwacją przełożonego por. C. Gacha i kapralów aktywistów H. Otto i R. Rumianka, którzy jednogłośnie doszli do przekonania, że sierżant Rym ma mętne cele na widoku (załączniki Nr 204, 316 i 318). F) Wymieniony sierżant W. R. pod pokrywką handlu znaczkami pocztowymi (co już samo przez się podpada pod kodeks karny) utrzymywał bliskie kontakty z zagranicznymi marynarzami, z których większość jest na żołdzie amerykańskim. G) Pozornie niewinna wymiana znaczków pocztowych w czasie grania w ping-ponga umożliwiała tak samo na znaczkach, jak i na kopertach, wypisywanie wszystkiego, co się żywnie podoba i w ten sposób torowanie drogi wywiadowi amerykańskiemu. H) Ponieważ sierżant Rym z natury swego stanowiska i funkcji miał łatwy dostęp do tajemnic państwowych, więc posiadał obfite dane (w załączniku : zeznania sierżanta W. Ryma \*) ) Sierżant W. R., zionąc nienawiścią do osiągnąć Polski Ludowej i będąc za to sowicie opłacany (w załączniku : meldunek por. Gacha o życiu nad stan), dał nieskazitelną opinię marynarzowi Fornalskiemu, dzięki której ten ostatni otrzymał przydział na ss. „F. Dzierżyński” (patrz listę osób polecających zbiegłych dezertersów, gdzie przy nazwisku Fornalski figuruje także nazwisko Rym). J) Za tę cenę W. Rym zobowiązał marynarza Fornalskiego, aby skłonił brata Aleksandra, żeby ten przyjął misję, która jeśli się uda, obydwaj bracia będą opływali w dolary (Zeznania W. Ryma

\*) Zeznań sierżanta W. Ryma nac. Bijas jeszcze nie miał, ale nie wątpił, że jutro, najdalej pojutrze, będzie je miał.



i Al. Fornalskiego \*). K) Na podstawie fachowych wskazówek, udzielonych A. Fornalskiemu przez sierżanta Ryma, który był zapoznany z terenem — stumaniony Al. Fornalski w nocy z 15-go na 16-ty października ukradł pierwszą lepszą drabinę \*\*) i przystawił ją pod KO4 w momencie, kiedy na podstawie Ryma wiedział, że Oficer Służbowy por. Cezary Gach będzie zajęty z drugiej strony (Raport por. C. Gacha w Książce Raportów WOPu wraz z uzupełnieniem). L) W trakcie tej nikczemnej roboty Al. Fornalski splotzył się, porzucił drabinę i postanowił bryknąć z pustymi rękami, ale został schwytany na szwedzkim okręcie Gotland właśnie przez omawianego sierżanta Ryma.

W tym miejscu nac. Bijas namarszczył się, kilka razy podbił lok i po chwili kontynuował :

M) Na pierwszy rzut oka własnoręczne złapanie Al. Fornalskiego przez współnika W. Ryma brzmi wręcz nieprawdopodobnie, ale było spowodowane tym, że czujny por. Gach, dowódca plutonu, miał właśnie zamiar osobiście sprawdzić komin i gdyby nawet sierżant Rym stwierdził, że w kominie nikogo nie ma, był zdecydowany jeszcze raz sprawdzić komin (Odnosnie zeznania por. C. Gacha \*\*\*). N) Wobec czego Rym zobaczył, że wszystko stracone, więc wolał sam się przynajmniej ocalić, dlatego własnoręcznie wyciągnął Al. Fornalskiego z komina, uprzedzając por. Gacha. O) Zdemaskowanie i przyznanie się do winy W. Ryma zbiegło się dodatkowo z obserwacją, uczynioną przez wyznaczoną przeze mnie czujkę, zobowiązaną krążyć w rejonie pomieszczenia słynnego agenta amerykańskiego, skrzypka z zespołu „Pomorze”, Ignacego Woźniakowskiego, o którym szczegóły znajdują się w Wojskowym Sądzie Rejonowym wraz z wyrokiem i aktem zgonu, oraz w całej demokratycznej prasie. P) Ta wyznaczona przeze mnie

---

\*) Dotychczas zeznania bryka Fornalskiego szły raczej w kierunku sióstr, ale nac. Bijas nie wątpił, że schwytany przez Ryma Fornalski, bardzo chętnie wymieni siostry na Ryma i definitywnie się przyzna.

\*\*) Z określenia „pierwsza lepsza drabina” nac. Bijas był bardzo kontent, ponieważ w ten sposób została zbagatelizowana drabina i nikt nie miał podstaw czepiać się sióstr.

\*\*\*) Odnosne zeznanie nac. Bijas bez najmniejszych trudności jutro będzie miał.

czujka stwierdziła (w załączniku : meldunek czujki), że niejednokrotnie przeze mnie wymieniony Rym, nie kontentując się informacjami, pisanyymi na znaczkach pocztowych, znalazł dodatkową składnicę meldunkową w czujnie przez nas pilnowanej b. posiadłości zlikwidowanego Woźniakowskiego, dokąd rzucał niby to puste pudełka od papierosów, a w istocie zapisane od deski do deski. R) Zaobserwowany ślad męskiej stopy na zaspie, przy równoczesnym zniknięciu rzuconego pudełka, stanowi świadectwo, że pudełko z informacjami W. Ryma zostało natychmiast podjęte przez trzecią osobę, skąd wypływa logiczny wniosek, że banda Woźniakowskiego, mimo zlikwidowania prowodyra, wciąż jeszcze posiada korzenie, do których zalicza się Rym. S) Ponieważ wypytany o powyższe W. Rym daje dwuznaczne odpowiedzi\*), dlatego wobec tego w tej sprawie zarządziłem oddzielne śledztwo, które będzie prowadzone aż do skutku. T) Kontakt sierżanta Ryma z bandą zlikwidowanego Woźniakowskiego tłumaczy się jeszcze tym, że...

Nacz. Bijas starannie opracował punkt X, Y i Z, a gdy skończył, sam się zdziwił, że mu w sam raz starczyło liter alfabetu i zabawnym trafem nie potrzebował bisować. Poczytał to za dobry omen.

Odstukał na wszelki wypadek linijkową biedę i kazał się meldować do majora Rybienki.

— Towarzyszu Majorze, rzekł mu, ja na ogół nie jestem przesadny optymista, ale wglądnicie i stwierdźcie, bo moim zdaniem mucha nie usiądzie... Wypowiedźcie mnie swoją opinię, a ja wam później powiem mój szkopuł...

Tow. Rybienko chętnie wziął się za schemat, pokręcił się nad nim, podumał i nareszcie zaopiniował z namysłem : — Tak to ono i jest !...

Podniecony nacz. Bijas : — Jak dwa plus dwa cztery ! Ale ja, nauczony smutnym doświadczeniem nie zawsze wierzę w arytmetykę i wolę się was poradzić i z góry powiedzieć wam, co hamuje mój zapał. Powiem krótko. Mnie się robi zimno i gorąco, ponieważ bowiem jeśli Haneczka Aninowska okazała się wszechmocną wobec praktycznie

---

\*) Nacz. Bijas był przekonany, że sierżant Rym w tym zasadniczym punkcie zechce się jutro plątać, dlatego wołał z góry uprzedzić.

już załatwionych siostr, ona w równej mierze może się okazać wszechmocną wobec Ryma, który, jak wynika ze śledztwa, przystawiał się do niej, jak dwa plus dwa cztery! W takim zaś wypadku, weźcie to pod uwagę majorze Rybienko, ja znowu z kolei będę zmuszony do eliminowania ze śledztwa Ryma na podobieństwo siostr. Co mnie wówczas zostanie? Praktycznie biorąc nic. Po upływie czasu ja nie wiem, czy mnie się uda zacząć od nowa. Zresztą z góry wam zaznaczam, majorze Rybienko, że ja na ten temat mogę mieć obiekcje, ale nie mam wyrobionego zdania...

Tow. Rybienko (po dłuższym namyśle) : — Wy, Bijas, może nie wiecie, za co ja was lubię, otóż ja wam Bijas powiem za co ja was lubię, ja was lubię za szczerość. Wyście zrobili swoje i wyście zaraz przyszli do mnie i wy mnie się szczerze pytacie, jak ono i jest? ! To jest przepięknie z waszej strony i to mnie się u was podoba. Dzięki temu ja was mogę uspokoić, żebyście zasypiali spokojnie. Ja sądzę, że wy Bijas jesteście przewrażliwieni, skutkiem czego wy nie doceniacie roli matki. Matka, Bijas, ma ogromne znaczenie i dlatego jest pod opieką państwa, matka ewentualnie ciotka, zazwyczaj pochodzi z kobiet nie pierwszej młodości, mimo opieki państwa chyży czas je bez niczyjej pomocy wykańcza. Ja wam daję uczciwe słowo, że matkami i ciotkami nie należy się przejmować, co wam po przyjacielsku doradzałem przed moją odkomenderówką do Warszawy. Wyście mnie nie posłuchali — ale mniejsza z tym! Teraz sami osądźcie kolosalną różnicę : macie na widnokręgu takiego Ryma, który nie jest żadną zbrakowaną matką ani ciotką, tylko młody byk, którego Polska Ludowa wypiautowała, dała wszystko, jak się to mówi nie tylko wódkę, ale i na wódkę, którego ogłosiła bohaterem ludowym, a on stał się parszywą owcą i narobił fetoru, że bierz i zatykaj nos! Wy byście musieli oślepnąć, żeby nie widzieć różnicy między matką a takim młodym bykiem, który poza tym że napaprał, ma czelność podsuwać się pod tę waśną, jakże jej tam? Haneczka! Jak wy to sobie, Bijas, wyobrażacie? Że do tow. Radkiewicza znowu przyjdzie major Z. i będzie się upierał, żeby młodego byka puścić luzem, aby ten młody byk mógł się z powrotem wtrącać do Haneczki? Jeślibyście tak myśleli, popełnilibyście psychologiczeski błąd. Ja nie sądzę, żebyście

byli tacy mali. Ja się nie upieram, ale ja jestem moralnie przekonany, że wy Bijas zrobiliście swoje i wy, Bijas, możecie spać spokojnie...

Nacz. Bijas : — Ja chciałbym wam wyrazić, tow. Rybienko...

Tow. Rybienko : — Tak to ono i jest ! Kiedy wyście, na przekór moim radom, uparliście się robić świństwa nieodłącznym matkom i ciotkom — wy sami zobaczyliście, że wam się zrobiło mdło, bezbarwnie, bez wewnętrznego przekonania — a gdy wy nie poleniście się i zadaliście sobie niecóż trudu, wszystko macie przezroczyście, jakbyście patrzeli przez szkło. Przepięknie wam wyszło wasze powiązanie z Woźniakowskim, tego wam nikt nie ujmie, poza tym pierwszoklasne są wasze ekskrementy, a już muszę przyznać, że podany przez was powód wyjęcia tego Olesia z kominia mnie po prostu zaimponował. Winszuję wam. Ot sami teraz widzicie, że ja wam nigdy z własnej chęci nie następowałem na nogę, bo jeśli ja widzę, że wy się staracie, ja zawsze jestem gotów winszować wam. Wy, Bijas, na ogół jesteście swój chłop, tylko was od czasu do czasu trzeba podgalałować. Wam samemu takie podgalałowanie wychodzi na dobre, bo zaraz u was widać całkiem inne zadowolenie. Moim zdaniem Rym wam przejdzie. Ja wam nie gwarantuję, ale powinien wam przejść. Tak to ono i jest.

Bijas (wzruszony) : — Przepraszam, że ja jeszcze raz odezwę się bez związku, ale ja się czuję wzruszony waszym zrozumieniem i szczerością...

Tow. Rybienko : — To, to, to...

Bijas : — Ja wszystko, co mnieście mówili, majorze Rybienko, zrozumiałem kompletnie, ale czy ja dobrze zrozumiałem, że ja mogę Ryma brać ?

Tow. Rybienko (po namyśle) : — Wy, Bijas, wciąż jeszcze stanowicie dla mnie zagadkę. Ja biję się z myślami, czego wy ode mnie chcecie ? Chcecie brać ? To bierzcie. Kto wam broni ? Ja wam tylko pragnąłbym zwrócić uwagę na grzeczność, która wymaga, abyście przed tym poprosili o zgodę pułk. Sierpuchowskiego. Moim zdaniem grzeczność, nie wiem jak dla was, ale dla mnie stanowi fundament. Ja was naprawdę serdecznie proszę, Bijas, nie pomińcie pułk. Sierpuchowskiego.



Bijas : — Możecie spać spokojnie, tow. Rybienko, ja nie mam najmniejszego zamiaru zadrzeć z pułk. Sierpu-chowskim.

Tow. Rybienko : — Fajno ! Wy jednak, Bijas, jesteście swój człowiek. Dziękuję wam !

Szczerze, i to naprawdę szczerze, wzruszony nac. Bijas, po opuszczeniu szykownego gabinetu majora Rybienki, zetknął się nos w nos z nikiem innym tylko ma się rozumieć z Dzikowskim, który czytał na niego z nowiną :

— Obyw. Majorze — wyszeptał na ucho — jest nowina ! Tow. Hurewicz został wezwany i odleciał przed chwilą do Warszawy !...

Nacz. Bijas opanował wzruszenie i odpowiedział : — Czy wy, Dzikowski, liczycie na to, że jak wy się do mnie przystawicie, ja was w nos pocałuję ? Co wy, Dzikowski, macie do tow. Hurewicza ? Czy to wasz brat, albo swat ? Z jakiego tytułu wy mnie się smarkacie do ucha, jeśli ja dawno temu wam powiedziałem, że ja was absolutnie nie jestem ciekawy ?! Pilnujcie swego nosa. Idźcie za mną. Ostatni raz ja wam zamierzam powierzyć odpowiedzialną funkcję. Żebym ja tylko nie wyszedł na tym jak Zabłocki na mydle !... Jeśli i tym razem mnie nawalicie, ja wam gwarantuję, że zejdziecie na psy ! Zrozumiał, Dzikowski ?... Ja was proszę, nie pchajcie się na mnie, idźcie o krok za mną... Ale ja mam biedę z wami, Dzikowski !... Ot bieda !...

Ot los !...

## XVI.

Prosta na oko funkcja aresztowania sierżanta W. Ryma wymagała jednak pieczołowitości, a to dlatego, że na dwoje babka wróżyła :

„Góra” równie dobrze mogła zakwalifikować Ryma na radio i prasę, jak i na kamień w wodę; zostawić „Górę” bez wolnej furtki stanowiłoby nieroztropność, połączo-ną z niebezpieczeństwem; a zatem Rym powinien był zostać aresztowany w dzień w samych koszarach, ale dyskretnie i bez ostentacji. Do tej funkcji został wyznaczony kpt. Dzikowski.

Onże Dzikowski, po zbesztaniu na ucho, nie zapalił się do czynności, ani też nie docenił pokładanego w nim zau-

fania, a nawet się zaciął, chociaż wiadomo, że szczeniak będzie się później chwalił, że cały Rym to jego wyłączna zasługa! Onże Dzikowski impertynencko nacz. Bijasa zapytał, ilu ludzi ma wziąć ze sobą dla schwywania zdrajcy Ryma i czy do transportowania Ryma wystarczy „podręcznik”, czy też potrzeba „wagonu”? W nomenklaturze Urzędu tak nazywały się wehikuly, niezbędne do transportowania liczby osób. Nacz. Bijas go złażał, ale nawet po złażaniu gorycz nie została usunięta, osiadła na dnie i obopólnie obydwóch bolała. Z tą obopólną goryczą kpt. Dzikowski nazajutrz, przed południem, wraz z dwoma towarzyszami, puścił się „podręcznikiem” do koszar po Ryma.

Zajechał frontem przed bramę, ale nie wjechał. Ustawił „podręcznik” vis à vis bramy, bokiem do hiszpańskiego kozła, tak, że widziało się tylko przez druty budkę „podręcznika” z wesołym napisem: „Spółdzielnia Produkcyjna Nr 23”.

Miało to miejsce zachmurzonego dnia 29-go grudnia, na 3 dni przed Nowym Rokiem, kiedy każdemu na gdańskim dworze chciało się chuchać w palce, ponieważ przejmujący ziąb był.

Ustawiwszy „podręcznik” przed bramą, kpt. Dzikowski jednego z towarzyszy wyznaczył do bramy, drugiego wziął ze sobą, i z tym drugim, chuchając w palce, pomaszzerował przez koszarowy dziedziniec do kancelarii 3-ej komp. WOPu. Wszedł tam i zastał por. Gacha, dowódcę plutonu.

Rzekł mu szorstko: — Por. Gach? Tu kapitan Dzikowski! Meldujcie mnie wprost do pułk. Sierpuchowskiego!

Ustyszawszy taki ton, por. Gach zaniepokoił się i wyraził natychmiastową gotowość zadośćuczynienia wszystkiemu, co się święci. Wymeldował za drzwi Jasia kancelistę, a znając Stasia jako tako, odciągnął go na stronę i zapytał go z wielkim przejęciem:

— Matko Boska, co się święci?

Kpt. Dzikowski nie dał się odciągnąć, wyszarpnął rękaw spod Gacha i zniecierpliwiał się:

— Co mnie się czepiasz, doczekałeś się, co chciałeś, Gach! Masz coś chciał! Jesteś kwit z oczkiem w głowie! Ładne fijołki zakwitną na twoim Rymie! — I na cały głos: — Ja was proszę, por. Gach, meldujcie mnie natychmiast do pułk. Sierpuchowskiego! — I szorstko: — Do-

wiedźcie się też, czy Rym jest obecny w koszarach i czy znajduje się mnie tutaj pod ręką?!

Por. Gach, który od pierwszej chwili zrobił się jak trup, stracił orientację, powiedział : krrwaa ! i zgubił się w gorącym pragnieniu spełnienia wszystkiego naraz. Wyleciał z kancelarii na korytarz, tam się zarył, bo nie wiedział, czy w pierw biec do pułk. Sierpuchowskiego, czy w pierw umiejscowić Ryma, aby się znajdował pod ręką?!

Wybrał to drugie i pokłusował do świetlicy, stanął przed drzwiami, obejrzał się, czy nikt nie widzi, i przeżegnał się. Odemknął drzwi i wszedł na salę, gdzie był zgromadzony cały pluton na kulturalnej pogadance. Wszedł — i na pierwszy rzut oka ujrzał przy mapie świata, z kijkiem w rękę, zadufanego w sobie bohatera, sierżanta Władysława Ryma.

Rym właśnie dopowiadał zdanie, pokazując pałeczką : — Więc oto na podstawie mapy na własne oczy widzimy, że na tę całą zgniliznę możemy spokojnie się wy...

W tej samej chwili dostrzegł przełożonego i zakomenderował : — Powstań !

Wojsko wstało, a sierżant Rym meldował :

— Towarzyszu Poruczniku, melduję trzeci pluton przy kulturalnych zajęciach !

Por. Gach, który był jakiś nie swój, zagapił się i nawet nie dał znaku na spocznij, tylko niebieskie gały wysadził na Ryma i zagapił się na niego, jakby go nigdy w życiu dotąd nie widział.

Tak się na niego zagapił, taki miał przy tym dziwny wyraz twarzy i takie mu jakieś muszki latały pod brwiami — że na widok takiego miłosierdzia sierżant Rym na przód zakręcił się niespokojnie, a później też zbladł.

Odpuścił służbową postawę, przestąpił z nogi na nogę i z wojskowego punktu widzenia stracił fason i zmiękł.

Całe wojsko stało bez spocznienia, mrugając ślipkami, w oczekiwaniu na jakieś osobliwe OPR i co z tego wszystkiego będzie?...

Co miało być? Jakiś dzisiaj nie w sosie dowódcę plutonu zwrócił roztargnione spojrzenie w okno, a za oknem było to co zawsze, nic ciekawego, czerwone bloki, kuse drzewka, zmarznięte kałuże, brama, hiszpański kozioł, za kozłem stał furgonik, jeśli kto miał dobry wzrok mógł na furgoniku odczytać : „Spółdzielnia Produkcyjna Nr 23”...

Por. Gach opamiętał się i rzekł wreszcie wojsku : — Spocznijcie ! — I do sierżanta Ryma rzekł cudzym głosem : — Róbcie dalej ! — Po czym wyszedł ze świetlicy mięciutko zamykając za sobą drzwi.

Szczęśliwie upewniony, iż pożądanym przez Urząd Rym znajduje się pod ręką — por. Gach zbył się wahań i puścił się do Pułkowej Komendy pułk. Sierpuchowskiego, gdzie już czekał Dzikowski przebijając nogami.

Gach z gorącym językiem wpadł na adiutanta, żeby obecnego towarzysza natychmiast meldował, bo nie ma mowy o zwłoce w razie nagłego Bezpieczeństwa !

Po takiej rekomendacji kpt. Dzikowski wnet został przyjęty i treściwie opowiedział przykrą sprawę — a pułk. Sierpuchowski, jak przewidział nacz. Bijas, nie robił wstrętów.

Wprost przeciwnie. Wysłuchał, pochwalił czujność, a nawet ucieszył się.

— Ja teraz jasno widzę — odpowiedział poufnym basem — że ja tego Gacha za mało rugałem, po prostu żmija nam się wyhodowała na łonie, ja go zdrowo rugałem, ale takiemu ssynowi wszystkiego zawsze mało i mało ! A weźcie go raz, a odczepcie go ode mnie, może mnie się przeczyści atmosfera w pułku, nadojadł mnie już ten Gach, nadojadł, jak ostatni ssyn !...

Kpt. Dzikowski był „krótki w czasie”, dlatego nie bawił się w wyjaśnianie kwiprokwo — chcąc zyskać na czasie, bez wyjaśniania odmeldował się.

Rzekł do Gacha : — Załatwione ! Wiedźcie mnie teraz pod świetlicę i spowodujcie, żeby Rym wyszedł samotnie bez hałasu, a ja się nim zajmę po cichu. Prowadźcie, Gach ! (A na ucho) : Ty ! Pęknieś ze śmiechu, gdy ci później opowiem, że twój stary jest przekonany, że ty jesteś Rym !...

Ale do pękania ze śmiechem była daleka droga, znacznie bliższa wiodła do świetlicy, gdzie odbywała się pogadanka polityczna, prowadzona przez Ryma...

Pierwszy wszedł do świetlicy, błąd jak trup, por. Gach, przymknął za sobą drzwi i przez jakiś czas nie pokazywał się.

Dzikowski oparł się łokciem o drzwi, głowę podkurczył na ramię i w tej krzywej postawie nucił pod nosem dla



zabicia czasu : „Jak to na wojence ładnie, kiedy ułan z konią spadnie, koledzy go nie żałują, jeszcze końmi go traktują”.

Młody towarzysz z Urzędu chodził tam i nazad po korytarzu i odganiał nieproszonych kibiców...

Kpt. Dzikowski odskoczył, bo drzwi zaczęły się po mału otwierać i stanął w nich samotny, blady, jak trup, por. Gach i wyjęczył się :

— Matka Boska Częstochowska ! Szukaj wiatru w polu !

Nastąpiła błyskawiczna wymiana zdań :

— Zwąchał pismo nosem ?

— Matko Boska, jak kamfora !

— Gdzie —

— Mnie nie było, Jezus Maria !...

— Ty, gdzie wsiąkł ?

— Jak Boga kocham nie mam zielonego pojęcia !...

— Wy chcecie trawę gryźć ?

— Ja ???

— Nie ja ! Wy !

— Ja ? Mnie nie było ! Wyście z byka spadli !...

— Oj wy, wy, wy, Jezus Maria, wy, wy będziecie mieli jajcenbal !...

— Ja ? Krrwaa ! Czekaście ! Ja wam zaraz zawołam kaprala Rumianka ! (Przez drzwi) : Kapral Rumianek ! Sam do mnie !... Towarzyszu Rumianek, ja dotychczas nie wiem i tu obecny towarzysz nie wie, gdzie podział się towarzysz Rym ? Powiedźcie nam, co jest wam wiadome ?

— Ja o tym — odsapnął z emocją mały, ale żwawy kapral Rumianek — mało wiem. Ja tylko tyle wiem, że po odejściu obywatela porucznika, sierżant Rym przerwał pogadankę i zakomunikował nam, że jemu zakręciło się w głowie i musi się przejść, i żeby tymczasem kapral Otto kontynuował na temat zgnilizny, a on wyjdzie na świeży luft, jak się przewietrzy, zaraz wróci. Ale kapral Otto mówił na temat pogadanki może z jaką minutę, bo wkrótce się wyczerpał i przestał mówić, i my od tej pory wciąż czekamy w milczeniu na powrót sierżanta Ryma, no i tak czekamy !... W świetlicy krążą gadki, że być może jemu nawaliły wątpia. My, kaprale, sądzimy, że się wypróżnia. Dotychczas nie wrócił. Nic poza tym ja więcej nie wiem...

W czasie trwania tego raportu, kpt. Dzikowski zdołał opanować nerwy i odzyskał tak niezbędną w służbie Bezpieczeństwa zimną krew.

Wziął się w garść, i posegregował : — Gach do dwóch zer ! Rumianek na świeże powietrze ! Wy (do ubika) do prywatnej kwatery Ryma ! Szukać ! Składnica meldunkowa w kancelarii 3-ej kompanii ! Jazda biegiem ! — Sam się wyznaczył do telefonu i pobiegł, nie tracąc słów.

Lecz i po opanowaniu nerwów Dzikowski był zdenerwowany, do czego miał całkowite prawo, bo taki sztos, jak ucieczka spod ręki, mogła się odbić krwawym rumorem. Złapał za telefon i w pierwszym rzędzie połączył się z bramą. Z bramy otrzymał wyrazy zdziwienia wraz z bezczelną uwagą, że nie ma na kogo wrzeszczeć, bo sierżanta Ryma nikt w bramie nie widział ! Jeszcze raz przełamał się wewnętrznie i kazał podać swojego człowieka. Jego człowiek, pozostawiony w bramie, w uprzejmej formie również zeznał, że nikogo nie widział. Więc kazał swojemu człowiekowi nie tracić czasu i wywiedzieć się na bramie o wszystkich możliwych wyjściach z koszar i o przesmykach, wiodących do Gdańska i z zebranymi danymi rwać co sił do 3-ej kompanii, gdzie się odczuwa brak ludzi. Mniemał, że skończył z bramą, ale nieprawda, w ostatniej chwili przypomniał sobie, że nie powiedział najważniejszego : gdyby Rym się pojawił, żeby go brać ! Niestety połączenie z bramą zostało już przerwane. Nie chcąc tracić drogiego czasu, zaczął się łączyć z Urzędem.

Wybitnie ciężko mu szło. Nie żeby się lenił, albo się mylił w cyfrach, albo źle kręcił, tylko zwyczajnie wstyd mu było. Ołowiem mu ciążyło na sercu. Łączył się z Urzędem przez siłę i jeśli się w ogóle połączył, to tylko dlatego, że wiedział, iż każda chwila zwłoki wpływa na całokształt spraw, związanych z bytem człowieka...

Odezwał się w telefonie sam nacz. Bijas — i tow. Dzikowski — przez zęby, szczypiąc się w uda i tańcząc na miejscu — wystękał o wynikłym kryzysie i poprosił o pomoc.

A kiedy nareszcie zrzucił ołów z serca, zaciął zęby i przygotował się na najgorsze — zdziwił się !

Ponieważ po chwili zrozumiałego milczenia, głos nacz. Bijasa wypadł przez telefon zupełnie znośnie, a nawet sympatycznie, niż w naturze. Tak oto :

— Dzikowski, Dzikowski! Trzymajcie się na wodzy! Wypadki chodzą po ludziach... Z tego, jak ja was zrozumiałem, robicie wszystko, co w waszej mocy... Jeśli wynikła jakaś hańba, skąd wy mogliście przewidzieć?... Nie strugajcie z siebie desperata, ja was serdecznie proszę... Nie bierzcie tak od razu do serca... Ja wam później pomogę sprawdzić, kto wam podstawił świnie... Nic się nie bójcie, Dzikowski, ja już puszczam środki w ruch... Rym nie igła, Gdańsk nie stóg siana! Ja was proszę, czyńcie spokojnie dalsze poszukiwania w rejonie i spokojnie czekajcie na moją akcję!... No, no, *sursum corda*, Stasiu...

Kładąc słuchawkę na widelki, kpt. Dzikowski nie miał w sercu ani krzty dawnej goryczy, a za to „Stasiu” pokochał nacz. Bijasa, jak ojca...

Poczuł się nowonarodzony, co mu dodało krzepkiej ikry, bardzo potrzebnej, ponieważ do centrali zaczęły napływać meldunki z dwóch zer, że świeżego powietrza i z prywatnej kwatery sierżanta Ryma. Brzmiały one jednakowo, że Rym znikł, jak kamfora.

## XVII.

Precyzyjny aparat pościgu o skali milimetrowej został w Gdańsku puszczony w ruch, aż powietrze jęczało. Znaczący, nie tylko UBe, ale i WOPiszczycze i szemrana Milicja i Ośrodki Chodów Tylnych zostały postawione na nogi — także samo została zainteresowana Technika obywatela Fiodorowicza, jednostki fizyczne i chemiczne, oraz sekcja psów, specjalnie ugłaskiwanych przez speców...

Ma się rozumieć nacz. Bijas znowu nie dosypiał i nie dojadał, zwijał się jak w ukropie, a u jego boku harował jak dziki osioł kpt. Dzikowski, który od momentu wpadunku nareszcie zaczął zachowywać się na dystans i apro...  
po...

W tym jęczeniu powietrza, nacz. Bijas utrzymał rzadki spokój umysłu, co nie tak łatwo w tych czasach... Dzień 29-ty grudnia, mimo dyskretnego wyczesania koszar WOPu do żywej skóry, nie dał pozytywnego wyniku ani wewnątrz ani na zewnątrz. Dał jedynie to, że zdrajca Rym istotnie prysnął beczelnie ze świetlicy na świeży luft. Tam

jakoby przeszedł się kilka razy po dróźnie, i w czasie przechadzki jakoby rozczapierzał sobie włosy. Jeśli tak istotnie było — prawdopodobnie w czasie przechadzki przeświecił mu przez druty źle postawiony przez Dzikowskiego furgonik Spółdzielni, albo też był w posiadaniu szóstego zmysłu, a będąc zdrajcą, sumienie miał jak onuce po marszu w lipcu — więc nic dziwnego, że czochrał sobie włosy, szukając punktu wyjścia. Jak z dalszych dyskrecji wynikało — Rym zakręcił się na dróźnie, a następnie skorzystał z dziury między magazynem mundurowym a kuchnią, którądy od niepamiętnych czasów wopowe szarże brykały nocami na połulanki. Przy pomocy tej dziury Rym zawieruszył się i od tej pory szukał wiatru w polu..

Następne dwa dni, aż do wigilii Nowego Roku, mimo pełnej mobilizacji, wciąż jeszcze nie doprowadziły do wykrycia chytrej sztuki, gdyż ta, jako posiadająca podziemne zaplecze, może nawet śmiała się w kułak, ale niech nie mówi hop, dopóki nie przeskoczy...

W ostatnich dniach starego roku dziarski humor okazywał jedynie pułk. Sierpuchowski, ponieważ z okazji Gacha nareszcie dotarł, jakim kanałem przez tyle lat wyciekało mu nocami wojsko z koszar na fintifluszki; nie czekając Nowego Roku, kazał w szparę między magazynem mundurowym a kuchnią wstawić barykadę i zalać cementem.

Chłód i nerwy jak postronki nac. Bijasa w tych gorących czasach — objaśniały się tym, że sobie samemu powiedział : Bijas, kto jak kto, ale ty siebie zaoszczędź, nie masz najmniejszego powodu się bać !

Istotnie. Już w czasie telefonicznego alarmu Dzikowskiego, kołnęła go myśl, że jeśli Rym bryknął, zbudował przeciwko sobie przepotężny argument, wszystkie schematy, protokoły, zeznania są niemowłęciami wobec usiłowania zniknięcia ! Tym bandyckim postępkem Rym dosadniej się przyznał, niżby to był w stanie uczynić pod linijkową biedą, czy też pod Jurkiem Mazurkiem, całe drabinowe śledztwo bez grubszych dociekań można w niego wsadzić, jak w kaczki kuper !... Mając to na uwadze, wówczas przez telefon Dzikowskiego po sienkiewiczowsku pocieszył...

Dla nerwów, jak postronki, zaistniały dodatkowe racje : czy Ryma się złapie, czy nie, gdyby ktoś z Góry chciał się przymędzić — odpowiedzialny za wyspę był Dzi-



kowski, ewentualnie Gach, ale w żadnym wypadku Bijas ! Bijas zrobił swoje, zdemaskował zbrodniarza i dla dokończenia dzieła posłał Dzikowskiego, którego do awansu na kapitana przedstawiał nie on, ale Rybienko !... Hopsasa, hopsasa !...

Broń słodki Boże od złego ! Bijas mógł hopsasować, ile mu się podobało, ale się nie zaniedbywał i robił wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby złapać chytrą sztukę, owszem, wyrabiał ponad normę, nie spał i nie jadł i zastawiał wszystkie możliwe sidła. A że w wolniejszych chwilach sam siebie łąpał, iż po cichu życzył Rymowi powodzenia w ucieczce — raz, to była jego prywatna sprawa, dwa, gdyby Rymowi udało się bryknąć, wsadziłby mu, oprócz drabiny, kilka innych wlokących się śledztw...

Robiąc nad normę, sam ma się rozumieć Ryma z miotłą nie gonił, tylko stał na czele wszystkich telefonów i odręcznych meldunków, dyrygował ludźmi, obstawiał nimi przechody, izolował kotły, kociołki i kruczki, a na podorędziu miał gruby plik zebranych z całego świata informacji, dotyczących zbira, jego urodzenia, szkolenia, wyszkolenia, aktywności, znajomości, humorów i miłostek od zarażania, naszpikowany szczegółami, opiniami i nazwiskami, skąd wyluskiwał adresy i zaraz tam ludzi pchał.

Złego słowa nie można powiedzieć, Bijas się starał, jak mógł. Ale że nie był mściwy — w tej gonitwie znalazł chwilę czasu dla swego kwiecica azalii i przebaczył mu wszystkie odwracania się tyłem i zaproponował, że jeśli chce, może iść bez obawy, choćby dziś, do swojej Łucji Duszej z fatałachami... Między jednym telefonem a drugim znajdował nawet czas na latanie do wiadomych miejsc, gdzie w chwilach wytchnienia dobierał trudne teksty na Sylwestra dla swojej panny Sienkiewiczówny...

Dodatkowej satysfakcji w tym czasie dostarczał tow. Rybienko, który będąc promotorem awansu Dzikowskiego — stał się niewidoczny i z warszawskiego przeziębienia jak kwękał, tak kwękał...

Dołożywszy do kwękania Rybienki wyjazd Hurewicza i nieproduktywną, jak dotąd, pogoń za zdrajcą Rymem — nac. Bijas przed Sylwestrem, można rzec, zobaczył przed sobą szmat czystego pola, a na polu fijołki...

## XVIII.

Pamięta kto może Noc Sylwestrową w Gdańsku?

Noc pieczonych kur, kminkowych zakalców, piwa kuflowego i złotych blaszek w gdańskim sznapsie?... Noc wiatrów słonych i fal zaciekłych, bijących w cement butelkami mrożonego szampana?... Noc z księżycem albo bez księżyca, z chmurami albo bez chmur, z mrozem albo z odwilżą, zależnie od roku, a zawsze z wiatrem?... Kiedy każdy każdemu, bez względu na stan pogody, życzył wszystkiego najlepszego z Nowym Rokiem?...

Pamięć ludzka jest po to, aby w okropieństwach dnia bieżącego zgłodziła szczęścia dokarmiać ślicznymi obrazkami przeszłości — i jeśli człowiek nie umie znaleźć dla siebie miejsca, sięga w przeszłość, i zaraz mniej marnie spędza Sylwestra...

Roku tego Noc Sylwestrowa (w której nas w Gdańsku nie ma) zaliczała się do burzliwych, wiatry nadlatywały z Helu i ział parzył, niebo było zbatwanione i niegościnne, identyczne, jak morze...

W Nowym Porcie, przycumowany do kei, ciężko załadowany, zanurzony po pas, przewracał się z boku na bok znajomy nam Szwed „Gotland”.

Był on iluminowany podwójnie, wewnątrz i zewnątrz: od wewnątrz sam się rozjaśniał mnóstwem żarówek w kabinach, w messie i na pokładzie, a znowuż z zewnątrz skierowana była na niego dodatkowa iluminacja, znacznie jaśniejsza, która szła spod dwóch daszków na kei z dwóch reflektorów, wyregulowanych na ukos, jeden bił snopem światła przez rufę na komin i ginął w burzliwym morzu, drugi bił snopem światła przez dziób na komin i ginął w burzliwym morzu. Takim znakiem mnożenia połączone snopy reflektorowe brały Gotland w dwa ognie i z jego pokładów robiły scenę na występ jakiegoś baletu trupy morskiej... — zaś tam! : oświetlony od wewnątrz i zewnątrz Szwed iskrzył się w Noc Sylwestrową, jak podpalony na choince fajerwerk z zimnym ogniem!...

Na kei, przed Gotlandem, pogrzebowym krokiem, spacerowały dwie czujki, jedna czujka chodziła od trapu do rufy i z powrotem, druga czujka chodziła od dziobu do

trapu i z powrotem, a tak były zsynchronizowane, że się nigdy nie spotykały przy trapie. Obydwie czujki przybrane były w kozuski, bo baranich kozuszków wymagał regulamin w psi czas.

Obok stanowisk reflektorów, we wtórnych odbiciach iluminacji, rysował się na linii wybrzeża tor kolejowy, a na nim skład pociągu, złożonego z węglarek. Węglarki wybrzuszony były węglem śląskim, białym, jakby oszronionym mrozem — zaś tam ! : węgiel był pochłapany wapnem w przewidywaniu grabieży lub też sabotażu, albo chuligaństwa, dlatego skrzył się, jak biały ! W chmurach znowuż chodził żuraw tam i z powrotem, czerpał zębami węgiel z hałdy, podnosił się ze świergotem do chmur, szedł ponad węglarkami w chmurach, zawisał nad miotającym się Gotlandem, opuszczał się, rozwierał zęby i do otwartej luki sypał węgiel. Podnosił się, szedł w chmurach, opuszczał się, brał węgiel i tak dalej. Tuż za składem pociągu była budka kontrolna z wagą, z wachtowymi i z maszynistami.

Może nie każdy wie : Noc Sylwestrowa sobie, a morska praca sobie, w Gdańsku nie ma sylwestrowki, ani żubrówki, są warty noworoczne i brygady przodownicze, które zamiast święcić, wołają robić ! Tak samo czujki wołają spacerować od rufy do trapu i od dziobu do trapu i nawet nie spotykać się przy trapie, niż się bawić ! Kto tych spraw nie rozumie, nie ma co robić w Gdańsku !

W świetle pomnożonych reflektorów, w pianie szampańskiej, w węglowaniu i wachtowaniu nic, tylko sama sprawiedliwość społeczna regulowała się, jak w zegarku !...

Zaś tam ! Pod trzecią węglarką, biorąc z lewej od trapu, pod kołami, na relsach — jakby to powiedzieć ? — nie żadna sprawiedliwość się regulowała, tylko klapnięte serce.

Walilo jak młotem. Co tam serce ! pod trzecią węglarką pulsowało całe stworzenie boskie.

Nikt go nie mógł dojrzeć pod dnem węglarki, bo był szary, leżał na płask, żaden odbłask iluminacji tak nisko nie sięgał, wiatr tylko dosięgał i jeździł po nim. On spod sztangi wagonu strzygł oczami na Gotlanda, a miał rewolwer pod prawą ręką i manipulował nim blisko cyklistówki, patrząc na porażenie iluminacyjne z dwóch reflektorów i na dwie spacerujące wopowe czujki i na absolutnie wykluczoną możliwość, żeby szczur się przecisnął, a cóż dopiero człowiek ! Weź się już raz i zastrzel !

Poczekał jeszcze troszkę, żeby przedłużyć zasłużoną męczarnię. Wiatr sylwestrowy sięgnął pod węglarkę i dopiekił do żywego, aż się lepiej po tym zrobiło. Więc zaczął mamrotać jakiś przedpotopowy paciorek i mamrotał go, dla zabicia beznadziejnego czasu. Lufą rewolweru manipulował w kierunku chmurnego nieba... Weź je i ugryź!... Weź się, Władziu i zastrzel!

Jeśli ktoś zdeterminowany, z rewolwerem w rękę, jeszcze się waha — waha się jedynie z ciekawości, co też gorszego może go więcej spotkać?...

Odezwały się kroki. Szły od budki kontrolnej, skąd żuraw się podrywał i przepływał ze świergotaniem nad węglarkami i w prostej linii zbliżały się do trzeciej węglarki. Ktoś sobie najwyraźniej upodobał trzecią węglarkę, żeby się pod nią przecisnąć od strony Gdańska do oświetlonego Gotlandu... Kroki wkopały pod węglarkę kilka żywych kamyków i zaczęły przykucać...

Raz, dwa! Weź się, Władziu i zastrzel!...

Owszem, ale tak w te pędy po ciemku trudno domagać się spustu, gdzie się podział spust? macał i macał — a gdy namacał spust, lufa była akurat skierowana w Bóg wie co, a gdy lufa znalazła się w celu, zimny palec ześlizgnął się ze spustu i w tej samej chwili łysnęła z boku latarka i zaślepiła mu oczy.

Zgasła. Ciemność jeszcze gorsza zaległa i jeszcze gorzej się wszystko pokręciło, ani celu, ani spustu!

Coś grubego szamotało się obok na relsach, ale nie następowało, cicho było pod węglarką, tylko wiatr sięgał...

A po chwili takie gadulstwo:

— A Jezus Ty mój!... A strasznie mnie się zrobiło!... A przeląknęłam się fatalnie!... A jak się natknąłem, myślałem, że zwariuję!... A tu pan sierżant!... A daj Panie Boże odetchnąć mnie kapkę!... Ao!... Prędeż śmierci ja bym się spodziewał, niż pana sierżanta!...

Odbezpieczony pistolet leżał na żwirze, pod szyną, obok koła węglarki, na podporędziu...

→ Kto do mnie mówi?

— A jakto?... O Jezu!... A dlaczego?... Ja mówię... Ja pana sierżanta znam z widzenia... Pan sierżant zawsze przychodzi z żołnierzami na okręty i poszukuje... Jak tylko zaświeciłem, wnet poznałem pana sierżanta po tej spikuli... Ajej... Może nie?... Pan sierżant nie pamięta?...



A ja jestem wagowy... Ja jestem od tego, żeby węgla sy-pało się tyle, ile na wadze, ani ćwierci więcej... Justyn jestem... A ja zawsze stoję przy wadze, a pan sierżant mnie nie pamięta?... A Jezus!... A też mnie spotyka...

Leżący na płask machinalnie zabezpieczył pistolet i sam się przekręcił na bok :

— Mów pan ciszej, bo wiatr niesie... Ciszej!... Dlaczego nie mam pamiętać?! Owszem, pamiętam do tego stopnia, że... brrr, jak tu ciągnie... że... owszem... ja mogę powiedzieć na ślepo, że... zaczekajcie chwilę... pamiętam do tego stopnia, że... jakbym was widział!... Macie siwą głowę, może nie?... grubi jesteście, może nie?... zaraz więcej sobie przypomnę... czekajcie... owszem, zdaje mnie się, że w dziąsłach macie złote zęby, tak mnie się coś w pamięci majaczy... Owszem, przypominam was świetnie... Ja wszystko sobie przypominam, tylko nie wiedziałem, że macie na imię Justyn... Dobry wieczór!

Dotychczas przykucnięta ciężka masa ułożyła się wygodniej na szynach, gdyż pod węglarką można się przeciskać kucając, ale na kuckach nie podobna wytrzymać...

— A dobry wieczór! A Jezus!... To pan sierżant naprawdę mnie poznał?... A ja o mało się nie przeraziłem, spotkawszy pana sierżanta... A co pan sierżant tutaj robi?... O ja głupi! A ja durny! A bata na mnie!... Po co ja pytam?! To i pana sierżanta zmusili, świat się kończy!... Wszystko zdycha...

Pod wspólną węglarką wiatr przejechał z takim świstem, że obydwaj się skulili i na moment zamilkli. Jak przejechał, wznowiła się cicha dyskusja :

— A ja głupi, a ja durny, ale nie traćmy nadziei!... Może Pan Jezus od pana sierżanta jakoś odwróci... Ale zły czas myśmy dzisiaj wybrali, widzi pan sierżant, jaka gala?... Od jakich dwóch dni pilnują strasznie i nawet chodzą z gazami... Ale w Bogu nadzieja, niech się pan sierżant nie boi... Ja pomaluśku spróbuję tych czujków jakoś podmamić, ale pan sierżant niech nic nie robi, niech pan sierżant tylko spokojnie czeka... A co ja mówię?... A dobrze mówię?... Niech pan sierżant nic nie robi, tylko tu pod wagonem czeka... A jeśli pan sierżant spostrzeże, że się przed panem sierżantem zrobiło puściej, niech pan sierżant od razu skika... Niech pan sierżant uważnie patrzy : tył nisko siedzi, trochę się kiwa, jak ja tych czujków od-

ciągnę, niech pan sierżant wnet pędzi i skika... Co się pan sierżant namyśla?... Co tu się namyślać?... Jeśli mnie się uda zrobić wyrwę, niech pan sierżant dyma w te pędy i skika...

— E... tego... ja panu... za...

— A Matko Boska! A już wiem, co pan sierżant pragnie mnie powiedzieć... Ale nie trzeba!... A czego ja się w ostateczności mogę dochrapać?... A śmierci!... Też wielka mecyja!... Ale już polecę, jak głupi, bo ja nie tu-tejszy, ja z Mławy... Raz koza rodziła... Ale mnie pan sierżant nastraszył, niech pana sierżanta gęś kopnie!... Ano, ano, już lażę, już lażę...

Wylał spod węglarki na stronę kei i polazł. Człapał buciarami, kaszlał i pochrząkiwał. W ten sposób przeczłapał odległość, dzielącą węglarkę od kei i wziął się w prawo. Na osi marszu w kierunku trapu przydybał go kapral Rumianek i jak się należało napugał automatem. Stanęli obok siebie w pełnej iluminacji i zaczęła się rozmowa gestów, bo słowa wiatr znosił.

Wagowy wskazał na budę kontrolną, pociągnął ręką ciągiem żurawia i zatrzymał pięść nad Gotlandem i wygrażał. Z samego wygrażania widać było, że się rozchodzi o jakąś szwedzką machlojkę na temat węgla, do której nie wolno dopuścić i musi być reklamacja. Z niemrawych ruchów automatu widziało się, że kapral Rumianek przyjął do wiadomości. Wówczas ten, jakże mu tam, Justyn, włożył głowę w ramiona i wzdrygnął się z nagłego dopływu zimna, a potem zaczął się nad kapralem Rumiankiem wyraźniej litować, a kapral Rumianek też wsunął głowę w kożuch na znak, że mu też zimno. Rozmowa na kei zakończyła się przyjaźnie, pocziwota Justyn klapnął kaprala Rumianka po kożuszku, co nawet bez słów oznaczało: będzie cieplej!

No i ten Justyn zaczął człapać zrębem kei do trapu, wlał na trap, z trapu na jasny dek, z deku dał przyjazny znak do tyłu i znikł w nawigacji, gdzie był wachman.

Wówczas pod węglarką nastąpiła szybka kalkulacja i rozplaszczony sierżant tak tam kalkulował: — Z lewej chodzi Czepurkowski, który po masztach smyrka jak wie-wiórka, ale jest zmarzłak; z prawej chodzi Rumianek, ten znowuż posiada psi węż, ale zgubę jego stanowi, że jest pijus; co dobrego da się dzisiaj wylepić z tego ciasta?...

Na Szwedzie zagrano na flecie, wiatr podleciał i większa fala wylała się na brzeg, Gotland wyskoczył, jak fajerwerk, kto by sobie głowę zwracał fletem. Weź go, Władziu i ugryź !...

Aż oto raz, dwa, trzy, cztery — nastął w Gdańsku Rok Nowy. Z głębi, od strony miasta, z niezburzonej lub odbudowanej wieży ratuszowej czy też kościelnej, miejski czy też kościelny zegar zaczął jąkać dwunastą godzinę, ale w panującej zawierusze brzmiało to tak prawie, jak nic; zaraz jednak z sąsiednich przystani i z awanportu odezwały się ryki okrętowych syren, kto miał do nich włożone ucho, mógł wyodrębnić ryk „Feliksa Dzierżyńskiego” i ryk „Kostki Napierskiego”, od ryku „Kościuszki” i od ryku „Jagielły”, a także samo od ryku fińskich, norweskich i angielskich frachtowców i półpasażerów. Każdy poszczególny ryk był krótki, jakby ujadany, co który ryknął, już milkł... Zaświdrowało w bębenkach usznych, bo i Gotland tuż pod bokiem zaryczał, ale ledwie zaryczał, już urwał...

Na podstawie tych krótkich syren jaki laik mógłby sądzić, że nie rozchodzi się o serdeczne powitanie Nowego Roku, tylko o masowy na pełne morze z Gdańska odpływ !...

Ale naprawdę nastął Nowy Rok. Węglowy żuraw zawisł nad luką Gotlandu i po wysypaniu węgla dyndał się beczynnie, zatrzymany na małą chwilkę rękami Przewodzącej Brygady...

Pod węglarką w nowym roku było, jak w starym, płasko i pod wiatr. Ów sierżant, który tak leżał, po skalkulowaniu szans i po ogrzaniu palców w ustach — przejął się noworocznym alarmem, stracił głowę i zamiast dalej liczyć szanse, rzekł na cały głos : — Życzę ci Hanusiu wszystkiego najlepszego z Nowym Rokiem !...

Masz ci los ! Gdzież tu Hanusia ? ! Węglarka, noc, keja, Szwed, flet, WOP, iluminacja — wszystko jest, ale Hanusi nie ma. Ot, wypnęła się ta Hanusia z zimnych ust i poleciała na wiatr. — Niech już sobie hula, Hanusia, niech hula na wietrze, bo jak ?...

Skończyło się raz na zawsze noworoczne podzwonne z miejskich wież i rykowisko okrętów — zaraz w pierwszej minucie nowego roku objawił się na oświetlonym pokładzie ten, jakże mu tam ? Justyn, z dzbanem, z którego dymiło. Para szła z dzbanka kędziorkami, z samego kształtu

pary znać, że dymi parzona kawa, jeśli nie znać, to czuć, bo zapach kawy na dużą odległość potrafi zabić zapach jodów. Obok tego Justyna stał Szwed w plamistym brezencie, musiał być wachman.

Wachman nie miał dzbana, miał za to butelczynę, która spod węglarki na oko wyglądała na akwawitę.

I oto Szwed machnął butelczyną przy trapie w stronę Gdańska, co w szwedzkim języku znaczyło : *Prosit!*

Rozpłaszczony sierżant stał się niemyym świadkiem kuszania wopowych młodzianków. Pierwszy dał się skusić na kawowe kędziorki Czepurkowski, ponieważ był zmarzłak, przyspacerował do trapu i nie nawrócił, tylko przystanął i węszył; obdarzony siłą charakteru i przez to awansowany Rumianek nie dał się wziąć na parę, ale gdy raz i drugi odczytał bez omyłki markę sznapsa na butelczynie, też nie nawrócił, tylko zaczął badać zaplecze. Nie było żywego ducha. Rumianek z Czepurkowskim zetknęli się przy trapie, ale nie robili z tego kwestii, choć się regulacja popsowała. Obydwaj jeszcze raz zbadali zaplecze, a potem chwycili za sznur i jeden za drugim chyżo pomknęli po trapie na Szweda, gdzie dymia kawa w rękach Justyna i odkorkowywał się sznaps korkociągiem wachmana...

Na ten widok sierżanta pod węglarką ogarnęła radość, oraz ogromny żal, bo na jego oczach gnity owoce dwuletniego, politycznego szkolenia i przodownictwa w plutonie — taki Rumianek, taki Czepurkowski, okazali się ananasy, opuścili powierzony im posterunek i zesłi się bumelancić! Dałby on im, gdyby nie skończyły się czasy i gdyby się nie znajdował w krytycznej sytuacji!

Jak tylko zaobserwował plecy obydwóch ananasów, zebrał się w sobie i wypuścił spod węglarki na pełen gaz przez wytworzoną w czujności wyrwę.

W krótkich abugach dopadł zrębu kei, wyczekał aż rufa Gotlandu przybierze niski poziom, i, jak mu radzono, nie namyślał się, tylko dał szczupaka na burzę.

Chwycił, zadyndał nogami, chybnął się i jednym przetrztem ciała władował siebie na pokład.

Dzięki Bogu nóg nie potamał, potłukł się mało co, więc nie zwłóczył, choć serce mu znowuż waliło jak młotem na skutek ostatnich przejść. W cieniu burty, zgięty w pałak, zaczął okrażać rufę, unikając, jak zarazy, smug reflektorowych i każdej jaśniejszej plamy. Między słupka-



mi do podwiązywania lin, między brezentami do nakrywania luk, między żelastwem wszelkiego rodzaju, doczołgał się do przeciwległej burty, gdzie panował możliwy cień, rzucony przez nawigacyjną konstrukcję Gotlandu.

Ufa! W solidnym cieniu, bez zmory reflektorów, cudownie się zakończył pierwszy rozdział ucieczki — ufa! — ale zaczynał się drugi rozdział: bądź teraz mądry i kryj się, gdzie chcesz!

Ba! Na Wybrzeżu byle smyk wiedział, że obecny tu sierżant był specem od tajników brykania. Małoż to on bryków własnoręcznie wyciągnął z szalup, z wietrzników, z węgla, a nawet jak ostatnio z komina, co mu głowę opromieniło sławą do tego stopnia, że kuter dalekomorski miał być chrzczony jego imieniem i nazwiskiem!

Ale co z tego? Kto inny na jego miejscu uporczywie zdobytej wiedzy o brykach nie puszczałby w kurs i lekko by jej nie ujawniał — ale on był z natury taki, że co wiedział to powiedział, każdy szczęśliwy chwyt musiał objaśnić z detalami i odbić na powielaczu wraz ze szkicami odnośnych części okrętu, gdzie wykryty przez niego bryk był oznaczany krzyżykiem wraz ze strzałką, wiodącą do celu. Na skutek tej jego gorliwości, dziś byle ananas Rumianek i byle Czepurkowski, nauczony cudzym doświadczeniem, w każde miejsce z zawiązanymi oczami trafi i, jakby on sam, jego samego spod ziemi wyciągnie!...

Noc da się jakoś przeżyć, ale nie warto się bujać na temat jutra, ponieważ jeśli Rumianek i Czepurkowski znaleźli się na czujkach, znaczy jego własny, wyszkolony pluton jest na służbie i wraz z porankiem na rewizję się zważy! Trup!

Przytulając się do cienia obok żelaznych drzwiczek malowanych białą farbą — myślał i myślał. Wiatr bił od nawietrznej i piana obstrzykiwała ciemny pokład. Zza żelaznych drzwiczek dochodziła noworoczna wrzawa Szwedów, stęsknionych za ukochaną ojczyzną i bliskie teraz podgrywanie na flecie. Myślał i myślał: o szalupach, o masztach, o węglu, o stolarni, o wentylacji, o szparach, o dziurach, o pustych beczkach i o bocianich gniazdach — et! — o czym by nie pomyślał, z góry wiedział, że trup! Owszem, pomyślał o tunelu wału od śruby, gdzie z jednej i drugiej strony jest płyta a pod płytami jest balast i szajs, a w tej zębie może się od biedy zmieścić człowiek! Już się niemal

ucieszyl, ale cóż, trup! ta świetna, choć dotychczas przez żadnego bryka nie wykorzystana idea, przez niego samego została opublikowana w Gazecie Ściennej wraz ze szkicowym rysunkiem tunelu mniej więcej na jaki tydzień przed dzisiejszym wpadunkiem. Nie ma sensu w zęzowy szajs ścieku się pchać i zapaćkany, jak nieboskie stworzenie, być przez takiego Rumianka lub Czepurkowskiego na powierzchni tak samo wyjęty!...

Gdy człowiek myśli i nic nie wymyśli i gdy się chce wepchać, a nie ma się w co wepchnąć i chce się spodziewać i nie ma się czego spodziewać — automatycznie przychodzi rozpacz. Zupełnie słusznie : kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada, jak kto sobie pościele, tak się wyśpi... — Weź się, Władziu i zastrzel!...

W tym stanie rzeczy otworzyły się nagle białe malowane drzwiczki — a że jednocześnie nastąpił przechył — drzwiczki rąbnięły w ścianę i wypadł z nich, jak kopnięty, Szwed z fletem. Wypadł na pokład, odbił się od burty i zachłysnął bałtyckim powietrzem, które wnet oddał z powrotem. Był rąbnięty, jak sztokfisz. Rybimi oczami oglądał nieproszonego gościa, ale nawet się nie zdziwił, albo też wziął go za nic, obtarł się z piany i zrobił do niego perskie oko. I wykrzywił się do niego, jak mała i zafiukał mu pod nosem na flecie. Fiukał zrozpaczonemu i wykrzywił się do niego jedną połową twarzy, udając w ten sposób, że nikogo nie spostrzeża i ot tak sobie tylko fiuka na wiatr! Człowiek stał przed nim, jak słup soli. Ów Szwed wygrał szwedzkiego Sylwestra i zadowolony wykorzystał nowy przechył Gotlandu, i jak się wywalił, tak się wwałił z powrotem w drzwiczki, które zastuknęły się za nim z plaskiem. O Jezu, może człowieka szaf ogarnąć, czy nie?!

Porzucając jałowe kalkulacje, powlókł się w zakamarki Gotlandu, na nic nie licząc, jedynie unikając oślepiających reflektorów, bo one w żadnym wypadku nie mogły wyjść na dobre. Połaził na górny pokład i rozejrzał się na nowo w położeniu bez płonnych nadziei, aby w jakiej szalupie, albo w jakiej szparze, miał być dla niego widok na przyszłość. — Weź się, Władziu i zastrzel!...

Nie ma co nad rezygnacją wydziwiać : człowiek robi co może, dopóki go stać, ale jak nic już nie może, puszcza kantem, niech się dzieje co chce, tak czy inaczej człowiek

strzela a Pan Bóg kule nosi, komu by się chciało w takich warunkach celować?! — Weź się przynajmniej, Władziu i ogrzej!...

Komin był między nim, a pomnożonymi w tym miejscu reflektorami.

Wstąpił od ciemnej strony na stopki. Drogę znał, szło mu jak po maśle. Będąc już przy obręczy, zaczekał, aż dym zawinie się ciasniej wokół komina i zamroczy, przy pierwszej takiej okazji jednym przerwaniem dał nura... Od dymu zakrzuszył się, ale mu się zaraz zrobiło cieplej...

Wykaszłał się w kominie bez obawy, a jednocześnie ironia losu przywiodła mu na pamięć świetlicową lekcję, dotyczącą komina: — *Komin — brzmiała lekcja — dla ludzkich oczu jest gruby, rozdęty, ale dla speca stanowi rurkę, skąd dym bucha i bucha... Reszta komina jest dęta, czyli pusta, w dętej części kto nie bądź uważając na wiatr, może się z czystym sumieniem przespać...*

Przespać, jak przespać, kopciu jak nasiał, dym w oczy lezie, ale ciepło jest przynajmniej, jak w uchu!...

W zac zadzonej przestrzeni komina zgębiony troskami sierżant nie potrafił z czystym sumieniem zasnąć, więc zdrzemnął się...

Drzemał na stojączkę, jako że od dłuższego czasu oka nie zmrużył — i ocknął się, głodny jak wilk, wtedy gdy owal komina nad jego głową dobrze już posiwiął od chmurerek gdańskiego poranka.

Ocknęły go nie chmurki, lecz głos wopowy, który prowadził pluton na dolnym pokładzie, a pochodzący od tego, który wszystkiemu był winien...

Po nagłym ocknięciu zebrało się na wymioty, bo głód jedno, smród drugie, zac zadzenie i ból głowy trzecie, a po co się było rodzić? — czwarte! Toż jego rodzony pluton z por. Gachem na czele, jak własne rodzone dziecko lata za nim i nakłania do samobójstwa! Słyszał kto coś podobnego?! Ma człowiek prawo się rozchorować i rzygnąć sobie w kominie, jeśli nie jest w stanie wytrzymać, czy nie?!

Nawet głowy nie potrzebował wystawiać, żeby na pamięć wiedzieć, co się na dole rozgrywa... A więc musowo pojawił się kapitan Gotlandu i jak to kapitan, nuż po swojemu skarżyć się na szykany! A także samo przepite po jublu Szwedziska złaziły się na apel, jak barany, a ką-

śliwe dziś były i szydercze, jeśli jeden prawidłowo powiedział „jä”, drugi już szczeakał „hau !”, trzeci nawet dłużej się wyrażał po szwedzku ! Dać by im w kuper, żeby się nauczyli grzeczności ! Następnie, jak zwykle, Kordus i Sachse podskoczyli do wietrzników, Czepurkowski bumelant połażł na gniazdo, a poszczególne dwójki poszły do węgla, do kabin, do śpiżarni i do żęzy, a zatem wszystko się odbywało według rymowych pouczeń ! Jak się to mówi : dłużej klasztoru, niż przeora, dłużej plutona, niż Ryma...

Krewka pyskówka między kapitanem Gotlanda, a dowódcą plutonu, wynikała nadprogramowo na temat brygady gazowej, ponieważ kapitan się wściekł i krzyczał po szwedzku, po angielsku i po niemiecku, że się nie zgadza — por. Gach zaś w polskim języku stawiał na swoim, że brygada *będzie* ciskać naboje z gazem i *będzie* robić co się jej żywnie podoba, bo tu jest Polska, nie Szwecja, wobec czego wszystkie kapitańskie obiekcje są gdzieś ! Por. Gach zakończył po polsku mocniej : — Bez gazowej inspekcji, krrwaa, Gotland centymetra od kei nie ruszy !...

W kominie nie ronito się żadnego słoweczka. Kapitan się zaperzył i znowu po szwedzku, po angielsku, po niemiecku, a tym razem nawet po rosyjsku tłumaczył, że — takie traktowanie prowadzi do tego, że — cała załoga przez trzy dni palcem na okręcie nie kiwnie, tylko będzie kichać \*). Por. Gach zachował się jak głaz, gdyż nie był specem w językach.

Brygada gazowa zaczęła robotę, tu i tam pyknęły gazowe naboje, rewizja, trzeba bezstronnie przyznać, była, jak jasny gwint !

Władziowi odechciało się rzygać, ponieważ ruch na pokładzie go ożywił i zachciało mu się jeść. Miał w płaszczu wianuszek krakowskiej kiełbasy, który mu wepchnęła przed odjazdem jedna jego znajoma Teośka. Nie popuszczając z prawej ręki rewolweru, lewą podjął wianuszek i żarł bez chleba za zdrowie tej poczciwej Teośki...

Nie przerywał sobie, jako że nie jadł równo dobę. Nie oderwał się od jedzenia nawet wtedy, gdy por. Gach na pokładzie domyślił się nareszcie i rzekł :

\*) Gaz kichający jest dużą gwarancją bezpieczeństwa : gdy wstrzyknie się gaz do węgla, do luk i do byle jakiej dziury, żaden bryk nie zdzierzy, tylko wnet kichnie i dobrowolnie się wyda...



— Te, Rumianek, zwinicie się mnie i sprawdźcie mnie jeszcze komin!

No, na ostatek zostało powiedziane, co powinno być początkiem na samym początku! Władzio zaczął się śpieszyć, żeby zdążyć. Zadał głowę, oparł ją o komin i żując resztki pysznej kiełbasy, patrzył w owal, nad którym przepływały jasne chmurki.

A już przez plecy czuł, jak komin brzęka i jak stopka po stopce pnie się do niego pijus Rumianek i jak stopka po stopce zbliża się murowany koniec świata.

Z zadartą głową wcelował się w siebie, przy dziennym świetle mowy nie było o pomyłce, tu był cel a tu był spust — w absolutnie zdeterminowanej pozycji czekał na pijusa Rumianka...

Nie potrzebował się niecierpliwić, bo czapa z okutym daszkiem ukazała się w kominowym owalu i zaćmiła jasne chmurki.

Patrzenie z dołu do góry i z góry na dół daje całkowicie odmienne widoki:

Kapral Rumianek, gdy włożył głowę w komin, przez sekundę przyzwyczajał się do panujących ciemności, ale wnet się wzdrygnął, jakby zobaczył Murzyna! Natomiast Władzio z dołu zobaczył pyzatą twarz Rumiańcia, która się wykrzywiła, jak u smarkacza, z nosem na kwintę. Gdy się tak sobie wzajemnie przyglądali, Rym, żując ostatki wianuszka, Rumiankowi dał rewolwerem do zrozumienia, że w każdej chwili jest gotów...

Biegły cenne sekundy wzajemnego przyglądania się z góry na dół i z dołu do góry i cichej wymiany myśli, kto jest ananas, a kto jest szpieg, i kto kogo kiedy tępił i robił w raportach na szaro...

Oczy w oczy, z dołu do góry i z góry na dół, spoglądali na siebie, jak cudak na cudaka, albo jak z przeciwnych planet...

Et! zawracanie głowy, spust pod palcem, lufa w czole, twoje na wierzchu, Rumianek, rym, cym, cym!...

Sekundy mogą się wlec w kominie, ale pokład żąda szybkiej orientacji, czy jest w kominie bryk, czy bryka w kominie nie ma?!

Więc kapral Rumianek był zmuszony do szybkiej decyzji. Nadał policzki i splunął w komin. Slina chlapnęła wprost w Ryma. Jednocześnie kapral Rumianek energicz-

nie zaprzeczył głową, iż żadnego bryka w kominie nie ma!

Zaznaczywszy ten fakt, dowcipny Rumianek zaczął się spuszczać po schodkach, aż po plecach dudniło, i pogwiżdzywał skoczną polkę, zadowolony z plunięcia...

Wprost przeciwnie, Rym w kominie nie odczuł najmniejszej satysfakcji i aczkolwiek pistolet wsunął w kieszeń, o mało nie wściekł się! Bo co u Boga Ojca? Dlaczego Rumianek splunął, jeśli on miał większe prawo splunąć na Rumianka i — dlaczego Rumianek, splunąwszy, jego ciała nie chciał wyciągnąć z komina, aby kuter dalekomorski nosił miano Rumianek?! Bądź tu człowieku w dobrym humorze, jeśli z jednej strony cię opluto, a z drugiej strony wystawiono WOP starszą panią do wiatru! I bądź tu człowieku mądry!...

Rymowi w kominie zrobiło się nudno. Z całą zjedzoną kiełbasą pojechał do Rygi, a jadąc, nad samym sobą i nad Rumiankiem i nad całym życiowym pokręctwem serdecznie rozplakał się.

W tym samym czasie na pokładzie, po dodatkowych cegielach, pluton zwinął się w trąbkę i pomaszerował gęsiego po trapie z tym kochanym porucznikiem Gachem na czele i z tym kochanym Rumiankiem i zostawił Ryma w kominie, jak sierotę...

Reszta już była mięta, rewizja celna w żadnym wypadku nie dotyczyła komina i normalne poza tym na pokładzie szur-szury... Czadu nazbierało się więcej i głowa bardziej bolała, jako że dym wychodził czarniejszy, bo mocniej palono... Syrena w samo ucho huknęła, aż flaki się wywróciły w człowieku. A potem, z głosów sądząc, ściągnięto trap i życzo się szczęśliwej podróży z Nowym Rokiem...

Zaraz też dym zaczął zmieniać kierunek. Zaraz też owal komina zaczął żywiej błędzić po chmurnym niebie. Zaraz też byle głupi by się domyślił, że Gotland opuszcza Polskę i płynie sobie w dal...

Ale nie ma powodu, żeby w kominie skakać z radości, z powinszowaniem lepiej zaczekać do nocy, aż uzbiera się przyzwoita ilość mil morskich, ponieważ zdarzały się znaczne wypadki, że nawet z wysokości Helu z powrotem wgniali do portu szwedzkie frachty...

Rozum swoje, a psikusostwo swoje... Przy coraz większym kiwaniu wzbierała ochota, aby jeszcze raz się przejechać do Rygi, cóż, kiedy nie było czym. A zatem należało cierpliwie oczekiwać zmiarchu, chociaż czekanie łatwe nie jest, wszystko ciąży, nawet rewolwer, który niepotrzebnie wypycha kieszeń. Więc co robić? Przy nudnym kiwaniu, w dymie nieustabilizowanym, nie mogąc rzygnąć ani spać — wypadało na nowo zdrzemnąć się...

Władzio w kominie drzemał o palmach. Palmy, niebotyczne wyrosły mu przed nosem z daktylami i orzechami, a do palm tuliły się śliczne kafejki, a w kafejkach siedziały cudnej urody czyki, a te czyki nic innego nie robiły, tylko na niego mrugały... Te czyki były do wyboru, do koloru, a każda do niego wyjeżdżała z miłością, jakiej nigdzie nie znajdziesz w Polsce... Może nawet piękniejsze były te czyki od Hanusi i żadna nie była taka harda i nie zadzierała nosa do góry, jak tamta kochana panna...

I drzemał o papierosach. Pod palmami, pod bananami, na samym rogu, piętrzy się stos wykwintnych papierosów i czekolady lepszej niż Wedla — a na tym stosie jasna blondynka karty rozkłada i wróży : przyjedzie do niej Władzio, czy nie?! Męczy się nad kartami, dręczy się biedna, marszczy czołko — aż ot! maść kierową spostrzegła w kartach! Kiery to on! Cieszy się ta blondynka, od zmysłów odchodzi i zaśmiewa od ucha do ucha : przyjedzie, Władzio, dlaczegóżby nie miał przyjechać?! A za nią stoi wesoła hurma różnych polskich faszystów, bryków i wodzirejów, klaszcze w dłonie i rajcuje się nim : patrzcie kto do nas zawitał, toż Władzio Rym, a bywaj nam bracie, a witaj!...

...Ze snu, tym bardziej z drzemki, po przebudzeniu zazwyczaj zostaje mało treści, tylko ogólne samopoczucie, czy dobrze się śniło, czy źle.

Po przetarciu zadymionych oczu, Władzio stwierdził, że czuje się nie najgorzej... W międzyczasie nudny czas posunął się znacznie naprzód i tego całego Gotlanda czarna noc już huśtała, cały Gotland dudnił na pełnym morzu, jak pusta beczka.

Nie istniał dłużej powód, aby się smrodzić w kominie. Hajda! Po przechorowaniu i po kryzysie poszło ma się rozumieć jak z kamienia. Wspiął się jednak, przeważył na

drugą stronę, przerzucił nogi za komin i nawet od razu namacał sztyfty. Ustał na stopkach i nawet zlął, gorączkowo oddychając niezadymionym powietrzem.

Poza sferą jakichkolwiek wątpliwości, Gotland zapychał po otwartym Bałtyku, a obok niego smyrgały liczne falki z płynnymi grzywkami. Czarnawo było.

Doszedł do poręczy i oparł się łokciami, biorąc twarz w dłonie. Po ciasnocie komina aż samo się prosiło patrzeć w nieskończoność. Nieskończoność wyrażała się w niebie i morzu, startych na miazgę. Z bardzo daleka łyskała jedyna jedyna latarnia morska, która mogła być z Helu. — Kocha, lubi, szanuje, nie chce, nie dba, żartuje... — Wiatr wchodził w piersi, bez względu, czy się chciało, czy nie... Po dniu noworocznym pozostały na zachodzie fijołkowe smużki, w kierunku których Gotland machał dziobem i machał z uporem...

Pod płaszczykiem nocy wszystko z czasem gaśnie, zarówno latarnie z Helu, jak i smużki. Fijołkowe na zachodzie fiolety pomdłały i wessały się w horyzont, złożony z czarnego nieba i z takiegoż morza.

Stuknij się, bracie, w czoło! Przywołaj się, bracie, do rozsądku! Jaki, bracie, konkretny interes możesz mieć bracie z nieskończoności? Sięgnij, bracie, po rozum do głowy! Zastanów się bracie i daj spokój fijołkom! Ot tak!

Cisnął pistolet w morze, jako balast nasuwający dwuznaczne podejrzenia co do osobistości i komplikujący sytuację. Nawet nie patrzył, gdzie wpadł. Oderwał się od balustrady i sam dobrowolnie udał się na poszukiwanie Szwedów. Zdecydował się, że ma zamiar oświadczyć Szwedom, że on jest Władysław Rym, bryk! Także samo zdecydował się im oświadczyć, że jeśli zechcą, mogą go wykończyć, ale on się tego po nich nie spodziewa, ponieważ ma w Bogu nadzieję i zaufanie do wolnych rodaków, którzy w razie czego się za niego upomną!...



## XIX.

Z „Dziennika Bałtyckiego”, z datą 1-go stycznia :

### O JĘDRUSIU AKTYWISZCIE

(Kowalowi Nowych Form. ob. Z. B. poświęcam)

*Jędrus jest mały chłopczyk, ale gdy rączki Jędraszka  
Obejmą cię za szyję i ścisną, jak kleszcze —  
Poznasz — że Jędrus to nie jest igraszka,  
Bo w małym Jędrusiu milion Jędraszków się streszcza!*

*Milion Jędraszków! Gwardia! Zagon Rewolucji,  
Gdzie nie fijołki wyrosną od lasa do lasa  
Lecz chłopska gryka o cierpkim zapachu nasturcji  
I milion ziaren da! Milion aktywistów! Milion Jędrusiów!  
Hopsasa, hopsasa!...*

*Czesław Muś*

## XX.

Polska ziemia ta jest ziemią piękną, bujną, rodzącą rzeczy wspaniałe i zdumiewająco miłe, o której wiadomo, że gdy nasienie gryki, albo nasturcji w niej się zasadzi, wyrasta gryka, albo fijołki, ale nigdy ziele. Ziemia ta — jest ziemią ludzi zdumiewająco podobnych do innych ludzi, z tym, że co innego daje im siły do przetrwania i do znoszenia trosk, na ziemi tej, jak na ziemi innej — wszystkim ludziom zarówno przeznaczonym! Bujna ziemia, piękna ziemia, najukochańsza ziemia pod słońcem, tyle tylko, że z Panem Bogiem udry na udry, co w niej człowiek zasadzi nasionka i zniw się spodziewa — Pan Bóg ma za złe i proponuje, żeby sadzić od nowa... Z Panem Bogiem nikt nie wygra, a też i nie pora na kłótnie i swary!...

...W Gdańsku nacz. Zenon Bijas miesiąc styczeń zaliczył do najfortunnniejszych, bo gorzka żółć drabinowego śledzwa spłynęła po Rymie, jak po rynnie i Góra połknęła go oblizując się nawet przy tym. A poza tym w ogóle powszechna bieda jakby zapadła w zimową śpiączkę. Owszem,

były normalne nieprzyjemności, zaadresowane na przykład do Gacha, temu bowiem wlepiono poufne śledztwo, czy on w świetlicy jakim słówkiem nie ostrzegł zdrajcy, ale gdy okazało się, że nawet pary z ust nie puścił, dali mu spokój, z wyjątkiem pułk. Sierpuchowskiego, który przez miesiąc styczeń nie mógł zrozumieć w jaki sposób Gach, wykradłszy się przez dziurę, śmie mu znowu deptać po piętach! Pewnych nieprzyjemności doświadczył również całkiem słusznie kpt. Dzikowski za to, że ustawił „podręcznik” za prześwietlającym kozłem hiszpańskim, jak ostatni dureń! Ale żadna z tych bied nie dotykała Bijasa i gdy wreszcie wysłał wynik śledztwa KO<sub>4</sub> na podstawie Ryma — ani jedna mucha nie usiadła i znikąd nie otrzymał marnego słówka. W końcu miesiąca stycznia otrzymał nawet dobrą wiadomość, że został powołany na dwutygodniowy wyższy kurs PPP \*) w Zakopanem, połączony z treningiem górskim, na który miał prawo zabrać żonę, aby i ona pojeździła sobie na nartach.

Na okres trwania Kursu, naczelnika Bijasa miał zastępować w Gdańsku kpt. Dzikowski pod okiem tow. Rybienki — skąd wniosek, że i Dzikowskiemu z Rymem jakoś się upiekło, a nawet mu rogi odrosły. Łgopies!

Jeszcze przed wyjazdem obywatelstwa Bijasów wyjaśniła się ostatecznie sprawa bryka Fornalskiego, perfidnie złapanego przez Ryma; ten Fornalski tyle nawalił na sądzie na notorycznego szpiega z czasów szkolnych, który do wszystkich życiowych omyłek go prowokował, iż w ten sposób uwolnił się od krzyżyka i nawet dość względnie był na sądzie potraktowany za usiłowanie nielegalnego przekroczenia granicy. Ale on nawet nie poczuł się do wdzięczności w stosunku do nacz. Bijasa, który go osobiście instruiował i w ten sposób od śmierci wymigał! Łgopies!

Drabinowe śledztwo najbardziej owocne reperkusje miało w samym WOPIe. We wszystkich pododdziałach zarządzane zostały polityczne pogadanki pod szeroko rozprzeżonym hasłem: „Strzeż się szpiegów!” Zalecony w świetlicach temat dotyczył b. sierżanta Ryma, który przez wiele lat potrafił maskować się udawać przyjaciela ludu, a jednocześnie uprawiać szpiegowską robotę i pobierać za to fury amerykańskich dolarów. Z tego de-

\*) Praktyczne Przeszkolenie Polityczne.

generata Ryma czujni Wopowcy mieli wyciągnąć naukę, że w obliczu amerykańskich dolarów nawet bratu nie wolno dać pełnej wiary, obowiązkiem Wopowca jest mieć stale otwarte uszy i o byle czymkolwiek, choćby się wydawało bez związku, natychmiast meldować, albo najlepiej pisać. We wszystkich świetlicach zostały wywieszane pod ramką wycinki z „Żołnierza Polskiego” z fotografią tegoż Ryma, tyle tylko, że odcięto podpis : „*To Bohater ! Ale tylko nasze czasy tworzą takich bohaterów*”, natomiast czerwonym tuszem przez pysk tego Ryma wymalowano wszędzie na skos : ZDRAJCA ! \*).

— Łgopies ! — Przed wyjazdem do Zakopanego, Zenon Bijas miał swego rodzaju uciechę z przyczyny Alicji, która z dobrego serca uraczyła gosposię Elżbietkę pudrem Coty’ego i wodą kolońską z „Generała Waltera” — a Elżbietka jak nie ryknęła płaczem z nadmiaru wdzięczności i jak się nie zaczęła kajać, aż miło było jej słuchać ! Tu dopiero Alicja się przekonała, że ta Elżbietka wszystko o nich pisała, chociaż nie chciała... Łjapies !...

Miłe przed wyjazdem do Zakopanego panowały na ogół czasy, jakby nie było w Gdańsku biedy ! Bijas raz po raz rażno podbijał lok i palił się do swojej panny Sienkiewiczówny, choć ona w styczniu była jak królowa. Raz jej nawet powiedział, że on ją może nawet bardziej kocha niż ukochaną Polskę Ludową, ale i to na niej nie zrobiło większego wrażenia. Grymasna była.

Grymasiła na temat Jędrusia, że Jędrus jej szorstko odpowiada i ma do niej jakieś nieuzasadnione pretensje — grymasiła także z powodu sióstr, bo siostry zrobiły się tępe i nawet nie zrozumiały, że gdyby nie Zenon, one by już dawno były u Bozi... — Prawda, Zenon, że gdyby nie ty, one by już dawno leżały w trumnach, bo gdybyś ty się polecił z przesłaniem listu do Haneczki, kto by mnie dzisiaj szył ? Ale obydwie siostry nie tylko nie poczuwają się do żadnej wdzięczności, ale mnie traktują pernogam ! Wyobraź sobie, zaniósłam Duszej, jak pozwoliłeś, materiał na kostium angielski w rzucik (a ja tak ciebie prosiłam, że ma być w jodelkę, a nie w rzucik !) i wyobraź so-

---

\*) Pod fotografiami szpiega Ryma były też naklejki tej treści : „Tak wygląda zdrajca Władysław Rym, ujęty przez WOP 31-go grudnia przy próbie przekraczania granicy na Odrze i Nysie”.

bie, Duszna zrobiła minę, jakby w ogóle nie miała ochoty się ze mną zadawać! Takiej arogancji, jak świat światem, nikt jeszcze nie widział! Jak myślisz na to zareagować, Zen? Czego, jak czego, ale tego chyba nie puścisz płazem? !...

Łjąpies! Przed samym wyjazdem do Zakopanego zdarzyło się jeszcze inaczej. Alicja znienna zadała pytanie:

— Jutro jedziemy w Tatry na hajtu-hajtu, ale ty mnie od października zwracałeś głowę swoją drabiną, a nawet osmieliłeś się mnie straszyć Jurkiem Mazurkiem — powiedz mi raz nareszcie kto ostatecznie przystawił drabinę i popsuł nam kilka miesięcy naszego wspólnego pożycia?

Zenon Bijas podbił lok (opadł lok) i rzekł zdumiony:

— Zastrześliś mnie! Rąbnęłaś mnie pytaniem, jak z Trylogii. Wiesz, Alicja, ja nad tym pytaniem nigdy poważnie się nie zastanawiałem. Nie mam zielonego pojęcia...

...Cacy-cacy, ale proste pytanie żony Alicji utkwilo w nężu Zenonie — i — będąc już szczęśliwie w Zakopanem, gdy cudny śnieg na nich prószył i prószył z chojn — Zenon Bijas nawrócił do poruszonego tematu:

— Śnieg na nas prószy i prószy, tu jest naprawdę bardzo ładnie i ty na śniegu jesteś wyjątkowo ładna, ale na ogół ty lubisz przesadzać. Każdego miesiąca mnie mówisz, że jesteś w ciąży, zwykle się mylisz, ale gdyby tym razem była prawda, temu nowemu synkowi dalibyśmy imię Jakub. Wiesz dlaczego? Przez tę drabinę, o którą mnie zwracałaś głowę. Sama weź i popatrz, że do takiego właśnie nieba Jakub przystawił we śnie drabinę, po której aniołowie wchodzili i schodzili. Gdybyś ty istotnie miała mieć z tych czasów synka, dalibyśmy mu imię Jakub, bo jemu by to musiało przynieść szczęście!... Jeśli nie podoba się tobie, Alicja, ja rezygnuję... Nie rób min!... Popatrz, jak śnieg na tobie błyszczy.

Śnieg błyszczał.

Śnieg błyszczał, najcudniejsze nasze Zakopane śmiało się do nich, a nie do nas — i Zenon, ogarnąwszy ramieniem Alicję, rzekł jej:

— Nic nie zważaj, jeśli ci plotę trzy po trzy, bo to nie ma żadnego znaczenia. Spójrz na Dolinę Kościeliską i przypomnij sobie, jak o naszym Jędrusiu napisał Muś: Hopsasa, hopsasa!...



— Wiesz co, Alicja, weźmy się w pół i puśćmy się po tym lepszczu! Ty się weź za mnie, a ja za ciebie i z górki na pazurki! No jak? Ściśnij narty! Nogi razem do kupy! No już? W kupie?... Nic się nie bój, bo ja sam w strachu! Bieda była, bieda jest, bieda będzie... Walaj! Hopsasa, hopsasa!

...Jak to swego czasu słusznie zauważył w raporcie o drabinie por. Cezary Gach: „Nic ważnego nie zaszło”.

A jednak! Pewnej nocy spod ciemnej gwiazdy, gdy śnieg w Gdańsku prószył i prószył, jak w zakopiańskich dolinach, a syreny z portu pomrukiwały — na dach trzynastego numeru domostwa wdrapała się obywatelka Ziemowitowa, zmiotła ogonem śnieżne kobierce i czujnymi chrapkami chwyciła siódmy wiatr...

Kici, kici, Ziemowitowa, miauu, miauu!

K O N I E C

## SPIS RZECZY

Część pierwsza : <i>Katedra Sandwiczów</i> .....	5
Część druga : <i>Kociotek na Ziemowita</i> .....	109

